



Seks, adrenalina, humor.
Nowy cykl powieści
autorki bestsellerowego
Tajemniczego mężczyzny.

KRISTEN ASHLEY

R o c k C h i c k

*Ówka
gliniarza*

KRISTEN ASHLEY

*Córka
gliniarza*

PRZEŁOŻYŁA

Julia Gabriel



Tytuł oryginału: **Rock Chick**

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Agata Rogowska*

Copyright © 2008 Kristen Ashley

All rights reserved.

For the cover illustration © Samantha Kandinsky

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Julia Gabriel

ISBN 978-83-287-1355-0

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2020

Spis treści

- Rozdział 1 Wielkie polowanie na Liama
- Rozdział 2 Powiniennem przełożyć cię przez kolano
- Rozdział 3 Wybieram bramkę numer dwa
- Rozdział 4 Mam cię znów pocałować?
- Rozdział 5 Babeczki
- Rozdział 6 Strefa „Kinky” Friedmana
- Rozdział 7 Właż do środka, słonko
- Rozdział 8 Nie lubi Nixona
- Rozdział 9 Nowa definicja „bycia spoko”
- Rozdział 10 Jazda testowa
- Rozdział 11 Dobranocka dla niegrzecznych dziewczynek
- Rozdział 12 Spełniłem swój obowiązek
- Rozdział 13 Pandemonium w gejowskim barze
- Rozdział 14 Czy on do kogoś dzwonił?
- Rozdział 15 Nie mówiłaś o cieście
- Rozdział 16 Maszyna stop
- Rozdział 17 Potrójne ostrzeżenie
- Rozdział 18 Naga wdzięczność
- Rozdział 19 Eddie i Darius
- Rozdział 20 Dwie dusze rozdzielone w niebie
- Rozdział 21 To nie są ćwiczenia
- Rozdział 22 Sympatyczny morderca z sąsiedztwa
- Rozdział 23 Powiedz, że to nie tak, Tex
- Rozdział 24 Potrzebuję Metalliki

Rozdział 25 Długotrwała wytrzymałość

Rozdział 26 Plask

Rozdział 27 Gdzie jest Lee, do cholery?

Rozdział 28 Ty cholerny zarozumialcu

Rozdział 1

Wielkie polowanie na Liama

Nigdy nie byłam na bakier z prawem. Do tej pory.

To wydawało się totalnie niemożliwe, jestem przecież córką gliniarza.

Chroni mnie karma córki gliniarza, więc dopóki nie biorę dragów, nie diluję, nie kradnę, nie puszczam się za pieniądze i nie zabijam (każda z tych rzeczy przekreśliłaby karmę), jestem chroniona.

Co nie znaczy, że nie robiłam głupstw nie do końca zgodnych z prawem. Robiłam, i to całe mnóstwo.

No bo tak...

Dostałam całkiem sporo mandatów za złe parkowanie, ale to się w sumie nie liczy.

Kilka razy zatrzymano mnie za przekroczenie prędkości, choć to akurat nigdy nie skończyło się mandatem.

Przechodziłam przez ulicę w niedozwolonym miejscu (tak robię, jak się spieszę, czyli prawie zawsze).

Do czynów nie do końca zgodnych z prawem można chyba też zaliczyć to, że wdarałam się za kulisy na koncercie Aerosmith. Udało mi się nawet dotknąć piersi Joe Perry'ego opuszkami palców i przez moje ciało (zwłaszcza przez pewne miejsca) przebiegł prąd takiej rozkoszy, jakiej nie doświadczyłam nigdy przedtem ani nigdy potem. Niestety, chwilę później ochroniarz mnie stamtąd wyciągnął.

W sumie nie jestem pewna, czy wdarcie się za kulisy i dotknięcie Perry'ego było nielegalne, ale powinno być, biorąc pod uwagę, że dało mi znacznie więcej przyjemności niż cała masa nielegalnych akcji.

Do rzeczy: dwadzieścia minut temu mój pracownik Rosie powiedział coś, czego wolałabym nie słyszeć.

Rosie bywał trudny, ale to już przestało być zabawne. Teraz wciągnął w swoje sprawy drugiego pracownika – Duke’a, a Duke’a lubiłam jak mało kogo na świecie.

Chwilę potem Rosie i ja zamknęliśmy moją księgarnię i stojąc przed nią, zastanawialiśmy się, co z tym czymś zrobić.

Zaraz potem podeszło do nas dwóch gości, coś zagadali, ale ta rozmowa nie poszła dobrze (powiedzmy sobie szczerze: przeze mnie) i zaczęli do nas strzelać.

Strzelać! Do nas!

Z broni palnej!

W której były naboje!

Zwialiśmy, na szczęście nie zostawiając za sobą śladów krwi.

I teraz, zdyszani, siedzieliśmy w moim samochodzie, w ciemnym zaułku ciemnej alejki, w labiryncie uliczek starej dzielnicy Baker, ja gapiłam się na swoją komórkę i gorączkowo myślałam, co – do ciężkiej cholery – powinnam zrobić.

Ale od początku.

Nazywam się India Savage, mówią na mnie Indy, jestem córką Toma Savage’a i zna mnie praktycznie każdy gliniarz, nawet żółtodzioby. Jak byłam mała, to albo siedziałam na posterunku, czekając na tatę, albo spędzałam czas z jego kumplami. A, no i z tatą nadal chodzimy razem do Fraternal Order of Police[1] na pieczeń wieprzową.

Do tego dochodzi jeszcze mój wygląd. Nie żebym się chwaliła, rzecz w tym, że w gliniarzach aż buzuje testosteron, a ja jestem, no, tego... dziewczyną.

Większość kumpli taty zwróciła na mnie uwagę, kiedy skończyłam szesnaście lat. Problem w tym, że gdyby któryś mnie tknął (nawet jak już byłam pełnoletnia), pozostali by go zastrzelili.

Tak to właśnie wygląda, jak się jest córką gliny. Przyjmujesz to z dobrodziejstwem inwentarza.

Pewnego wieczoru w mojej nie tak krystalicznie czystej i świetlanej przeszłości koledzy taty, Jimmy Marker i Danny Rose, przyłapali mnie i moją przyjaciółkę Ally Nightingale (tak, byliśmy nieletnie) na picciu alkoholu. I zgarnęli nas na posterunek.

Tata nie był zły; potraktował to jako szczeniacki wybryk. Miał tylko jedno dziecko, a jego żona nie żyła. Kiedyś liczył, że jeszcze dorobią się syna, ale mama zmarła, gdy miałam pięć lat. Najpierw byli zbyt zabsorbowani mną, żeby zdecydować się na drugie dziecko, a po jej śmierci tata chyba nie doszedł do siebie na tyle, żeby ożenić się po raz drugi.

Zawsze powtarzał, że Katherine Savage nigdy nie da się zapomnieć.

Mówił też, że wyglądam tak samo jak ona, co potwierdzały zdjęcia. Z wyjątkiem niebieskich oczu – te miałam po nim.

I wszyscy mówili, że zachowuję się identycznie jak ona kiedyś.

Tak czy inaczej, tata uznał naszą libację za zabawną i powiedział, że gdybym była chłopakiem, to ta akcja z przyskrzynieniem nas przez jego ziomków byłaby czymś w rodzaju inicjacji. Jego najlepszy kumpel i wieloletni partner Malcolm Nightingale stwierdził to samo.

Żona Malcolma, która przyjaźniła się z moją mamą i przysięgła jej na łożu śmierci, że pomoże tacie wychować córkę, Kitty Sue Nightingale, nie uznała mojego pobytu na posterunku za zabawny.

Żaden z moich młodzieńczych ekscesów, w jakiegokolwiek formie, nigdy nie wydawał się Kitty Sue zabawny. Zbyt mocno martwiła się o moją nieśmiertelną duszę.

Zresztą Kitty Sue miała pełne ręce roboty, wychowywała nie tylko mnie, ale i trójkę własnych dzieci. A że dwoje z nich to Lee i Ally, łatwo nie było.

Kitty Sue rozmawiała z kaznodziejami, nauczycielami i pedagogami szkolnymi, z trenerami małej ligi softballu, baseballu i footballu, z plotkarkami i plotkarkami z sąsiedztwa, jednym słowem z każdym, kto mógłby pomóc jej stworzyć sieć nadzoru nad dziećmiakami Savage/Nightingale. Lecz mimo wszelkich wysiłków, w tej sieci zostały spore dziury.

Z Allyson Nightingale przyjaźnimy się niemal od jej narodzin. Ally – najmłodsze dziecko Kitty Sue i Malcolma – jest dużo bardziej szurnięta niż ja

głównie dlatego, że się niczego nie boi.

Za to Lee to zupełnie inna historia. Był rozrabiaką przez duże R.

Po tym jak Jimmy i Danny przyłapali mnie i Ally na rzyganiu w przydrożnych krzakach, wycwaniliśmy się. Gdy zdarzało się nam imprezować i przesadzić z alko, dzwoniłyśmy po Lee, a on przyjeżdżał i nas zgarniał.

Nieważne, gdzie był, nieważne, co robił, zjawiał się swoim starym stylowym mustangiem, otwierał drzwi od strony pasażera i z uśmiechem patrzył, jak wytaczamy się z czyjegoś domu i ładujemy do jego samochodu. Potrafił rozpoznać po odgłosach, kiedy będziemy rzucać pawia, i zanim do tego doszło, zatrzymywał się i wyciągał którąś z nas, żeby sobie ulżyła na poboczu, a nie w jego wozie. Miał też duże doświadczenie w przytrzymywaniu włosów haftujących dziewczyn.

W tamtych barwnych czasach dzwoniłyśmy czasem do drugiego brata Ally, Hanka, ale on zawsze prawił kazania. Był najstarszym dzieckiem Nightingale'ów i uważał, że musi zachowywać się odpowiedzialnie. Pouczał nas, ale nie donosił; donoszenie byłoby przegięciem.

Nic też dziwnego, że Hank został gliną.

Ani że nikt tak naprawdę nie wie, co robi Lee.

Henry „Hank” Nightingale był kapitanem drużyny futbolowej, został Królem Balu, zdobył tytuł Najlepszego Sportowca, Najbardziej Lubianego Ucznia, Najpiękniejszego Uśmiechu i stanowił połówkę Najlepszej Pary. Miał metr osiemdziesiąt osiem, uda, którymi mógłby łupać orzechy, niezły tyłek i chyba sporo w rozporku, zabójczy uśmiech, gęste brązowe, lekko falowane włosy i orzechowe oczy. W liceum Hank był dobroduszny, rycerski i miał stałą dziewczyną. Niewiele z tego się do tej pory zmieniło (no tyle że nie ma dziewczyny).

Z kolei Liam „Lee” Nightingale potrafił spać na krótko każdy samochód, jeździł mustangiem i motorem, zaczął palić w wieku trzynastu lat i podobno mógłby zapłodnić dziewczynę samym tylko spojrzeniem. On również zdobył tytuł Najpiękniejszego Uśmiechu, miał metr osiemdziesiąt dziewięć i sprawiał wrażenie, że spłowiełe dzinsy zaprojektowano specjalnie dla niego. Tak jak brat miał gęste ciemne włosy i czekoladowe oczy z długimi rzęsami. Podobnie też jak Hank był dobroduszny, lecz w zupełnie inny sposób. Bez najmniejszego wysiłku rwał każdą osobę płci przeciwnej, która miała długie włosy, duże cycki

i fajny tyłek. Wystarczyło, że kiwnął palcem, rzucił spojrzenie, a w przypadku dziewczyny nie do zdobycia – uśmiech.

Rwał każdą, z wyjątkiem mnie. I to bez względu na to, jak się starałam, a powiedzmy to sobie jasno: starałam się bardzo.

Ja też mam duże piersi, zarąbisty tyłek, długie kasztanowe włosy, i serio, nie wyglądałam jak zombie.

Próbowałam poderwać Lee, odkąd pamiętam.

Powinnam wybrać Hanka. Teraz byłabym szczęśliwą mężatką, pewnie miałabym dzieci, a już na pewno regularny seks.

Ale guzik z tego.

Jestem rock'n'rollową laską i nic już nie można na to poradzić.

W wieku ośmiu lat Ally i ja postanowiłyśmy, że wyjdę za Lee i w ten sposób zostanę jej „prawdziwą” siostrą. Ona będzie moją druhną, zamieszkamy w domkach naprzeciwko z białym sztachetowym płotem, a moja (i Lee) pierwsza córka będzie miała na imię Allyson.

Zawarłyśmy pakt krwi, kłując się w kciuk agrafką i mieszając krew, a potem spędziłyśmy kolejne dwanaście lat, usiłując przekuć tę fantazję w rzeczywistość, na wszystkie sposoby, jakie tylko nasze przebiegłe i pokrętne umysły mogły wykminić.

Pech polegał na tym, że choć kodeks etyczny Lee był nieco mglisty, ja podpadałam w nim pod zasadę numer dwa. Zasada numer jeden brzmiała: „Nie będziesz wyrywał dziewczyny brata swego”, numer dwa zaś: „Ani vyhaczał przyjaciółki młodszej siostry swojej”.

Poza tym dorastałam jako członek rodziny, przez co stawałam się niemal młodszą siostrą. Gdy po raz ostatni próbowałam go poderwać (miałam wtedy dwadzieścia lat, on dwadzieścia trzy), powiedział mi to wprost. Wyjątkowo upokarzające przeżycie.

Wszystkie poprzednie próby kończyły się podobnie, ale wtedy nie zdołało mnie to powstrzymać. Tym razem jednak... jego słowa z jakiegoś powodu naprawdę mnie zaboląły. Nie były okrutne, lecz... ostateczne.

I wielkie polowanie na Liama skończyło się dokładnie wtedy, przynajmniej dla mnie. Ally wciąż ma nadzieję, nie mówiąc już o Kitty Sue, która zawsze chciała, żebym zakochała się w jednym z jej synów. Sama łączyła mnie z Lee. Pewnie jej zdaniem byliśmy siebie warci.

Miałam dość spotykania Lee w Boże Narodzenie, w Święto Dziękczynienia, Czwartego Lipca, we wszystkie urodziny, większość imprez rodzinnych czy grillów, w czasie oglądania u Hanka meczów i tak dalej. Niestety powodów do wspólnego widywania się jest dużo, choć zwykle kręci się też mnóstwo innych ludzi, więc mogłabym się wtopić w tłum.

Teraz jednak, w czasie tych okazji, gdy on jest na obiedzie u rodziców, a mnie też zapraszają (co ostatnio zdarza się coraz częściej, Kitty Sue jest chyba mocno zdesperowana i przestała ukrywać, że bawi się w swatkę), korzystam z dowolnego pretekstu (zwykle nieprawdziwego) i wychodzę tak szybko, jak się da. To wkurza Ally i Kitty Sue, ale przepraszam, to nie one rzuciły się na tego gościa ponad dziesięć lat, nie one dostawały kosza niezliczoną ilość razy i nie one musiały ciągle patrzeć na niego w czasie imprez. To mnie wykańczało, serio.

W ciągu kolejnych pięciu lat (licząc od naszej rozmowy) Lee z rozrabiaki stał się hardcorem, a po kolejnych pięciu – wręcz wyjątkowym hardcorem, i lepiej było z nim nie zadzierać. Może jestem trochę szalona, ale zawsze uważałam, żeby nie igrzać z ogniem i unikać oparzeń, za to Lee Nightingale przeszedł prosto od ogniska do wnętrza piekieł.

Żeby było jasne. Liam Nightingale nadal wygląda zabójczo, czego nie mogła zmienić nawet mała blizna pod lewym okiem, nadal ma świetne ciało i zajebiście mu w dzinsach, dresach, garniturze, we wszystkim zresztą. Nadal ma zniewalający uśmiech, chociaż nie olśniewa nim już tak często. I nadal lubi dziewczyny z fajnym tyłkiem, dużymi cyckami i długimi włosami (a ja nadal jestem dziewczyną w takim typie).

Ale oprócz tego jest niebezpieczny.

Nie potrafię tego wyjaśnić, ale taki właśnie jest.

Lata mijają, a ja wciąż chodzę na koncerty rockowe i bardzo głośno słucham muzyki. Moje długie kasztanowe włosy nieodmiennie spadają dziką burzą na plecy, nadal mam niezły tyłek i tak dalej. Można by powiedzieć, że moje ciało to zarazem dar i przekleństwo. Łatwo o nie zadbać, wystarczy pochłaniać dużo śmieciowego jedzenia dla zachowania krągłości, byle nie przesadzić, bo w końcu trzeba je dźwigać.

Ale na moich imprezach serwuje się teraz własnej roboty przystawki i miseczki z orzechami nerkowca, nikomu nie urywa się film i nikt nie rzyga na

tyłach domu. A ja stałam się właścicielką księgarni z używanymi książkami na Broadwayu (nie tym w Nowym Jorku, na tym drugim – w Denver, Colorado).

Odziedziczyłam tę księgarnię po babci.

Można by pomyśleć, że bycie księgarzem to cicha i spokojna profesja, że ktoś taki nosi okulary w rogowej oprawie, włosy zwija w koczek. W moim przypadku – nic dalszego od prawdy.

No cóż, moja babcia była diabolicą, wychowała na diabolicę swoją córkę, czyli moją mamę, a ta z kolei razem z tatą pieczołowicie nadzorowała dorastanie diablicy w trzecim pokoleniu, to znaczy mnie.

Moja księgarnia jest na południowym rogu Broadwayu i Bayard, w starej dzielnicy Baker. Ja mieszkam we wschodniej stronie bliźniaka, w zachodniej mieszka para gejów, kolejna dwójka na wschód ode mnie i jeszcze jedna z tyłu. Właśnie dlatego w Baker jest tak bezpiecznie: mieszkańcy to głównie pary homoseksualne, bezdzietne małżeństwa, hipisi i Meksykanie. Gdy wprowadziłam się tutaj ja, biała heteroseksualna singielka o wyglądzie fanki zespołów rockowych (którą jestem), wszyscy uznali, że to kierunek, w jakim zmierza dzielnica.

Księgarnia nazywa się Fortnum – a to dlatego, że babcia odwiedziła Fortnum&Mason[2] w Londynie na rok przed otwarciem własnego sklepu z książkami i uważała, że brzmi to bardzo wykwintnie.

Może i tak, ale serio, poza nazwą nie ma w niej nic wykwintnego.

Za czasów babci było to miejsce spotkań hipisów i w jakimś stopniu zachowało swój wyjątkowy charakter. Wpadali też harleyowcy, nie wiem dlaczego; a teraz przychodzi pełno lalusiów, japiszonów i bezdzietnych małżeństw, silących się na bycie trendy, a także skate'ów i gotów, bo dla nich to jest cool.

Mamy tu trochę regałów, każdy z innej parafii, zastawionych używanymi książkami, i stoły, na których piętrzą się stosy płyt winylowych. To jak królicza nora zorganizowanego chaosu, gdzie czasem można natrafić na miękkie krzesło. Ludzie zazwyczaj wchodzi, znajdują sobie jakąś książkę, siadają i czytają, a potem wychodzą, nie kupując jej – po to, żeby następnego dnia znowu tu zajrzeć, wziąć książkę i czytać dalej.

Razem z księgarnią odziedziczyłam dwóch pracowników babci, którzy – mówiąc dyplomatycznie – są równie ekscentryczni jak ona.

Jane – ekspert od romansów i nasz najlepszy sprzedawca. Dziewczyna ma

metr osiemdziesiąt, jest przeraźliwie chuda i przeraźliwie nieśmiała. Siedzi z nosem w książce w każdej chwili wolnej od przyjmowania książek od ludzi, którzy przychodzą nam je wcisnąć, i sprzedawania ich innym ludziom. Twierdzi, że napisała ponad czterdzieści opowiadań, ale nigdy nie odważyła się spróbować ich wydać. Nie ma nawet odwagi pokazać ich mnie, chociaż proszę ją o to bez przerwy.

Duke. To z kolei harleyowiec, nosi skórę i dzins, ma długą brodę i siwe włosy, przewiązane na czole bandanką. Ma szorstki głos, ciężkie życie i jest twardy jak krzemień, ale potrafi być mięciutki jak pianka, jeśli tylko cię lubi (a mnie na szczęście lubi). Pracował jako profesor literatury angielskiej w Stanford, zanim rzucił wszystko i wyjechał w góry. Ożenił się z Dolores, która kelneruje na pół etatu w knajpie The Little Bear w Evergreen, gdzie mieszkają w niedużym domu.

Babcia kochała tę księgarnię, uważając ją za własne centrum kultury. Nie była jakąś bizneswoman, ale lubiła obsługiwać swoją eklektyczną grupę przyjaciół. Dziadek dobrze zarabiał, a po śmierci została po nim przyzwoita emerytura, więc staruszka nie musiała się niczym martwić.

W Fortnum unosi się zapach staroci i stęchlizny i podobnie jak babcia kocham każdy centymetr tego miejsca.

Gdy nie siedziałam u taty na posterunku albo u Nightingale'ów, albo nie wychodziłam z Ally, zaszywałam się w księgarni z babcią, Dukiem, a później z Jane. To zawsze był jeden z moich domów; ci, którzy wychowywali się bez mamy, wiedzą, jak to jest.

Mimo że odziedziczyłam Fortnum, nie przestałam łązić w kowbojskich butach i lewisach z szerokim pasem z wielką srebrną klamrą, czyli w swoim stroju rozpoznawczym. Za to jeśli chodzi o bieliznę, zawsze miałam na sobie jedwab i koronki. Babcia mawiała, że można sobie być rockową dziewczyną w kowbojskich ciuchach, ale nawet taka babka musi mieć swój sekret, a najlepszym sekretem każdej laski jest seksowna bielizna.

Działam we frontowej części księgarni. Mamy tu kilka wygodnych kanap, foteli i stolików; zainwestowałam w ekspres do kawy i przejęłam swojego ulubionego baristę, Ambrose'a „Rosiego” Coltrane'a z sieciowej kafejki przy drodze.

Rosie jest bogiem kawy. Zwykłą waniliową latte robi tak, że człowiek dostaje orgazmu od samego zapachu. Potrafi być upierdliwy, jest takim kawowym

odludkiem (przychodzi, robi kawę, idzie do domu), lecz niezaprzeczalnie ma talent.

Wprowadzenie kawy do księgarni okazało się hitem. Gdy popłynęło espresso, książki zaczęły się lepiej sprzedawać; dzięki temu mogłam mieć nowe meble w salonie i szybko rosnącą kolekcję zajebistych pasów i kowbojek.

To wszystko przemknęło mi przed oczami.

Podobno cała masa rzeczy przelatuje człowiekowi przed oczami, gdy ktoś do niego strzela.

Patrzyłam na swoją komórkę, usiłując uspokoić rytm serca i jednocześnie wykombinować, do kogo zadzwonić.

Mogłam – i pewnie powinnam – zadzwonić do taty, Malcolma albo Hanka.

Uwzględniając wybór, jaki miałam, oraz sytuację, w jakiej się znalazłam, najlepszą opcją byłby Hank. Pewnie dostałby szału na wieść, że ktoś do mnie strzelał, i zapewne zgarnąłby Rosiego, ale przynajmniej nie zatłukłby go na miejscu za to, że naraził mnie na niebezpieczeństwo.

Hank to oaza spokoju. Właśnie dlatego był świetnym sportowcem, studentem i gliną.

Mój ojciec to mój ojciec, Malcolm uważał się za ojca numer dwa, więc pewnie obaj ostro by się nakręcili i zrobili dziką awanturę, która wystraszyłaby Rosiego.

A on był artystą.

I jako artysta miał delikatną naturę. Łatwo się denerwował; wystarczyło zamówić dwie kawy naraz, żeby przeszedł mikrozałamanie nerwowe. W sieciowej kawodajni bardzo się męczył, za to księgarnia okazała się niebem. Mógł w skupieniu tworzyć kawę, a nawet jeśli pojawiała się presja i stłoczyło się za dużo ludzi, któreś z nas: Jane, Duke albo ja, brało na siebie ten chaos, pozwalając Rosiemu działać.

Teraz Rosie zastrzegł: żadnych gliniarzy.

Wiedziałam dlaczego.

Dlatego, chociaż naprawdę bardzo chciałam zadzwonić do Hanka, nie wystukałam numeru.

Mogłam też skontaktować się z Lee. W końcu nie jest gliną, a ja miałam w komórce numery jego telefonów, Ally o to zadbała.

To nawet wydawał się niezły pomysł. Lee po liceum poszedł do wojska, służył w siłach specjalnych i robił tam rzeczy, które sprawiły, że z jego ciemnych oczu zniknął ten błysk starego dobrego kumpla, a pojawiło się coś chłodnego, poważnego, a nawet przerażającego. Po wojsku zdobył licencję prywatnego detektywa i otworzył biuro w LoDo (centrum Denver). Teoretycznie pracował teraz jako detektyw, a w praktyce nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę robi. Nie wiem, czy ktokolwiek w ogóle siedzi w jego biurze.

Mogłam zadzwonić i powiedzieć, że ktoś do mnie strzelał. To pewnie załatwiłoby sprawę. Wprawdzie przez ostatnie dziesięć lat rzadko się ze sobą kontaktowaliśmy, ale istniało coś takiego jak solidarność rodzinna, a on uważał mnie za swoją młodszą siostrę (ech).

Pewnie szybko znalazłby tamtych gości (kimkolwiek są) i zastrzelił. To znaczy najpierw by ich torturował, potem wpakowałby im kulkę w łeb. Posiadał niezwykle umiejętności; w każdym razie tak wynikało z tego, co tata i Malcolm mamrotali między sobą, i to nieraz.

To już nie byłoby tak jak wtedy, gdy miałam szesnaście lat i Brian Archer rozpowiadał, że robiłam mu loda (choć tak naprawdę tylko się całowaliśmy). Lee wtedy znalazł kolesia i złamał mu nos.

Tym razem byłoby znacznie gorzej.

Może jednak darować sobie telefon do Lee.

W takim układzie zostawała mi tylko Ally.

Allyson Nightingale, która uwielbia przygody.

Allyson Nightingale, która, jak nikt, potrafi trzymać język za zębami.

No i nie jest gliną.

Rozdział 2

Powinienem przełożyć cię przez kolano

Dwadzieścia minut później stałam w salonie w mieszkaniu Lee.

Wpadałam tu kilka razy, ale tylko przelotnie, na chwilę. Coś podrzucałam albo odbierałam i zawsze towarzyszyła mi Kitty Sue albo Ally.

I zawsze był tutaj Lee.

W tej chwili go nie było.

– To zły pomysł – poinformowałam Ally.

Obie jesteśmy tego samego wzrostu, czyli metr osiemdziesiąt, Ally waży dziesięć kilo mniej, nosi mniejszy rozmiar dżinsów – mniejszy tyłek, i rozmiar mniejsze staniki – mniejszy biust. Ma orzechowe oczy jak Hank i gęste ciemne włosy tak jak wszyscy Nightingale'owie. Chodzi z rozpuszczonymi tak jak ja.

Teraz miała na sobie dżinsową miniówkę z obstrzępionym brzegiem, jaskrawożółty podkoszulek z błyszczącym napisem *Sugar* przez całą pierś, na nogach klapki.

Obu nam stuknęła trzydziestka, Ally jest dwa tygodnie młodsza ode mnie. Pomyślałam właśnie, że jak skończymy osiemdziesiątkę, dalej będziemy nosić dżinsowe spódniczki mini i podkoszulki. I chociaż taka przyszłość wydawała się całkiem super, trochę mnie wystraszyła.

– Lee wyjechał – oznajmiła Ally. – Nieprędko wróci, a już na pewno nie dzisiaj w nocy. I uwierz mi, nikt nie będzie na tyle walnięty, żeby włamywać się do jego mieszkania.

Spojrzałam na Rosiego, zastanawiając się nad jej słowami.

Mój barista przechodził akurat etap artysty w kryzysie. Łypał dziko, wyglądał, jakby chciał stąd zwiać, i trochę działał mi na nerwy. Przez niego prawie mnie zastrzelili! Choć w sumie – nie jego wina. W końcu nie on do mnie

strzelał i nie on pyskował tamtym gościom.

Zawsze narobię sobie kłopotów ze swoją niewyparzoną gębą.

Ale to mój przyjaciel i chciałam zapewnić mu bezpieczeństwo, bo właśnie to się robi dla przyjaciół. Przyjaciele nie piją, żeby móc cię odwieźć do domu, jeśli ty pijesz. Lubią twojego chłopaka, gdy jesteście razem, i wieszają na nim psy, gdy już zerwiecie. I znajdują ci bezpieczną kryjówkę, gdy ktoś do ciebie strzela.

Ally miała rację, tylko samobójca mógłby się włamać do chaty Lee. Nawet ja byłam bliska palpacji serca, że odważyłam się wkroczyć do jego gawry; chyba ostro by się wkurzył, gdyby nas tu zastał.

Poza tym budynku pilnowała ochrona, a mieszkanie znajdowało się na czternastym piętrze, nawiasem mówiąc, z niezłym widokiem na Front Rage.

Ally patrzyła to na mnie, to na Rosiego.

– Ale w ogóle, co się stało?

– Nie mów jej! – krzyknął Rosie.

– Nie zamierzam! – odwrzasnęłam. Traciłam już do niego cierpliwość, ale czułam się rozgrzeszona. Człowiek ma prawo się zdenerwować, gdy ktoś do niego celuje ze spluwy. Nigdy w życiu nikt do mnie nie strzelał.

Ally uniosła brwi, posłałam jej spojrzenie, które mówiło „później”.

– Potrzebuję kofeiny – wyjęczał Rosie, człapiąc do miękkiej skórzanej kanapy. Stała przed wielkim płaskim telewizorem. Rosie padł na nią i potarł skronie palcami, usiłując odnaleźć swoją nirwanę bez kawy i dzbanka ze stali nierdzewnej ze spienionym mlekiem.

– Nie potrzebujesz kofeiny tylko valium – stwierdziłam.

– Mam valium – wtrąciła się Ally.

Miała dostęp chyba do wszystkich leków albo w swoim gabinecie, albo poprzez różne kontakty.

– Nie chcę valium. Chcę zabrać torbę od Duke’a i natychmiast wyjechać do San Salvador – oznajmił Rosie dramatycznym tonem, biorąc pilot od telewizora.

– Jest artystą, rozumiesz? – wyjaśniłam, odprowadzając Ally do drzwi.

– Parzy kawę – mruknęła.

Puściłam tę uwagę mimo uszu. Allyson nigdy nie potrafiła docenić wyborczego smaku kawy, zawsze wołała tequilę.

– Jesteś pewna, że Lee dziś nie wróci?

Wolałam, żeby mnie nie przyłapał w swoim mieszkaniu pod jego nieobecność. Nie po to z takim trudem unikałam go przez ostatnie dziesięć lat, żeby teraz zastał mnie w nocy tutaj w salonie, gdzie próbuję ukryć kogoś, kto ma na karku niemiłych typów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że mu się to nie spodoba.

– Siedzi w Waszyngtonie – odparła Ally. – Możesz spokojnie zająć jego łóżko. – Spojrzała na mnie z łobuzerskim uśmiechem.

Westchnęłam i oparłam się o ścianę.

– Może jednak do niego zadzwoń?

– Nie lubi, jak mu się przeszkadza na wyjeździe. W grę wchodzi tylko sprawy wyjątkowe.

– Ta chyba podpada pod tę kategorię? – wytknęłam. Niepotrzebnie zresztą, przecież pamiętała, w jakim byłam stanie, gdy dzwoniłam dwadzieścia minut temu i chaotycznie opowiadałam, że ktoś strzelał do mnie i teraz Rosie i ja potrzebujemy bezpiecznej kryjówki. Takie rzeczy nie dzieją się codziennie. W każdym razie mnie się nie zdarzały.

Ally spojrzała przez otwartą kuchnię na Rosiego, który włączył telewizor i oglądał Food Network.

– O jakiej torbie on gadał? – szepnęła jeszcze.

– Później ci wytłumaczę. Na razie skontaktuj się z Lee i uprzedź go, że tu jestem, tak na wszelki wypadek.

Spojrzała na mnie.

– Kiedyś oddałabyś życie za ten wypadek.

– Mówiłam ci już: to przeszłość.

Przyglądała mi się przez chwilę. Powtarzałam to Ally przez ostatnie dziesięć lat i nadal mi nie wierzyła, głupia uparta piczka.

– Dobra. Zadzwoń. Ale gdyby jednak szybko wrócił do domu, to pewnie wolałby zastać w swoim łóżku ciebie niż Rosiego.

– Będę spała w pokoju gościnnym.

– Dziewczyno... Tu nie ma czegoś takiego. Druga sypialnia jest zamknięta na cztery spusty i nikt się tam nie dostanie. Hank i ja nazywamy to centrum dowodzenia, ale tak naprawdę nie wiemy, co tam jest.

Spojrzałam na drzwi, dalej w przedpokoju; gdy się odwróciłam, Ally już się

ewakuowała.

– Później – rzuciła, i tyle.

Złapałam za drzwi, patrzyłam, jak idzie przez korytarz.

– Zadzwoń do niego! – krzyknęłam.

Pokazała mi znak pokoju i weszła do windy.

– Nie zadzwoni – poinformowałam pusty korytarz.

Ally miała rację.

Rozejrzałam się trochę. Dwoje drzwi stało otworem, jedno prowadziły do łazienki, drugie do sypialni Lee. Trzecie były zamknięte. Wyszłam nawet na balkon biegnący dookoła, żeby sprawdzić, czy uda mi się zajrzeć do tajemniczego wnętrza, ale za drzwiami tarasowymi w drugiej sypialni wisiały kotary, szczelnie zasunięte.

Po całej wieczności oglądania Food Networku znalazłam Rosiemu koszulkę i koc i powlokłam się, mało przytomna i nadal niespokojna (z powodu wcześniejszych wypadków i aktualnego noclegu) do wielkiego łóżka Lee.

Zastanawiałam się, czy nie spać na podłodze, ale już padałam z nóg. Lee nie powinien wrócić... Był wiecznie zajęty i rzadko w Denver, chyba że z okazji czyichś urodzin, jakichś świąt albo wtedy, gdy Broncos grali u siebie. Kitty Sue narzekała na to tak często, że gdybym za każdym razem dostawała dziesięć centów, zbierałabym już niezłą sumkę.

Ściągnęłam spodnie i buty, zdjęłam skarpetki, stanik. Znalazłam podkoszulek bez rękawów w pierwszej szufladzie; chwała Bogu, nie chciałam grzebać w jego rzeczach, to mogłoby mu się nie spodobać, a musiałam pożyczyć coś do spania – moja koszulka z Guns'n'Roses miała strasy i pozaciągałaby pościel. Nie mówiąc o tym, że należała do moich ulubionych i nie chciałam jej zniszczyć.

Zawsze śpię bardzo mocno, a do tego dosłownie rzucam się na łóżku. Kręcę się tak, że większość moich chłopaków wołała spać na kanapie, zwykle na krótko przed tym jak zdecydowali się rozstać. A żeby w czasie tego wiercenia nie zamotać się, zwykle sypiam w czymś niekrępującym ruchów, to znaczy przeważnie w majtkach i niczym więcej. Jednak spanie tu prawie nago uznałam za przesadę.

Usiłowałam nie roztkliwiać się nad tym, że oto leżę w łóżku Lee. W końcu to

tylko łóżko. Lima Nightingale'a. Za ledwie trochę nim pachnie: skórą, tytoniem i przyprawami. Wielkie rzeczy.

Ten zapach, ta pościel sprawiły, że poczułam się niemal jak wtedy, gdy dotknęłam piersi Joe Perry'ego. Miałam wielką chęć zrobić coś niegrzecznego, na szczęście zasnęłam.

Następne, co pamiętam, to że ktoś złapał mnie za kostkę i pociągnął w dół materaca, jak w jakimś dreszczowcu.

Uderzyłam kolanami o ramę łóżka, obróciłam się na plecy i krzyknęłam. Zobaczyłam nad sobą wielki cień i otworzyłam usta, żeby wrzasnąć z całych sił. Ci, którzy do nas strzelali, znaleźli nas. To koniec.

Za chwilę umrę i nie zobaczę, jak Pearl Jam gra na żywo.

Zanim zdążyłam wydobyć z siebie głos, czarna postać puściła moją kostkę, dwiema rękami złapała mnie za biodra i wyciągnęła z łóżka. Plecy wygięły mi się boleśnie, głowa odchyliła... i przełknęłam swój krzyk razem z zaskoczeniem.

Intruz postawił mnie na nogi. Gdy boleśnie wykręcił mi ręce za plecy, uderzyłam o jego twarde ciało.

– Mów – zażądał głęboki głos.

Wtedy wyraźnie poczułam zapach tytoniu, skóry i przypraw.

Lee.

Jasna cholera.

Albo miałam wyjątkowego pecha, albo Allyson mnie wrobiła.

Może nawet razem z Rosiem. Tak jej zależało, żeby zostać moją szwagierką, że w końcu straciła cierpliwość i wynajęła kogoś, żeby do mnie strzelał.

– Dwie sekundy – ostrzegł.

– Lee, to ja. Indy.

Ręce na moich nadgarstkach rozluźniły chwyt, lecz nie puściły.

– Co się tu, kurwa, dzieje?

Wzięłam głęboki wdech, moje piersi mocniej przycisnęły się do jego torsu.

Nigdy w życiu nie byłam tak blisko, nie przywierałam do niego całym ciałem. Nawet w czasach, gdy mu się narzucałam, nie zbliżyłam się aż tak bardzo.

Wyjaśniłam szybko:

– Mam problem i potrzebowałam bezpiecznego miejsca na nocleg. Ally mnie tu wpuściła.

Potrzebował chwili, by to przyswoić.

– Kim jest gość na kanapie?

– Rosie, mój barista.

– Twój kto?

– Parzy kawę u mnie w księgarni.

– Szlag.

Puścił mnie, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Odruchowo poszłam za nim.

Weszłam do salonu, włączyłam światło. Rosie leżał na środku pokoju twarzą do podłogi, ręce i nogi miał za plecami owinięte taśmą, usta zaklejone.

– Jezus, Lee! Co mu zrobiłeś? – Podbiegłam i uklękłam przy Rosiem, który rozglądał się dziko, przerażony, próbując się uwolnić.

Niewiarygodne – przespałam całą tę akcję.

Rany, Lee jest naprawdę dobry.

Teraz przykucnął, wyjął scyzoryk i zaczął przecinać taśmę.

– Wróciłem do domu, zastałem jakiegoś kolesia na kanapie i kogoś w moim łóżku. Jak myślisz, co mogłem zrobić? – odparł i zerwał taśmę z ust mistrza robienia kawy.

– Au! – krzyknął barista.

Usiadłam i podwinęłam pod siebie nogi, gapiąc się na Lee.

Zrobił dokładnie to, co myślałam, że mógłby zrobić.

– Ally cię nie uprzedziła – stwierdziłam.

– Nie uprzedziła.

– Zabiję ją – warknęłam.

– O rajusiu, ja pierdolę – wykrztusił Rosie.

Lee stał z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Wszystko w porządku? – spytałam Rosiego, a on posłał mi spojrzenie, które mówiło: chyba zwariowałaś, przecież ten psychol właśnie skrepił mnie taśmą!

Można by pomyśleć, że nie da się tego zawrzeć w jednym spojrzeniu, ale serio, jemu się udało.

– Co tu się dzieje? – powtórzył Lee, patrząc na nas.

Wtedy zajarzyłam, że mam na sobie skąpe koronkowe majteczki w kolorze morelowym, które odsłaniają mi tyłek, oraz pożyczony podkoszulek. Niekoniecznie chciałam w takim stroju prowadzić rozmowę.

– Pójdę się ubrać. – Wstałam.

Pokręcił głową.

– Najpierw odpowiesz.

– Muszę coś na siebie włożyć!

– Jedyne, co musisz w tej chwili, to wyjaśnić mi, co tu jest, do cholery, grane – odparował Lee. Jego ton nie pozostawiał miejsca na dyskusję, na twarzy malowała się złość.

Tak czy inaczej posłałam mu miażdżące spojrzenie, żeby sobie nie myślał.

– O rajusiu, ja pierdolę – powtarzał Rosie, odklejając z nadgarstków resztki taśmy.

Wzięłam głęboki wdech. Należało czym prędzej wyjaśnić tę sytuację już choćby po to, żebym mogła wciągnąć na tyłek levisy. Zwykle bez dzinsów czułam się nago, ale tym razem dosłownie byłam naga.

– No dobra, sprawa wygląda tak. Mój przyjaciel i ja musieliśmy gdzieś spędzić noc, jutro się wyniesiemy.

– Dlaczego?

– Nie mów mu! – krzyknął spanikowany Rosie.

– Albo mówisz, albo stąd spadasz – odparł Lee.

Spojrzałam najpierw na Lee, potem na Rosiego.

Znałam swojego baristę od pięciu lat. Przychodził do mnie na imprezy. Byliśmy razem na paru koncertach. Ogólnie spoko gość, trochę humorzasty i tajemniczy, ale wcale nie tak wyczilowany, jak można by się spodziewać po kimś, kto jara tyle trawy.

Nie miałam pojęcia, że coś kręci na boku. Wiedziałam, że parzy wspaniałą kawę, że uważa Jima Morrisona za boga, który zstąpił na ziemię, i że pali trawkę.

Wbiłam wzrok w Lee.

– Musisz przyrzec, że zachowasz to dla siebie.

– Nie! – Rosie zerwał się na równe nogi.

– Nic nie muszę przyrzekać – odparł Lee.

Zerknęłam jeszcze raz na obydwu.

Lee robił trudności i nic dziwnego, skoro władowaliśmy się mu na chatę bez pozwolenia.

Rosie też się stawiał, ale u niego to norma.

A ja najbardziej na świecie chciałam się ubrać.

– Można mu ufać – powiedziałam do Rosiego.

Ten łypał teraz na Lee wzrokiem oddalonym całe lata świetlne od łagodności. Najpierw został ostrzelany, potem spętany jak gęś na Boże Narodzenie, co ja spokojnie przespałam.

Ale miał kłopoty. I musiał zdecydować, komu zaufać.

W końcu podjął decyzję; miałam nadzieję, że choć odrobinę zbliży mnie ona do dzinsów.

– Musi obiecać, że nikomu nie powie. Jutro będzie po wszystkim – oznajmił.

Lee nadal stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi. I wciąż wyglądał na niezadowolonego. Bardzo niezadowolonego.

– Możemy pogadać? – Skinęłam na niego ręką. Wyszedł za mną do przedpokoju.

Dobra, po kolei. Skoro sytuacja nadal nie jest stabilna i pójście po ubranie, czyli zostawienie Lee i Rosiego samych to zła opcja, postanowiłam spróbować innej taktyki, może ona pozwoli mi zasłonić pośladki.

– Masz jakiś szlafrok, żeby mi pożyczyć?

– Nie.

– Nie masz szlafroka czy masz, tylko nie pożyczysz?

Patrzył na mnie przez chwilę, w końcu wycedził:

– Indy, gadaj wreszcie, w czym rzecz.

Tracił cierpliwość. Czyli na razie nie ma co marzyć o ubraniu. Tłumaczyłam sobie, że to w końcu Lee, który widział mnie w bikini u siebie na podwórku (i u mnie, i na rodzinnym wyjeździe do Meksyku, i na tym do San Diego). Można powiedzieć, że w tej chwili byłam znacznie bardziej ubrana niż w bikini.

Przełamalam się.

– Dobra. Chodzi o to, że Rosie kręci małe lody na boku. Ktoś mu za coś zapłacił i to coś jest dość cenne, rozumiesz, nawet bardzo. To coś zostało skradzione komuś innemu i ten ktoś chce to z powrotem. Rosie dał to Duke'owi na przechowanie, a Duke wyjechał na kilka dni, wróci jutro rano. Więc zanim Rosie zabierze to coś od Duke'a, musimy się ukryć.

– A skąd to „my” w tej sytuacji?

– No wiesz, tak jakby... byłam z Rosiem, gdy po to przyszli.

– I?

– No, mówiłam ci, on tego nie ma. Na razie.

– I?

– Wygarnęłam im trochę. W jego obronie.

W zwężonych oczach Lee pojawił się gniew.

– I?

– I wtedy zaczęli do nas strzelać, uciekliśmy. Potem zadzwoniłam do Ally.

Nie padło ani jedno słowo, ale na jego policzku zagrały mięśnie.

Zły znak.

Pewnie mu się nie podobało, że wciągnęłam jego siostrę w to gówno.

Pewnie równie mocno nie podobało mu się, że teraz wciągam jego.

– I co to jest? – spytał w końcu.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– No to wystawię kolesia za drzwi.

Pokręciłam głową.

– Bardzo mu zależy, żeby nikt nie wiedział.

– Osobiście odeskortuję go przed budynek.

Zerknęłam do salonu, Rosie wyglądał zza rogu, podsłuchując.

Westchnęłam ciężko.

– Wobec tego chyba wyjdziemy, wynajmiemy pokój w hotelu.

Mój barista pewnie ucieszył się z takiego obrotu sprawy.

W końcu musieliśmy przeczekać już tylko kilka godzin, a Denver to duże miasto, znalezienie nas powinno trwać trochę dłużej.

– Nie powiedziałem, że wyrzucę ciebie. Mówiłem o nim.

Teraz ja się wkurzyłam.

– Słucham?

Zero reakcji.

– Nie rozumiem?

Cisza.

– I co zamierzasz ze mną zrobić? – nie ustępowałam.

– Jeśli powiesz mi, co to jest... nic.

– A jeśli nie?

– Jeszcze nie wiem.

– Lee!

Ale on już stracił cierpliwość. Złapał mnie za rękę, dźgnął palcem w stronę Rosiego i rzucił mu:

– Jeśli się ruszysz, pożałujesz. – Powiedział to takim tonem, że było jasne: Rosie pozostanie w tej pozycji aż do chwili, gdy Lee tutaj wróci. Potem wepchnął mnie do sypialni, zapalił światło i zamknął drzwi.

– Au, to bolało! – Wyszarpnęłam rękę z uścisku.

– Powiniennem przełożyć cię przez kolano – warknął.

Szczęka mi opadła.

– Co takiego?

– Ten gość ma torbę diamentów. Nie wierzę, że dałaś się wciągnąć w tę aferę.

Krzyknęłam cicho.

– Skąd wiesz?

Nie odpowiedział.

– Skąd o tym wiesz? – podniosłam głos.

– Idź do łóżka, a ja pójdę pogadać z twoim kolegą. Jutro zajmę się diamentami.

– Nie mów mi, co mam robić! – Teraz darłam się już naprawdę głośno.

No serio, za kogo on się uważa?

Podszedł do mnie, staliśmy twarzą w twarz.

– Ignorujesz mnie od dziesięciu lat, a teraz nagle zjawiasz się z czymś takim.

To nie jest zwykła sytuacja, Indy. To wyjątkowo popieprzona sytuacja. Zrobisz dokładnie to, co ci każe, będziesz trzymać język za zębami i modlić się, żeby gość, który chce dostać diamenty, okazał się na tyle cierpliwy, żeby czekać do rana.

– Nie ignorowałam cię! – Teraz już krzyczałam, no i...kłamałam.

Lee uznał chyba, że stoi za daleko, bo zbliżył się jeszcze bardziej, teraz czułam ciepło jego ciała.

Zniewalające.

– Gówny prawda – wysyczał.

No dobra, może i próbowałam unikać go całe lata, ale tak naprawdę nie bardzo mi wychodziło. Do licha, serio nie pamiętał tych wszystkich prezentów z okazji Gwiazdki i Dnia Dziękczynienia?

– Dałam ci prezent na święta!

– To się nie liczy.

Aż mnie zatkało.

– Ej! Chcesz powiedzieć, że nie podobał ci się zestaw płyt Billie Holiday?

– Powiedziałam, że się nie liczy.

– Myślałam, że lubisz bluesa!

Zbliżył się już prawie na centymetr, zły i groźny.

– Indy, to nie jest sytuacja, z której wykręcisz się takimi gadkami.

No dobra, może kiedyś, dawno temu próbowałam takich dziewczyńskich sztuczek... okej, zdarzało się wiele razy. Zazwyczaj z Lee, Hankiem i Malcolmem. Tata zwykle nie dawał się na to nabrać.

– W porządku! – Ruszyłam do łóżka, głównie po to, żeby się od Lee odsunąć. Z bliska był zbyt obezwładniający. Tuż przy materacu odwróciłam się. – Co masz zamiar zrobić?

– Mam zamiar ogarnąć twojego kumpla, zadzwonić w kilka miejsc, żeby załagodzić sytuację, a jutro podwieźć go, żeby odebrał diamenty. Potem będę eskortował dostawę.

– No i super – rzuciłam opryskliwie, czując, że tracę wiatr w żaglach. – W takim razie dziękuję.

Już miał się odwrócić, ale przystanął, odchylił głowę, spojrzał w sufit, po chwili odwrócił się do mnie i podszedł. Znów był tak blisko, że czułam bijący od

niego żar.

– Zwykle w takich przypadkach biorę pięćset dolarów za godzinę.

– W jakich?

– Pośredniczenia w nielegalnej transakcji – odparł.

Patrzyłam na niego rozszerzonymi oczami.

Fiu, fiu.

Nic dziwnego, że mógł sobie pozwolić na apartament z takim widokiem i biuro w centrum Denver. Nie mówiąc już o zaręczonym wozie i motocyklu.

– Tak? Czemu aż tyle?

Stał tak blisko, że widziałam tylko jego.

– Ponieważ jeśli dzisiaj zadzwonię, wciągnie mnie to w sam środek całego bajzlu i jeśli jutro nie będę miał tych diamentów, zaczną strzelać do mnie. A tego bardzo nie lubię.

Pokiwałam głową, zgadzając się z nim w całej rozciągłości.

– Ja też, to strasznie słabe.

Nie ruszył się, zrozumiałam, że czeka na inną odpowiedź.

– Rosie chyba nie ma takiej forsy – zauważyłam. – Nie mógłbyś dać jakiejś, no wiesz, zniżki dla rodziny?

Pokręcił głową.

– Nie jesteśmy rodziną.

– W sensie, od ciebie dla mnie – wyjaśniłam.

– My też nie jesteśmy rodziną.

– Jak najbardziej jesteśmy! Dziesięć lat temu postawiłeś sprawę jasno, że traktujesz mnie jak młodszą siostrę – wypomniałam.

To go zastopowało.

Wyglądał tak, jakby spłynęło na niego zrozumienie. Zobaczyłam błysk w jego oczach, nie miałam pojęcia, o co chodzi, ale najwyraźniej coś do niego dotarło (nie wiem co), twarz mu złagodniała i przestał być zły. Teraz wydawał się... zadowolony?

– To było wtedy, a teraz jest teraz. – Nawet mówił spokojniej i mniej ostro.

– No weź, to wyjdzie kilkanaście godzin, czyli tysiące dolarów! Rosie nie ma tyle hajsu, nawet ze swojego pobocznego biznesu.

– To nie on mi zapłaci.

Pokręciłam głową.

– Ja też nie mam tyle kasy – zaznaczyłam dobitnie.

– Nie mówię o gotówce.

Żołądek mi się ścisnął, serce zabiło nierówno.

– To o czym?

– Jutro porozmawiamy – zbył mnie.

– Porozmawiamy teraz! – warknęłam.

– Kładź się i śpij – polecił.

– Przestań mną dyrygować!

Podszedł bliżej. Wstrzymałam oddech. Przysunął się, teraz nie miałam już ruchu, byłam przyparta do materaca. A nie mówiłam, że to groźny sukinsyn?

– Idziesz do łóżka albo cię do niego przywiążę – zagroził.

Na jego twarz wrócił tamten wkurzony wyraz, po błysku w oczach zrozumiałam, że to nie są czcze pogroźki.

– No dobra – mruknęłam.

Ale ze mnie mięczak.

Rozdział 3

Wybieram bramkę numer dwa

Broniłam się przed zaśnięciem, chciałam słyszeć, co się będzie działo w salonie, tyle że zmęczenie wzięło górę; cała ta nerwówka mnie wykończyła. Nie wiem, co tam robili, ale trwało to długo, a ja lubię spać.

Gdy się obudziłam, wciąż było ciemno, moje plecy opierały się o coś twardego i ciepłego, a coś ciężkiego i ciepłego leżało na mojej talii.

Lee.

Liam Nightingale, ze mną w łóżku.

O ja pitolę.

W Denver było mnóstwo kobiet, które zapłaciłyby żywą gotówką, żeby znaleźć się na moim miejscu. Co ja mówię, w całym kraju były takie kobiety.

Ale nie ja.

Nie ma opcji.

To już przeszłość.

Jako dzieciaki często spaliśmy razem: Lee, Ally, Hank i ja. Nasi rodzice urządzali wieczorne przyjęcia i pakowali nas do wielkiego łóżka Kitty Sue i Malcolma, jedno przy drugim, według wieku, czyli ja łądowałam pomiędzy Lee i Ally. Jak trochę podrośliśmy, spaliśmy oddzielnie.

Zdarzało się też, że tata i Malcolm zabierali nas pod namiot w góry; wtedy zawsze leżałam w śpiworze między Lee i Ally. Ponieważ byłam już nastolatką i coraz mocniej pragnęłam, żeby Lee wyznał mi wreszcie swoją dozgonną miłość, taki nocleg stawał się torturą. Nie mogłam się przecież na niego rzucić, gdy Hank, tata i Malcolm byli obok (Ally nawet by się nie obudziła).

A potem Allyson i ja miałyśmy po dziewiętnaście lat, zapalałyśmy miłością do rock'n'rolla i odkryłyśmy kowbojów. Lee zabrał nas wtedy do Cheyenne na rodeo. Wzięliśmy w motelu pokój z dużym łóżkiem i z konieczności spaliśmy

w nim wszyscy razem – ja znów w środku. To znaczy dopóty, dopóki Lee nie przeniósł się na podłogę, pewnie po to, żeby zrobić mi więcej miejsca. Ciekawe, że moje wiercenie się nigdy nie budziło Ally, ona potrafiłaby przespać trzęsienie ziemi.

Krótko mówiąc: to nie tak, że nigdy w życiu nie spałam obok Lee. Po prostu nie byłam w łóżku z nim sama, tylko ja, nie jako dorosła osoba, no i nigdy nie działo się to w jego łóżku.

Poruszyłam się; podłoga na pewno jest tutaj bardzo wygodna.

Ciężka ręka na talii przycisnęła mnie mocniej.

– Nie kręć się – wymruczał Lee schrypniętym głosem.

Żołądek znów mi się ścisnął; Lee poczuł to jak nic, skoro trzymał dłoń dokładnie w tym miejscu.

Cholera.

– Co robisz? – spytałam.

– Aż dotąd spałem – wymamrotał.

– Miałam na myśli: w łóżku – sprecyzowałam.

– To moje łóżko.

W sumie racja.

Dobra, no to inaczej.

– Przeniosę się na podłogę – oznajmiłam.

– Nie.

Zawahałam się na chwilę i spróbowałam planu c.

– To będę spała w nogach.

– Nic z tego.

O co mu, kurde, chodzi?

– Czemu?

– Bo już tak spałaś, dostałem dwa razy w pierś i trzy razy w pizszczel.

O, kurczę. Brzmi znajomo.

– Sorry, śpię dość aktywnie – wyjaśniłam.

– Co ty powiesz?

Zastanowiłam się, jaki mam wybór.

Była podłoga, ale ta opcja chyba znalazła się poza dyskusją. Jeszcze centrum dowodzenia, ale przecież się nie włamię, poza tym na pewno nie ma tam sofy ani łóżka, wyobraźnia podsuwała mi wizje superkomputerów z bezpośrednią łącznością z Pentagonem.

Mój rozespany mózg zabuksował, rejestrując, że gdzieś tam w środku jest mi ciepło, dobrze i przytulnie.

Rosie był szczupły i niewysoki, chyba o pół głowy niższy ode mnie. Był również aseksualny, nigdy nie miał dziewczyny, treść jego życia stanowiły trzy rzeczy: kawa, zioło i rock'n'roll.

Za to Lee nie był aseksualny. Ani trochę. Mógł mnie postrzegać jako młodszą siostrę i spać sobie spokojnie obok, i jego sutki (ani nic innego) nie twardniały, ale ja tak nie potrafiłam.

Kanapa w salonie, duża i miękka, wydawała się idealna, żeby bardzo wygodnie oglądać *Monday Night Football*.

Może Rosie i ja byśmy się zmieścili?

– To pójdę położyć się obok Rosiego.

Odpowiedź padła natychmiast:

– Już poszłaś.

Oho, senna chropawość zniknęła z jego głosu. Teraz dźwięczała w nim stanowczość, zero miejsca na kłótnie.

No to dupa.

Nie chciałam denerwować Lee Hardcora Nightingale'a i byłam zbyt zmęczona, żeby drałować do Rosiego. Poza tym było mi zbyt wygodnie, żeby w ogóle się ruszyć.

Więc spróbowałam zasnąć.

Co okazało się wcale nie takie trudne, jak myślałam.

Obudziłam się kilka godzin później, w innej pozycji. Lee leżał na plecach, a ja rozwaliłam się szeroko, trochę na nim, trochę obok.

Rany boskie.

Zerknęłam na zegarek. Siedem po szóstej.

Lubię imprezować, ale nigdy nie potrafiłam długo spać. Nawet jeśli zwałałam się na łóżko o czwartej rano, budziłam się przed siódmą.

Z tego powodu przez cała lata doskonaliłam sztukę łapania drzemki w ciągu dnia, przed kolejną dziką jazdą.

A coś czułam, że dziś będzie się działo.

Nie było szansy, żebym jeszcze zasnęła ani żebym mogła sobie leżeć na Lee.

Chciałam wstać, ale obejmująca mnie ręka zeszywniała, palce mocniej przycisnęły moje biodro.

– Ej, co z tobą? – wymruczał.

– Już rano.

Otworzył jedno oko, spojrzął na zegarek i zamknął powiekę.

– Jeszcze nie – wychrypiał.

– Zrobię kawę – oznajmiłam.

Ten powód, żebym wstała, chyba zyskał aprobatę.

– Masz zapasową szczoteczkę do zębów? – zainteresowałam się.

– Może.

Głupie pytanie. Nawet jeśli Lee nie był już podrywaczem z liceum, nie znaczyło to jeszcze, że żyje w celibacie. Pewnie ma całe pudło zapasowych szczoteczek.

– A dwie?

Znów otworzył oko i spojrzął na mnie.

O rany, o rany.

Wyskoczyłam z łóżka, zgarnęłam swoje ubrania i pobiegłam do łazienki. Znalazłam zapasową szczoteczkę w opakowaniu, zaczęłam starannie myć zęby. Obiecałam sobie, że umrę z oryginalnym kompletem, i zamierzałam dotrzymać słowa.

Uchyliłam drzwi od łazienki.

– Masz nitkę dentystyczną? – zawołałam.

– Na litość boską...

Najwyraźniej aż tak nie przejmował się swoimi zębami.

Ale to nic, wyglądało na to, że poświęcał dużo czasu innym partiom swojego ciała.

Wciągnęłam dzinsy i włożyłam stanik pod jego podkoszulek (postanowiłam go zakosić na pamiątkę, jeśli się uda), potem poszłam do kuchni, bardzo cicho, żeby nie obudzić Rosiego. To jego wielki dzień i musi być wypoczęty.

Salon, jadalnia i kuchnia łączyły się, tworząc literę L. Mieszkanie było narożne, otaczał je długi balkon. Dwuskrzydłowe drzwi jadalni znajdowały się naprzeciwko kuchni; dwuskrzydłowe drzwi salonu, będącego przedłużeniem jadalni, dwuskrzydłowe drzwi w obu sypialniach. Te okazałe, przestronne pomieszczenia, lokalizacja i widok na góry musiały sporo kosztować.

Kuchnię, prawdziwe dzieło sztuki, od salonu oddzielała ściana (łazienki i drugiej sypialni), ale tak czy inaczej wolałam nie hałasować.

U siebie zwykle przygotowuję kawę, zanim pójdę spać, więc kiedy rano wygrzebię się z łóżka i zleżę na dół po schodach, pozostaje już tylko wcisnąć guzik.

Zwykle w mojej kawiarence stoi kubek, więc mogę po prostu go szybko napełnić, potem podstawić dzbanek i spokojnie pić kawę, czekając, aż się zrobi reszta.

Zwykle nie zaczynam dnia przed drugim kubkiem.

Kofeina to mój narkotyk.

Tutaj zajęło mi chwilę, zanim znalazłam wszystkie akcesoria do parzenia. Miałam szczęście, Lee najwyraźniej cenił dobrą kawę, miał duże opakowanie javy.

Chciałam sobie zrobić mocne espresso. Było jasne, że Lee nie wstanie tak szybko, z kanapy również nie dobiegały żadne odgłosy, więc mogłam mieć chwilę tylko dla siebie.

Skupiona na strużce życiodajnej radości, która napełniała kubek, wzdrygnęłam się zaskoczona, gdy ktoś podszedł do mnie od tyłu, położył dłonie na blacie po obu moich stronach i poczułam za sobą ciepło ciała.

To nie były dłonie Rosiego.

Zerknęłam przez ramię.

Tuż za mną stał Lee.

Ciemne włosy seksownie zmierzwiłone, oczy łagodne. Musiał mieć goły tors, bo dostrzegłam nagie ramiona.

Nie odważyłam się spojrzeć niżej.

Po dziesięciu latach treningu byłam w stanie (prawie) wyrzucić z głowy jego stylową fryzurę i zignorować (z trudem) widok nagiej piersi. Ale już nie zwracać uwagi na jego bliskość było piekielnie ciężko.

– Co robisz? – spytałam.

Zajrzał mi przez ramię.

– Parzysz kawę dla wszystkich, czy tylko dla siebie?

Są takie chwile, gdy szczerść jest najlepszym rozwiązaniem, choć w moim życiu nie zdarzają się one zbyt często. Gdy pojawia się jednak niebezpieczeństwo, że mogę zostać pozbawiona pierwszej kawy, natomiast brutalna szczerść może mi ją zapewnić, nie waham się ani chwili.

– Na razie tylko dla siebie.

Odwrociłam się do ekspresu. Uznałam, że chyba nie chcę znać odpowiedzi na swoje niedawne pytanie. Coś się działo, a ja miałam obniżony poziom kofeiny we krwi, nie mówiąc o braku snu. Nie byłam w stanie wybiegać myślą poza kolejny kwadrans, a już na pewno nie miałam siły rozkminiać, w co Lee właśnie sobie pogrywa. Pewnie się mocno wkurzył, że władowałam mu się z problemami w życie, i w ramach rewanżu postanowił się nade mną poznęcać. Rozumiem to. Być może zachowałabym się tak samo.

Ani drgnęłam, dopóki kubek się nie napełnił, wtedy ruchem profesjonalisty zastąpiłam go dzbankiem. Już miałam wziąć pierwszy łyk, zastanawiając się, czemu Lee wciąż tak tkwi, gdy właśnie się poruszył.

Jego jedna ręka zniknęła z blatu. Sekundy później poczułam, jak zgarnia włosy z mojego lewego ramienia i przekłada na prawe.

Drygnęłam, czując tak intymną pieśczętę, moje ciało zareagowało. Nie zamierzałam tego tłumić. I tak by się nie udało.

Tymczasem Lee oparł brodę tam, gdzie przed chwilą były włosy, przełożył rękę na mój brzuch i przycisnął do siebie.

Zastygłam.

– Musimy porozmawiać – szepnął mi do ucha.

Stałam tak, zeszywniała, z uniesionym kubkiem. Nadal nie ogarniałam, czemu to robi. Byłam w szoku.

Powiedziałam jedyną rzecz, jaką byłam w stanie z siebie wykrztusić:

– Potrzebne mi mleko.

Nie odsuwając się ode mnie, zabrał lewą rękę, usłyszałam skrzypnięcie otwieranej lodówki, potem chlupotanie płynu w plastikowym pojemniku, a potem lodówka się zamknęła. Lee postawił mleko przede mną, jego ręka wróciła na blat, przygważdżając mnie do miejsca.

Sprytne.

Znowu poczułam skurcz w żołądku.

– Dziękuję – odparłam uprzejmie, mrugając i zastanawiając się, czy nadal śnię.

Wlałam sobie mleka do kawy. Starłam się opanować drżenie ciała. Usiłowałam zachować spokój, ale byłam w totalnym szoku. Nigdy wcześniej Lee tak się nie zachowywał.

NIGDY.

Upiłam łyk kawy, żeby rozbudzić mózg.

– Zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego przyciskasz mnie do blatu? – Miałam nadzieję, że w moim głosie brzmi dyplomatyczna uprzejmość, a nie histeria „jezucosietudzieje alenumaromatko”. To było trudne. Zawsze obok Lee musiałam być czujna i przytomna, żeby się nie zagapić i nie wyznać mu dozgonnej miłości. Znowu napiłam się kawy.

A teraz byłam obok niego, i to bardzo, bardzo blisko. Robiło się groźnie.

Czekając, aż kawa zacznie działać, upiłam kolejny łyk i sparzyłam się w język.

– Auć!

Wtedy Lee odwrócił mnie do siebie i przysunął się jeszcze bardziej.

Nie wiem, jak mu się to udało, nie było zbyt wiele miejsca na manewry, zwłaszcza że trzymałam przed sobą kubek. Oparł dłonie po obu stronach mojego ciała.

– Dlaczego mnie unikałaś? – spytał.

Cholera.

Bezpośrednie trafienie. Nie owijał w bawełnę.

Jego oczy i twarz pozostały łagodne, chociaż był równie czujny jak ja. Łagodność brała się z czegoś innego.

O cholera, cholera. Jasna cholera.

Co tu się do w ogóle dzieje?

– Co?

– Słyszałaś.

To z kolei jeden z tych przypadków, gdy szczerłość nie jest najlepszą opcją.

– Nie unikałam cię. – Znów napiłam się kawy. Uznałam, że powinnam dorzucić jeszcze ze dwie miarki do filtra.

– Kłamiesz. Gdy ostatnio jedliśmy razem kolację, zerwałaś się w samym środku popisowej fajity mamy i powiedziałaś, że musisz nakarmić kota.

Hm.

– No i co?

– Nie masz kota.

– Miałam, pod opieką – skłamałam.

Uśmiechnął się.

Uśmiechnął się tym swoim Uśmiechem.

Szlag, szlag, szlag.

Rany, wciąż umiał się uśmiechać.

– Dobra – rzucił. – Kończy mi się cierpliwość. Masz dwa wyjścia: albo powiesz mi, o co chodziło przez ostatnie dziesięć lat, albo ja ci powiem, jak będziesz spłacać tę wtopę z Rosiem.

– Jest trzecia opcja?

Pokręcił głową.

Zerknęłam w bok. Przygryzając dolną wargę, zastanawiałam się, jaki mam wybór. Jednocześnie ze wszystkich sił próbowałam wymazać widok twardej umięśnionej piersi i sześciopaku na jego brzuchu, który zobaczyłam, gdy w chwili słabości pozwoliłam sobie spojrzeć w dół.

A, i miał na sobie wyblakłe džinsy, z rozpiętym górnym guzikiem.

O, mamó.

No dobra, Indy, skup się. Jak wygląda sytuacja?

Po pierwsze, nigdy, przenigdy, nawet za milion lat nie powiem Lee Nightingale'owi, że zakochałam się w nim, gdy miałam pięć lat. Usiadł wtedy obok mnie po pogrzebie mamy i wziął mnie za rękę. Nie przyznam się, że wbił mi nóż prosto w serce, gdy oświadczył, że nie jest mną zainteresowany, bo kumpluje się z jego siostrą. A już na pewno, ale to na pewno nie wyjawię mu, że

coś się w nim zmieniło i to coś mnie przeraża.

Po drugie, cokolwiek by mówił, nadal pozostawał sobą i serio, miał wtedy rację: w jakimś sensie stanowiliśmy rodzinę. Jako dzieci spędzaliśmy razem wakacje i chodziliśmy z moim tatą na mecze Broncos. Latem robiliśmy grilla prawie każdej niedzieli, nawet teraz. Kurczę, jest połowa czerwca i robiłam grilla u siebie dwa tygodnie temu, i Lee tam był! A zatem: nawet jeśli się zmienił, to wciąż był Lee. Pewnie potrzebuje taniej pokojówki. Kogoś, kto mu ogarnie chatę, zrobi pranie. Załatwi wymianę oleju w samochodzie.

Mogłam w to wejść.

Cała ta akcja ze wspólnym spaniem, odgarnianiem mi włosów i szeptaniem do ucha miała mnie po prostu onieśmielić. Pewnie Ally też nie pozwoliłby mi spać na podłodze czy na kanapie z Rosiem.

– Wybieram bramkę numer dwa – zdecydowałam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i w jego oczach pojawiło się coś, od czego moje dolne partie przeszył dreszcz.

O rany. Najwyraźniej podjęłam złą decyzję.

– Miałem nadzieję, że tak powiesz.

Drgnęłam.

– Może powinnam to przemyśleć.

– Za późno.

Zmarszczyłam nos i spojrzałam na niego.

– A nie możesz być po prostu miłym facetem?

– Nigdy nie byłem miłym facetem.

No w sumie prawda.

– Byłeś – odparowałam jednak. – Przyjeżdżałeś odebrać z imprezy mnie i Ally, żebyśmy nie wpakowały się w kłopoty.

– Nie chcę niszczyć ci złudzeń, ale robiłem to z przyczyn rozrywkowych, po pijaku byłyście megazabawne. Kiedyś śpiewałaś *My favorite things* całą drogę do domu, zupełnie mieszając słowa.

Sapnęłam.

– A wtedy, jak miałam szlaban i wyszłam przez okno, żeby pójść na imprezę do Darren Pilcher, i utknęłam między drzewem a domem, przyszedłeś, żeby mnie ściągnąć.

– Była okazja, żeby zajrzeć ci pod spódnicę.

Zatkało mnie z oburzenia. W końcu ciężko westchnęłam.

Tylko ja mogłam łązić po drzewach w spódnicy.

Nie kłóciłam się dłużej. To, że Lee jest spoko gościem, można było powiedzieć tylko w tym okresie, gdy służył w wojsku, a że wtedy go ignorowałam, zaś większość jego misji była utajniona, nie miałam już żadnych innych przykładów.

Zanim się poddałam, znowu napiłam się kawy.

– Dobra, to co muszę zrobić, żeby spłacić Rosiego? Uprzedzam, nie zamierzam sprzątać twojej łazienki.

– Jesteś pewna, że to jedyne zastrzeżenie?

Przez chwilę zastanawiałam się, co jeszcze mogłabym dodać. Potem oznajmił:

– Czas minął.

Pogrywał sobie ze mną i zaczęło mnie to już wkurzać.

– Na litość boską, mów! – warknęłam.

Ledwie zdążyłam skończyć, zareagował. Bardzo szybko, szybciej niż jakikolwiek inny człowiek, zwłaszcza rano.

Wyjął mi kubek z garści, położył ręce na moim tyłku, posadził mnie na blacie i przysunął się, obejmując teraz moje plecy. Nie miałam wyjścia, mogłam albo rozsunąć nogi, albo wbić mu kolana w żebra. Jeszcze mocniej przyciągnął mnie do siebie, moje dolne partie znalazły się tuż przy jego kroczu. Nachylił się i mnie pocałował.

Pocałował. Po raz pierwszy w życiu.

O cholera.

O jasna, ciężka cholera.

Całował wspaniale.

Jeden pocałunek zmiotł wspomnienie o dotknięciu Joe Perry’ego, a to coś znaczy.

Gdy podniósł głowę, powiedziałam (bardzo głośno, zapominając o Rosiem):

– Co to ma być?!

Próbowałam ochłonąć i dojść do siebie, na razie mogłam jedynie poruszać

ustami, reszta mojego ciała była jak z waty.

– Zaliczka na poczet przyszlých świadczeń – odpowiedział.

Zmarszczyłam czoło, a on przyglądał mi się, jakby oceniał reakcję.

– To mój podkoszulek? – Wyjął rękę z za moich pleców i chciał dotknąć materiału niebezpiecznie blisko mojej piersi.

Dostał po łapie. Czułam, jak twardnieją mi sutki, i dziękowałam Bogu za usztywniony stanik.

– Tak, twój. To o co chodzi z tą zaliczką?

Przesunął dłonią obok mojej piersi, co przyniosło ulgę, ale tylko chwilową, bo zaraz wsunął rękę za moje plecy i znów przyciągnął mnie do siebie.

Nie zachowywał się jak starszy brat.

W co on gra?

I wtedy się dowiedziałam.

– Jeśli ja załatwię sprawę Rosiego, ty pójdziesz ze mną do łóżka.

Gapiałam się na niego osłupiała, z otwartymi ustami.

Zrozumiałam, w czym rzecz, mimo to uściślił:

– Ale inaczej niż tej nocy. Oboje położymy się nago i będziemy uprawiać seks.

Chyba nie zmieniłam wyrazu twarzy, może tylko szczęka opadła mi jeszcze bardziej.

– I spodziewam się po tobie współdziałania – mówił dalej.

O ja pierdziele.

– Aktywnego współdziałania.

Dobry Boże, który jesteś w niebie...

W końcu udało mi się wykrztusić:

– To żart?

Pokręcił głową, nadal mnie przeszywając wzrokiem.

Spuściłam oczy, nie wytrzymałam tego spojrzenia.

– Chyba potrzebuję więcej kawy – rzuciłam w przestrzeń.

Wsunął dłoń w moje włosy, pociągnął delikatnie, odchylając mi głowę do tyłu.

A ja wpadłam na pomysł, który mógł mnie z tego wyciągnąć.

– Przecież i tak jesteś w to zamieszany, mówiłeś wczoraj w nocy, że podzwonisz...

Pewnie machnąłby ręką, gdyby nie trzymał jej w moich włosach.

– Znam zasady. Mogę się wycofać jeszcze teraz i Rosie zostanie z tym wszystkim sam.

W sumie chyba nie byłoby to takie złe, biorąc pod uwagę, czego chciał w zmian...

– No i w porzo, Rosie sobie poradzi, ja mu pomogę.

– Och, musiałyby poradzić sobie sam, bo ty się nawet nie zbliżysz do tych gości. Nie istniejesz dla nich i nie chcę, żeby to się zmieniło.

– W twoim planie jest pewna luka, Lee. Widzieli mnie zeszłej nocy – przypomniałam.

– Detal. Wyjaśniłem przez telefon, że jesteś moja i dlatego w tym siedzę. Teraz się już nie zbliżą.

Jasny gwint! Powiedział o tym obcym ludziom, choć nawet się jeszcze nie zgodziłam!

– Nie jestem twoja! – warknęłam.

– Dziś w nocy będziesz.

Kurwa, kurwa, kurwa mać.

Co w niego wstąpiło?

Czy znalazłam się w świecie równoległym?

– Nie możesz tego zrobić! Nie możemy! – rzuciłam zapalczynie.

– Czemu?

Był spokojny i wyluzowany, jedną rękę nadal trzymał w moich włosach, drugą mnie obejmował, trzymając dłoń na talii z taką swobodą, jakbyśmy tak robili każdego ranka przez całe życie.

A ja wciskałam dłonie w blat, gotowa wystrzelić przez sufit.

Lee nie był po prostu rozrabiaką, hardcorem czy supertwardzielem. Był totalnym świrem.

Myślałam gorączkowo i w końcu coś przyszło mi do głowy. Mało oryginalny ruch, ale zawsze jakiś.

– Jesteś dla mnie jak starszy brat – ogłuszyłam go.

– I dlatego próbowałaś wsadzić mi język do gardła, jak miałaś piętnaście lat?

Szlag.

– I szesnaście?

Niech go.

– I siedemnaście? – nie ustępowałam.

– Dobra, dobra, już. Jezu! – przerwałam tę paradę wspomnień. – Mówiłeś, że traktujesz mnie jak młodszą siostrę!

– Kłamałam.

Otworzyłam szeroko oczy. A to nowina.

– Że co?

– Siedziałem wtedy w jednej sprawie – wyjaśnił. – Nie wiedziałem, jak się to skończy i czy wrócę do domu w jednym kawałku. A ty miałaś dwadzieścia lat i wieszalaś się na mnie.

Ożesz ty w mordę jeża.

– Wcale się nie wieszalałam.

Uśmiechnął się bezczelnie.

– Wieszalaś.

Dobra, w porządku, ale nie zamierzałam się do tego przyznawać.

Patrzyłam na niego zmrużonymi oczami, a on mówił dalej:

– Nie chciałem zobowiązań. Nie chciałem myśleć o niczym prócz tego, co miałem zrobić. Nie chciałem się martwić o dziewczynę, którą zostawiam w domu, o to, że pęknie jej serce, jeśli coś mi się stanie.

Okej, jest w tym jakiś sens.

Ale tego też nie zamierzałam przyznawać.

– A gdy wróciłem, ty już się wycofałaś. Miałaś faceta. Uznałem, że się ze mnie wyleczyłaś. – Nonszalancko wzruszył ramionami, jakby mu to wisiało.

Tym mnie wkurzył.

I to mocno.

Ale jeszcze nie skończył.

– Potem ten koleś gdzieś wyparował, a ty nadal robiłaś przede mną uniki.

Faceci pojawili się i znikali. Ostatecznie uznałem, że skoro przedtem nie miałas problemu, żeby mnie podrywać, to przyjdiesz, jeśli się zdecydujesz.

Podniosłam wzrok, teraz moje oczy ciskały gromy. Arogancki sukinsyn!

Wytrzymał to spojrzenie.

– Ale jestem trochę zmęczony czekaniem, a już na pewno defiladą kolejnych gości. – Jego głos zabrzmiał ostrzej i groźniej. – Na szczęście sprezentowałaś mi tę wspaniałą możliwość.

O, prędzej piekło zamarznie... Nie będzie tak, że całe życie trzymał mnie na dystans, a teraz nagle przyciągnie, bo tak mu się spodobało.

– Ignorowanie cię to wciąż spoko opcja – warknęłam.

Kiedy mówił, cofnął się lekko, ale teraz znów znalazł się blisko mnie.

– Nic z tego. – Pokręcił głową. – Żadnego czekania, żadnych gierek, podchodów i żadnych więcej facetów. Ty tego chcesz, ja tego chcę, i dlatego tak się stanie.

– Wcale nie chcę – palnęłam. Skłamałam w obronie własnej. Lee był aroganckim fiutem. Był niebezpieczny. Planował mnie zmusić, żebym się z nim przespała, i wykorzystywał do tego trudną sytuację mojego kumpla. Był jak złe wiadomości. Ani mi się śniło być częścią życia Lee Nightingale'a.

– Pieprzenie – zaśmiał się.

Chyba myślał, że to zabawne.

Wpadłam w szal.

– Ty zarozumiąły...

A on znowu mnie pocałował i cień wspomnienia o Joe Perrym rozplynął się w niebycie.

Oddałam pocałunek.

No kurczę, to przecież w końcu Lee.

Jego język wsunął się do moich ust, mój do jego. Rozchyliłam nogi, a on przysunął się jeszcze bliżej. Obejmował mnie mocno, moje piersi przywarły do jego torsu. Zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się do niego.

A on nagle przerwał pocałunek, odwrócił głowę, całe ciało miał teraz sztywne, napięte, czujne.

Z przedpokoju do kuchni weszły Kitty Sue i Ally.

Kitty Sue złapała się za serce, a do jej szeroko otwartych oczu – przysięgam: napłynęły łzy.

Ally parsknęła śmiechem.

Spojrzałam w sufit.

Niech to szlag.

Rozdział 4

Mam cię znów pocałować?

Zareagowałam od razu.

– Zabiję cię – obiecałam Ally.

Śmiejąc się, weszła dalej i postawiła na podłodze torbę z moimi ubraniami.

Wrobiła mnie. Wiedziała, że Lee wróci. Stara wariatka.

– Co się tutaj dzieje? – spytała Kitty Sue, którą wbiło w podłogę. Patrzyła na nas oczami okrągłymi jak spodki, ale nie było w nich dezaprobaty na widok naszego obściskiwania się. Raczej błyszczała w nich nadzieja.

Lee miał kolor oczu swojej mamy, wszystkie dzieci Kitty Sue odziedziczyły po niej wzrost i szczupłą sylwetkę. Zawsze pełna energii, należała do tych matek, które pracują na pełen etat, co wieczór robią kolację, mają puszkę domowych ciasteczek i każdego roku szyją swoim dzieciom kostiumy na Halloween.

Lee odsunął się i usiadł na blacie obok mnie. Złączyłam nogi.

– Komuś kawy? – spytał kurtuazyjnie.

Zsunęłam się na podłogę. Co się tu wyprawia? Chyba utknęłam w jakiejś szczelinie między światami... Musiałam znaleźć drogę powrotną, i to jak najszybciej.

Teraz, gdy już mnie nie całował, miałam dwie opcje: zwać stąd lub go udusić.

Lee pochylił się, złapał mnie za pasek dżinsów i przyciągnął między swoje nogi.

– Co się tu dzieje? – spytała jeszcze raz Kitty Sue, chłonąc tę sielankową poranną scenkę.

To wszystko było zbyt domowe, zbyt dziwne i toczyło się zbyt szybko.

Cholera.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale Lee mnie uprzedził.

– Indy i ja jesteśmy razem.

Całe moje ciało zastygło w bezruchu i zostałam tak z otwartymi ustami.

– O mój Boże! Mój Boże! – powtarzała Kitty Sue.

– Zajebioza! – wrzasnęła Ally.

Odwróciłam się i zmiażdżyłam Lee wzrokiem.

– Mówiłeś: jedna noc!

Patrzył mi prosto w oczy.

– Nic takiego nie powiedziałem. Czekaliśmy bardzo długo, więc jedna noc nie wystarczy. – Zastanowił się i dodał: – Ale jeśli chcesz, można spróbować.

Moje piersi nabrzmiały na samą myśl o upchnięciu całych lat seksu w jedną noc. Stanowczo musiałam zapanować nad sobą. To mogło źle wyglądać, gdybym przywalała mu przy jego matce.

Uduszenie też nie wchodziło w rachubę.

Kitty Sue była w swoim niebie, dlatego przegapiła i moje słowa o jednej nocy, i odpowiedź Lee.

– Nie mogę się doczekać, aż powiem twojemu ojcu! – zwróciła się do mnie. – I twojemu – powiedziała do Lee.

– Na razie jeszcze tego nie róbmy, dobrze? – odparłam spanikowana.

– No tak, nie należy się ekscytować. Wszystko dzieje się szybko... Ale nie aż tak szybko, jeśli wiesz, o czym mówię – kontynuowała Kitty Sue.

Szybko? To nie „szybko”. To prędkość nadświatlna!

Kitty Sue zapatrzyła się w przestrzeń, śniąc na jawie, i chyba wszystkim udzielił się jej nastrój. Ona wybierała właśnie kolor przewodni ślubu, rozważała wzór na zastawie stołowej, robiła na drutach buciki dla dziecka i planowała wizytę na grobie mojej mamy, żeby uszczęśliwić ją nowinami.

Cholera.

Odwróciłam się do Lee.

– Dupek – rzuciłam bezgłośnie, tylko poruszając wargami.

Nie przejął się tym zupełnie, zafascynowany patrzeniem na moje usta.

– Masz, tu są ubrania na zmianę i różne takie – oznajmiła Ally, sięgając między nas po dzbanek z kawą. – Ale chyba powinnam przynieść więcej.

Posłałam jej mordercze spojrzenie, ale była równie dobra w unikaniu mojego wzroku jak Lee. A nawet lepsza, miała dłuższą praktykę.

– Też bym się napił. Indy już sobie zrobiła – stwierdził Lee.

– Normalka – odparła Ally, nalewając kawę do trzech kubków.

Zachowywali się tak, jakby robili to od zawsze, jakby to był całkiem zwyczajny dzień. Nie, to musiała być inna rzeczywistość, bo przecież wszyscy naraz nie ześwirowali.

– Słuchajcie! – krzyknęłam, żeby zwrócić ich uwagę. – To nie jest tak!

Ally spojrzała na mnie.

Kitty Sue powróciła ze świata marzeń.

Twarde uda Lee napięły się, objął mnie ręką za szyję, wsunął brodę w zagłębienie nad moim ramieniem i szepnął mi do ucha:

– Nie psuj jej tego.

– A jak jest? – spytała jego matka.

Wbił palce w moje ramię, czułam napięte mięśnie jego ręki na swojej szyi. Jeszcze raz spojrzałam kobiecie w oczy.

Niech to piorun trzaśnie.

– Nie chcemy się spieszyć... – bąknęłam, bo co innego mogłam powiedzieć.

Poranne wiadomości: Twój syn usiłuje wymusić na mnie seks! To nie zabrzmiałoby dobrze.

Odetchnęła z ulgą, posłała nam ciepły uśmiech i posłodziła kawę.

Ally wyszła do salonu.

Lee odsunął podbródkiem moje włosy i delikatnie pocałował to miejsce, gdzie ramię łączy się z szyją.

Chyba chciał mi w ten sposób podziękować.

Bardzo miłe.

– Słuchajcie, a gdzie Rosie? – spytała Ally.

Zamarłam, Lee również. Na śmierć o nim zapomnieliśmy.

– Kurwa mać – rzucił Lee, odsunął mnie, zeskoczył z blatu i wpadł do salonu.

Mogłam sobie popatrzeć na jego umięśnione plecy i tyłek w džinsach. Zrobiło mi się miękko w kolanach.

– Liamie Nightingale, zachowuj się! – upomniła go matka.

Poszłam za Lee, ale on już wracał do kuchni.

Spojrzałam na koc i poduszkę na kanapie.

Rosiego nie było.

– Do diabła! – krzyknął Lee z innego miejsca mieszkania.

Pobiegłam za nim.

Druga sypialnia nadal była zamknięta, drzwi od łazienki otwarte, w środku nikogo. Weszłam do pokoju Lee, wychodził ze swojej łazienki.

– Co za kutas – warknął.

– Wyrażaj się! – odezwała się z kuchni Kitty Sue, najwyraźniej obdarzona superczułym słuchem.

Lee przeklinał zawsze, odkąd pamiętam.

Podszedł do komody, wysunął szufladę. Wyciągnął granatową bluzkę z długim rękawem, która pięknie przylegała do torsu i umięśnionych ramion, wziął skarpetki. Patrzyłam, jak siada na łóżku, zakłada je, a potem bierze buty motocyklowe, ze ściętymi czubami i srebrnymi sprzączkami z boku.

Bardzo hardcorowe.

Potrząsnęłam głową, żeby uwolnić się od widoku butów i skupić na Rosiem. Czemu wyszedł, co teraz robi, dokąd poszedł i co planuje w tym swoim przejaranym mózgu?

Lee wstał z łóżka, a mnie coś przyszło do głowy.

I uśmiechnęłam się po raz pierwszy tego poranka.

– To chyba psuje twoje plany wymuszenia na mnie seksu?

Pośpieszyłam się z tym swoim „i co ty na to, cwaniaku?”. Był na tyle blisko, że objął mnie za szyję i przyciągnął do siebie, bardzo mocno. Pociągnął za włosy, odchylając mi głowę.

A potem mnie pocałował.

Namiętnie, głęboko, z języczkiem.

Moje stopy wbiły się w gruby dywan.

Gdy Lee odsunął się ode mnie, oznajmił:

– Mam plany wobec ciebie. Nie wychodź stąd.

Skinęłam głową. I tak prysnę.

Przyjrzał mi się bacznie.

– Indy, jeśli opuścisz to mieszkanie, znajdę cię, pamiętaj.

– Jeju, jeszcze się nawet nie przespaliśmy, a ty już mi nie ufasz.

– Znam cię od zawsze, poza tym za ścianą kręci się moja siostra, a we dwie jesteście mieszanką wybuchową.

– Nieprawda! – oburzyłam się.

– A kto kupił lewe bilety na koncert Gartha Brooksa od Carmine’a Alfonzo?

Carmine Alfonzo, nazywany wujkiem Carmine. Znałam go od siódmego roku życia, często jeździł z ojcem radiowozem.

– Był w przebraniu! – broniłam się.

– Tak, miał czapkę z daszkiem.

– Dobra, ale on kibicuje Cubsom, a miał czapkę Soxów. Dziwne, że mu się czupryna nie zapaliła.

Oczy Lee uśmiechnęły się, w kącikach pojawiły się zmarszczki. Puścił moje włosy.

– Nie skończyliśmy jeszcze – zaznaczył.

– Skończyliśmy.

Zmarszczki wokół oczu zniknęły, spoważniał.

– To dotyczy ciebie i mnie.

Nie wiedziałam dokładnie, co znaczy „to”, skoro oznajmił już swojej matce i siostrze, że jesteśmy razem. Domyślałam się jednak, że znaczna część „tego” zakłada nagość, pościel, ruch i mój aktywny udział w tej akcji... nie zamierzałam się w to ładować.

– O, na pewno.

– Porozmawiamy o tym później.

– O niczym nie będziemy rozmawiać.

Zmrużył oczy.

– Mam cię znów pocałować?

Cofnęłam się szybko i patrzyłam, jak mój duży palec u nogi rysuje wzory na dywanie.

– Nie – mruknęłam.

- Jezu, powinienem zbadać sobie głowę.
- Spojrzałam na niego ostro.
- I co to miało znaczyć? – spytałam groźnie.
- Nic. Bądź tu, jak wrócę.
- Jasne.
- Niedoczekanie.

Ally Nightingale nie zdecydowała się jeszcze na karierę. Obecnie pracowała w sto jedenastym miejscu, teraz jako barmanka. Zrobiła licencjat z nauk politycznych, była technikiem radiologiem (niezła jazda, a ona to ogarnęła, całe dwa miesiące obsługiwała nawet rezonans magnetyczny w Szwedzkim Centrum Medycznym; gdy odeszła, Malcolm prawie wpadł w szal), była też certyfikowaną stylistką paznokci.

Miała piękny manicure, jednak szybko się okazało, że siedzenie w fotelu cały dzień, polerowanie i formowanie plastikowych glutów w kształt paznokci nie idzie w parze z jej nadmiarem energii.

Szczęśliwie praca barmanki dawała jej dużo luzu w ciągu dnia, a gdy potrzebowała więcej gotówki (co zdarzało się często), dorabiała sobie w mojej w księgarni.

Zanim przyszedł tu z Kitty Sue, zajrzała do mojego domu i wybrała mi ciuchy. Gdybym to ja szykowała sobie strój odpowiedni do szukania Rosiego po nocy spędzonej w łóżku Lee, pewnie dorzuciłabym dzinsy. No ale większość moich kreacji przewidywała dzinsy, chyba że miałam wstęp za kulisy.

Ally wybrała mi dzinsową miniówkę, sięgającą dziesięć centymetrów nad kolana (miniówki Ally kończyły się pięć centymetrów poniżej tyłka), podkoszulkę z Rolling Stonesami (nie należałam do rzeszy ich fanek, ale T-shirt był super), szeroki czerwony pas z wielką srebrną klamrą we wzory i czerwone kowbojskie buty.

Gdy Lee i Kitty Sue wyszli, wtajemniczyłam Ally w sytuację z Rosiem i mój plan odnalezienia baristy. Ally (zero zaskoczeń) od razu zgłosiła się na ochotnika, a ja (też zero zaskoczeń) ją przyjąłam.

Wzięłam prysznic i ubrałam się, w tym czasie Ally próbowała, bez efektu, dodzwonić się do Duke'a.

Poszliśmy do księgarni. Duke'a i Rosiego nie było, Jane siedziała sama w stanie bliskim paniki: musiała obsłużyć ekspres, co oznaczało interakcję z ludźmi, a w tym nie szło jej najlepiej. Potrafiła znaleźć książkom właściwe miejsce, świetnie sprzątała, odkurzała, wprowadzała nowe pozycje do komputera, ale kontakt z klientem nie był jej mocną stroną.

Ally, Jane i ja działałyśmy ramię w ramię, dopóki nie rozładowałyśmy porannego tłoku. Stali klienci byli zawiedzeni nieobecnością Rosiego, na szczęście robiłyśmy przy nim kawę na tyle długo, że potrafiłyśmy stworzyć niezłą imitację. No, ale nie smakowała tak samo.

Potem Ally wybrała się do domu Rosiego, na wypadek gdyby wrócił do siebie. To było niebezpieczne, Lee mógł użyć swoich sekretnych sposobów i poznać już jego adres, a wołałabym, żebyśmy tam na niego nie wpadły. Zwłaszcza teraz, kiedy ja szukałam Rosiego i diamentów, on nie znał moich planów, a ja nie zamierzałam go wtajemniczać. Ponieważ ruch w księgarni był aż do lunchu i nie mogłam zostawić Jane samej, Ally pojechała beze mnie.

Zadzwoniła komórka. Tata.

– Cześć, tatku – rzuciłam.

– Co to za rewelacje, że jesteś z Lee?

Kurde. Kitty Sue!

– No tak się powoli przymierzamy.

– Przymierzajcie się bardzo powoli – wycedził tata. – Przecież to dziwkarz! Czemu nie wybrałaś Hanka? Porządny chłop, dobry gliniarz i ma pracę, w której stoi obiema nogami na ziemi po właściwej stronie prawa.

O rany.

– Nie zrozum mnie źle – rozkręcał się ojciec. – Lee umie o siebie zadbać, nikt mu nie podskoczy, ja to szanuję, ale do licha... z moją córką?

Nie odzywałam się. Skoro już się odpalił jak rakietka, nie było sensu się wtrącać.

– Kitty Sue jest w siódmym niebie – ciągnął. – Razem z twoją matką zawarły pakt krwi, dziewczynskie bzdury, przekłuły kciuki agrafkami i obiecały sobie, że ich dzieci się poženią, będą miały dzieci i w ten sposób zostaną rodziną.

O, brzmi znajomo.

Od wyrzutów tata płynnie przeszedł do namowy:

– Hank miałby dobrą emeryturę...

– Tato, przecież ze mną dostałby kota. Nie wytrzymałibyśmy dłużej niż jeden dzień.

– Niech to lichy.

Wiedział, że to prawda. I najprawdopodobniej już wyczerpały mu się argumenty.

Chyba Lee nie mógł liczyć na jego głos.

Pomyślałam sobie, że Liam Nightingale będzie musiał ostudzić zapał swojej mamy. W końcu to on nas w to wciągnął, więc teraz niech kombinuje.

Zadzwoiłam do dwóch przyjaciół Rosiego, których miałam zapisanych jako kontakty na wypadek wypadku; myślałam, że może jest u nich albo że go widzieli. Jeden nie odbierał telefonu, drugiego zastałam w domu, ale wkurzył się, bo go obudziłam; burknął niechętnie, że Rosie nie kontaktował się z nim od kilku dni.

Zadzwoiłam do Duke'a jeszcze dwa razy, z tym samym skutkiem. Nie miał automatycznej sekretarki, więc nie mogłam się nagrać. Serio, powinien wejść wreszcie w dwudziesty pierwszy wiek; chyba kupię mu taki telefon na Gwiazdkę.

A potem drzwi otworzyły się i weszła Marianne Meyer.

Marianne mieszkała obok Nightingale'ów w Washington Park. Dorastałyśmy razem, była młodsza od Lee i starsza ode mnie i Ally. Przyjaźniłyśmy się. Nosiła gorset ortopedyczny w gimnazjum i aparat ortodontyczny w liceum; wyszła za dupka, rozwiodła się i wróciła do rodziców rok temu. Rozwód dał jej w kość, a mieszkanie z rodzicami w wieku trzydziestu jeden lat dołożyło swoje. Miała niecałe metr sześćdziesiąt osiem i była lekko puszysta. Po rozwodzie nie mogła się pozbierać, a smutki zajadała ciasteczkami oreo. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu, brała popołudniowe dyżury, a w czasie wolnym oddawała się swojemu nowemu hobby... szukaniu domu.

Teraz podbiegła, rozplómięta, do lady z ekspresem.

– Słyszałam, że jesteś nareszcie z Lee Nightingale'em!

Ja pierdzielę.

Marianne była wtajemniczona w moją odwieczną miłość i nawet kiedyś zwerbowała ją do kilku akcji. Pewnie teraz myślała, że nie posiadam się ze szczęścia i potrzebuję kogoś do wybrania sukni ślubnej.

– Przymierzamy się do tego.

– Słuchaj, a czy wy... no... robiliście to już? – Jej oczy zapłonęły na samą myśl o robieniu „tego” z legendarnym Liamem Nightingale’em.

– Nie.

– To na co czekasz? – prawie krzyknęła. Gdyby przechyliła się przez ladę, złapała za koszulkę i potrząsnęła mną, nie zdziwiłabym się.

Musiałam użyć mokki z syropem czekoladowym i bitą śmietaną, żeby oderwać ją od tematu.

Wymogła na mnie obietnicę, że zadzwonię do niej od razu po „tym” i opowiem jej wszystko ze szczegółami (już lecę). Kiedy wreszcie poszła sobie, zadzwoniłam do Hanka.

Myślałam, że może Rosie zrobił coś głupiego, na przykład zgarnął torbę z diamentami i uciekł do San Salvador. Jak twierdził, wisiał pięćdziesiąt dolców za trawkę prima sort, którą, jak dotąd nie wiedziałam, hodował sobie w piwnicy, a tu gość dał mu diamenty warte gazylion dolców.

To było mocno podejrzanе, a Rosie okazał się idiotą, bo wszedł w interes jak w masło.

Z drugiej strony, co miał zrobić, stając oko w oko z taką fortuną? Odmówić?

Nie dziwiłam się nawet, że chciał jak najszybciej spieniężyć kamyki i wybyć z miasta. Tylko nie wybierałabym San Salvador.

Jeśli jednak rzeczywiście się wyniósł, a Lee się nie mylił, to mój barista wylądował już w San Salvador, a ja albo Lee, albo oboje, staliśmy się celem. Kurde, nie powinnam pyskować tym gościom... Zgadzałam się z Lee w całej rozciągłości: nie lubimy, jak się do nas strzela. Skoro do niego strzelali trylion razy i tego nie polubił, ja też nie mam żadnych szans.

To by znaczyło również, że jestem dłużniczką Lee, bo naraziłam go na niebezpieczeństwo. Mogłam i sama zginąć, i w dodatku do końca życia nie wykręcić się od seksu z Lee.

Poza tym, nikt nie zastąpi Rosiego przy ekspresie. Miał talent od Boga, serio. Był Picassem kawy.

Gdy Hank odebrał, jego pierwsze słowa brzmiały:

– Słyszałem, że w końcu jesteś z Lee?

Niech ich szlag.

Kitty Sue – najszybsza telefonistka na Zachodzie.

Coś wreszcie trzeba z tym zrobić.

– Nie do końca – odparłam.

– Mhm, podobno powoli się przymierzacie.

– Coś w tym rodzaju. – Bardzo powoli. Ślimak z przepukliną działałby szybciej. – Słuchaj, mogę z tobą o czymś pogadać?

– Dawaj.

– A przestałbyś na pięć minut być gliną?

Cisza.

Nie lubił, jak zadawałam mu to pytanie, a robiłam to często przez wiele lat.

– Jasny gwint. Chyba nie kradłyście znowu cukierków w Walgreenie?

– Wtedy też nie kradłyśmy! Po prostu chciałyśmy trochę kupić i nie wiedziałyśmy, ile nam się zmieści w kieszeniach, więc włożyłyśmy, żeby sprawdzić.

– Słyszałaś, że mają tam torebki?

– Jasne, plastikowe badziewie, które zaśmieca krajobraz i niszczy środowisko.

Czy coś w tym stylu.

– O rany, politycznie poprawna Indy, Boże miej nas w swojej opiece.

– Mądrała – rzuciłam z uśmiechem.

– O czym chcesz gadać?

Odetchnęłam.

– Co trzeba zrobić, żeby znaleźć kogoś, kto zaginął?

Hank spowaźniał; nie mogłam go zobaczyć, ale wiedziałam, że tak było.

– Kto to jest?

– Nie znasz. – No dobra, znał, ale tylko kupował u niego kawę, gdy zaglądał do księgarni.

– Dawno zaginął?

Policzyłam w myślach.

– Z dziesięć godzin temu.

– Nic z tego, Indy, to jeszcze nie podpada pod zaginięcie.

– A jeśli ja wiem, że zaginął?

– Kto to?

– Mój pracownik, poważny gość. – To oczywiście kłamstwo, o Rosiem można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest poważny. Nigdy jednak nie przegapiał okazji, by robić kawę; pracował siedem dni w tygodniu i nie narzekał.

– Nie zjawił się dzisiaj w robocie – mówiłam dalej. – Nazywa się Ambrose Coltrane. – Nie chciałam używać ksywki, może Lee już dzwonił do Hanka?

– Ten sam Ambrose Coltrane, którego szuka Lee?

Słucham?!

– Przecież Lee wiedział tylko, że mówią na tego gościa Rosie – warknęłam.

Hank rzucił po chwili:

– Mój brat ma swoje sposoby.

Wrr.

Wszyscy zawsze to powtarzali. Lee ma swoje sposoby, żeby wyrywać kolejne laski. Ma swoje sposoby, żeby bez kasy dostać części do samochodu. Ma sposoby, żeby gdziekolwiek znaleźć wolne miejsce parkingowe. Miał sposoby, żeby uwolnić się od szlabanu najpóźniej godzinę po tym, jak został uziemiony, podczas gdy my z Ally musiałyśmy odpękać cały tydzień czy miesiąc, czy ile tam wymagało nasze przestępstwo.

Hank nie wyczuł mojej frustracji.

– Ma swoją bazę danych, zdążył sporo ogarnąć – kontynuował. – Dzwonił dwie godziny temu i prosił, żebym dał mu znać, jak ten Coltrane wypłynie. Robi to dla ciebie?

Przerwa na moją odpowiedź. Cisza.

– Co się dzieje? – Hank przestał być rzeczowy, teraz przybrał surowy ton starszego brata. – Czemu ty i Lee szukacie tego samego kolesia?

Zasada numer jeden w kodeksie Indii Savage: „Kiedy masz wątpliwości lub wyczuwasz kłopoty, kłam”.

– Nie wiem. Słuchaj, Hank, a możesz zadzwonić najpierw do mnie, jeśli dowiesz się czegoś o Rosiem? A potem zapomnisz o tym na godzinę, dwie lub dwadzieścia i dopiero wtedy dasz znać Lee?

– Nie, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi.

Stary numer, uparty do końca.

– To zapomnij. Widzimy się na grillu u taty.

– Będziesz z Lee?

– Nie przypuszczam. Obawiam się, że do tego czasu zdążymy zerwać. Na razie.

Odłożyłam słuchawkę i otworzyłam kontakty w komórce. Przewinęłam do Lee, wzięłam głęboki wdech i zadzwoniłam do niego.

Odebrał od razu.

– No?

– Lee, tu Indy.

Do księgarni wszedł klient, zamówił podwójne espresso. Dałam mu znak, żeby chwilę zaczekał, Jane zaczęła stukać kolbą o zlew, żeby wytrząsnąć kawę.

– Gdzie ty jesteś? – zapytał.

– W księgarni.

– Nie mówiłem ci, żebyś została u mnie?

Tak jakbym kiedyś robiła to, co mi mówią.

– Prowadzę księgarnię, a dziś nie ma dwóch pracowników. Musiałam przyjść.

– Niecałą dobę temu do ciebie strzelano.

Chyba był zły.

– Jane nie może tu siedzieć sama cały dzień. Biedna się załamie. – Czemu ja się tłumaczę?! – Słuchaj – przypomniało mi się. – Musisz powstrzymać Kitty Sue, opowiada wszystkim, że jesteśmy razem.

– Bo jesteśmy.

– Nie, nie jesteśmy.

– Komu mówiła?

– Mojemu tacie, Marianne Meyer, Hankowi i Bóg wie komu jeszcze. To się wymyka spod kontroli, trzeba to zatrzymać.

– Hank nie wie tego od niej, tylko ode mnie.

– Po co to zrobiłeś? – prawie krzyknęłam, klient cofnął się lekko.

Lee odezwał się po chwili milczenia:

– O której zamykasz?

– O szóstej.

– Nie wychodź z księgarni. Przyjadę cię zabrać.

– Lee...

– Do zobaczenia o szóstej.

I się rozłączył.

Skończony lajdak.

Ally wróciła z informacją, że Rosiego nie zastała w domu.

Spytałam, czy nie kręcił się tam czasem Lee, ale też nie.

Wobec tego pojechaliśmy zobaczyć się z kumplem Rosiego, jego *numero uno* w razie wypadku.

Mieszkał w Highlands. Stały tu wielkie stare domy i bungalowy, ale Rosie nie mieszkał w żadnym starym odrestaurowanym budynku. Nie mieszkał nawet w obrębie, gdzie byłby choć jeden odnowiony dom albo taki choć z kawałkiem trawy na podwórku czy z zasłonami w oknach. Tu były pustostany.

Pukałyśmy, ale nikt nie otworzył.

Wsiadłyśmy do samochodu i zadzwoniłyśmy na domowy z mojej komórki. To samo – zero odzewu.

Ruszyłyśmy, Ally pokazała mi koniec ulicy.

Wysiadłyśmy, weszłyśmy do narożnego „Stop&Stab”, którego o dziwo nie wykończyła jeszcze nadwyżka sklepów spożywczych w Denver. Za ladą stał mężczyzna wyglądający na Araba.

Gdy weszłyśmy do środka, uśmiechnął się.

– Chcecie gumę? – zapytał.

– Nie, my... – zaczęłam.

– Papierosy? Szkodzą zdrowiu, ale muszę je sprzedawać, inaczej bym zbankrutował. Tu wszyscy palą papierosy.

Pokręciłam głową, zastanawiając się przelotnie, czemu Lee pachnie tytoniem. Nie widziałam, żeby palił, odkąd poszedł do wojska...

Zauważyłam, że Ally patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć „halo?”, więc wyrzuciłam z głowy myśli o Lee.

– Zna pan Rosiego Coltrane’a? – zapytałam.

– Nie chcecie nic kupić? – Sprzedawca zmarkotniał. Wydawał się rozczarowany.

Zrobiło mi się przykro.

– Chcemy, miętówki. – Wzięłam paczkę i położyłam na ladzie.

Spojrzał na cukierki.

Ja również.

Ally też im się przyglądała.

Miętówki leżące na ladzie, wyglądały na bardzo samotne; no tak, kupienie paczki cuksów nie pomoże sprzedawcy utrzymać rodziny.

Dorzuciłam drugą paczkę, dodałam dwa batoniki, a potem podeszłam do lodówki, wyjęłam dwie butelki wody i dwa dietetyczne napoje gazowane. W drodze powrotnej wzięłam jeszcze opakowanie babeczek z kremem. Nie jadłam babeczek od lat.

Uszczęśliwiony zaczął podliczać moje zakupy.

– To kogo szukacie?

– Rosiego Coltrane’a. Pracuje u mnie, dziś nie przyszedł, martwię się o niego – kłamałam jak z nut.

W tym byłam całkiem dobra. Kłamałam od czasu, gdy przyłapano nas: Lee, Ally i mnie, na paleniu liści za garażem. Ja i Ally miałyśmy po osiem lat, Lee jedenaście. Wymyśliłam wtedy świetny wykręt, powiedziałam, że chcieliśmy upiec pianki, ale nie wiedzieliśmy jak. Malcolm kupił to – jakże inaczej: dzieciaki, pianki, mój słodki anielski uśmiech, wszystko wydawało się takie niegroźne i wiarygodne. Skończyło się na pouczeniu o bezpieczeństwie palenia ognia i zagrożeniu, jakie niosą zapałki.

Lee zmierzwił mi wtedy włosy. Szczęśliwe wspomnienie.

– Nie znam mężczyzny o imieniu Rosie. Jaki facet nosiłby takie imię? – obruszył się sprzedawca.

– Rosey Grier? – zaryzykowała Ally.

– Pierwsze słyszę.

– Futbolista? Pomógł złapać Sirhan Sirhana?

– Nie śledzę futbolu amerykańskiego i nie mam pojęcia, kto to Sirhan Sirhan. To też sportowiec?

– Nie, zabójca Roberta Kennedy’ego – wyjaśniła Ally.

– O, dobry Boże! Nie znam go z całą pewnością! – wykrzyknął sprzedawca przerażony.

Musiałam przerwać tę lekcję historii.

– Nasz Rosie nie jest stąd, ale mieszka tutaj jego przyjaciel. Trochę dalej, po przeciwnej stronie ulicy. Nazywa się Tim Shubert.

– Znam Tima. Kupuje dużo chrupek serowych i mrożonej pizzy.

No, jeśli Tim pali tyle co Rosie, to na pewno wsuwa też chrupki i pizzę.

– Rosie jest szczupły, ma metr osiemdziesiąt i włosy ciemnobłond. Wygląda trochę jak Kurt Cobain, ale ma mniej pociągłą twarz – dodała Ally.

– Nie znam Kurta Cobaina, ale widziałam takiego człowieka razem z Timem. On naprawdę ma na imię Rosie?

– To ksywka – wyjaśniłam. – Od Ambrose.

– Ambrose to dobre imię! Czemu tego nie używa?

Ally spojrzała na mnie.

Uznałam, że musimy zakończyć ten wątek. Żeby odpowiedzieć, należałoby wygłosić cały wykład, zapewniający tę kulturową i pokoleniową lukę, a ja nie miałam dziś na to siły. Nie po tym, co przeżyłam zeszłej doby. Strzelano do mnie, zostałam siłą wyciągnięta z łóżka i pocałowana przez Lee Nightingale'a trzy i pół razy (tak, liczyłam, ta połówka to wtedy, gdy pocałował mnie w szyję). A teraz wykonywałam poważne zadanie i nie miałam czasu na dyskusje o imieniu Ambrose.

– Widział go pan ostatnio? Na przykład dziś? – Zapłaciłam za zakupy.

– Nie, dzisiaj nie.

– A Tima? – wtrąciła się Ally.

– Tima też nie.

Podał mi torbę, a ja zastanowiłam się, co robić dalej.

– Jezu, Indy, nie czytasz kryminałów? Przecież masz księgarnię, na miłość boską – wysyczała Ally i odwróciła się do właściciela.

Sprzedawca uśmiechnął się szeroko.

– Ma pani księgarnię? Uwielbiam książki. Którą księgarnię?

– Fortnum, na rogu Bayard i Broadwayu – odparłam.

– Znam ją, moja żona tam chodzi. Książki są tanie, a potem może je sprzedać

i dostać za nie gotówkę.

– Otóż to. – Uśmiechnęłam się do męża swojej klientki.

Ally właśnie pisała moje nazwisko i numery telefonów na kawałku papieru, który znalazła w portmonetce, podała mężczyźnie.

– Mógłby pan do nas zadzwonić, gdyby zobaczył pan Rosiego albo Tima. Zadzwoni pan?

– Oczywiście. Sam jestem pracodawcą. Pracuje dla mnie tylko moja żona, ale rozumiem, jak ważne jest zaufanie do kogoś, kogo się zatrudnia. Zadzwonię.

– Wielkie dzięki.

Wyszłyśmy i wsiadłyśmy do samochodu. Gapiłyśmy się na dom Tima i rozważałyśmy różne opcje. Obie znalazłyśmy się w zupełnie nowej sytuacji. Żadna z nas nigdy nie polowała na uciekiniera jarającego trawę. Śledziłyśmy wielu chłopaków, ale wiedziałyśmy, gdzie ich szukać.

Zjadłyśmy po babeczce, żeby pobudzić mózg do działania.

– Miły facet – wymruczałam przez ciastko i krem.

– Mhm – odparła Ally też z pełnymi ustami.

Ktoś zastukał w okno od strony Ally, obie podskoczyłyśmy i obróciłyśmy głowy w tamtą stronę.

Omal nie wyplułam babeczki razem ze sztucznym kremem na przednią szybę.

Przy samochodzie stał Grizzly Adams, w wersji seryjnego mordercy. Był wielki, miał szopę jasnych włosów, wielką, bardzo długą rudą brodę (coś jak ZZ Top) i nosił flanelową koszulę, mimo temperatury ponad trzydzieści stopni.

Poza tym trzymał strzelbę i miał na głowie odjechane gogle.

– Czego tu chcecie? – warknął.

– Szukamy Tima Shuberta – odparła Ally spokojnie.

– Nie ma go tu. Zjeżdżajcie stąd.

– Tak, tak, już jedziemy! – krzyknęłam, odpaliłam samochód, wrzuciłam bieg i ruszyłam.

– A dokąd jedziemy? – spytała Ally.

– Zabij mnie, nie wiem.

– Można było zadać mu kilka pytań – odparła Ally z niezmaconym spokojem.

– Już się rozpędziłam. Na razie próbuję nie dopuścić do tego, żeby któraś

z nas zginęła. Nie rozmawiam z ludźmi, którzy łązą ze strzelbą w biały dzień.

– Wyglądał interesująco – zauważyła Ally w zamyśleniu.

Jezu.

Było kilka minut po czwartej.

Po spotkaniu z Grizzlym wróciłyśmy do księgarni, żeby pomóc przez chwilę Jane i spytać, czy nie miała wiadomości od Duke'a (nie miała).

Potem Ally i ja pojechałyśmy moim granatowym garbusem, z opuszczonymi szybami i otwartym szyberdachem, pod dom Rosiego, siedziałyśmy tam, dopijałyśmy wodę i czekałyśmy.

Mój garbus nie był może rockowym wozem, ale wyglądał słodko. Miał siedzenia pokryte kremową skórą, które super grzały zimą, ale w lecie przylepiały się do nóg. Za każdym razem, gdy się odklejałam, czułam się tak, jakby zdzierano ze mnie skórę (kolejny powód, żeby chodzić w dzinsach).

W Denver panował niemal idealny klimat. Lato było gorące, ale w nocy ochładzało się na tyle, żeby dało się spać pod kołdrą. Wiosna i jesień miały pogodę w kratkę, co pozwalało na urozmaicenie w garderobie. Zimą nigdy nie czuło się przejmującego chłodu, bo w powietrzu nie było wilgoci. Śnieżyce zdarzały się rzadko, czasem mieliśmy w lipcu burze śnieżne, za to prawie codziennie świeciło słońce na pięknym niebieskim niebie.

Do tej pory zadzwoniłyśmy do Duke'a z trylion razy. Razem z żoną byli u rodziców Dolores w Pagosa Springs i powinni wrócić dziś rano, ale wciąż ich nie było. Nie znałam ani telefonu do rodziców Dolores, ani jej panieńskiego nazwiska. Ślepa uliczka.

Nieobecność Duke'a wydawała mi się niepokojąca; wprawdzie często urządzał sobie wyprawy, ale zawsze musiały być na harleyu.

Nie miał komórki, a mnie nie chciało się jechać do Evergreen. Co prawda Rosie powinien tam być lub chociaż zajrzeć, w końcu przekazał Duke'owi diamenty, ale postanowiłam unikać Lee.

Nadal nie docierała do mnie jego nagła odmiana. Potrzebowałam czasu, żeby się oswoić z nową sytuacją.

Zresztą, cholera, kogo ja zamierzam oszukać?

Nic z tego nie będzie.

Lee i ja nigdy nie będziemy razem.

Nie chciałam łamać serca Ally i Kitty Sue, ale widziałam mnóstwo razy, jak Lee rozwała życie różnym kobietom, i wolałam nie należeć do tego grona.

Rzadko bywał w domu.

Nie miałam pojęcia, z czego żyje, ale na pewno wiązało się z tym jakieś niebezpieczeństwo.

A do tego wszystkiego był cholernie zarozumiały.

Obie z Ally gapiłyśmy się na dom Rosiego, a ja próbowałam jeszcze zebrać się na odwagę, żeby jechać do Evergreen, być może wpaść tam na Lee i pokazać mu, że stać mnie, żeby wygrać. Nagle ktoś zastukał w okno od strony pasażera.

– Jezu! – krzyknęłam i aż podskoczyłam na siedzeniu.

– Przepraszam. Nie chciałem was wystraszyć.

W oknie Ally pojawił się przystojny mężczyzna, może trochę za bardzo napakowany, za to ładnie obcięty, w koszuli, pod krawatem i w luźnych spodniach.

– Jesteśmy ciut zdenerwowane, miałyśmy ciężki dzień – wyjaśniła Ally, posyłając mu czarujący uśmiech.

Lubiła takich gogusiów. Porządni chłopcy, wymuskani, z korpo lub mundurowi, to jej styl. W żyłach panny Nightingale płynął rock, ale facet miał być schludny, pod krawatem albo w mundurze.

– Szukacie Rosiego? – spytał.

Zamrugalam.

Czy to aż tak oczywiste?

– Taak, szukamy – odparłam.

– Mieszka tam. – Skinął głową w nieokreślonym kierunku.

Obie spojrzałyśmy na to, co pokazywał, choć nie bardzo było wiadomo, który dom ma na myśli, a potem znowu na niego.

– Wpakował się w kłopoty?

– A czy często mu się to zdarza? – odpowiedziałam pytaniem.

Pokręcił głową.

– O ile wiem, to nie. Spokojny gość. Parzy zabójczą kawę.

Przytaknęliśmy.

– Jestem Gary – przedstawił się.

Allyson wyciągnęła do niego rękę.

– Ally – powiedziała i wskazała mnie palcem. – A to India.

Słyszając moje imię, facet odwrócił się, spojrzął przez ramię i skinął głową.

My też się obejrzałyśmy... za późno.

Zanim zdążyłam zareagować, dwóch facetów dopadło do samochodu, jeden z nich szarpnięciem otworzył drzwi i spróbował mnie wyciągnąć ze środka.

Wrzasnęłam, gdy moje nogi oderwały się od nagrzanej skóry siedzenia, a zapięty pas zdusił dalsze krzyki – gdy gość spróbował mnie wyciągnąć, pas szarpnął w dół.

– Rany, Teddy, odepnij pasy! – rzucił jego kumpel.

Wykorzystałam tę chwilę, żeby wrzasnąć.

Teddy puścił mnie, klapnęłam na siedzenie i przytrzymałam się kierownicy.

Ally też wywlekano z samochodu, ale ona nie krzyczała. I to chyba najbardziej mnie przeraziło.

Nie zdążyłam sprawdzić, co z nią, bo Teddy sięgnął, żeby odpiąć mój pas. Wtedy pochyliłam się i ugryzłam typa.

– Kurwa! – ryknął i uderzył mnie w twarz.

Mocno.

Jeszcze nigdy w życiu nie walnął mnie żaden mężczyzna.

Byłam na koncercie Public Image Limited-Big Audio Dynamite i tam robiliśmy pogo, więc nieraz zdarzało się oberwać, ale to punk, pogo, tam można było się tego spodziewać.

Okazało się, że gdy facet rąbnie cię w twarz, to boli. Jak cholera.

Tak bardzo, że przestałam krzyczeć, skupiona na bólu, który promieniował z kości policzkowej na całą głowę.

– Teddy, do kurwy nędzy, popieprzyło cię? To laska Nightingale'a, on ci wyrwie fiuta! Mieliśmy działać spokojnie!

Zaczęłam się wydzierać i szarpać.

Wtedy ktoś odepchnął Teddy'ego, czymś mnie dotknął, a potem zapadła ciemność.

Rozdział 5

Babeczki

Ocknęłam się. Czułam się dziwnie i nie mogłam się ruszyć.

Patrzyłam na coś, chyba dach samochodu, i słyszałam głosy, jakby dobiegały z bardzo daleka.

Zanim wóz się zatrzymał, byłam w stanie poruszyć się odrobinę; czułam mrowienie w całym ciele i miałam watę zamiast mózgu.

Drzwi auta otworzyły się, czyjeś ręce wyciągnęły mnie i postawiły na nogi. Kolana się pode mną ugięły i gdyby ktoś mnie nie złapał, upadłabym. Znowu pożałowałam, że nie jestem w dżinsach: gdy jakieś ciemne typy przerzucają cię z rąk do rąk, noszenie miniówki potęguje dyskomfort.

– Cholera, głąbie, trzymaj ją!

Dwaj goście, w jednym z nich rozpoznałam Gary’ego Gnata (ale to nie on był głąbem), prowadzili mnie pod ręce przez garaż do domu. Potrząsałam głową, próbując oprzytomnieć i myśląc tylko o tym, że nie mam dżinsów.

Wepchnęli mnie do pokoju.

– Raaany, co się tam, kurwa, stało? – warknął jakiś facet.

– Musieliśmy ją obezwładnić – padła szybka odpowiedź.

– Co jest z jej twarzą?

Tu już odpowiedź przyszła po chwili wahania:

– Ugryzła Teddy’ego, to ją walnął.

– Chryste! Czego nie rozumieście w informacji, że ma pójść gładko?! Nightingale wpadnie w szal. Przynies jej lód i dzwoń do Teddy’ego, żeby wyjeżdżał z miasta.

Położono mnie na kanapie. Nie docierało do mnie zbyt wiele z ich rozmowy, byłam za bardzo skoncentrowana na próbach poruszania palcami. Oprzytomniałam na tyle, żeby zauważyć, że Gary Gnat i Głąb wybiegli szybko,

a moje legowisko jest bardzo eleganckie, miękkie i pokryte kremowym adamaszkiem. Kupowałam kanapę dwa miesiące temu i wciąż byłam w tym trybie oceny, który się włącza, gdy nabywasz coś drogiego.

Udało mi się podnieść głowę i zobaczyć gościa, który wydawał polecenia. Luźne szare spodnie, bordowa koszula i jednokolorowy krawat. Niski, chyba po pięćdziesiątce, czarne włosy, posiwiałe na skroniach. Tak musiałby wyglądać trochę młodszy Dziadek z rodziny Munsterów[3], z tą różnicą, że ten tutaj był znacznie bardziej przerażający, i to na serio.

– Wszystko dobrze? – zwrócił się do mnie.

Nie, nic nie jest dobrze. Zaliczyłam piąchą w twarz i zostałam porwana!

Nie odzywałam się jednak, przeszywałam go wzrokiem.

– Naprawdę bardzo mi przykro – dodał. – Miewam problemy z niektórymi pracownikami.

„Co ty powiesz”, tylko prychnęłam w duchu. Jeszcze nie doszłam do siebie na tyle, żeby formułować słowa.

Gary wrócił z lodem. Podał mi torebkę zawiniętą w ręcznik. Byłam szczęśliwa, że udało mi się zapanować nad drżeniem ciała na tyle, żeby wziąć ją i przyłożyć do twarzy. Policzek bolał jak cholera.

– Wszystko poszło inaczej, niż planowałam. Chciałem porozmawiać... Słyszałem, że Nightingale ma dziewczynę i byłem ciekaw... – odezwał się mężczyzna ugodowym tonem.

– Gdzie Ally? – zapytałam.

Po kolei. Najpierw informacja, czy z nią wszystko porządku, dopiero potem załamanie nerwowe.

Młody Dziadek Munster spojrzał pytająco na Gary'ego Gnata.

– Była z inną kobietą. Tamtą też musieliśmy ogłuszyć – wyjaśnił Gary. – Zostawiliśmy ją w samochodzie, z kluczykami. Teddy obserwuje auto i tę babkę, czy z nią wszystko w porządku.

– Ally? – powtórzył Dziadek Munster.

Gary wzruszył ramionami, twarz Munstera stężała.

– Mówisz o Allyson Nightingale, młodszej siostrze Lee?

Gary chyba poczuł się nieswojo.

Najwyraźniej zaliczył wpadkę.

– Po prostu brak mi słów. Zdajesz sobie sprawę, że to nie tylko dziewczyna Lee, ale też córka Toma Savage’a? A jej przyjaciółka nosi nazwisko Nightingale? – wycedził przez zęby Munster.

Gary przestąpił z nogi na nogę, czerwony na twarzy.

Dziadek Munster usiadł ciężko, kręcąc głową.

– Co za spierdolona akcja.

Spojrzał na mnie, wyglądał na zrezygnowanego i zmartwionego zarazem. W innej sytuacji pewnie bym mu współczuła, ale akurat nie miałam pojęcia, czy dożyję końca tej sceny w filmie mojego życia, więc byłam zbyt zajęta współczuciem sobie.

– Zaczynam tęsknić za prostym życiem – powiedział.

Przytaknęłam; rozumiałam, co ma na myśli.

Dobę temu moje życie było bardzo proste: praca, kawa i rock’n’roll. Teraz do mnie strzelano, porwali mnie jacyś dranie, a miłość mojego życia chciała być ze mną, chociaż ja postawiłam już na niej krzyżyk.

Proste życie było znacznie lepsze.

– Nazywam się Terry Wilcox – mówił dalej.

Skinęłam głową. Byłam już na tyle przytomna, żeby czuć strach, ale jeszcze nie na tyle, żeby zdobyć się na uprzejmość.

– A ty jesteś India Savage, kobieta Lee – zauważył.

Chciałam palnąć, że nie jestem jego niczym, ale ci goście tak się go bali, że wolałam z tego skorzystać.

Wilcox otaksował mnie wzrokiem i rozparł się w fotelu; przygnębienie na jego twarzy zastąpiła ciekawość.

– Lee zawsze miał dobry gust w kwestii kobiet – powiedział cicho, sunąc po mnie spojrzeniem.

Ohyda.

– Szukam Rosiego Coltrane’a – oznajmił. – Wiesz, gdzie się podziewa?

Ach, no tak, Rosie. Zmora mojego życia.

Ponieważ byłam wkurzona na Rosiego, który wpakował mnie w to gówno i dodatkowo w sytuację z Lee, rzuciłam opryskliwe:

– Gdybym wiedziała, gdzie jest, czy siedziałabym w samochodzie pod jego

domem?

W oczach Wilcoxa pojawił się groźny błysk. Pomyślałam, że znów mnie poniosło, a moja opryskliwość może być dla kogoś niefajna. Jak wtedy, z tamtymi gośćmi, którzy do mnie strzelali. Zdaje się, że chłopaki z ferajny nie lubią pyskatek kobiet. Może powinnam być trochę bardziej uprzejma i spolegliwa? No, ale nie miałam dużego doświadczenia w konwersacji z podejrzanymi typami.

– Ma coś, co należy do mnie – kontynuował Wilcox.

– Wiem. – Uznałam, że tyle mogę zdradzić.

– I powinien mi to zwrócić dziś rano. Nie wiesz, co się z nim stało?

Hmm, nie byłam nigdy na kursie „ile możesz powiedzieć, gdy przesłuchują cię porywacze”, liznęłam tylko obsługę komputera i rachunkowość biznesową, więc czułam, że sytuacja mnie przerasta.

– Spędził noc u Lee, ale dziś rano ja i Lee byliśmy trochę... – urwałam, szukając dobrego słowa na opisanie szoku, jaki przeżyłam bladym świtem – zajęci... i nie zauważyliśmy, kiedy wyszedł.

– Zajęci... – Spojrzał na moje piersi tym samym obleśnym wzrokiem. Czułam, jak wywraca mi się żołądek, musiałam się bardzo starać, żeby nie skrzywić się z obrzydzenia. – Wyobrażam sobie. Wiesz, gdzie on może być?

Pokręciłam głową.

– Chciałabym. Parzy u mnie kawę i nie zjawił się w pracy; jego nieobecność odbija się na utargu.

– Jest naprawdę w tym dobry – wtrącił się Gary Gnat. – Ma gościu talent.

Wilcox rzucił mu spojrzenie „zamknij twarz, deklu” i Gary zamilkł. Potem wampir spojrzał na mnie.

– Wiesz, gdzie teraz mogą być te diamenty?

Wiedziałam, ale znów pokręciłam głową. Nie chciałam wciągać w to jeszcze Duke’a.

Miałam nadzieję, że Wilcox to kupi, w końcu jestem doświadczonym blagierem.

– Te kamyki są warte milion dolarów – oznajmił.

Szczęka mi opadła. Niech to szlag.

– Serio? – wyjąkałam.

– Serio. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałbym je odzyskać.

Pokiwałam głową, tym razem bardzo żarliwie.

Gdyby mi ktoś świsnął diamenty warte milion dolców, też pewnie chciałabym je odzyskać. Rosie musiał uprawiać gandzię prima ekstra sort, żeby dostać za to milion w diamentach.

Gary poruszył się, spoglądając w okno, i wymruczał:

– Przyjechał Nightingale.

Poczułam przypływ nadziei i szybko zdecydowałam, że przez najbliższe trzydzieści minut mogę nie unikać Lee.

Wilcox nie zareagował. Patrzył na mnie, a potem spytał:

– Jesteś pewna, że nie wiesz, gdzie jest Rosie?

– W San Salvador? – odparłam, zupełnie serio.

Uśmiechnął się. Uznał chyba, że próbuję być zabawna. Uśmiech był tak obleśny, że poczułam dreszcze.

Lee wszedł. Odwróciłam się do niego, nadal z workiem lodu przy twarzy.

Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby zrozumieć, czemu ci goście tak się go boją.

Takiego Lee jeszcze nie znałam.

Wciąż miał na sobie dzinsy, obcisłą granatową bluzkę i motocyklowe buty, ręce trzymał luźno wzdłuż boków. Ale gdy wszedł, cała uwaga skupiła się na nim. Patrzył groźnie i czujnie, emanował czystą, brutalną siłą i był bardzo, ale to bardzo wkurzony.

Stanął i spojrzał na lód na mojej twarzy.

Jego policzek drgnął.

Niedobrze...

Przeniósł wzrok na Wilcoxa.

– Sądziłem, że doszliśmy do porozumienia – odezwał się.

Wampiryczny Dziadek zerwał się na równe nogi, uniósł ręce.

– Lee, zaszła pomyłka! Chciałem tylko porozmawiać z twoją dziewczyną i sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Coxy, mam wrażenie, że sporo spraw wymyka się ostatnio spod kontroli. Kto ją uderzył? – Przeniósł wściekły wzrok na Gary’ego Gnata.

Wilcox również na niego spojrzał. Ja też.

Gary zbladł.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedział Wilcox.

– Jeśli nie powiesz, kogo zaświerzbila ręka, przejadę się po wszystkich twoich ludziach – odparł Lee. – Wtedy będę miał pewność, że skurwiel dostał za swoje.

O szlag. Sama bym się posikała ze strachu.

Powiedział to tak, że przeszył mnie dreszcz, ale nie ten, który zazwyczaj przy nim czułam.

Wilcox westchnął, zgnębiony głupotą swojej kadry. Pewnie czasem ciężko być szefem przestępców.

– Teddy – sypnął.

Lee skinął głową, podszedł i podniósł mnie z kanapy.

– Miło było cię poznać – rzucił łagodnie Wilcox, gdy Lee wyprowadzał mnie z pokoju, obejmując jedną ręką.

Spojrzałam na niego przez ramię i, ośmielona obecnością Lee, rzuciłam:

– Cała przyjemność po pana stronie.

Odprowadził nas jego śmiech.

Lee nie zareagował na tę wymianę uprzejmości. Posadził mnie na miejsce pasażera w swoim srebrnym Chryslerze Crossfire, usiadł za kierownicą i ruszyliśmy. Zanim zdążyłam się odezwać, wziął komórkę i wybrał numer.

– Znajdź Teddy'ego i zawieź go do mojego biura. To chłopak Coxa.

Potem się rozłączył i rzucił komórkę na deskę rozdzielczą.

Był zły jak diabli.

– Ally... – zaczęłam.

– Wszystko w porządku.

Odetchnęłam z ulgą.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

– Miałem człowieka pod domem Rosiego. Widział, co się stało.

Że co?

– Czemu nic nie zrobił? – podniosłam głos.

– Nie miał pojęcia, kim jesteś – odparł Lee i dodał po chwili przerwy: – Teraz już wie.

O cholera. Postanowiłam już nie podnosić głosu.

– Masz... człowieka?

Spojrzał na mnie, nadal wściekły, przeniósł wzrok na drogę.

– Mam wielu ludzi.

– Aha.

Zaskoczył mnie, ale uznałam, że nie jest to dobry moment, żeby go przesłuchiwać i wyciągać szczegóły z jego drugiego życia, drażnić, ilu ma ludzi i skąd zna takie typy jak „Coxy”. Właściwie nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć coś więcej o jego życiu. W sumie nie, nie chciałam.

A może w tych okolicznościach warto znów zacząć się zastanawiać, jak unikać Lee. Ale czy zrobić to już teraz?

Dom Wilcoxa mieścił się w Denver Country Club, bogatej i eleganckiej dzielnicy. Lee wyjechał na Speer Boulevard i grzał z prędkością większą, niż dozwolona i/lub bezpieczna, zmieniał pasy niespodziewanie i często. Uznałam, że lepiej się nie odzywać, jego stan nie zachęcał do rozmowy, a już na pewno nie do pouczeń o bezpieczeństwie na drodze.

Przejechał skręt na Broadway.

– Muszę wrócić do księgarni – poinformowałam.

Zero reakcji.

– Lee, muszę być w księgarni.

Nadal mnie ignorując, jechał prosto do centrum, do siebie.

Kurde.

Odchyliłam się na oparcie, położyłam jedną rękę na brzuchu, drugą trzymałam łód. Rozważałam dostępne opcje.

Po pierwsze, w tej chwili nie mam na nic wpływu. To on siedzi za kierownicą z wściekłą miną i robi to, co mu się żywnie podoba, czyli jak zawsze.

Po drugie, zostałam porwana, co próbowałam ignorować.

Po trzecie, zostałam porwana, czego nie dało się zignorować.

Wielkie, napakowane draby wyciągnęły mnie z samochodu, ogłuszyły i zawiozły do miejsca, w którym nie chciałam być.

Poczułam, jak dopada na mnie stres pourazowy, ręce mi się trzęsły. Lee wjechał do podziemnego garażu, zaparkował i otworzył drzwi od mojej strony. Gdy wsiadaliśmy do windy, trzymał rękę na moich plecach.

Panowała dręcząca cisza. Odezwałam się, trochę z ciekawości, a trochę dlatego, żeby przerwać milczenie:

– Użyli czegoś i straciłam przytomność.

– Paralizatora – odparł krótko, nadal pograżony w mrocznych myślach.

Zaczęło mnie telepać. Użyli paralizatora! Ja pierdzielę.

Nigdy nawet nie widziałam tego na oczy. A dziś go na mnie użyli.

Weszliśmy do mieszkania, poszłam za nim do kuchni. Nawet się nie zdziwiłam, gdy wyjął pistolet zza paska spodni i położył na blacie.

Na mnie, córce gliniarza, broń nie robiła większego wrażenia. Lata temu tata nauczył mnie traktować ją z szacunkiem, pokazał, jak się z nią obchodzić, dużo o niej opowiadał i zabierał mnie na strzelnicę. W domu zawsze trzymał broń w ukryciu, co oczywiste, skoro przebywaliśmy tam ja, Ally i nasi przyjaciele. A jednak to, że Lee położył pistolet na blacie tak, jakby kładł nóż do pizzy, było trochę przerażające.

Potem odwrócił się do mnie i chyba chciał zacząć mówić.

A raczej, wnioskując z jego twarzy, wrzeszczeć.

Ale nim zdążył coś powiedzieć, podniosłam rękę, wymachując woreczkiem z lodem.

– Nie, ani słowa! – krzyknęłam, trzęsąc się, a łzy piekły mnie w oczach.

Najwyraźniej spóźniona reakcja organizmu.

Żeby się nie rozryczeć albo w ogóle nie zemdleć, zaczęłam krzyczeć.

– Ja pierdzielę! Sparaliżowali mnie, porwali i jeszcze dostałam w twarz. Boli jak cholera! – Lee zamknął usta i chciał do mnie podejść, ale wyciągnęłam przed siebie rękę: – Nie zbliżaj się do mnie!

Przystanął i skrzyżował ramiona na piersi.

Zaczęłam chodzić po kuchni tam i z powrotem, jedną ręką znów trzymałam lód przy policzku, drugą wymachiwałam i cały czas nadawałam:

– To się nie dzieje! Ten przygłup Rosie zniknął i nie wiadomo, gdzie się podziewa. Strzelali do mnie, użyli paralizatora, a wcześniej zostałam wyciągnięta w środku nocy z łóżka za kostkę! Brylanty są warte milion dolarów

i ten gość rozmawiał o nich ze mną! A przecież ja nic nie wiem, nawet ich nie widziałam! W dodatku leciał na mnie, a za to, co dziś dla mnie zrobiłeś, wiszę ci kolejną przysługę. I to mnie wcale nie cieszy! – Odetchnęłam głęboko i nawijałam dalej: – Jestem wykończona! Nie mogłam się przespać w środku dnia, do tego wszystkiego konam z głodu, bo na lunch jadłam tylko babeczki! Babeczki!

Przerwałam tę tyradę, stojąc na środku kuchni. Ręce miałam opuszczone, dłonie zaciśnięte w pięści, lód topniał, a ja starałam się nie rozryczeć. Wychowywał mnie samotny ojciec, który kochał mnie nad życie, ale wolałby mieć chłopca. Płkanie nie było spoko. Płkanie było mazgajskie.

Kolejny głęboki wdech, żeby się opanować. Drżała mi dolna warga. Lee uznał, że chyba skończyłam wrzeszczeć, bo podszedł, zabrał torebkę z lodem, wrzucił do zlewu i objął mnie w talii.

– Babeczki? – spytał.

– Żebyś wiedział.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Czyli musimy cię nakarmić.

Skinęłam głową.

Ponure myśli i cała złość zniknęły. Jego twarz nie była już taka spięta, pojawiły się inne emocje.

Dotknął dłonią mojej skroni, tam gdzie Straszny Teddy mi przywalił. Odsunął mi włosy za ucho, delikatnie gładząc kciukiem miejsce pod kością policzkową. Przez kilka chwil patrzył na mój policzek, potem spojrzał mi w oczy.

– Ale może najpierw powinniśmy się chwilę przespać – zaproponował cicho.

Zignorowałam ten czuły dotyk i jego słowa, w których kryła się subtelna obietnica tego, co mogłoby się zdarzyć przed drzemką albo po niej. Albo wtedy i wtedy.

Miałam dość.

Potrzebowałam butelki wina, ciemnego pokoju i drzemki, wyjątkowo długiej i mocnej. A to mi się nie uda, jeśli Lee będzie obok mnie. Najlepiej, żeby znalazł się w innym stanie albo nawet w innym kraju.

– Zawieź mnie do domu – poprosiłam. Staralam się, żeby po mojej histerycznej przemowie i jego intymnym geście zabrzmiało to spokojnie i rzeczowo.

Zmienił temat.

– Mówiłem ci rano, żebyś została tutaj. – W jego głosie pobrzmiwała groźba, ale wybijały się frustracja i niezadowolenie (tak, potrafiłam usłyszeć to wszystko w głosie Lee, znałam go od lat).

– Rzadko robię to, co mi każą – przypomniałam.

Pokręcił głową, co pewnie miało oznaczać, że uważa moją głupotę za irytującą, choć słodką (a przynajmniej taką miałam nadzieję).

Potem musnął moje wargi swoimi, a ja uznałam to za kolejne pół pocałunku, co w sumie dawało cztery. Cztery pocałunki z Lee, i to jednego dnia.

– To są wredni goście. Mogą wyglądać jak durnie, ale nie będą mili – ostrzegł. – Lepiej z nimi nie zadzierać.

– Bali się ciebie – zauważyłam.

– I pewnie to cię przed nimi ochroniło. Ale chyba nie jestem w stanie ochronić ciebie przed tobą samą. Co twoim zdaniem robiłaś?

– Szukałam Rosiego.

– Myślałam, że ja go szukam.

– Gdybym znalazła go pierwsza, nic nie byłabym ci winna.

– A teraz jesteś mi winna za dzisiejsze popołudnie.

– Specjalnie się nie wysiliłeś, po prostu wszedłeś i mnie stamtąd zabrałeś. Powiedzmy, że wiszę ci za to blachę ciasteczek. – Zacisnął usta, a ja szybko zmieniłam temat. – Proszę cię, zawieź mnie do domu.

Pokręcił głową i patrzył na mnie przez chwilę.

– Zostaw sprawę Rosiego mnie – zażądał.

Nie odpowiedziałam. No wiem, że przeszłam przez strzelaninę, rażenie paralizatorem i porwanie – i pewnie każdy rozsądny człowiek by się wycofał. Ale nie ja. Ja miałam teraz misję. Byłam gotowa znaleźć Rosiego, wklepać mu, oddać diamenty Terry’emu Wilcoxowi, a następnie przenieść się do Bangladeszu, żeby zniknąć z oczu Lee i być może również Coxy’emu.

– Nie podoba mi się to, co widzę – oznajmił Lee. – Wyglądasz jak wtedy, gdy tata zabronił ci jechać do Vegas na koncert Whitesnake.

No i co. To był świetny koncert i wart miesięcznego szlabanu, który dostałam po powrocie.

Lee przyciągnął mnie do siebie, bardzo, bardzo blisko.

– Lepiej żebyś była warta kłopotów, które ściągasz – powiedział miękko, jego wargi znalazły się tuż przy moich.

Czułam, jak brązowe oczy mnie hipnotyzują.

– Jestem warta – szepnęłam.

Cholera ciężka! Straciłam kontrolę i zaczęłam z nim flirtować?

Lekko odchyliłam głowę i oblizałam wargi, mój język dotknął jego ust.

– Mmm... – wymruczał.

I wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Lee nie zwracał na to uwagi, wsunął dłoń w moje włosy, drugą ręką przyciągnął mnie za talię.

Dzwonek zabrzączał znowu, tym razem ten, kto go naciskał, nie miał zamiaru odpuścić.

– Może to Rosie? – zasugerowałam.

– Szlag. – Lee puścił mnie i podszedł do drzwi.

Dwie minuty później do środka weszły obie nasze rodziny, w komplecie.

– Uznaliśmy, że trzeba to uczcić kolacją – oznajmiła Kitty Sue.

– Ty uznałaś. My jesteśmy po prostu głodni – odparł Malcolm i uśmiechnął się do mnie, ale nagle uśmiech zastygł mu na twarzy.

Pozostali też znieruchomieli.

– Co ci się stało? – wykrzyknął tata.

Rany. Nie przeglądałam się w lustrze, ale mój wygląd był chyba adekwatny do samopoczucia.

Synowie Malcolma Nightingale'a wrodzili się w ojca – a on nadal był szczupły i sprawny i miał przystojną, interesującą twarz. Trzymał się w formie, biegając, czasem jeździł po kraju, brał udział w maratonach.

Tom Savage był wysoki, wciąż przystojny, miał niebieskie oczy i mógł uchodzić za czarującego. Szpakowate włosy, budowa obrońcy liniowego, którym zresztą był za młodu. Upływ czasu dodał mu tylko trochę brzuszka – efekt zamięłowania do piwa i meksykańskiego żarcia.

Tata odwrócił się do Lee.

– Uderzyłeś ją?

Aż mnie zatkało od tej obraźliwej sugestii, pozostałych chyba tak samo.

Lee patrzył na tatę przenikliwie; zacisnął usta. Oparł się o blat, skrzyżował ręce na piersi i wyraźnie nie zamierzał odpowiadać.

Tata kochał Lee. Zawsze traktował Hanka, Lee i Ally tak samo jak Malcolm i Kitty Sue traktowali mnie; nawet go podziwiał.

Ale jest gliną i wiedział o Lee oraz o jego przeszłości takie rzeczy, z których ja zupełnie nie zdawałam sobie sprawy. Rzeczy, których nie pochwalał. Które sprawiały, że teraz bardzo martwił się o mnie.

Tak czy inaczej poczułam nieprzepartą ochotę kopnąć ojca w kostkę.

– Nie, nie uderzył mnie... Jezu, tato!

– Oczywiście, że jej nie uderzył, Tommy, jak mogłeś coś takiego pomyśleć? Co się stało? – Katty Sue, dyplomatka jak zawsze, odrzuciła idiotyczną sugestię taty, podeszła do mnie.

Spojrzałam na Ally i wielką torbę – akurat stawiała ją na podłodze. Tym razem to już nie rzeczy na jedną noc, to wypchana na maksa torba, z ogromną ilością ciuchów. Pewnie wystarczyłoby ich co najmniej na tydzień. Na tyle, żebym zdążyła, będąc u Lee, zejść w ciążę albo zostać jego niewolnicą, albo jedno i drugie.

Gdybym nie martwiła się o Allyson tak strasznie i gdybym jej nie kochała, udusiłabym ją własnymi rękami.

– Wszystko dobrze? – spytałam.

Skinęła głową.

Kitty Sue popatrzyła na nas.

– O nie, co wy znowu knujecie?

– Nic takiego – odparłam szybko. – A jeśli chodzi o mój policzek, tato, to w księgarni z półki spadły na mnie książki. Lee przyszedł i zabrał mnie do siebie, żeby obejrzeć, jak to wygląda i przyłożyć mi lód. – Podeszłam do zlewu, żeby zademonstrować woreczek z lodem, a potem ni stąd, ni zowąd, oparłam się ramieniem o Lee.

Czemu to zrobiłam? Może nie podobał mi się ton, jakim rozmawiał z nim tata, a może nie chciałam, żeby Lee tak zaciskał usta.

– Masz lód w księgarni – zauważył ojciec.

Kurczę, fakt.

– Lód Lee jest lepszy – odparłam.

Ale to słabe. Wychodzę z wprawy.

– No ja myślę, że jego lód jest lepszy – mruknęła Ally.

Obie z Kitty Sue zgromiłyśmy ją wzrokiem.

Hank i Lee popatrzyli na siebie. Hank westchnął i zakołysał się na piętach; Lee objął mnie. Nie miałam ochoty się zastanawiać, co znaczyła ta braterska wymiana spojrzeń. Dzień był wystarczająco podły.

Hm, przybycie rodziny oznaczało, że mam z głowy drzemkę z Lee. Cholera, zaczęłam z nim flirtować, potrzebowałam czasu, żeby odzyskać kontrolę.

– Dokąd idziemy na kolację? – zapytałam radośnie, a Lee zerknął na mnie kątem oka. Moje iluzje, że mam coś z głowy, legły w gruzach.

– Sushi Den – oznajmiła Ally.

Jednocześnie podniosłyśmy ręce w geście rockowego pozdrowienia i wrzasnęłyśmy:

– Sushi!

– Nie idziemy na sushi – zaprotestował Malcolm.

– Już zdecydowaliśmy. Idziemy – odparła Kitty Sue.

– Sushi to gówno.

– Sushi jest zdrowe.

– Meksykańskie jedzenie jest znacznie zdrowsze – wtrącił się tata.

Kitty Sue przewróciła oczami, a ja podekscytowana podeszłam do torby.

Uwielbiałam sushi, a jeszcze bardziej Sushi Den. To była jedna z moich ulubionych restauracji w Denver. Mieściła się przy Pearl Street, obok Pearl Street Grill i naprzeciwko Stella Coffee Haus.

W Sushi Den, zbudowanym z betonu i szkła, mieli hostessy tak wyniosłe, że samym tylko spojrzeniem potrafiły doprowadzić do załamania zwykłych śmiertelników, a w mniej odpornych wywołać myśli samobójcze. I serwowali najlepsze sushi, jakie kiedykolwiek jadłam. Nigdy nie przyjmowali rezerwacji i zawsze mieli pełną salę. Ja i Ally chodziłyśmy tam przynajmniej dwa razy w miesiącu i rywalizowałyśmy z hostessami na spojrzenia. Wygrywały za każdym razem.

– Przyniosłaś mi odpowiednie ciuchy? – spytałam Ally.

Nie można pójść do Sushi Den w kowbojskich butach i džinsach, ta knajpa wymagała specjalnego stroju. Czarna sukienka, szpilki... W garderobie stworzyłam sobie całą odrębną sekcję z rzeczami przeznaczonymi na wizyty w Sushi Den.

– To chyba jasne – prychnęła Ally.

Obudziłam się w łóżku Lee (znowu) i przede wszystkim pomyślałam o sake.

W sumie nie lubię sake, ale piłyśmy z Allyson, bo tak się robi w Sushi Den.

Jeśli wszedłeś między wrony... Jeśli jesteś w Sushi Den, pijesz gorącą sake.

Leżałam na brzuchu, lewą nogę miałam podkuloną, prawą wyprostowaną. Lewą rękę trzymałam pod poduszką, a prawa była wciśnięta pomiędzy moje ciało a coś, co musiało być gorącym, twardym ciałem Lee.

Wystarczyła jedna noc, żeby Lee zdołał utrzymać mnie w łóżku w jednym miejscu. Przywierał do moich pleców, znaczna część jego ciała leżała na mnie, obejmował mnie ręką, a lewą nogę miał wsuniętą tak, że udo dotykało dolnych partii mojego ciała. Zaskakująco... przyjemna poza. Było mi ciepło, dobrze, przytulnie i czułam się bezpieczna.

Jak, do jasnej cholery, dałam się wmanewrować w taką sytuację?

Wróciłam myślami do wczorajszej kolacji, podlanej sake, i zadowolona zorientowałam się, że wszystko pamiętam.

Jadłam, piłam sake, znowu jadłam, znów piłam sake; upiłam się.

Pozwoliłam, żeby Lee wsadził mnie do samochodu, i wysyłałam pożegnalne całusy Ally, Hankowi, tacie, Kitty Sue, Malcolmowi i parkingowemu.

Już w mieszkaniu poszłam do łazienki, zdjęłam ubranie, zawłaszczyłam sobie kolejny podkoszulek, a potem padłam na wielkie łóżko. I tam, z powodu alkoholu i braku drzemki, od razu zasnęłam.

Teraz szybko sprawdziłam wolną ręką, co mam na sobie.

Majtki na miejscu.

Podkoszulek bez rękawów również.

Albo Lee nie skusiło moje sztywne ciało, albo ubrał mnie już po wszystkim. Obstawiałam raczej to pierwsze.

Obity policzek prawie nie bolał, zaaplikowana sake jednak działała.

Ułożyłam szybką strategię na najbliższe dwadzieścia minut, na tyle, na ile byłam w stanie funkcjonować bez kofeiny.

Muszę wydostać się spod Lee, nie budząc go, wezwać taksówkę i pojechać do siebie do domu.

No dobra, brzmiało jak plan.

Przesunęłam się o milimetr, usiłując zrobić to niezauważalnie.

Nie udało się.

– Mhm – wymruczał Lee, a jego ręka przycisnęła mnie mocniej.

Pierwsza przeszkoda i od razu skucha.

Spróbowałam wczorajszego wybiegu:

– Muszę zaparzyć kawę.

Zabrał rękę, ale ciężar jego ciała wystarczył, żeby przytrzymać mnie w łóżku. Wsunął się na mnie jeszcze bardziej, pochylił i poczułam, jak jego usta dotykają mojego ramienia, a ręka sunie po udzie i ląduje na biodrze.

– Wypijesz po – szepnął mi do ucha.

Spięłam się cała, chociaż w środku topniałam jak воск.

– Po czym?

Przesunął dłoń w górę, palce dotknęły krawędzi majtek tuż pod pępkiem.

– To się wreszcie stanie – oznajmił i nie musiał mi tłumaczyć, co ma na myśli. – W tej chwili.

Dobry Boże.

Dopiero teraz poczułam na swoim ciele, jak bardzo jest zdeterminowany; serce zaczęło mi walić.

Od czasu gdy dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak seks, chciałam to zrobić z Lee.

A teraz, gdy to się miało stać, byłam przerażona.

– Mam kaca – spróbowałam wymówki.

Jego usta sunęły po mojej szyi. Albo mnie nie słyszał, albo nie uwierzył i uznał, że szkoda reagować na takie kłamstwo.

Przycisnął się biodrami do mojego tyłka, jego ręka powędrowała w dół po brzuchu, poczułam dreszcze.

Kurde, kurde, kurde.

Zagryzłam wargę, żeby nie jęknąć, gdy prąd przebiegł mi przez ciało, ogniskując się między nogami.

Spróbowałam jeszcze raz:

– Boli mnie głowa.

Ręka powędrowała w górę podkoszulka, zatrzymała się pod piersią, knykcie musnęły ją od dołu.

– To napięcie. Nie martw się, wiem, jak je rozładować.

No, nie wątpię.

Spróbowałam ostatni raz.

– Boli mnie twarz.

Poczułam jego język za uchem.

– Zaraz przestaniesz o tym myśleć – obiecał szeptem.

– Lee...

Trzymał rękę na moim brzuchu, poczułam, jak się odsuwa; położył mnie na plecach i pochylił się nade mną.

– Podaj mi jeden powód, żeby tego nie robić – zażądał, patrząc mi prosto w oczy.

Włosy znów miał seksownie zmierzwione, a twarz była zarazem łagodna i twarda. Łagodna z powodu tego, co widziałam w jego oczach przez ostatnie dwa dni, twarda od zdecydowania i pożądania.

W takiej sytuacji, pozbawiona porannej kawy, nie wiedziałam, jak zareagować.

– Tak też myślałem. – Znów się nade mną pochylił...

I wtedy zadzwonił telefon.

– Nie odbierzesz? – spytałam w jego usta, a on objął mnie i przyciągnął do siebie.

– Nie ma mowy.

Pocałował mnie, a ja zatopiłam się w nim, uszczęśliwiona. Mój opór zniknął bez śladu. Ależ on fantastycznie całuje...

No dobra, czyli w końcu będę się kochać z Liamem Nightingale'em.

Całe moje ciało odprężyło się i uległo tej wizji.

Przetoczył się na plecy i pociągnął mnie na siebie, czułam jego ręce, trzymał mnie mocno.

Telefon zadzwonił jeszcze raz i coś zastukało na szafce nocnej, ale Lee nie zwracał na to uwagi, sunąc ustami od mojego podbródka aż do ucha.

Zadrzałam.

Jedną ręką muskał miejsce tuż nad moimi pośladkami, drugą obejmował mnie mocno w talii.

– Uwielbiam twój tyłek – szepnął mi do ucha. – Zawsze go uwielbiałem.

Wstrząs. Nie miałam pojęcia, że uwielbia mój tyłek... Ta świadomość sprawiła, że pocałowałam go mocno i namiętnie.

Jęknął, a mnie znów przeszył dreszcz.

Telefon dzwonił i dzwonił, coś na szafce nocnej tłuło się i wibrowało. Lee włożył mi rękę w majtki, a ja zaczęłam gładzić twarde mięśnie jego brzucha.

Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi, trzy razy krótko i raz długo.

Ręka Lee zastygła.

– Kurwa – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Co?

Przerzucił mnie na plecy, jakbym ważyła tyle co piórko, pocałował szybko.

– Nie waż się ruszyć – ostrzegł i wyskoczył z łóżka.

Złapał dzinsy i poszedł do drzwi, a ja patrzyłam oszołomiona, po raz pierwszy mając okazję obejrzeć jego nagie ciało i podziwiać, jak hojnie obdarzyła go natura.

To, co zobaczyłam, w połączeniu ze świadomością, że tej nocy spałam obok nagiego Liama Nightingale'a, sprawiło, że przeżyłam mikroorgazm.

Słuchając, jak z kimś rozmawia, usiłowałam zapanować nad swoim ciałem (bez rezultatu). Po chwili Lee wrócił do pokoju.

Od razu podszedł do łóżka i wyciągnął mnie z niego; uderzyłam w jego pierś. Pocałował mnie, mocno i głęboko, tylko za krótko.

– Muszę iść – powiedział.

Chciałam zawołać „nie!”, bo byłam rozpalona do czerwoności. Właśnie przyznał, że zawsze kochał mój tyłek! I pragnęłam doświadczyć tego, czym tak hojnie jest obdarzony.

Zamiast jednak przejść do konkretów, zatonęłam w jego ramionach – tylko do tego byłam zdolna po pocałunku.

Uśmiechnął się.

Niech go szlag.

– Zabiorę cię do księgarni tak szybko, jak tylko dam radę. Obiecuj mi, że do tego czasu nie wpakujesz się w żadne kłopoty.

Skinęłam głową.

Przyjrzał mi się i westchnął.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię.

– Przynajmniej nie rób nic głupiego.

Jakbym kiedyś zrobiła!

Musnął moje wargi, puścił mnie, poszedł do łazienki, wziął prysznic, ubrał się i wyszedł.

A ja zadzwoniłam po Ally.

Miałyśmy przed sobą długi dzień i pełne ręce roboty, jeśli chcieliśmy znaleźć Rosiego.

Rozdział 6

Strefa „Kinky” Friedmana

Postanowiłam wciągnąć Jane w nasze poszukiwania. I w sumie wszystkich innych.

Cały ranek spędziłyśmy na obsłudze klientów, którzy pragnęli kawy, jednej osoby, która przysłała po książkę oraz na obdzwanianiu wszystkich znajomych i rozsyłaniu listów gończych za Rosim i Dukiem.

Jane co prawda przeżyła szok na widok mojej twarzy (wciąż miałam podbite oko, duży sinik zmieniający kolor na żółty), ale ogólnie była podekscytowana. Uważała chyba, że to świetna zabawa. W końcu to nie wobec niej (na razie) użyto broni palnej i paralizatora. Czytała głównie romanse, ale również kryminały i powieści grozy i należała do wielbicieli Richarda „Kinky” Friedmana[4].

Po porannych godzinach szczytu pojechała do Evergreen i wsunęła pod drzwi Duke’a kartkę z prośbą, żeby zadzwonił od razu, jak tylko zjawi się w domu. W postscriptum zaprosiła Dolores na kobiece wieczorek w przysłą ą środę.

Ja uznałam, że moja poranna słabość w relacji z Lee to przejściowe zaćmienie oraz skutek uboczny sake. I utwierdzałam się w przekonaniu, że bycie z nim nie jest dobrym pomysłem, między innymi dlatego, że mógł (i robił to) zostawić mnie rozpaloną, a dodatkowo zaangażowaną w te główniane sprawy, które składają się na jego życie. Zdawałam sobie sprawę, że tracę kontrolę, dlatego musiałam ułożyć plan działania. Po prostu nie mogę znaleźć się z nim sam na sam w jego wozie, towarzystwie, mieszkaniu, a już – nie daj Boże – w łóżku. Wystarczy się tego trzymać, a będzie dobrze.

Po wyjściu Jane zadzwoniłam do rodziców Rosiego, którzy mieszkają w Dakocie Północnej; zaraz po przyjaciołach znajdowali się następni na liście osób do powiadomienia w razie wypadku. Żeby ich nie przerazić, postanowiłam udawać koleżankę z czasów liceum, która pragnie odświeżyć kontakt.

– Co za niesamowity zbieg okoliczności! – ucieszyła się jego mama. –

Właśnie wczoraj zjawilo się tu dwóch miłych panów, którzy powiedzieli to samo!

Spojrzałam na Ally z miną „ale numer”; uniosła brew.

To mógł być albo Lee, albo Terry Wilcox. Jeden był moim przekleństwem, drugi Rosiego.

Zostawiłam kobiecie swój numer telefonu i nazwisko, rozłączyłam się i opowiedziałam całą rozmowę Ally.

– To pewnie Lee, on ma swoje sposoby – uznała.

Jasne.

– Przypomnij mi, dlaczego my to w ogóle robimy? – spytała.

– Założyłam się z twoim bratem i nie chcę przegrać. – To nawet nie do końca było kłamstwo. Jeśli Lee znajdzie mojego baristę, stracę bardzo dużo: spokój ducha, poczucie rzeczywistości i takie tam.

– Czyli założyłaś się z nim, że znajdziesz Rosiego przed nim i oddasz torbę brylantów tamtym typom? – Przyjaciółka spojrzała na mnie, jakbym straciła rozum.

– No tak.

– Dziewczyno, przegrasz z kretesem.

Co za szczęście, że Ally zawsze kibicuje słabszym.

Drzwi do księgarni otworzyły się i do środka wpadła Andrea Cocetti.

Chodziła z nami do szkoły i należała do paczki. Podobno obściskiwala się z Richim Samborą za kulisami po koncercie Bon Jovi, ale ta plotka nigdy nie została ani oficjalnie potwierdzona, ani zdementowana. Nam dwóm Andrea wyznała w tajemnicy, że nic takiego się nie wydarzyło, więc, również w tajemnicy, nadal miałam przewagę dzięki kontaktowi z Joe Perrym.

Kumplowałyśmy się, ale rzadko widywałyśmy. Andrea wyszła za mąż dwadzieścia minut po skończeniu szkoły (teraz nazywała się Moran) i miała czworo dzieci. Gromadka maluchów, zwłaszcza takich diablów jak Andrea, była niezłym powodem, żeby nie widywać się zbyt często.

Weszła do księgarni, pchając wózek i trzymając drugie dziecko za rękę, trzecie szło samo. Na ramieniu duża torba à la sportowa i druga – wypchana pieluchami. Wyglądało to tak, jakby wszystko było tylko akcesoriami, nie wyłączając dzieci.

– Jesteś z Lee Nightingale’em! – zawołała. Kilkoro klientów, którzy siedzieli opodal, czytając i sącząc kawę w spokoju, podskoczyło i spojrzło na nią. – Czemu nic nie mówiłaś?!

Andreę również wciągnęłam w kilka moich sercowych akcji, więc wiedziała o wszystkim. A że widniała na liście Kitty Sue do wysyłania kartek bożonarodzeniowych, to znalazła się też na liście osób do obdzwonienia. Najwyraźniej jednak w drugiej fali telefonów, skoro przyszła dopiero dziś.

– To się stało wczoraj – wyjaśniła Ally.

Andrea ją zignorowała.

– Zrobiliście to już? – spytała, nadal mocnym, donośnym głosem; klienci przenieśli wzrok na mnie.

Westchnęłam.

– Powoli się przymierzamy.

– Powoli? – Popatrzyła na Ally, potem na mnie, miałam wrażenie, że oczy wyskoczą jej z orbit. – Ja... ty... – zabrzmiało to tak, jakby się dusiła, zaczynałam się martwić. – To niemożliwe! Nie da się tego robić powoli! Zresztą Lee Nightingale nie działa „powoli”. W jednej chwili na ciebie patrzy, w drugiej znika z kokardką z twoich majtek, zabraną na pamiątkę.

Rany, miałam nadzieję, że to nie stanie się aż tak szybko.

O czym ja myślę? I tak nie miałam zamiaru się przekonać.

– Nieprawda – wtrąciła się Ally. – Mówi się, że zabierał satynowe kokardki ze staników. W końcu majtki rzadko mają kokardki, a staniki często, czasem inne ozdóbki. Podobno brał wszystkie.

– Chyba żartujesz – wymamrotałam po chwili milczenia. Nie chciałam skończyć jako satynowa kokardka pośród setek innych w szufladzie Lee.

Wzruszyła ramionami.

– Tak głosi plotka.

– Widziałaś? Ile ich jest? – zainteresowała się Andrea.

– Nie widziałam. To jedynie pogłoski, ja je tylko dementuję. Może jak Indy przestanie się przymierzać, to się dowiemy.

Ułagodziłam Andreę mrożoną orzechową latte bez kofeiny i obiecałam, że zadzwonię od razu, jak tylko zrobię to z Lee.

W tym tempie narastania żądań, wisiabym na telefonie przez tydzień.

Moją uwagę zwrócił gość, który przyszedł zaraz po otwarciu księgarni. Jak dotąd zamówił trzy espresso. Każdą filiżankę wypijał jednym haustem i od trzech godzin czytał ten sam magazyn sportowy. Ciemnoblond włosy wymagały podcięcia, ale miał zabójcze umięśnione ciało bez grama tłuszczu; nosił dżinsy, białą koszulkę i buty do biegania.

Gdyby nie był za niski, gdybym nie miała obitej twarzy i wystarczająco dużo problemów z facetami, już bym z nim flirtowała. Ale nie uznaję mężczyzn mojego wzrostu, facet musi być wyższy niż ja w szpilkach. Kardynalna zasada.

Przyglądałam mu się przez kilka minut. To musiało być cholernie ciekawe pismo, skoro dało się czytać przez trzy godziny.

Lee powiedział, że ma wielu ludzi. Wystarczająco dużo, żeby skoczyli do Dakoty, obserwowali dom Rosiego – albo siedzieli w księgarni, żeby mieć na mnie oko.

Cholerny cwaniak.

Pokręciłam się między regałami i podeszłam do niego. Podniósł wzrok.

– Cześć – rzuciłam.

– Cześć – odparł z uśmiechem. Zdecydowanie sympatyczny gość i zdecydowanie nie z szajki napakowanych zbirów Terry’ego Wilcoxa. Wyglądał na człowieka, który nigdy nie uderzyłby kobiety. W każdym razie taką miałam nadzieję.

– Jeszcze jedno espresso? – spytałam, zalotnie przechylając głowę.

– Nie, dzięki, wystarczy – odparł i znów zagłębił się w lekturze.

Hm. Co teraz? Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś wrócił do czytania po tym, jak zaczęłam go kokietować. Nawet jeśli ktoś nie był zainteresowany, to i tak reagował na moje zalotne przechylenie głowy. Może chodziło o to podbite oko?

– Ciekawe pismo? – spytałam.

Ponownie na mnie spojrział.

– Bardzo.

Skinęłam głową. Żałowałam, że nie mam na sobie topu czy kamizelki, wtedy mogłabym się pochylić i użyć siły swojego dekoltu. To zneutralizowałoby efekt siniaków.

Niestety, miałam na sobie dżinsy, brązowy pasek z dużą srebrną klamrą, która wyglądała jak lina, brązowe kowbojki i czekoladową podkoszulkę z żółto-

czerwonym napisem: „Nie potrzebuję dublerów”.

– Nie interesuję się tak bardzo sportem – oznajmiłam i usiadłam na poręczy fotela, zaglądając do jego pisma. Spiał się, odwrócił do mnie głowę, a ja posłałam mu megawatowy uśmiech. – Ale lubię chodzić na mecze. Chodzi pan?

Oparłam się piersią o jego ramię – wciąż udawałam, że chcę tylko zajrzeć w tekst.

– Co pani robi?

Posłałam mu niewinne spojrzenie.

– Kto, ja? – zamrugałam.

Zbladł i wtedy zadzwonił jego telefon. Wstał, żeby wyjąć go ze spodni, a zrobił to tak gwałtownie, że omal nie spadałam z poręczy.

– Słucham.

Spojrzał szybko na mnie i podał mi telefon. Patrzyłam na jego komórkę osłupiała, ale wzięłam i przyłożyłam do ucha.

– Zostaw Matta w spokoju. On tylko wykonuje swoją robotę – usłyszałam głos Lee.

Oj tam, przecież chciałam go tylko trochę podenerwować... Ale skąd on...?

Niech go cholera.

– I na czym polega jego praca? – Czułam, jak mi skacze ciśnienie.

– Na pilnowaniu, żebyś nie została porwana i żeby nikt do ciebie nie strzelał.

– I żeby nie zrobiła nic głupiego?

– Również.

– A skąd wiesz, że próbowałam podrywu?

– Tajemnica zawodowa.

– Albo mi powiesz, albo wyjeżdżam do Wenezueli, zaszywam się w dżungli i tam nawiązuję romans z tubylcem.

Cisza, potem ciężkie westchnienie.

– Księgarnia jest na podsłuchu, zainstalowaliśmy kamery. Poprzedniej nocy.

– Co? Jak to?

– Pamiętasz naszą rozmowę wczoraj w kuchni?

Pamiętałam każdą rozmowę z Lee od czasu, gdy skończyłam pięć lat.

A najlepiej te z ostatniej doby i wcale nie dlatego, że wydarzyły się niedawno.

– Tak.

– Terry Wilcox ma cię na swoim radarze... to niedobrze. Próbuję zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Instalując pluskwy w księgarni?

– I robiąc wszystko inne, co mi przyjdzie do głowy.

Spojrzałam na Matta – sprawiał wrażenie rozbawionego.

– A czy ty pamiętasz rozmowę z dzisiejszego poranka, gdy wspomniałeś, że przyjedziesz, jak tylko skończysz? – zapytałam. Panowała cisza, ale nie potrzebowałam odpowiedzi. – Nie fatyguj się.

Ally i ja udałyśmy się pod dom Rosiego.

Matt jechał za nami; teraz siedział w SUV-ie i nas obserwował. Staraliśmy się nie zwracać na niego uwagi.

Jane wróciła z Evergreen. Ani śladu Duke'a albo Dolores, ale jak się wyraziła, miała okazję „popytać w sąsiedztwie”. Duke mieszkał w chacie z bali, otoczonej blisko dwoma hektarami świerków, więc nie wiem, jakie sąsiedztwo miała na myśli. Ale zapunktowała, mówiąc, że boczna droga prowadząca do jego domu wyglądała na mocno uczęszczaną ostatniej doby. I podobno widziano tam kogoś, kto przypominał Rosiego.

Czyli Rosie też szukał Duke'a, przynajmniej do wczoraj rano. Mogłyśmy tylko zgadywać, czy go znalazł, czy nie.

Stanąłszy na ganku i zastukałyśmy do drzwi. Rosie mieszkał sam, w bungalowie, który wymagał gruntowego remontu, ale i tak zawsze się zastanawiałam, jakim cudem stać go na ten wynajem; w końcu nie zarabiał u mnie kokosów. Dom stał na obrzeżach obrzeży Platte Park, ale nadal wystarczająco blisko parku i Pearl Street, żeby być drogim kąskiem.

Dziś już znałam rozwiązanie tej zagadki.

Za drzwiami panowała cisza, więc zajrzałyśmy przez okna. Byłam u Rosiego dziesiątki razy i teraz wszystko wyglądało tak samo.

– Szkoda tylko jego roślinek... Myślisz, że ktoś je podlewa? – zapytałam.

Ally wzruszyła ramionami, potem spojrzała na mnie z rozjaśnioną twarzą.

– Hej, znam kogoś, kto będzie wiedział!

– Kogo?

– Lee!

Trąciłam ją w ramię.

– Mądrała.

Postanowiłyśmy zrobić to, co Jane, czyli „popytać w sąsiedztwie”: stukaliśmy do drzwi i pytałyśmy ludzi, czy znają lub widzieli Rosiego.

Niestety, większość mieszkańców była w pracy, a ci, których zastałyśmy, ledwie go kojarzyli, a już zupełnie nikt go nie widział. Zdaje się, że nie był w okolicy specjalnie lubiany, mnie i Ally też traktowano z dystansem.

Jak się okazało, gdzieś pomiędzy moim porwaniem a dzisiejszym porankiem, Ally zdążyła zamówić wizytówki z naszymi nazwiskami i telefonami. Gdy podała pierwszą z nich, prawie się zakrztusiłam z wrażenia.

– Skąd je masz?

– Zadzwoiłam do Brody’ego i zrobił je zeszłej nocy, potem wrzucił mi do skrzynki pocztowej. Wypas, nie?

Dobry Boże...

Brody jest naszym przyjacielem z czasów liceum i maniakiem komputerowym. Pracuje w domu, robi gry na pecety i kosi spory szmal. Rzadko wychodzi, niewiele sypia, żyje na energetykach i chrupkach, robiąc zakupy wyłącznie w sklepach całodobowych.

Udałyśmy się znów do tamtego gościa (kontaktu na wypadek wypadku), którego obudziłyśmy wczoraj. Rosie zapisał go jako: Kevin „Kevster” James.

Kevster otworzył nam drzwi w brudnych dżinsach, czarnej koszulce z Hendrixem tak spłowiałej, że wyglądała na szarą. Nosił ją na bluzce termicznej z długimi rękawami, chociaż na dworze było dobre trzydzieści stopni.

Chyba znalazłyśmy człowieka, który opiekował się roślinkami Rosiego, hojnie częstując się próbkami.

– Cześć, laski – powitał nas.

Przedstawiłyśmy się, a on się uśmiechnął.

– O kurde! Słyszałem o was! – Odwrócił się do mnie. – Rosie nawijał o tobie cały czas, uważał, że wymiatasz! „Najlepsza robota, jaką miałem”, mówił, „pracuję dla rockowej dziewczyny!”

Po raz pierwszy od dwóch dni pomyślałam ciepło o Rosim.

– Ej! Co się stało z twoim okiem?

– Uderzył mnie jeden typ – poinformowałam.

– Mam nadzieję, że kopnęłaś go w jaja. – Kevster nachylił się, że obejrzeć moje siniaki.

– Ugryzłam go.

– Też nieźle – odparł, choć kopniaka w jaja najwyraźniej uważał za najlepszą formą zemsty. Cóż począć, wtedy potraktowali mnie już paralizatorem.

– Szukamy Rosiego – wyjaśniłam.

– Stańcie w kolejce. Wszyscy go szukają, serio, wszyscy. Wczoraj był tu tabun ludzi, a każdy typek wypytywał o Rosiego.

– Jakich ludzi? – wtrąciła się Ally. – Znasz ich?

– Większość tak. Potrzebowali pewnego towaru, jeśli łapiesz, o czym mówię.

Oczywiście obie łąpałyśmy.

– Był ktoś jeszcze? – zainteresowałam się.

– Jasne. Najpierw dwóch gości, gliny, na bank. No wiesz, wyluzowani, ale nadal jedzie gliniarnią. Byłam posrany ze strachu, że mi wejdą do środka, ale ja ich nie interesowałam. Potem jeszcze dwa zestawy po dwóch, powinni odstawić parafarmaceutyki, bo wywali im mięśnie jak Hulkowi. I mogiła! – Klasnął w dłoń, potem potrząsnął nimi przed sobą.

Zerknęłam na Ally; dwaj pierwsi to raczej ludzie Lee, dwaj ostatni byli pewnie od Wilcoxa.

– Dwa zestawy?

– Tak, w pierwszym zestawie było dwóch gości przy drzwiach i dwóch w samochodzie, w drugim tylko dwóch.

Coś mnie tknęło i opisałam tych, którzy strzelali do mnie na początku; Kevster pokiwał głową.

– Tak, stara, to oni. Tamta czwórka była spokojna i opanowana, a tych dwóch denerwowało się jak cholera, wyglądali, jakby potrzebowali się trochę kimnąć. Słuchaj, sorka, że nigdy nie byłem na twojej imprezie, Rosie opowiadał, że są zajebiste. Że serwujesz orzechy nerkowca i takie rzeczy. Nigdy w życiu nie bawiłem się na takiej imprezie!

Ally podała mu wizytówkę.

- Jak coś zobaczysz albo czegoś się dowiesz, daj nam znać.
- Fiu, fiu! Wizytówka rockowej laski! Ale czad! Axl Rose też ma taką?
- Jeszcze nie – odparła Ally.

– Mega! – Kevster skinął głową. – Nie chcecie wejść? Właśnie miałem zarzucić *Big Lebowskiego* i spalić jednego jointa. Byłoby super obejrzeć sobie Kolesia z dwiema rockowymi babkami.

Odmówiłam, choć chętnie obejrzałabym *Big Lebowskiego* jeszcze raz, należał do moich ulubionych filmów. Używałam go nawet jak testu na przyjaźń: jeśli nie lubiłeś Kolesia z *Big Lebowskiego*, mogłeś być kumplem, ale nigdy nie stawałeś się przyjacielem.

- Dzięki, musimy znaleźć Rosiego.
- Spoko, wpadnijcie jeszcze kiedyś. Narka!

Wsiadłyśmy do samochodu i zagapiłyśmy się na dom Kevstera. Matt rozmawiał przez komórkę w swoim SUV-ie, stał dokładnie za nami.

– Ci drudzy to faceci ze spluwami, którzy do mnie strzelali... Nie wygląda na to, żeby współdziałali ze zbirami Terry'ego.

– Czyli oprócz Lee mamy dodatkowych graczy – podsumowała Ally.

– Owszem. Rzecz w tym, że dokładnie wiem, co się stanie z Rosiem, jeśli znajdę go ja albo Lee, nie mam za to pojęcia, co będzie, gdy pierwsi namierzą go tamci.

Ally wciąż patrzyła na dom.

- Jesteś pewna, że powinnyśmy to ciągnąć?
- Jasne, że nie – odparłam szczerze.
- Ale będziemy?
- Nie musi tutaj być żadnego „my” – odparłam.

Spojrzała na mnie.

– Dziewczyno... Na tej wizytówce jest też moje nazwisko. Więc do roboty.

Naprawdę, takie przyjaciółki jak Ally nie rodzą się na kamieniu. Lubiła *Big Lebowskiego* tak samo jak ja, a to mówi samo za siebie.

Pojechałyśmy do Tima, Matt za nami. Zaparkowałyśmy dwa domy dalej, spostrzegłyśmy szalonego Grizzly'ego na ganku, nadal z goglami na głowie. Jego dom stał dokładnie po przeciwnej stronie ulicy, a Grizzly wyglądał tak,

jakby nie schodził z posterunku.

– Musimy z nim porozmawiać. Najwyraźniej ma oko na okolicę – zauważyła Ally.

Racja. Ale i tak nie chciałam z nim rozmawiać.

Zadzwoniła moja komórka, spojrzałam na wyświetlacz. Lee.

Cholera.

Odebrałam.

– Cześć.

– Co robisz? – spytał.

– Szukam Rosiego.

– A niech cię, Indy.

– Jest moim kumplem i pracownikiem; do ciebie nikt nie strzelał i nikt cię nie porwał.

– Zostaw to mnie – zażądał.

– Nie przy aktualnym koszcie usługi – odgryzłam się.

– Dobra, wobec tego nie ma już żadnych kosztów.

Zalała mnie fala ulgi, a zaraz po niej – żalu.

Stłumiłam żal.

– Super, czyli nie muszę już iść z tobą do łóżka?

Ally uniosła brwi.

– Pójdiesz, ale nie w ramach zapłaty za znalezienie Rosiego.

– Lee...

– Wracaj do księgarni. Będę u ciebie po siódmej, zabiorę cię na kolację.

Sapnęłam gniewnie. Ani mi się śniło iść z nim na kolację. Wspólny wypad do knajpy oznaczałby pewnie alkohol, całowanie oraz inne rzeczy, które mogłyby doprowadzić do zmiany mojego planu. A tego zdecydowanie sobie nie życzyłam. Mimo to, z czystej ciekawości, zapytałam:

– Dokąd chcesz iść?

– Barolo grill.

Na chwilę zapomniałam o planie unikania kontaktów Lee.

– O rany! Skąd wiedziałeś? Kocham to miejsce!

– Słoneczko, co roku urządzasz tam swoje urodziny. Nietrudno wpaść na to, że je kochasz.

I się rozłączył.

To, że powiedział do mnie „słoneczko” i pamiętał o tym, gdzie robiłam urodziny, sprawiło, że poczułam motyle w brzuchu.

– O co chodzi z tym, żeby z nim nie spać? – zainteresowała się Ally.

Spojrzałam na Grizzly’ego, potem w lusterko wsteczne. Matt rozmawiał przez telefon i kręcił głową.

– Słyszałaś, jak mówiłam, że ja i Lee chcemy działać powoli?

– No?

– Więc właśnie. Ja wolę wolniejsze tempo, on trochę szybsze.

– Jasne. – Ally uśmiechnęła się szeroko.

– I co się tak szczerzysz?

– A to, że nic nie wyjdzie z twojego „powoli”.

Super.

Wysiadłyśmy z auta i podeszłyśmy do domu Grizzly’ego. Ally parła do przodu jak czołg, jak odwróciłam się i spojrzałam na Matta. Wysiadł z SUV-a, wyjął pistolet zza paska z tyłu, demonstracyjnie wsunął go z przodu. Oparł się o samochód i skrzyżował ręce na piersi.

– Oho, wróciły z ochroniarzem – oznajmił Grizzly w ramach powitania, patrząc na Matta. – Czyli chcecie, żebym traktował was poważnie. Zwłaszcza ciebie, z tym podbitym okiem. Rany, kopnęłaś go chociaż w jaja?

– Skąd wiesz, że przyłożył mi facet?

– Dziewczyny nie walą w twarz.

– Oo? – Nie wiedziałam.

– To jak? – nalegał Grizzly.

– Z czym?

– Kopnęłaś go czy nie?

– Ugryzłam.

– Ugryzła go! – Ryknął śmiechem. – Następnym razem celuj w klejnoty, ja ci to mówię.

– Tak zrobię.

Spojrzał na Matta.

– Będę zgadywał. Stażystki na prywatnego detektywa.

– Nie.

Grizzly odwrócił swoją wielką głowę w moją stronę.

– Łowcy nagród?

– Nie-e.

– Przecież nie gliny – rzucił kpiąco.

– Nie, nie, nie.

– Federalni? – Spojrzał z niedowierzaniem.

– Ja prowadzę księgarnię.

Patrzył na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa.

– A ja jestem barmanką, i chwilowo zastępuję baristę – dodała Ally.

Grizzly nadal się nie odzywał. Dopiero teraz zobaczyłam, że głaszczke kota, który leży mu na kolanach. Dwa inne siedziały na betonowej poręczu werandy, jeszcze jeden spał zwinięty na wycieraczkę ze wzorkiem w kocie łapy.

– Lubi pan koty? – zauważyłam.

– A kto nie lubi?

– Ja lubię – oświadczyłam szybko, zresztą zgodnie z prawdą, chociaż o swojej sympatii dla kotów zapewniłabym tak czy inaczej, przecież facet prócz kota trzymał na kolanach strzelbę.

– Ja też – dodała Ally.

Grizzly spojrzał na Matta, potem na nas.

– Co to za gość?

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi, my też się nim nie przejmujemy.

Grizzly wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno.

– Zrobiliście dobrą rzecz dla pana Kumara. Nie ma tu lekko. Mówił mi, że tamtego dnia kupiłyście najwięcej.

Spojrzałam w dół ulicy na sklep na rogu. Pan Kumar stał na zewnątrz i machał do nas.

Odmachałyśmy mu gorliwie.

– Musimy się o niego troszczyć, no nie? Wszystko przejmuje franczyza. Za

dziesięć lat cały ten naród przejmie franczyza i zamkną się rodzinne sklepy co do jednego. Cholerna franczyza będzie początkiem końca Ameryki. Franczyza i skręcanie na czerwonym. Ludzie, nie skręca się na czerwonym! Pieprzony Nixon.

Nie wiedziałam, co Nixon ma wspólnego z franczyzą i światłami, ale nie zamierzałam spierać się z człowiekiem, który na kolanach ma strzelbę, a na głowie dziwaczne gogle.

– Szukamy przyjaciela Tima Shuberta. Tim mieszka po drugiej stronie...

– Znam Tima. I wiem, kogo szukacie, Kumar mi mówił. Tima odwiedzało wielu gości w ciągu ostatnich dwóch dni. Jego już tu widziałem. – Wskazał głową Matta, potem znów spojrział na nas. – Was też już tutaj widziałem.

– Chodzi o jego przyjaciela... Rosiego: taki mały, żylasty, włosy ciemnoblonde – wtrąciła się Ally.

– Ten od kawy? – spytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Tak, Tim przyniósł mi kiedyś kawę od niego. Ten koleś to geniusz.

– No więc Rosie jest moim koleśkiem od kawy, pracuje w Fortnum, u mnie w księgarni – wyjaśniłam.

– Zmyślasz?

– Nie.

– To była dobra księgarnia, cały dzień mogło się tam czytać książki w spokoju. Starsza pani była w porządku... Nadal tak jest?

– Ta starsza pani to moja babcia. Zostawiła mi księgarnię, gdy zmarła, ja tylko dodałam kawę.

– Myślisz o franczyzie?

– Nie ma opcji! – Uniosłam ręce, tak na wszelki wypadek, gdyby wątpił w moją szczerość.

Pokiwał głową.

– Czyli też jesteś w porzo. Przyszedłbym cię wesprzeć, bo dużo czytam, ale nie mogę stąd zejść. Muszę mieć oko na tę przecnicę.

– Jasne.

Wariat, ale go polubiłam.

Ally podała mu naszą wizytówkę, a on wsunął rękę do kieszeni koszuli i wręczył Ally swoją.

Na wizytówce widniało tylko: „Tex, opieka nad kotami” i numer telefonu.

– Jeśli masz kota i jedziesz na wakacje, wiesz, do kogo zadzwonić. Ale uprzedzam, że podaję suchą i mokrą karmę, nie ograniczam się tylko do jednej. Koty potrzebują dobrej opieki. I trzeba też im czyścić zęby. To ważne.

Pokiwałyśmy głowami i poszłyśmy zobaczyć się z panem Kumarem.

– Ja i Tex szukaliśmy waszego Rosiego, ale go nie znaleźliśmy – oznajmił, gdy doszłyśmy do drzwi.

– Dzięki.

– I Tim gdzieś zniknął... Teraz się tym martwię. Tex chyba też się martwi. Mnóstwo ludzi przychodzi pukać do drzwi Tima. Nigdy nie odwiedzało go aż tylu gości.

– Rosie ma swoich wielbicieli, parzy wspaniałą kawę i ludzie za nim tęsknią – powiedziałam.

– Rozumiem – odparł pan Kumar.

Kupiłam mleko, chipsy kukurydziane, dwie puszki napoju dietetycznego i wszystkie składniki do sałatki makaronowej i do brownie, które chciałam przygotować na grilla u taty. Zapłaciłam dwa razy tyle, niż gdybym zrobiła zakupy w King Soopers, ale Tex miał rację: trzeba wspierać rodzinne sklepiki, zwłaszcza ja powinnam, skoro też prowadzę taki „sklepik”.

Oczy pana Kumara zaszczyły łzami, gdy położyłam zakupy na ladzie.

– Jesteś aniołem prosto z nieba – wykrztusił.

Rozdział 7

Właź do środka, słonko

Razem z Ally pojechałyśmy do mnie, zostawiłyśmy zakupy i wróciłyśmy do księgarni. Puściłyśmy Jane do domu. Same zostałyśmy aż do zamknięcia o szóstej.

Ally wzięła swój samochód, a ja przespacerowałam się dwie przecznice. Matt jechał za mną w żółwym tempie.

Po drodze miałam czas, żeby pomyśleć. Rosie nie mógł po prostu zniknąć, a nie był na tyle cwany, żeby aż tak dobrze się ukryć; skoro Lee nie dał rady go znaleźć, coś musi się za tym kryć. A nawet jeśli mój barista zgarnął diamenty i wyjechał do San Salvador, to gdzie Duke?

Jeśli tylko im obu nic się nie stało (w co bardzo chciałam wierzyć), jeśli Rosie nie wyjechał na poszukiwanie Duke'a (co byłoby głupie, ale możliwe), to musi gdzieś się tu pętać, czekając na kumpla. Gdyby rozbił obóz w pobliżu chaty, już mielibyśmy tam pożar – bo na pewno nie zna się na zasadach bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

Rosie wydawał się typowym samotnikiem, na koncerty i imprezy chodził z mojej inicjatywy i zawsze sam, oprócz Tima, Kevstera, no i mnie, nie kumpłował się z nikim innym.

Wprawdzie nie byłam szpiegiem, detektywem ani mózgiem siatki przestępczej, ale coś udało mi się rozkminić.

Rosie musiał być gdzieś w pobliżu i korzystać z uprzejmości przyjaciół. A skoro nie spiknął się z Kevsterem, a Tim zniknął, Rosie zapewne nawiązał kontakt z tym ostatnim. Może siedział w domu Tima, w piwnicy, z potężnym zapasem chrupek serowych? Może wykradali się tylko na chwilę, gdy w okolicy nikt się nie kręcił... albo żeby rozmrozić pizzę?

A skoro byli razem przez jakiś czas, a potem zniknęli, musiał zostać jakiś ślad, jakaś wskazówka, co się z nimi stało.

Należało odtworzyć ścieżki, którymi chodził Rosie. Na razie wiedziałam tyle, że jego samochód nie stoi przed domem, a do Duke'a wpadł wczoraj rano.

Krótko mówiąc: nie pozostawało mi nic innego jak przegrzebać dom Tima w poszukiwaniu wskazówek. Wszystkie miejsca, które odwiedziłyśmy z Ally, dały nam jedno wielkie okrągłe zero, i to też mógł być ślepy trop. Ale chciałam spróbować.

Ponieważ jednak włamywanie się do cudzego domu jest nielegalne, wolałam nie wciągać w to Ally i nie zamierzałam działać w środku dnia.

Pomachałam wesoło Mattowi na pożegnanie, przesłałam mu pocałunek, weszłam do swojego domu i zamknęłam za sobą drzwi.

Przez chwilę stałam w holu, napawając się szczęściem. Wreszcie u siebie – po raz pierwszy od dwóch dni.

Lubiłam swój kawałek bliźniaka. Sześć lat upłynęło od śmierci babci i dokładnie tyle czasu zajęło mi przerobienie tego miejsca, wypełnionego rzeczami jej i dziadka, na własne gniazdko.

Salon i jadalnia mieściły się na jednej dużej przestrzeni, chociaż kiedyś funkcjonowały oddzielnie. Kuchnia znajdowała się z tyłu, wyraźnie dobudowana później.

Ściany pomalowałam na delikatny brzoskwiniowy kolor, kupiłam żółtozielone fotele, a sofę metalicznie błękitną; zarąbisty stół, po rozłożeniu pomieściłby dwanaście osób, jeśli się ścieśnią. Całość dawała wrażenie lekkości, przestrzeni, nowoczesności i luzu. Podłoga była drewniana i lśniąca; teraz miałam ochotę paść i całować jej deski.

Zamiast tego wzięłam telefon; wkrótce zjawi się Lee, szkoda czasu. Będę musiała poświęcić Barolo Grill, że nie wspomnę o pierwszej w życiu prawdziwej randce z Liamem Nightingale'em. Jeśli teraz się nie pospieszę, stracę kontrolę, poddam się, ulegnę i pójdę z Lee.

Nagle coś do mnie dotarło. Odłożyłam komórkę i zagapiłam się na nią przez chwilę.

Jeśli Lee i jego ludzie zdołali rozbroić alarm, wtargnąć do księgarni, zainstalować kamery i uruchomić alarm ponownie, równie dobrze mogli założyć mi podsłuch w telefonach.

Cholera.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam Matta w samochodzie. Nie planował

odjeżdżać.

Jasny gwint.

Możliwe, że mi odbiło, ale nie chciałam się poddać.

Pobiegłam na górę. Dwa pokoje rozdzielała łazienka, moja sypialnia znajdowała się bardziej z tyłu i miała wyjście na balkon, który był trochę dachem nad kuchnią, a trochę nad podwórkiem wyłożonym cegłami. W pokoju z przodu miałam telewizor i biurko.

Napisałam wiadomość do Lee. Pobiegłam na dół, położyłam ją na pufie, stojącej między sofą a fotelami i pełniącej rolę stoliczka.

Na kartce widniało: „Coś mi wypadło. Innym razem?”.

Nie wiedziałam, czy Lee wejdzie do środka, ale jeśli tak zrobi, na pewno zobaczy kartkę. A jak nie... trudno, nie powieszę jej przecież na drzwiach, żeby Matt teraz przeczytał. Lee pomyśli po prostu, że go wystawiłam, a ja wyjaśnię mu wszystko później albo wymyślę jakieś wiarygodne kłamstwo.

Pobiegłam z powrotem na górę, wyszłam na balkon i po poręczy przedostałam się na balkon sąsiadów. Zapukałam do drzwi ich sypialni.

Mieszkali tutaj Tod i Stevie. Obaj pracowali jako stewardzi w liniach lotniczych, mieli suczkę chow-chow o imieniu Chowleena, bardziej ekstrawagancką niż oni obaj razem wzięci, a biorąc pod uwagę, że Tod był czołową drag queen Denver, to nie było co. Opiekowałam się ich pupilką, gdy wylatywali w rejs, i bardzo ją lubiłam. Rozumiałam jej zachowanie, podziwiałam i szanowałam. Stevie i Tod pasowali do niej. Stevie robił znakomite jajka po benedyktyńsku, miał pogodne usposobienie i całował mnie w policzek na powitanie. Tod potrafił idealnie udawać, że śpiewa *Time and Tide*, rozśmieszał mnie do łez i nosiliśmy ten sam rozmiar sukienek. Ich podwórko było zawsze zadbane i ciche; najlepsi sąsiedzi, jakich można sobie wymarzyć.

Tod otworzył balkon i wytrzeszczył na mnie oczy.

– Dziewczyno, co ty wyprawiasz? I co z twoją twarzą?

Wepchnęłam się jego do sypialni, szybko zamknęłam drzwi i zaczęłam opowiadać.

O strzelaniu, brylantach, moim bariście, paralizatorze, porwaniu, planach seksualnych Lee, mojej miłości, a nawet o Grizzłym w goglach. Wyjaśniłam, że muszę przeczekać u nich, aż Lee przyjdzie i pójdzie, bo w przeciwnym razie do siódmej rano w poniedziałek będę miała złamane serce.

Tod zamrugał.

Potem objął mnie ramieniem i wyprowadził z pokoju.

– Stevie robi grilla. Na pewno wszyscy się najemy.

U nich zawsze znalazłaby się porcja dla mnie, a Toda chyba nic nie mogło poruszyć. Mieszkaliśmy po sąsiedzku od kilku lat, wszystkie moje ekscesy brał na spokojnie, w końcu był przecież drag queen. Chyba musiałabym popełnić morderstwo i doprowadzić do międzynarodowego konfliktu z udziałem koronowanych głów, żeby go wzburzyć.

Stevie przerwał nasz maraton gry w kości: udając wścibskiego sąsiada, wyjrzał, żeby zobaczyć, co robi Lee. Tymczasem Liam Nightingale wszedł jednak do mnie do domu – drzwi otworzył czymś, co zdaniem Stewiego wyglądało jak klucz – a potem wyszedł z kartką w ręku.

– Uuu, nasz przystojniak nie jest zadowolony – oznajmił Stevie.

Poczułam ucisk w żołądku, ale uznałam, że nie czas się teraz tym martwić.

Stevie, nadal wyglądając przez okno, zapytał:

– Przypomnij mi, czemu właściwie nie chcesz z nim pójść do łóżka?

Jejuuu.

Na wieczorną wyprawę związałam włosy w luźny kucyk, włożyłam czarny golf, czarne dżinsy, czarne kowbojki i pas w tym samym kolorze ze strasami na klamrze. Jeśli już mieli mnie aresztować, chciałam dobrze wyglądać mimo sińca na twarzy.

Złapałam torbę i klucze i znów przeszłam przez poręcz. Żeby uniknąć śledzenia, umówiłam się ze Steviem i Todem, że robimy jednodniową zamianę i biorę ich hondę CR-V.

Całą drogę sprawdzałam, czy nie mam ogona, przez co częściej patrzyłam w lusterko niż na drogę. Wypatrywałam, czy coś za mną nie jedzie, głównie szukając crossfire'a, motoru, na którym siedziałby jakiś niezadowolony przystojniak, albo SUV-a. Ponieważ co drugi samochód w Denver to SUV, panikowałam bez przerwy, ale w końcu uznałam, że jednak nikt mnie nie śledzi.

Gdy dojechałam do ulicy Tima, nikogo za mną nie było.

Dobra, do roboty. Chciałam jak najszybciej wejść i wyjść. Nie miałam

pojęcia, co zastanę, ale po cichu liczyłam, że Rosie jednak się tam ukrywa i cały ten bajzel wreszcie się skończy.

Wysiadłam z hondy i cichutko podbiegłam do drzwi.

Ani w domu Tima, ani w sąsiednich nie paliły się światła. Dochodziła północ i choć zaczynał się weekend, tutaj chyba nikt nie planował siedzieć do późna.

Zastukałam do drzwi, nasłuchując, czy ze środka nie dobiega jakiś odgłos.

Nic.

– To ja, Indy Savage, jeśli Rosie tam jest, to przyszłam pomóc, przysięgam! – szepnęłam tak głośno, jak tylko miałam odwagę.

Nadal cisza.

Spróbowałam pchnąć drzwi, zamknięte.

Postanowiłam wejść od tyłu. Po drodze zaglądałam przez okna i sprawdzałam, czy któreś się nie otwiera. Prawie nic nie widziałam, okna były albo zamalowane, albo zamknięte.

– Szlag! – wysyczałam przez zęby.

I wtedy czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu.

Krzyknęłam cicho. Odwróciłam się, oczekując wszystkiego: Lee, zbirów Wilcoxa, policji albo Draculi.

Ale za mną stał Tex. Tym razem miał gogle nie na głowie, ale na oczach.

Przyłożył palec do ust i ułamek sekundy później wybił pięścią szybę.

Popatrzyłam na okno, potem na Texa i znów na okno.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam.

– Wtargnięcie z włamaniem, słonko – odparł spokojnie. Miał na sobie flanelową koszulę i rękawice robocze, właśnie usuwał kawałki szyby z ramy okiennej.

– Nie możesz wybijać komuś szyb! Trzeba było spróbować łomem!

– Przestań się mądrzyć i włącz do środka. – Złapał mnie w pasie, podsadził i wrzucił przez okno, jakbym ważyła tyle co worek mąki. – Uważaj na szkło! – ostrzegł.

Za późno, właśnie wylądowałam na rozbitej szybie i odturlałam się na bok. Miałam nadzieję, że się nie pokaleczę, chociaż byłam zbyt nakręcona, żeby coś poczuć. Zerwałam się, usiłując zobaczyć cokolwiek w ciemności. W domu

roznosił się straszny smród.

Tex władował się tą samą drogą za mną, odwróciłam się, żeby zgromić wzrokiem jego zgarbiony cień.

– Zwariowałeś? – spytałam tego szaleńca. – Wrzuciłeś mnie przez okno!

– Bo jeszcze trochę, a byś się rozmyśliła. Tak to wyglądało.

– W tej ciemnicy nie mogłeś mnie widzieć!

Dotknął gogli.

– Noktowizja.

Szlag.

Niech to szlag, szlag, szlag.

– Nie podoba mi się ten odór – zauważył Tex. Prawie nic nie widziałam, ale słyszałam, jak wciąga nosem powietrze. – Nie pachnie dobrze.

Racja. Smród straszny.

– Stój tu, ja się rozejrzę.

Zobaczyłam, że jego cień się porusza.

– Nie zostawiaj mnie tu!

– Nie bądź babą – usłyszałam jego głos gdzieś z głębi domu. Dziwne, że tak wielki facet potrafi poruszać się tak cicho, prawie nie słyszałam jego kroków.

Stałam w ciemności, myśląc, że pewnie narobiliśmy niezłego hałasu i tylko patrzeć, jak zjawi się policja na sygnale. Wtedy dopiero miałabym przerąbane. Tata dostałby szału, a Malcolm dopilnowałby, żeby Kitty Sue nie zapraszała mnie na grilla z okazji czwartego lipca. Wolałam nie myśleć, co powiedziałyby Hank.

A potem zaczęłam się zastanawiać, czy może ktoś z innych uczestników polowania na Rosiego wpadł na ten sam pomysł, powiedzmy: tej właśnie nocy, powiedzmy: teraz? I powiedzmy, że byliby to właśnie ci sami, co strzelali i, dajmy na to, teraz też z bronią w ręku...

– Tex, gdzie jesteś? – odezwałam się teatralnym szeptem.

Zaczęłam iść w głąb pomieszczenia, a im dłużej szłam, tym bardziej cuchnęło.

– Nie wchodź tu – usłyszałam Texa, gdy dotarłam do źródła smrodu.

Zasłoniłam ręką usta i nos.

– Co to?

Stał nieruchomo, jego zachowanie mnie wystraszyło.

– To Rosie? – Próbowałam dojrzeć coś w ciemnej przestrzeni, chyba w kuchni.

Tex ruszył się, zdjął gogle i założył mi na oczy. Wszystko nabrało zielonego koloru, widziałam teraz o wiele więcej, niestety również ciało mężczyzny na podłodze, z głową przy szafkach. Na twarzy miał ciemne plamy, w głowie dziurę.

– O mój Boże – wykrztusiłam i wtedy w pomieszczeniu wybuchło światło tak jasne, że niemal ośleplam.

Wrzasnęłam zaskoczona, a ktoś położył mi szybko dłoń na ustach i ściągnął gogle z oczu.

– Cicho, do kurwy nędzy.

Lee.

To on zapalił światło. Gdy zyskał pewność, że nie będę już się darła, zabrał rękę z moich ust.

Odwróciłam się do niego. Patrzył na ciało, cały spięty.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

– Właśnie. Co to, impreza? – wtrącił się Tex.

Lee spojrzał na niego zimno, Tex więcej się nie odezwał.

Potem odwrócił się do mnie.

– Jechałem za tobą.

– Nikt mnie nie śledził, sprawdzałam.

Tylko zmierzył mnie wzrokiem. Niech go wszyscy diabli.

– Jesteś z nią? – zaciekawił się Tex.

– Tak – odparł Lee.

Chciałam zaprotestować, że wcale nie, że ja nie jestem z nim ani on ze mną, ale nie odezwałam się ani słowem. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na zwłoki. Leżały spokojnie w jasnym świetle i mogłam zobaczyć nie tylko krew, ale i maź, która wytrysnęła z tyłu głowy i zachlapała ścianę.

To nie Rosie.

Nigdy nie widziałam czegoś tak bezsensownie straszego. To była okropna,

przerazająca, cuchnąca i smutna śmierć.

Zakrztusiłam się. Pomyślałam, że zwymiotuję; Lee wziął mnie szybko za rękę i pociągnął do wyjścia z tyłu.

– Pochyl się i oddychaj głęboko – polecił.

Staliśmy za domem, Lee położył mi dłoń na karku, żebym opuściła głowę. Oparłam ręce na kolanach i wzięłam kilka haustów świeżego powietrza, uwalniając się od odoru śmierci. W końcu udało mi się powstrzymać mdłości. Wyprostowałam się.

Tex dołączył do nas.

– To Tim? – spytałam go.

– Tak.

– O Jezu.

– Błagam, powiedz mi, że niczego nie dotykałaś – poprosił ostro Lee.

Pokręciłam głową.

– I że to nie ty wybiłaś szybę.

– To ja zrobiłem i to przeze mnie tam się znalazła. Wrzuciłem ją do środka przez okno – przyznał się Tex.

Lee spojrzał na niego.

– Słucham? – powiedział głosem, od którego przeszły mnie ciarki.

Ale na Teksie nie zrobił chyba wrażenia.

– Zaczynała się wahać.

Lee przyglądał mu się przez chwilę.

– Ja pierdzielę – w końcu mruknął gniewnie, potem wskazał mnie. – Zostań tu i się nie ruszaj. – Potem dźgnął palcem Texa. – Chodź ze mną.

Rzucił mu gogle i jeszcze raz weszli do domu. Zdziwiłam się trochę, że Tex słucha tych rozkazów, no ale w sumie Lee użył tonu nieznoszącego sprzeciwu.

Usiadłam na trawie, zbyt roztrzęsiona, żeby utrzymać się na nogach, i oparłam czoło o kolana.

Byłam przerażona. To, co tu zastaliśmy, nie wróżyło dobrze Rosiemu, co gorsza, nie wróżyło również dobrze Duke'owi.

W końcu wyszli. Lee zamknął drzwi, pomajstrował chwilę przy klamce, później obaj podeszli do mnie. Lee zdjął cienkie gumowe rękawiczki.

– Rosiego nie ma – poinformował.

– Dzięki ci, Boże. – Wypuściłam powietrze; dopiero teraz poczułam, że wstrzymuję oddech.

Lee wziął mnie za ramię i podniósł.

– Powiadomię Hankę – oznajmił.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Nie możesz! Wścieknie się, że tu byłam!

– Ciebie tutaj nie było, był tylko Tex, zatroskany sąsiad – odparł.

– Zgadza się. Wszyscy wiedzą, że pilnuję tej okolicy. Trzeba zadzwonić. – Tex położył swoją wielką łapę na mojej głowie. – Dałaś radę, jak na dziewczynę. Nie rzygałaś ani nic...

– Dzięki. – Posłałam mu słaby uśmiech. Nie wiedziałam, czy to miał być komplement, ale tak chciałam to zinterpretować.

Tex poszedł do siebie, a Lee pociągnął mnie do mercedesa. Wcisnął przycisk na komórce, czekał na połączenie.

– Lee... – zaczęłam.

Doprowadził mnie do drzwi pasażera i wepchnął do środka. Sam stanął nieruchomo, czekając, aż ten, do kogo dzwoni, wreszcie odbierze. Siedziałam jak skamieniała, zbyt wstrząśnięta tym, co widziałam, żeby ochrzanić Lee za to, jak mnie traktuje.

– Hank, ktoś zadzwoni wkrótce na alarmowy 911. Będę chciał z tobą o tym pogadać. – Cisza. – Tak. – Rozłączył się.

Potem trzasnął drzwiami i usiadł na swoim miejscu.

Odwróciłam się do niego.

– Mam tu samochód, to auto mojego sąsiada. Zostawiłam tam torebkę. Muszę...

Podniósł rękę, uciszając mnie.

– Jedyne, co musisz, to nic nie mówić, dopóki nie wrócimy do mojego mieszkania. Potrzebuję czasu, żeby ochłoniąć i cię nie udusić.

O cholera.

Uznałam, że rozsądnie będzie zrobić to, o co prosi. Miałam ciężkie dwa dni, lepiej, żeby ten czas nie skończył się uduszeniem mnie. Poza tym, jako hardcore,

Lee mógłby uznać, że odpuszcza sobie duszenie na rzecz czegoś bardziej kreatywnego.

Milczał przez całą drogę. W domu zaprowadził mnie do sypialni, wysunął szufladę, rzucił mi podkoszulek.

– Kładź się do łóżka – warknął.

Teraz już się wkurzyłam.

No do cholery. Nie jestem jednym z jego ludzi. Ani dzieckiem. Nie będzie mi mówił, co mam robić, zwłaszcza teraz, po tym, co przeszłam. Do diabła, przed chwilą widziałam zwłoki!

Mogłam zachować pewną uległość na miejscu zbrodni, ale nie teraz.

– Nie – wypaliłam. – Przestań się rządzić. Chcę pojechać do domu, chcę spać w swoim łóżku i chcę...

Urwałam. Lee podszedł do mnie, cofnęłam się, wpadłam na ścianę. Przysunął się do mnie, jego twarz znalazła się blisko mojej.

– Chcesz, żeby twój tata zobaczył zdjęcia policyjne, na których siedzisz, martwa, na swoim ślicznym tyłeczku, z mózgiem rozbryzganym na ścianie?

Niech to.

Ścisnął mi się żołądek, poczułam, jak miękną kolana.

– Nie.

– W takim razie to się musi skończyć, w tej chwili.

Patrzyłam na niego.

– Indy, przysięgam, jeśli nie obiecasz mi...

– No jasne, że się skończy! Rany, przed chwilą widziałam zwłoki! Chyba nie sądzisz, że jestem aż tak głupia!

Jego wyraz twarzy mówił wyraźnie, że owszem, tak właśnie sądzi.

– Lee, do diaska! Rosie to mój przyjaciel! I jest gdzieś tutaj! I oprócz niego szukają Duke'a! A teraz w dodatku zaczęli zabijać ludzi!

– Znajdę i jego, i Duke'a.

Patrzyliśmy na siebie, bardzo długo. Jego brązowe oczy wyrażały determinację i gniew. Próbowałam wmówić sobie, że ten gniew nie jest wymierzony we mnie, lecz nie zdołałam.

Odwróciłam wzrok.

– Przecież nie wiedziałam, co tam zastanę – szepnęłam.

– Mówiłem ci, że to niebezpieczne typy.

Spojrzałam na niego.

– Czym tak właściwie się zajmujesz, że masz powiązania z takim gównianym światem?

Pokręcił głową i odsunął się odrobinę, nie staliśmy już twarzą w twarz, ale wciąż blisko.

– Yy, chyba nie robisz tego ze względu na mnie...? – W końcu odepchnęłam się od ściany i poszłam w stronę łazienki. Po drodze zatrzymałam się na chwilę.

– Nieważne.

Umyłam zęby szczoteczką, którą mogłam już uważać za swoją – stała sobie spokojnie obok szczoteczki Lee.

Próbowałam nie myśleć o swoim planie, który zakładał, że nie będę zbliżała się do Lee, jego samochodu, mieszkania i łóżka, i który już dawno się posypał. Usiłowałam nie myśleć o Timie Shubercie – jego ciało rozkładało się w domu, podczas gdy sąsiedzi martwili się o niego. Usiłowałam nie myśleć, że Rosie i Duke z dużym prawdopodobieństwem skończą w podobny sposób, wcześniej czy później. Usiłowałam nie myśleć o samochodzie Toda i Steviego, który stał teraz w pobliżu miejsca zbrodni. Usiłowałam nie myśleć o tym, jak głęboko w tym siedzę, ani o tym, że Lee radził sobie w tego typu sytuacjach bez mrugnięcia powieką.

Rozebrałam się, włożyłam jego koszulkę. Na piersiach miała logo Night Stalkersów[5]. Była na mnie tak duża, że pewnie bym się w niej zaplątała, śpiąc swoim aktywnym trybem, ale nie zamierzałam mówić tego Lee.

W końcu to zajebicie fajna koszulka.

Poszłam do sypialni, wrzucić ubrania do torby, którą przedtem zostawiłam przy łóżku, ale gdzieś zniknęła.

– Gdzie moja torba?

Lee wszedł do pokoju i zmierzał w moją stronę; ubrania odłożyłam na poręcz fotela.

– Judy ją rozpakowała – wyjaśnił, ani na chwilę nie przystając. Ujął mnie za nadgarstek i zaprowadził do łóżka.

– Judy? – wyjąkałam, myśląc o czymś innym. O rany. Moje rzeczy wiszą obok jego ubrań, moje majtki leżą w jego szufladzie, moja szczoteczka stoi obok

jego szczoteczki, a ja sama spałam w jego łóżku. Jak to się stało, kiedy? Minęły dwa dni, na miłość boską! Jak to powstrzymać?

– Moja gosposia – odparł.

– Masz gosposię? – spytałam zaskoczona. Tym, że ma gosposię, tym, że prawie mieszkam z facetem, którego nie podejrzewałam o zatrudnianie gosposi, i to z facetem, którym jest, uwaga, uwaga... boski Liam.

Pchnął mnie delikatnie; upadłam na łóżko i dopiero wtedy zorientowałam się, co jest grane.

– Lee...

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Pociągnął mi nadgarstki nad głowę, położył się na mnie, usłyszałam szczęk i trzask, potem znowu.

Przykuł mnie kajdankami do łóżka.

– Co ty wyprawiasz! – ryknęłam.

Leżałam na plecach, z rękami przykutymi do poprzeczki w wezłowie łóżka. Lee pochylił się nade mną.

– Wychodzę i chcę mieć pewność, że nie wywiniesz żadnego numeru.

– Nie możesz mnie tak zostawić! A jeśli będzie pożar albo ktoś się tu włamie?

Pokręcił głową, a potem odepchnął się od materaca i zeskoczył na podłogę.

– Nie zrobię nic głupiego! – zawołałam. Byłam tak wściekła, że mój głos zdradzał jasno: pierwsze, co zrobię, gdy mnie już puści, to go zamorduję.

Wrócił, pochylił się i pocałował mnie w czoło.

– Wiem.

A potem zgasił światło i wyszedł.

Niech go szlag!

Zwykle umiem spać wszędzie. Na cudzej kanapie, podwójnym łóżku w cztery osoby (głównie dlatego, że moja nocna aktywność oczyszcza teren), na tylnym siedzeniu vana.

Ostatnio dowiedziałam się też, że mam wiele przydatnych umiejętności, o które siebie nie podejrzewałam: szybka ucieczka, gdy ktoś do mnie strzela,

zachowanie zimnej krwi w czasie porwania, powstrzymywanie mdłości na widok trupa.

Niestety, żadna z nich nie zakładała zaśnięcia z rękami przykutymi do łóżka Lee.

Jakimś cudem udało mi się znaleźć w miarę wygodną pozycję. Próbowałam zasnąć, ale byłam zbyt wściekła. Poza tym, za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam Tima i jego mózg na ścianie.

Długo później skrzypnęły drzwi. Leżałam nieruchomo i słuchałam, jak ktoś wchodzi do apartamentu. Nie zapaliły się żadne światła, człowiek poruszał się cicho jak kot, dochodził mnie jedynie szmer. Wszedł do sypialni. Położył coś na fotelu. Szelest pościeli, potem dotyk rąk na mojej talii, zapach skóry, korzeni i tytoniu. I poczułam, że mam wolne nadgarstki.

Lee.

Szybko odturlałam się na drugi brzeg łóżka, w stronę wolności.

Zanim dotarłam na skraj materaca, Lee objął mnie i zatrzymał.

– Dokąd się wybierasz?

– Dzwonię po taksówkę i jadę do domu – warknęłam przez zaciśnięte zęby.

– Nie.

– To będę spać na kanapie.

– Nie.

Doskonale. Znów zapowiada się to samo.

– To będę spała po drugiej stronie łóżka.

– Nie.

– Jesteś draniem.

– Możliwe.

Cholera.

Położył się na boku, przyciągnął mnie do siebie, objął mocniej w pasie.

Leżałam nieruchomo, gorączkowo rozważając, czy zdołam się obrócić na tyle szybko, żeby kopnąć go w kocze i zerwać się z łóżka.

A potem nagle przed moimi oczami pojawiło się ciało Tima i zaczęłam dygotać. Trzęsłam się jak w gorączce.

– Cholera – szepnęłam.

Lee odwrócił mnie do siebie, przytulił.

Zanurzyłam się w jego ciepłe ciało, usiłując nie płakać.

– Znałaś go? – spytał cicho.

– Nie... – Głos mi drżał; odetchnęłam głęboko. – Może zajrzał do księgarni raz czy dwa. – Odetchnęłam znowu, próbując zapanować na łzami. – Okropna śmierć. Co sobie pomyślą jego rodzice?

Lee gładził moje plecy. Nie odpowiedział, pewnie nie miał pojęcia, co oni sobie pomyślą, i nie chciał się tym katować.

Zaczął gładzić moje włosy, a ja wtuliłam twarz w jego szyję. Ciało miał przyjemnie ciepłe i twarde, oddychał miarowo, spokojnie. Jego dłoń na moich włosach przyniosła odprężenie, ręka na mojej talii dawała poczucie bezpieczeństwa.

Chwilę później już spałam.

Rozdział 8

Nie lubi Nixona

Obudziłam się, ale Lee już nie było.

Nie starczyło mi sił, żeby zastanawiać się, gdzie jest, ani rozkminiać, czy czuję się rozczarowana. Powiedziałam sobie, że nie powinnam żałować, że nie ma obok mnie człowieka, który przykuł mnie do łóżka wbrew mojej woli.

Dwadzieścia po szóstej.

Jeszcze w nocy, gdy leżałam z rękami nad głową i nie mogłam zasnąć, wymyśliłam, że zamknę księgarnię na weekend.

Czasem dobrze być swoim pracodawcą.

Umówmy się, że praca w Fortnum nie była jakoś specjalnie absorbująca. Mieliśmy cztery osoby, a nawet pięć, jeśli kręciła się tam Ally, to znaczy często; mieliśmy otwarte od siódmej trzydzieści do osiemnastej w tygodniu, od ósmej trzydzieści do osiemnastej w soboty i od dziesiątej do szesnastej w niedziele. Pomijając poranny tłok, nie narzekaliśmy na nadmiar roboty, każdy z nas wychodził i wracał, kiedy chciał.

Ale teraz, gdy miałam dwóch pracowników mniej, zaczynało to wyglądać jak praca. A jeśli do tego jeszcze Ally i ja biegałyśmy po mieście w poszukiwaniu Rosiego, Jane musiała zająć się wszystkim.

Nigdy nie ustalaliśmy żadnego grafiku czy sztywnych godzin pracy, każdy pracował tak, jak mu wygodnie, czyli zwykle siedem dni w tygodniu, codziennie wyskakując na dwie godziny, żeby coś załatwić, zjeść obiad albo zrobić zakupy w centrum handlowym Cherry Creek. Można było przyjść później, jak się zaspąło, albo wyjść wcześniej, żeby napić się w Lincoln Road House, miejscowym barze dla motocyklistów. Ludzie brali wolne, gdy chcieli, i nikt nie pracował mniej niż inni. Babcia wprowadziła taki system, my go przejęliśmy i jakimś cudem to działało.

Teraz jednak potrzebowałam wytchnienia po ostatnich dwóch dniach

i wiedziałam, że podobnie jest z Jane i Ally. Miałam nadzieję, że gdy do akcji weszła już policja, do poniedziałku cała sytuacja się wyklaruje. Gdyby jeszcze wrócił Duke, czułabym się szczęśliwa.

Zostałaby tylko pustka po Rosiem. Po zeszłej nocy wiedziałam już, że on prawdopodobnie nigdy nie wróci.

Miałam nadzieję, że gdziekolwiek znajduje się miejsce, skąd już nie wróci, to jest tam żywy.

Zrobiło mi się smutno, odsunęłam od siebie tę myśl.

Wstałam, powlokłam się do łazienki, umyłam zęby. Byłam ledwie żywa, nie tylko z braku porannego strzału kofeiny, brakowało mi również snu. Popatrzyłam w lustrze na swoją twarz; chyba siniak trochę się zmniejszył, a może to tylko cienie pod oczami uwydatniły się bardziej.

Wyszłam z sypialni, żeby zrobić kawę, i stanęłam jak wryta: drzwi do „kwatery głównej” stały otwarte.

Myślałam, że Lee wyszedł pobiegać albo dowodzić najemnikami w wojnie narkotykowej w Peru, albo instalować urządzenia śledzące w moim wozie.

A on w najlepsze gadał sobie przez telefon, jakby siedział w salonie, a nie w siedzibie sztabu międzynarodowego oddziału komandosów.

Normalnie ciekawość kazałaby mi podejść i rzucić okiem, a przynajmniej próbować podsłuchać jego rozmowę.

Ale dziś poszłam prosto do kawiarki.

Są pewne priorytety.

Zaskoczenie: dzbanek prawie pełny.

Co za ulga.

Nalałam kawy do kubka, dodałam mleka i wyszłam na balkon w salonie, pijąc gorący aromatyczny napój. Chłonełam piękno gór.

Widok niesamowity.

Gdy kofeina zaczęła działać, zmusiłam budzący się mózg do stworzenia planu dnia.

Najpierw zadzwonię do Jane i Ally, żeby powiesiły kartkę na drzwiach księgarni. Potem pojedę po samochód Toda i Steviego, następnie do domu i tam zrobię sałatkę makaronową, żeby zdążyła się przegryźć przed grillem. Później miałam się zdrzemnąć, zrobić brownie i przygotować się na imprezę.

Było tak ciepło, że mogłabym spać na podwórku w słońcu zamiast w łóżku.

Zapowiadał się dobry dzień.

Dwie dłonie, niewątpliwie Liama, spoczęły na poręczy balkonu po obu moich stronach. Poczułam jego ciepło na plecach.

Przez chwilę miałam wielką ochotę odwrócić się i z wrzaskiem wydrapać mu oczy za to, że miał czelność przykuć mnie kajdankami do łóżka.

Kilka sekund później pomyślałam o tym, jak mnie wczoraj przytulał, gdy się trzęsłam, jak gładził mnie po włosach, aż zasnęłam, i postanowiłam jednak nie wydrapywać mu oczu.

– Cześć – powiedziałam, gdy odsunął moje włosy podbródkiem i pocałował mnie w szyję.

– Jak się dziś czujesz? – szepnął mi do ucha, a ja poczułam dreszcze na całej skórze.

– Dobrze.

Uprzytomniłam sobie, że w swoich planach nie uwzględniłam „czynnika Lee”.

Nie zdążyłam zrobić korekty, bo odwrócił mnie, zabrał mi kubek z kawą i postawił na stoliku obok. Objął mnie; otworzyłam usta, by coś powiedzieć, a on mnie pocałował.

Mrowienie stało się silniejsze o jakieś tysiąc procent i skoncentrowało się w określonych miejscach.

Jego usta przesunęły się po policzku do ucha. Zapałam się dłońmi o twardą pierś i spytałam, głupio, niepewnie:

– Co robisz?

– Mówię ci „dzień dobry”.

Jego „dzień dobry” było naprawdę dobre. Lepsze nawet niż podziękowanie.

Uznałam, że coś trzeba z tym zrobić.

Całe to flirtowanie było przyjemne (czasem bardzo), ale rzecz w tym, że dziesięć lat temu postanowiłam trzymać się od młodego Nightingale’a z daleka, a teraz nie byłam już taka pewna, czy chcę trwać przy tej decyzji.

No dobra, mimo wszystko postanowiłam spróbować nie zmieniać zdania.

Wprowadzie to Lee, a ja od zawsze pragnęłam właśnie jego, jednak istniało całe mnóstwo „ale”.

Co będzie, jeśli to nie zagra? Co, jeśli mu się znudzi i odejdzie? To przecież wszystko zmieni. Ja popadnę w rozpacz, a oprócz mnie byli jeszcze członkowie rodziny, ludzie ważni i dla niego, i dla mnie.

– Lee, musimy pogadać.

– Mm? – wymruczał, zanim przesunął językiem po linii mojej brody aż do szyi.

– Lee! – Podkuliłam palce u stóp. Czułam, jak moje sutki twardnieją, to już nie żarty.

– Mów... Słucham cię.

Ale nie słuchał. Wsunął mi dłonie pod podkoszulkę.

– Musimy pogadać o tym, co dzieje się między nami – nie ustępowałam.

Jego usta znów wróciły do moich.

– Dobra, zaczynaj.

Pocałował mnie, teraz z języczkiem, i nie miałam wyjścia, musiałam zarzucić mu rękę na szyję, żeby nie upaść.

Gdy oderwał swoje wargi od moich, jedną dłoń położył mi na pośladku i przycisnął mnie mocniej, tak, że poczułam jego przyrodzenie na swoim brzuchu. Dreszcze przeszły po wnętrzu moich ud.

– Nie jestem gotowa... – powiedziałam, chociaż byłam gotowa jak jasna cholera, a moje ciało też okazywało tę gotowość i to coraz większą z każdą sekundą.

– Nie? – Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego oczy miały barwę topniejącej czekolady, wystarczyło, żebym w nie spojrzała, i aż zabrakło mi tchu.

Jego dłoń przesunęła się w górę, ujęła moją pierś; przejechał kciukiem po twardym sutku. Przygryzłam wargę, czując, jak przeszywa mnie prąd od sutka aż do dolnych rejonów.

– Mam wrażenie, że jesteś – odparł.

– Nie o to chodzi – odszepnęłam.

– Rozumiem, mówisz o innych sferach. Zaraz tam sprawdzę. – Uśmiechnął się, zabrał rękę z mojej piersi i sięgnął od razu do...

– Lee! – Szarpnęłam się, trochę z zaskoczenia, a trochę po to, żeby się odsunąć, ale nie było gdzie, mogłam najwyżej wyskoczyć za barierkę

i roztrzaskać się na chodniku czternaście piętér niżej.

Uśmiechnął się szeroko. Mój żołądek zjechał gdzieś w dół brzucha, ręka Lee wróciła na pośladek.

– Porozmawiamy po tym, jak już skończymy się kochać.

Zabrakło mi tchu od tego uśmiechu, nogi się pode mną ugięły, wiedziałam, że nie zdołam się już dłużej opierać. Do oczu napłynęły mi łzy.

Położył mi obie ręce na tyłku i podniósł mnie. Krzyknęłam cicho, odruchowo objęłam go mocno za szyję i splotłam nogi na jego biodrach.

Nióśł mnie do sypialni. Jedną ręką opuściła mój tyłek i znalazła się we włosach – lekko odchylił mi głowę i pocałował w szyję. Położył mnie na plecach i zawisł nade mną, nadal całując.

Odwróciłam głowę i łapiąc się resztek rozsypującej się kontroli, spróbowałam raz jeszcze:

– Spieprzymy to, Lee, wszystko spieprzymy... Ally, Hank, twoi rodzice, mój ojciec... będą zawiedzeni... jesteś na to gotowy?

Zastygł.

Ujął moją twarz obiema rękami i obrócił tak, żebym na niego spojrzała.

Spojrzałam. I nagle poczułam, jak wielki ciężar ląduje na mojej piersi.

Coś się zmieniło, bardzo. Zrobiło się niedobrze. Lee wyglądał inaczej, oczy nie patrzyły już na mnie ciepło, straciły kolor topiącej się czekolady. Jego twarz znieruchomiała.

– Myślisz, że chcę cię po prostu zerznąć?

Pokręciłam głową, gryząc wargę. Zupełnie nie wiedziałam, czego on chce, ale w tej chwili nie zamierzałam mu się stawiać.

– Myślisz, że zbliżyłbym się do ciebie, gdyby to nie było coś ważnego?

O jasny szlag.

Wstrzymałam oddech. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, w których zaczęły się zbierać łzy.

Przesunął ręce na moje biodra.

– Rany, Indy, chodzi mi o coś więcej niż to... – Brutalnie uniósł moje biodra, przysuwając gwałtownie do swoich.

Trzymał mnie tak przez chwilę, patrząc mi prosto w oczy.

A potem puścił.

– Zapomnij o tym.

Oparł się rękami o materac, odepchnął i wstał.

– Co? – zawołałam, totalnie skołowana; moje ciało było zaskoczony brakiem ciężaru Lee, mój mózg dryfował na kofeinowym głodzie.

Młody Nightingale wpatrywał się we mnie, teraz minę miał pustą i twardą. Wyglądał tak, jakby się zamknął w sobie, dokładnie jak wtedy, gdy tata spytał go, czy mnie uderzył.

– Ubierz się.

Zamrugłam.

– Co? – powtórzyłam.

Szarpnięciem podniósł mnie z łóżka, postawił na miękkich nogach.

– Pakuj się, zbieraj rzeczy. Zawiozę cię do domu.

Zamrugłam. Jeszcze raz.

Że co?

– Chwila... – zaczęłam.

A on ruszył do drzwi, mrużąc pod nosem:

– Wiedziałem, że nie powinienem tego zaczynać. Nie jesteś warta kłopotów, które sprawiasz.

Halo!

Patrzyłam na jego plecy zwężonymi oczami.

– Słucham? – warknęłam.

Wyszedł.

Łzy już nie zbierały się w moich oczach. Spływały po policzkach. I to już nie były łzy kobiety bliskiej otrzymania czegoś, o czym marzyła całe życie, i zarazem śmiertelnie przerażonej tą perspektywą; to były łzy wkurwionej babki, bliskiej mordy.

Mazgajskie łzy były niedopuszczalne.

Łzy wkurwu były absolutnie w porządku, dlatego pozwoliłam im płynąć.

Wściekła, zaczęłam szukać swoich rzeczy. Złapałam dzinsy, stanik i podkoszulkę z Def Leppard, czarny pas i wczorajsze kowbojki. Moja torebka leżała na ciuchach na fotelu, widocznie Lee odzyskał ją wczoraj w nocy.

Ani mi się śniło za to dziękować.

Przelatywałam przez szafę i szuflady, zgarniając swoje rzeczy i pakując do torby, a przy tym robiąc niezły bałagan. Miałam to w dupie, bałagan to ostatnia rzecz, którą się przejmowałam.

Wpadłam do łazienki, złapałam swój żel do twarzy; szczoteczkę do zębów mógł sobie śmiało zatrzymać. Gdy wpadłam do salonu, stał w wejściu, oparty o framugę.

– Gotowa? – spytał z kamienną twarzą.

– Jak cholera – odparłam. Upychałam rzeczy w torbie, żeby dała się zapiąć. – Jesteś powalony, pieprznęty w łeb – oznajmiłam. – Załóżcie sobie klub razem z Texem. Myślisz, że po tych wszystkich latach skiniesz na mnie palcem, a ja przylecę w podskokach, nie zadając ci żadnych pytań? Chciałam tylko pogadać! Nie prosiłam o żaden heroiczny czyn, żadną walkę z tygrysem! – Ciuchy wysuwały się z torby, wdusiłam je mocniej, mówiłam dalej: – Zostawiasz mnie, rozpaloną i nabuzowaną emocjami, i to po raz drugi! – Zatrzymałam się, wycelowałam w niego dwoma palcami, a potem wróciłam po torbę i założyłam ją na ramię. – Sprawiam więcej problemów, niż jestem warta? Ha! – Chciałam go wyminąć. – I nie kłopotz się, trafię do domu – rzuciłam jeszcze. – Wezwę taksówkę. Zadzwońię do Ally. Albo do taty. Mam już dość twoich przysług! – Ostatnie słowa wykrzyczałam mu prosto w twarz, stając na palcach.

Gdy skończyłam, on nadal stał w drzwiach, a ja przed nim, zbyt blisko, żeby czuć się swobodnie. Wciąż płakałam, twarz na pewno miałam czerwoną od łez i ze wściekłości.

– Zejdź mi z drogi – zażądałam.

Nie ruszył się.

– Powiedziałam: z drogi! – wrzasnęłam.

– Dlaczego płaczesz? – zagaił.

– Bo mnie wkurwiłeś.

– Płaczesz, bo jesteś wściekła?

– Wyobraź sobie. Weź się stąd!

Błyskawicznie złapał moją torebkę i cisnął nią przez pokój.

Patrzyłam, jak leci, jak ląduje z powrotem na fotelu, spojrzałam na Lee

rozszerzonymi oczami.

– Co do... – zaczęłam.

Zdjął mi z ramienia torbę i też rzucił przez pokój. Wylądowała na podłodze z miękkim plaśnięciem, pół metra od fotela.

Znów spojrzałam na Lee. Zatkaną mnie, więc się tylko na niego gapiłam.

Podniósł ręce do mojej twarzy, przesunął kciukami po policzkach, by otrzeć łzy.

– Nie płacz – polecił.

Poczułam suchość w ustach.

– Nie możesz mi tak po prostu kazać – warknęłam.

– Jak bardzo rozpalona i nabuzowana byłaś?

Słowo honoru, to chyba najlepszy moment na kop w jaja.

– Zejdź mi z drogi – warknęłam, uwolniłam twarz z jego rąk i cofnęłam się po rzeczy.

Złapał mnie za rękę, przyciągnął do siebie.

– Przestań! – zawyłam, gdy mnie przytulił.

Jego twarz nie była już pusta, znów wróciła łagodność. Serio, to totalny świr.

– Nie. Teraz zabiorę cię do łóżka i będę się z tobą kochał. Potem pojedziemy do twojego taty na grilla. A jeszcze potem porozmawiamy.

Poruszyłam głową, żeby się uwolnić.

– Przykro mi, ale już sobie inaczej zaplanowałam wieczór – oznajmiłam.

Objął mnie.

– Kochanie. Po tym, co powiedziałaś, zrozumiałem, że masz o mnie błędne wyobrażenie. Dzisiaj chcę ci pokazać, kim jestem. Wieczorem wyjaśnię ci, czego chcę. A jutro na spokojnie podejmiesz decyzję.

Przeszywałam go wzrokiem.

– Znam cię od zawsze – przypomniałam.

– Nie masz na mój temat zielonego pojęcia.

Poczułam strach, ciekawość i upojenie na widok obietnicy na jego twarzy.

Pokręciłam głową.

– Muszę jechać do księgarni, zabrać samochód sąsiadów i zrobić sałatkę

makaronową.

– Matt już ściągnął ich wóz, do księgarni może iść Ally, a sałatkę mają w King Soopers.

– Nie.

Jedną rękę znów wsunął w moje włosy, przechylił mi głowę do tyłu i w bok, odsłaniając szyję; chwilę później znalazły się tam jego usta.

– Tak – wymruczał w moją skórę, prowadząc mnie w stronę łóżka.

– Przestań, jesteś walnięty! W jednej chwili każesz mi się pakować, a w drugiej rzucasz się na mnie jak wariat!

Nogami uderzyłam w bok ramy, upadłam na materac, Lee wylądował na mnie, jego wargi przywarły do moich.

– Śliczna, daj mi dziesięć minut, a będę w tobie.

Obietnica i słowo „śliczna” wywołały mrowienie w dolnych partiach ciała. Znowu mnie pocałował. To koniec.

Co mogę powiedzieć: poddałam się.

Chyba chciałam, żeby pokazał mi, kim jest, powiedział, czego chce, i nie miałam już siły czekać ani chwili dłużej.

Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi: trzy krótkie sygnały, jeden długi.

Lee przerwał pocałunek i oparł swoje czoło o moje.

– To się, kurwa, nie dzieje.

– Co to?

– Kod, pilne. Ja pierdolę. – Oparł ręce o łóżko i wstał, zaczął iść do drzwi, ale wrócił. – To jak bardzo rozpalona i nabuzowana jesteś teraz?

– W skali od jednego do dziesięciu?

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu; wyszedł z pokoju.

Cholerny cwaniak.

Leżałam na łóżku, patrzyłam w sufit i zastanawiałam się: co to było?

Moja komórka zadzwoniła, więc przetoczyłam się na łóżku, wzięłam torebkę i zobaczyłam, że to Andrea. Pewnie pragnęła aktualizacji w kwestii „seks Indy i Lee”. Ale się rozczaruje.

Odebrałam.

– Nie, nadal tego nie zrobiliśmy – rzuciłam bez żadnego wstępu.

– Oho, wyczuwam złe wibracje.

– Rozmawiamy przez telefon, jak możesz coś wyczuwać?

– Znam cię prawie dwadzieścia lat. Mogę.

No to opowiedziałam, jak było. O tym, że Lee się wściekł i prawie mnie wyrzucił, ale później zmienił zdanie; przekazałam całą tę jego przemowę, że wszystko mi wyzna, a ja zdecyduję, co dalej.

Andrea nie odzywała się przez chwilę.

– Nic dziwnego, jego własna reputacja robi mu krzywdę, a taka reputacja to nie byle co. Gorszy od Lee był chyba tylko jego kumpel Eddie, zupełnie jakby się ścigali, który poderwie więcej lasek. Pewnie nie jest zabawnie, jeśli słyniesz z tego, że przeleciałeś wszystko, co się da, i kosztowało cię to najwyżej uśmiech, a potem nagle masz poważne zamiary wobec kobiety, która zna cię od zawsze, wie, z czego słyniesz, i teraz musisz ją przekonać, że jest inaczej.

No tak, Andrea urodziła czworo dzieci, a ludzie wciąż o niej plotkowali.

Tu miała rację.

Usiadłam na fotelu, próbując nie zwracać uwagi na ściśnięty żołądek.

– Uważasz, że on myśli o mnie poważnie?

Nie odpowiadała przez chwilę.

– To miało być śmieszne?

– Ale że ja jestem śmieszna czy o co chodzi?

– Nie do wiary... Posłuchaj. Na imprezę sylwestrową do Kitty Sue i Malcolma przyszedł z takim gościem, jak on się nazywał...

O rany, nie pamiętałam nawet jego imienia.

– Yy, Brad? Brett?

– Nieważne. No więc, gdy Lee nie patrzył na ciebie wzrokiem, który, umówmy się, przyspieszyłby oddech każdej kobiecie w tamtym pokoju, zerkał na tego Brada czy Brettę tak, jakby chętnie go zabił.

– Nie mów!

– Mówię.

O kurczę.

– No więc: owszem, traktuje cię poważnie – ciągnęła. – I nie sądzę, żeby Liam Nightingale ucieszył się, że babka, którą traktuje poważnie, kwestionuje ten fakt, podczas gdy on... no wiesz.

O cholera.

O cholera, cholera, cholera.

– Dobra, zadzwoń do mnie, jak już będziecie mieli to za sobą. Żądam szczegółów!

Jasne.

Andrea się rozłączyła. Gdy tylko to nastąpiło, moja komórka znów zadzwoniła.

Ally.

Wzięłam głęboki wdech i rzuciłam lekko, udając, że wszystko super:

– Co tam, mała?

– Słuchaj, miałam z dziesięć telefonów, wszyscy widzieli Rosiego i Duke'a! Musimy jechać!

Od razu mnie poderwało, trzeba przyznać, że praca detektywa zdążyła mnie wciągnąć.

A potem przypomniałam sobie ostatnią noc i westchnęłam.

– Nic z tego. Tex, ten opiekun kotów, i ja włamaliśmy się do domu Tima zeszłej nocy. Znaleźliśmy go na podłodze w kuchni... nie wyglądał dobrze.

Ally odezwała się po długiej chwili.

– Poszłaś tam beze mnie? Z tym stukniętym kocim tatusiem?

– To było włamanie z wtargnięciem! Tex zjawił się w środku akcji... Ally, znaleźliśmy ciało Tima, wierz mi, wołałabyś tam być. To już koniec, Lee nadał sprawę Hankowi.

– A twój zakład?

Pomyślałam o planach Lee na ten dzień. I o tym, co wyłożyła mi Andrea.

– Chyba przegrałam.

Właściwie przestało mi na tym zależeć.

– No, wreszcie jakaś dobra nowina – wymruczała Ally.

Powiedziałam jej o zamknięciu księgarni na weekend, a ona, że zadzwoni do Jane, jeśli powieszę kartkę. Rozłączyłam się i ruszyłam do kuchni.

Siedział tam Matt i jeszcze jeden gość, miał prawie dwa metry i wyglądał jak syn Texa, tylko bez brody i z dużo większym kontaktem z rzeczywistością.

– Cześć – rzucił Matt.

Przechyliłam głowę i się uśmiechnęłam.

– Siemanko.

Lee stał w kuchni z pięściami opartymi na biodrach i bez słowa obserwował tę wymianę uprzejmości.

Dopiero teraz zauważyłam, że zdążył wziąć prysznic. Jego ciemne włosy, nadal wilgotne, zawijały się na szyi i za uszami. Potrzebowały fryzjera, chociaż i tak wyglądały dobrze. Bardzo dobrze. Zbyt dobrze. Lee stał boso, miał na sobie swoje święte spłowiałe dżinsy i czerwony T-shirt, opinający ciało w odpowiednich miejscach.

Gdy znalazłam się obok, zgarnął mnie szybko, zakładając mi rękę na szyję; uderzyłam piersią o jego bok i wtedy objął mnie za ramiona. Widziałam, jak z twarzy Matta odpływa krew, zrozumiałam, że zrozumieli. Gdyby Lee zaczął bębnić pięściami w pierś i wołać: „Indy, moja kobieta”, przekaz nie byłby bardziej jasny.

Faceci.

Lee przedstawił mi drugiego gościa jako Bobby’ego i obwieścił:

– Znaleźliśmy Duke’a.

Spięłam się cała. Nie byłam w stanie przyjąć żadnych złych nowin, a już na pewno nie o Duke’u.

Odchyliłam głowę, żeby spojrzeć Lee w oczy i zanim zdążyłam się powstrzymać, powiedziałam po cichu:

– Proszę.

Jego oczy znów miały kolor czekolady; przesunął dłonią po moim policzku.

– Nic się nie stało. Zajechali na imprezę do Sturgis. Już wszystko wie i wraca do domu.

Cały Duke. Tylko on mógł skoczyć „przejazdem” na imprezę z Western Slope w Colorado do Dakoty Południowej.

Dzwonek do drzwi odezwał się znowu, oderwałam się od Lee, żeby otworzyć.

W progu stał Hank.

Powitał mnie uśmiechem, weszliśmy do kuchni objęci.

– Czyli co, jednak się myliłaś? Nie rozstaniecie się z Lee jeszcze przed imprezą twojego taty? – rzucił żartobliwie.

Spojrzałam szybko na Lee, uniósł brwi.

O kurczaki.

– Taak, nie miałam racji – mruknęłam.

Hank puścił mnie i popatrzył na brata, teraz bardzo poważny.

– Musimy pogadać o zeszłej nocy.

– Tak?

– Ktoś chciałby kawy? – spytałam.

Hank spojrzał na mnie, na Lee.

– Może powinniśmy pójść do centrum dowodzenia – rzucił.

Wargi Lee drgnęły, ale nie skomentował nazwy, tylko powiedział:

– Możesz mówić przy Indy.

Hank szybko wciągnął powietrze przez nos i wypuścił.

– Tego się właśnie obawiałem.

Rozdałam kawę, wszyscy pili czarną, z wyjątkiem mnie. Usiadłam na blacie i słuchałam.

Hank zaczął mówić.

– Myślą, że mają włamywacza. Shubert został zamordowany ponad dobę temu, ale znaleźli na miejscu ślady świeżej krwi, intruz skaleczył się o rozbitą szybę. Ich zdaniem zabójca wrócił, bo czegoś szukał.

Odruchowo zerknęłam na swoje ramię, to, którym upadłam na szkło, i odsunęłam rękaw, żeby zobaczyć, czy się nie skaleczyłam. Wprawdzie wczoraj nic nie zauważyłam i nie poczułam, ale wtedy byłam napompowana adrenaliną i mogłam to przegapić.

Dopiero kilka sekund później zrozumiałam swoją głupotę i bardzo powoli odwróciłam się do facetów.

Lee trzymał jedną rękę na pasie, w drugiej miał kubek i gapił się w podłogę. Byłam pewna, że stara się nie uśmiechnąć (w każdym razie taką miałam nadzieję). Matt i Bobby, którzy pewnie „sprzątali” po zeszłej nocy i znali całą historię, patrzyli na mnie z uśmiechem.

Hank wbił we mnie wzrok tak, jakby ujrzał makabryczny karambol na drodze.

Potem przeniósł spojrzenie na Lee.

– Bałem się, że to twoja krew.

Matta i Bobby’ego chyba zatkało.

Nawet Lee był zdumiony.

– Nie zostawiłbym krwi na miejscu zdarzeń. Do licha, to nawet nie ja wybiłem to cholerne okno.

Spoglądałam na młodszego Nightingale’a, dręczona niezbyt przyjemną myślą, czy często zdarzało mu się „nie zostawiać” krwi na miejscu zdarzeń.

Hank znów popatrzył na mnie.

Oho.

– Proszę, powiedz mi, że nie masz z tym nic wspólnego.

Usiłowałam wyglądać bardzo niewinnie, a to niełatwe, zwłaszcza z Hankiem, który jest bystrzaczą i świetnie mnie zna.

– Z czym? – udałam głupią.

– Indy, przysięgam na Boga... – zaczął.

Lee głośno odstawił kubek, wziął mój, też odstawił, potem ściągnął mnie z blatu i zaprowadził do sypialni.

Zamknął drzwi.

– Zdejmij bluzkę.

– Co? Teraz? – wytrzeszczyłam na niego oczy.

Błyskawicznie zdjął mi T-shirt przez głowę; co za szczęście, że miałam na sobie stanik.

– Na co upadłaś? – spytał, a ja nadal wlepiałam w niego oczy osłupiała. – Gdy Tex wrzucił cię przez okno... na co upadłaś?

A, o to mu chodzi...

– Na tył prawego ramienia – wyjaśniłam.

Odwrócił mnie, zbadał palcami skórę, potem, zanim zorientowałam się, co chce zrobić, odwrócił mnie do siebie, rozpiął mi dżinsy i ściągnął je do kostek.

– Do jasnej cholery, Lee! – zawołałam.

Rozebranie mnie zajęło mu sekundę. Nie wierzyłam, że to możliwe, gdybym tego nie doświadczyła.

Chciałam się schylić i podciągnąć spodnie, ale on przesuwając palcami po moich biodrach, łydkach i udach.

Potem podniósł dzinsy, oderwał moje dłonie od zapinania rozporoka i sprawdził palec po palcu.

– Jesteś czysta – oznajmił.

– Wielkie dzięki – warknęłam.

Podniósł mi ręce do góry, naciągnął na mnie koszulkę. Zapięłam suwak, potem guzik i pasek.

– Czy to było konieczne?

Posłał mi swój klasyczny uśmiech, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Nie, ale za to zabawne. – Pocałował mnie w nos i wyszedł z pokoju.

Szłam tuż za nim, sztyletując go wzrokiem i planując morderstwo.

– Indy nie ma z tym nic wspólnego – oznajmił Hankowi i przysięgam, że Bobby parsknął po cichu śmiechem.

Hank patrzył na mnie zmrużonymi oczami.

– Mamy wysłać kogoś, żeby sprawdził też Ally?

Pokręciłam głową, teraz otaczała ją wielka świetlista aureola.

– Nie widzę takiej potrzeby.

– Dać ci pół godziny, żebyś mogła zadzwonić do Ally i zadać jej to pytanie? – drążył.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Po co miałabym to robić?

– Dzięki ci, Boże. – Hank odetchnął, zwracając oczy ku górze, jakby chciał się upewnić, że Bóg widzi jego wdzięczność. Potem znów przeniósł wzrok na mnie. – Czy jest coś innego, co chciałabyś mi powiedzieć?

Zastanowiłam się.

– Tylko tyle, że jak już się dowiecie, czyja to krew, to pamiętajcie, że istnieją różne rodzaje włamań. Niektóre są wstrętne, a inne całkiem w porządku.

Lee zasłonił mi usta i przyciągnął moją głowę do siebie.

Chciałam zawołać „hej!”, zabrzmiało to jak „hrr”.

Bobby wyszedł do salonu, słyszałam stamtąd jego stłumiony śmiech. Matt zapatrzył się w sufit, jakby znalazł tam coś fascynującego.

Hank spojrzał na Lee, potem na mnie.

– Sprawdziłem Texa MacMillana, jest notowany. Weteran z Wietnamu, jeden z tych, którzy nie doszli do siebie po powrocie do domu. Wdepnął w nieźle gówno z powodu narkotyków. Nie brał, tylko wymierzał sprawiedliwość tym, którzy je sprzedawali. W więzieniu było mu bardzo ciężko, zryło mu psychikę. Odkąd wyszedł, prawie nie schodzi z ganku, i tak już dwadzieścia lat. Od czasu do czasu strzela ze śrutówki do kogoś, kto próbuje ukraść radio z samochodu na jego ulicy, ale nikogo nie ranił śmiertelnie. Nie byłoby dobrze, gdyby wplątał się w morderstwo, i na pewno nie przetrzyma kolejnego wyroku, a jako człowiek już notowany, może taki dostać, nawet jeśli jego włamanie należałoby do tych „w porządku”.

Lee wciąż trzymał mnie przy sobie, zasłaniając mi usta. Hank nadal mnie obserwował.

– Masz coś, co pomogłoby wyciągnąć z tego Texa?

Oderwałam rękę Lee od swojej twarzy i wysapałam:

– Znam Texa. Robiłam zakupy w sklepie pana Kumara, ulicę dalej. Tex nie skrzywdziłby muchy, no chyba że ktoś byłby Nixonem, bo zdaje się, że Nixona bardzo nie lubi. Ale Nixon nie żyje, więc reszta ludzkości może czuć się bezpieczna. Jeśli jakimś cudem padłby na niego cień podejrzenia, zaświadczę, że jest dobrym człowiekiem.

Słyszałam stłumiony śmiech Bobby’ego z salonu, Matt położył twarz na łokciu na blacie, ramiona mu się trzęsły, Lee przycisnął mnie do swojego boku, obejmując ramieniem.

– To nie są żarty – odezwał się cicho Hank. – Mamy do czynienia z zabójstwem. Gość nie żyje, jego mózg jest rozbryzgany na ścianie.

– Wiem – odparłam równie cicho.

Hank spojrzał szybko na Lee.

– Powiedz mi, że już z tym skończyła.

Twarz Lee była bardzo poważna.

– Skończyła.

Hank skinął głową.

– A teraz ty mów, co masz dla mnie.

– Duke się znalazł – oznajmił Lee. – Wie już, co się dzieje, i wraca do domu. Przetrzepali mu chatę.

Oślupiałam.

– Ktoś go cichcem odwiedził? – spytałam.

– Tak.

– Czy ten ktoś był spoko czy raczej nie?

– Oba przypadki, i ten mniej spoko zrobił mu kipisz.

– Znaleźliście brylanty?

Lee wymienił z Hankiem spojrzenia, których nie zrozumiałam, wzruszył ramionami.

– Duke nie powiedział, gdzie je ukrywa; dowiemy się dopiero, jak wróci do domu.

Popatrzyłam badawczo na obu braci. Wyraźnie czułam, że coś się tutaj święci.

Hank zerknął na Matta, który wyprostował się już i teraz spokojnie słuchał i obserwował.

– Mam nadzieję, że ty i twoi ludzie jesteście ostrożni – zwrócił się znów do Lee. Chyba mówił już o czymś innym.

– Działamy dla klienta.

Kolejna wymiana spojrzeń, Hank westchnął jak człowiek udęczony, cmoknął mnie w czubek głowy i wyszedł. Matt i Bobby czekali.

– Nie przejmuj się tym, co Hank mówił o Teksie – uspokoił mnie Lee. – Próbuje cię wystraszyć, żebyś trzymała się od tego z daleka. Wszystko będzie w porządku.

Skinęłam głową.

– Musimy przesunąć nasze plany – mówił dalej. – Zawiozę cię do księgarni, potem sprawdzę jeden trop Rosiego. I muszę pogadać z Texem. Będę u ciebie nie później niż o trzeciej, może uda się wcześniej.

Znów skinęłam głową.

– Wiesz, że Rosie był pod domem Duke’a? – powiedziałam jeszcze.

Wziął mnie za brodę i delikatnie uniósł mi głowę.

– Przygotuj się na najgorsze. Rosie może już nie żyć, a jeśli żyje, może nie pobyć długo na wolności – stwierdził i na oczach swoich chłopaków, pocałował mnie mocno, namiętnie i głęboko.

Objął mnie, a ja założyłam mu ręce na szyję.

– W skali od jednego do dziesięciu, to przerzuca mnie od razu do szóstki.

Stary dobry Lee śmiał się często, ale pobyt w wojsku go zmienił. Rzadko się uśmiechał, jeszcze rzadziej śmiał, a już wybuch śmiechu nie zdarzał się prawie nigdy.

A teraz, po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszałam i zobaczyłam, jak Lee wybucha śmiechem.

Rozdział 9

Nowa definicja „bycia spoko”

Lee wysadził mnie pod księgarnią, pocałował szybko i odjechał.

Patrzyłam na jego samochód i próbowałam wyłączyć myślenie.

Nie dało się.

Usiłowałam nie myśleć o zeszłej nocy ani o tym poranku. Czułam niesamowitą radość i przerażenie jednocześnie. Zaczynało do mnie docierać, że Lee powiedział wtedy Kitty Sue, że jesteśmy razem nie dlatego, że to właśnie pragnęła usłyszeć, i nie dlatego, że musieliśmy jakoś wyjaśnić tamtą sytuację, ale dlatego, że... byliśmy.

Byliśmy razem.

Liam Nightingale i India Savage.

Istniały dowody, że Andrea ma rację: traktował mnie poważnie.

O mój Boże.

Powiesiłam informację „W weekend zamknięte” i poszłam do siebie.

W domu poczułam się tak, jakby nie było mnie w nim co najmniej tydzień, a nie dwa dni.

Próbując nie rozmyślać o Lee, nastawiłam wodę na makaron, otworzyłam tylne drzwi, żeby zrobić przewiew (bez skutku) i sprawdziłam skrzynkę głosową.

Siedemnaście wiadomości.

Co prawda nie włączałam nagrań kilka dni, ale siedemnaście? Przesłuchałam je, wybierając składniki na sałatkę; sądziłam, że większość wiadomości będzie dotyczyć Duke’a albo Rosiego.

Mylłam się.

Więc o tym, że ja i Lee jesteśmy razem, rozchodziła się coraz dalej i każda moja przyjaciółka, każda kumpela, nawet te, które wyjechały z miasta, nawet ta,

która mieszkała teraz w Londynie, uznały, że muszą do mnie zadzwonić i usłyszeć nowinę z pierwszej ręki. Dzwoniły również Marianne i Andrea (Marianne dwa razy), domagając się aktualizacji.

Dla wszystkich znajomych (kobiet) mój związek z Lee okazał się wiadomością tygodnia. Lee był niczym Święty Graal – a pamiętajmy, że spędziłam na tej „wyprawie” długie bezowocne lata.

I teraz dziewczyny żądały informacji, jak najwięcej.

Gdybym napomknęła choć słowem, jak to jest całować się z Lee, jakie to uczucie, gdy cię trzyma w ramionach, albo, o dobry Boże, jak młody Nightingale wygląda nago, mogłabym spowodować zamieszki, ba, nawet wojnę. Musiałabym się uzbroić, bo inaczej Lee zostałaby rozszarpany na strzępy.

Stwierdziłam, że dla dobra sprawy, pokoju i pomyślności całej kobiecej populacji będzie znacznie lepiej, jeśli nie puszczę pary z ust.

Wprawdzie trochę już wygadałam Andrei, ale ja strzegłam jej tajemnicy o Richim Samborze, więc ona też nie wyjawia mojej.

Zaparzyłam dzbanek mocnej kawy i zaczęłam kroić korniszony, potem cebulę, pozwalając myślom swobodnie dryfować.

Lee dał do zrozumienia, że dużo dla niego znaczę, i to budziło radość, której nie zamierzałam tłumić. Nie chciał, żebym sądziła, że zależy mu tylko na bzykaniu. Nie chciał, żebym płakała. Nie chciał, żebym się trzęsła. I absolutnie nie podobało mu się, gdy Straszny Teddy uderzył mnie w twarz.

Wzdrygnęłam się na myśl, co się stanie, gdy chłopaki Lee jednak znajdą Teddy’ego i mu przytargają tego typa.

Co z kolei prowadziło mnie do innego punktu: kim Lee jest tak naprawdę. Powiedział, że prawie w ogóle go nie znam, i biorąc pod uwagę, jak bardzo zaskakiwał mnie przez ostatnie dwa dni, chyba miał rację.

Zestawmy fakty.

Myślałam, że traktuje mnie jak młodszą siostrę – a jednak tak nie jest.

Ma ludzi, którzy dla niego pracują, przynajmniej dwóch, a jeśli liczyć Judy, gosposię, to troje. A może być ich nawet więcej. To oznacza odpowiedzialność; ludzie mogą na niego liczyć, ufają, że im zapłaci, że będą mieli co jeść i gdzie spać. To z kolei znaczy, że Liam Nightingale jakoś dorósł.

Ja natomiast robiłam wszystko, żeby nie wydorosnąć. Babcia zawsze miała wiosnę w sercu; pamiętam, jak dziadek mawiał: „Ellen, pewnego dnia będziesz

musiała dorosnąć”, a ona zawsze odpowiadała: „Dlaczego miałabym robić takie głupstwo?”.

Zgadzałam się z nią. Dorastanie wydawało się niezbyt fajne, oznaczało torbę z pieluchami, prasowanie ubrań i pilnowanie wydatków. Krótko mówiąc: nuda, której wolałam uniknąć.

Kolejna rzecz. Odnosiłam wrażenie, że Lee lepiej radzi sobie z naszą relacją niż ja. Jesteśmy razem dwa dni, a on swobodnie mówi o tym, dokąd pójdziemy na kolację albo o której odbierze mnie z księgarni. Czuł się dobrze ze mną w swoim łóżku, w swoim domu, z moimi ubraniami w jego szafie, z moją szczoteczką obok jego szczoteczki.

Jak to możliwe, skoro zwykle traktował kobiety jak powietrze – nie wiedziałam.

Mój najdłuższy związek trwał zaledwie osiem miesięcy, ale nie bez powodu – żaden z tamtych mężczyzn nie był Lee.

Czy teraz, gdy już się połączyliśmy, mogłabym go odstraszyć rzucaniem się przez sen na łóżku? Chyba nie, z tym poradził sobie zaskakująco szybko. Były jeszcze szalone wypady z Ally, ale te znał od dawna i uważał za zabawne. Miałam też niezwykły talent do robienia głupot, jednak on wykazywał się niepokojącą umiejętnością sprzątanego bałaganu, który robiłam. No i była też moja potrzeba niezależności oraz przestrzeni, chociaż z tym już sobie poradził, wrzucając mnie do swojej przestrzeni, całkiem przyjemnej, z zajebistym widokiem i gosposią.

Hm.

Ale była jeszcze ta druga, niepokojąca strona Lee.

Mój tata – gliniarz – wykonywał zawód bardziej niebezpieczny niż większość innych, a ja żyłam z tym od zawsze. Znałam to i rozumiałam. Nie byłam tym zachwycona, ale czułam dumę: to jeden z tych pozytywnych gości, dzięki którym świat staje się trochę bezpieczniejszy. Świat potrzebuje takich ludzi jak tata, Malcolm i Hank, i ludzie w ich życiu muszą dać im pole do działania, bo inaczej wszyscy mielibyśmy przerąbane.

A Lee... No właśnie.

Śmierć nie robi na nim wrażenia. Najwyraźniej w tym świecie, jasnym i słonecznym, który zamieszkuje ja, czuje się równie swobodnie jak w tym półświatku, z którego, miałam nadzieję, wkrótce wyjdę.

Dla Lee kryminaliści są zwykłymi ludźmi.

Dla niego grzanie slalomem po zatłoczonej Speer Boulevard to jak niedzielna przejażdżka.

Czuł się obrażony sugestią, że mógłby spieprzyć włamanie. Emanował takim autorytetem, że nawet tacy szaleńcy, choćby Tex, wykonywali jego polecenia bez szemrania. Był tak niebezpieczny, że nawet Gary Gnat czy oblech Terry Wilcox z trudem ukrywali strach.

Odcedziłam ugotowany makaron i zostawiłam na durszlaku do wystygnięcia.

Potem poszłam na górę, posmarowałam się olejkiem do opalania (cudownie pachniał kokosami), włożyłam turkusowe bikini ze srebrną zapinką między piersiami i takimi samymi na biodrach, a na koniec obwiązałam się sarongiem i zrobiłam z przodu duży supeł.

Teraz mogłam już tylko czekać na to, co Lee zamierzał mi powiedzieć.

Obiecał, że pokaże, kim jest i czego chce, a ja podejmę decyzję.

Do radości i strachu dołączyło podekscytowanie.

Czułam się jak przed Bożym Narodzeniem.

Właśnie kończyłam swoją sałatkę makaronową, gdy tylne drzwi trzasnęły głośno i do kuchni wpadł Rosie.

Z bronią w ręku.

Z tej broni mierzył we mnie.

Patrzyłam na niego, a z łyżki, którą trzymałam, ściekał majonez.

Rosie wyglądał strasznie. Nigdy nie miał obsesji na punkcie higieny, nie wychodził poza zakres, w którym nie odstręczał klientów, serwując kawę, ale teraz wyglądał tak, jakby wcale nie spał, a już na pewno nie brał prysznic, odkąd go widziałam ostatnio.

– Rosie! – krzyknęłam. – Wreszcie! Wszędzie cię szukałam, myślałam, że oszaleję!

– Gdzie brylanty?

No nie, zaczęło mnie to wkurzać. Czemu wszyscy myślą, że ja mam brylanty albo że wiem, kto je ma? Nie widziałam tych cholernych szkiełek na oczy!

Poruszył ponagląjąco bronią, rozpraszając moje myśli.

– Gdzie brylanty! – powtórzył wrzaskiem.

Teraz nie patrzyłam na niego, tylko na broń.

– Nie mam pojęcia, gdzie one są.

– Duke zniknął. Brylanty też wyparowały z jego domu.

Spojrzałam bacznie na niego. Był przerażony, spanikowany, zakręcony, ale nie na swój artystyczny sposób, lecz znacznie gorzej.

– To nie ty zrobiłeś bajzel w domu Duke’a?

– Nie! Tak już było, jak wszedłem. Myślałem, że to ty i ten świr, który mnie związał.

– Nie byłam u Duke’a, ale on wraca i na pewno wie, gdzie są brylanty – próbowałam uspokoić siebie i jego. – Rosie, odłóż broń, musisz się znaleźć w jakimś bezpiecznym miejscu. Zadzwońię do Lee...

Zaczął znów wymachiwać splotką, cofnęłam się.

– Nie dzwoń do tego czubka! – krzyknął. – On mnie związał! Zrobił to w dwie sekundy, nawet nie zdążyłem pisnąć, nie słyszałem, jak wchodzi, to wariat!

– Dobra, nie dzwońię. Ale słuchaj, musisz działać rozsądnie. Twój przyjaciel...

– Nie żyje. Zastrzelili go. Zastrzelili go, kurwa! – darł się jeszcze głośniej.

– Rosie – zaczęłam.

– Halo, halo...

Wołaniu za drzwiami towarzyszył stukot wysokich obcasów i drapanie pazurków Chowleeny na płytach chodnikowych.

Tod.

– Tod, odejdz! – krzyknęłam, ale Rosie już się odwrócił i nacisnął spust. Trzy strzały w trzy sekundy. Tod zrobił unik – padł na ziemię, Chowleena się rozszczękała, podskakując przy każdym szcęknięciu, jej pazurki stukotały o podłogę za każdym razem, gdy lądowała.

Rosie spojrzał na broń, jakby całkiem o niej zapomniał, a potem wyskoczył przez tylne wyjście.

Pobiegłam za nim.

– Rosie! Wracaj! Nie bądź głupi! – wrzasnęłam.

Nie słuchał, podbiegł do ciemnoszarego starego Nissana Sentry,

zaparkowanego na uliczce z tyłu i ruszył. Zdążyłam zapamiętać połowę oznaczeń na tablicy rejestracyjnej, zanim skręcił w lewo w Bannock i zniknął.

Pędem wróciłam do domu. Tod stał przy drzwiach, miał na sobie białe dżinsy do kolan, koszulkę bez rękawów i zabójcze szpilki: ażurowe sandały ze słodkimi kokardkami przy palcach, z brylancikami w środku. Przyciskał rękę do piersi, był blady, miał poharatane dłonie i kolana.

- Super sandały – zauważyłam, próbując się uspokoić.
- Właśnie zajął, żeby ci pokazać, kupiłem wczoraj – odparł.
- Pożyczysz mi kiedyś?
- Jasne.

Chowleena, mały beżowy chow-chow, puchaty w niektórych miejscach i z ostrzyżonym tyłkiem, podeszła i otarła się o moje łydki, zupełnie niewzruszona trudną sytuacją. To jej sposób powitania, przytulenia i proszenia o smakołyk. Tatusiowie pieska byli bardzo restrykcyjni w kwestii diety, ale cioteczka Indy zawsze ją rozpieszczała. Jeden przytulasek Chowleeny, a już otwierałam puszkę z przysmakami.

Weszliśmy do kuchni, złapałam telefon, przewinęłam spis do numeru Lee i wcisnęłam zieloną ikonkę.

- Tak? – Odebrał po jednym sygnale.
- Przed chwilą wpadł tutaj Rosie. Skręcił w Bannock ciemnoszarym Nissanem Sentrą. – Podałam mu numery, które zdążyłam zapamiętać.

Przekazał jej komuś obok i zapytał:

- Jak wyglądał?
- Źle. I miał broń.
- Skąd wiesz?
- Bo najpierw nią wymachiwał, a potem strzelił trzy razy, gdy Tod przyszedł z niezapowiedzianą wizytą.

Chwila ciszy, pytanie:

- Tod?
- Mój sąsiad.

Znów chwila przerwy:

- Wszystko w porządku?

- Tak.
- Czemu Rosie do ciebie przyszedł?
- Jego zdaniem wiem, gdzie są brylanty.

Westchnienie.

- Będę za dziesięć minut.

Odłożyłam telefon, rzuciłam psu ciasteczko, podsunęłam oszołomionemu Todowi fotel i pobiegłam na górę do łazienki po apteczkę.

Siedziałam na pufie, dezynfekując dłonie Toda wacikami z alkoholem. Po każdym dotknięciu dmuchałam, żeby zmniejszyć ból.

– Byłem pewien, że ściemniasz, gdy mówiłaś, że do ciebie strzelali – odezwał się Tod. – Myślałem, że to... wiesz, jedna z twoich historii.

- Nie ściemniałam. Nic a nic. Cała ta gówniana historia dzieje się naprawdę.

Patrzył na mnie, przetrawiając to, co usłyszał.

Chyba weszliśmy na nowy poziom relacji.

Ja z kolei uważałam, że Tod i Stevie po prostu akceptują to, jaka jestem, że są tak, nomen omen, oblatani, że nic nie może ich zdziwić; w końcu pracują jako stewardzi i widzą niejedno.

Nie spodziewałam się, że posądzają mnie o tandetne ściemy. Pewnie sądzili, że oszukuję, żeby podrasować swoje życie.

A teraz dowiedzieli się, że faktycznie jestem stuknięta i mieszkają obok kobiety, która daje się wciągnąć w sytuacje prowadzące do strzelaniny i porwań.

– Stevie chce sprzedać bliźniak i kupić mieszkanie. Jego zdaniem tak będzie wygodniej: zero problemów z podwórkiem, a do tego zyskamy podziemny parking, zimą nie trzeba by skrobać szyb.

Nie powiem, żebym się ucieszyła. To moi najlepsi sąsiedzi, przyjaźniliśmy się... Co zrobię, jak będę potrzebowała pewnej dłoni, trzymającej eyeliner?

Tod mówił dalej:

– Bardzo nie chcieliśmy cię zostawiać. Jesteś niezastąpiona w pielęgnowaniu podwórka i Stevie włożył tam mnóstwo pracy. To jego spuścizna.

– Ale w tej sytuacji, kiedy przeze mnie do ciebie strzelali, wyniesiecie się jak najszybciej?

- Dziewczyno, jestem z Teksasu, tam strzelamy do siebie na dzień dobry.

Chcę ci powiedzieć, że teraz, gdy naprawdę ganiają cię faceci z bronią, nie możemy się wynieść.

Nie zdążyłam poczuć ulgi ani wdzięczności, bo przez frontowe drzwi weszli Matt i Lee.

Siedziałam na pufie, odgrywając siostrę miłosierdzia, Tod miał na sobie sandaalki na szpilkach, krew sączyła się z jego zdartych kolan na owłosione łydki, na policzkach miał jednodniowy zarost. Chowleena zaszczekała trzy razy, jej tylna część podskakiwała za każdym razem. W końcu usiadła, patrząc wyczekująco na naszą czwórkę; pewnie zastanawiała się, kto z nas da jej ciasteczko.

Przedstawiłam wszystkich.

– Mogę porozmawiać z tobą na osobności? – poprosił Lee.

Nie czekając na odpowiedź i nie reagując w żaden sposób na scenkę, w której klęczałam przed drag queen, spokojnie wszedł po schodach na górę.

– W lodówce znajdziecie coś zimnego do picia – rzuciłam Mattowi i Todowi i poszłam za Nightingale'em.

Stał w mojej sypialni i rozglądał się z ciekawością.

Ściany były tu jasnoróżowe, podłogę pokrywał gruby wełniany dywan w kolorze kremowym. Na toaletce z dużym lustrem stały tubki, pędzelki i buteleczki. Wielkie łóżko przykrywała jasnoróżowa narzuta w amarantowe kwiatki; puchate poduszki leżały u wezgłowia.

To nie jest pokój rockowej laski... to mały dziewczyński sekret, tak jak moja bielizna.

Lee spojrział na mnie ciepłym wzrokiem.

– Ładnie tu.

Podkurczyłam palce stóp. Czytałam kiedyś artykuł, że faceci tak naprawdę lubią kobiece pokoje, bo czują się w nich jak zdobywcy.

Wyglądało na to, że Lee Nightingale był w takim właśnie nastroju.

Ale szybko się opanował i powiedział rzeczowo:

– Opowiedz mi, co się stało.

Zrelacjonowałam wszystko po kolei. Gdy skończyłam, zapytał:

– Skąd wiedział, że Shuberta zastrzelili?

– Tego nie wyjawiał.

– Był tam?

– Nie wiem, ale wyglądało, że świruje ze strachu.

– Czemu to zogniskowało się na tobie?

Wzruszyłam ramionami.

Przyglądał mi się przez chwilę, potem zauważył:

– Pachniesz plażą.

– To olejek do opalania.

Przesunął po mnie wzrokiem, jego spojrzenie stało się gorące; zrozumiałam jego intencje, zanim się ruszył. Chwycił węzeł sarongu i przyciągnął mnie do siebie.

– Wysmaruję cię olejkiem – ostrzegłam.

– Rozbiorę się.

O kurczę. Serce zabiło mi mocniej.

– Miałaś informacje od Duke'a? – Próbowałam zmienić nastrój.

Ale on nie chciał nic zmieniać.

– Będzie w domu za kilka godzin. Z Texem w porządku, gość zna się na rzeczy. Straciliśmy trop Rosiego, ale zjawił się tutaj.

A potem wyciągnął swoją koszulkę z džinsów. Rozwiązał supeł sarongu; zwiewna tkanina spadła na podłogę. Oczy Lee błyszczały.

– Matt i Tod są na dole – przypomniałam.

Wyciągnął rękę i zamknął drzwi.

– Lee! Robię sałatkę makaronową a w moim ogrodzeniu są dziury po kulach! Ktoś musi to powstrzymać i tym kimś jesteś ty!

Przyciągnął mnie do siebie, teraz moja pierś dotykała jego torsu. Przeszły mnie dreszcze, gdy mnie objął.

– Jeśli wkrótce cię nie spróbuje, rzucam poszukiwania i zabieram cię do domku w Grand Lake. Żadnych telefonów, żadnych ludzi, żadnych dzwonek do drzwi. Jeśli ktoś zapuka, zastrzelę go.

Lee ma domek w Grand Lake?

Nie wiedziałam.

Uwielbiam Grand Lake.

Otrząsnęłam się z tych myśli.

– Chciałeś porozmawiać – przypomniałam.

– I rozmawiamy.

Wrażenie czekania na Boże Narodzenie wróciło. Nawet jeśli to miało być Boże Narodzenie z diabłem.

Przyglądał mi się uważnie.

– Nie mogę nic wyczytać z twojej twarzy.

– Niektóre myśli trzymam w tajemnicy.

Chyba mu się to spodobało.

Z mojego doświadczenia wynikało, że istnieją dwa typy mężczyzn. Pierwszy pyta cię co pięć minut, o czym myślisz, i wkurza się, jeśli nie odpowiadasz. Drugi nigdy nie pyta i wtedy ty się wkurzasz, że to mu zwisa.

Lee wyglądał na trzeci typ, zmutowany. Zauważał, że o czymś intensywnie myślę, ale cieszył się, że może mnie z tym zostawić. Nie wiedziałam, jak zareagować na tę sytuację. Czułam mniejszą presję i jednocześnie konsternację: któreś z nas powinno być wkurzone, ale żadne nie było.

– Przyznam ci się do czegoś – zaczęłam. – Nie mam pojęcia, co z tobą zrobić. Nie potrafię rozkminić, co jest grane.

Objął mnie mocniej, przysunął twarz do mojej twarzy, ale w ostatniej chwili zamiast mnie pocałować, zbliżył usta do mojego ucha i szeptem mi podpowiedział, co mogłabym z nim zrobić i co mogłoby być grane. Moje dolne rejonny przeszył dreszcz, nie dałam rady już dłużej się opierać. Pocałowałam go w szyję i przesunęłam po niej językiem. Chyba też chciałam go już wreszcie spróbować.

I wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Lee przestał szeptać, zaczął kląć.

Wydostałam się z jego ramion, podniosłam sarong i zawiązałam na biodrach. Lee wpuścił koszulkę w dzinsy.

Może jedynym wyjściem było jednak Grand Lake.

Gdy zeszliśmy do salonu, Tod i Matt gapili się na białe błyszczące pudło z czerwoną kokardką, które stało na pufie. Matt miał w ręku puszkę dietetycznego napoju, Tod w jednym ręku trzymał swoją puszkę, a w drugim największy bukiet długich róż, jaki kiedykolwiek widziałam. Co najmniej

z dwadzieścia.

Dostawałam już w życiu kwiaty, ale nigdy tak dużo i nigdy w pakiecie z błyszczącym pudełkiem. Spojrzałam na Lee, ale on też patrzył w napięciu na róże. Najwyraźniej nie on je przysłał.

– Na pudełku jest kartka – oznajmił Tod.

Wzięłam ją i przeczytałam: „Kolacja w środę wieczorem. Załóż sukienkę. Terry”.

Poczułam ucisk w żołądku, Lee wyjął mi karteczkę z rąk.

Gapiałam się na pudełko, jakby była w nim bomba.

– Nie otworzysz? – zapytał Tod.

– Nie, ale ty otwórz, jak chcesz.

Nie musiałam dwa razy powtarzać. Wręczył mi wiecheć róż, odstawił puszkę, zdjął kartonowe wieko... I pisnął z zachwytu, wyjmując śliczną czarną sukienkę.

– Widziałem ją w Saksie, jak szukałem butów. Kosztowała tysiąc siedemset pięćdziesiąt dolców! – oznajmił.

Żołądek fiknął mi koziołka, pojawiły się mdłości.

Tod patrzył na Lee z uwielbieniem: uznał, że to od niego i że trafiłam na żyłą złota; przystojny chłopak z platynową kartą kredytową.

Lee spurpurowiał.

– Odłóż tę sukienkę na miejsce – polecił Todowi i ten od razu wykonał polecenie, choć wyglądał na zaskoczonego. Lee zwrócił się do Matta. – To Coxy.

Matt poruszył żuchwą, spojrzał na mnie.

– Nic nie zrobiłam! – krzyknęłam. – Nie zachęcałam go! Przypominam, że mnie porwał! I jest straszny!

– Kto? – spytał Tod.

– Facet, który to przysłał. Wygląda jak Dziadek Munster, a nawet bardziej przerażająco.

– To nie ty to wysłałeś? – Tod ze zdziwieniem popatrzył na Nightingale’a.

Lee nie odpowiedział, wziął pudełko pod ramię.

– Oddam ją – oznajmił groźnym głosem.

Przytaknęłam.

– Nie wychodź z domu. Nikomu nie otwieraj. Bobby pojechał za Rosiem, a my, Matt i ja, gdy już odwiedzimy Wilcoxa, pojedziemy za tropem. Wróć, jak tylko zdołam.

Znowu skinęłam.

– Spróbuję wytłumaczyć Coxy’emu, że nie jesteś zainteresowana spotkaniem – dodał jeszcze.

– Będę wdzięczna – odparłam szczerze.

Lee przyglądał mi się przez chwilę z nieprzeniknioną twarzą. Gdy znów się odezwał, zrozumiałam, że walczył ze sobą, zastanawiał się, ile może wyjawić, żeby mnie nie wystraszyć.

– Zwróciłaś jego uwagę. Jest przyzwyczajony, że dostaje to, czego chce. Wie, że jesteś moją dziewczyną, więc to jak wypowiedzenie wojny.

Krzyknęłam cicho, Tod również, Chowleena zaszczekała.

– Ale ja tego nie chcę! On jest straszny!

– Wiele kobiet potrafi przejść nad tym do porządku dziennego, gdy dostają prezenty za tysiąc siedemset dolców – odparł Lee.

– Ja bym się przemógł... dla takiej sukienki? Idealna do moich butów – wtrącił się Tod.

Lee spojrzał na mnie.

– A ty?

Poczułam, że krew się we mnie gotuje. Zmrużyłam oczy, demonstracyjnie oparłam rękę na biodrze.

– Serio? – zapytałam. Naprawdę potrzebował odpowiedzi?

Wciąż na mnie patrzył. Potrzebował.

– Jest straszny i tego nie da się obejść. Poza tym to obleśny dziad. Nawet jeśli możesz zaakceptować to pierwsze, to na pewno nie drugie. Raaany.

W żaden sposób nie skomentował moich słów.

– Nie ruszaj się z domu – przypomniał tylko i wyszli z Mattem, zostawiając mnie z pękiem róż.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Tod zwrócił się do mnie:

– Dziewczyno, ale to spoko gość. Spoko do potęgi dwunastej. Jest nową definicją „bycia spoko”!

– Kocham się w nim, odkąd skończyłam pięć lat – poinformowałam.

– Ja kocham się w nim od teraz. Chcę mieć z nim dzieci.

Nadal patrzyliśmy na drzwi, ja wciąż z różami w garści.

W końcu wyznałam:

– Ale teraz mnie przeraża. Jest dorosły. Ma głowę na karku. I chyba traktuje nasz związek na poważnie. Ale obraca się w niebezpiecznych kręgach.

– Dziewczyno, jak to spieprzysz, dzwonię po gości w białych fartuchach. Jeśli pozwolisz, żeby coś takiego przeszło ci koło nosa, zasługujesz na pokój bez klamek. Zwłaszcza gdy facet traktuje cię serio. Nikt, kto tak wygląda i nosi takie dżinsy, nie jest dobry w długotrwałych związkach. Dla mnie może się obracać nawet w kręgach piekielnych.

Miał rację.

Położyłam róże na stoliku. Potrzebowałam zrobić coś normalnego. Inaczej pozostanie mi wykupić bilet na pierwszy samolot do San Salvador. Zaczęłam rozumieć magię tego miejsca.

– Muszę skończyć sałatkę makaronową i upiec brownie. Pomożesz mi?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie. Popilnuj Chowleeny, a ja skoczę po swoją broń.

– Twoją broń?

– Przystojniak z *Burning Love*^[6] poszedł o ciebie walczyć, więc ktoś musi cię chronić. Zaraz wracam.

Wyszedł, a ja rzuciłam Chowleenie ciastko.

Nowy ruch Terry'ego Wilcoxa komplikował mi życie dubeltowo.

Mogłabym się załamać, ale wolałam zająć się sałatką.

Załamię się później.

Najlepiej już w Grand Lake.

Rozdział 10

Jazda testowa

Tod i ja skończyliśmy sałatkę i zrobiliśmy brownie, a ponieważ oboje byliśmy naładowani adrenaliną po akcji z bronią, machnęliśmy jeszcze ciasto czekoladowe z orzechami.

Przez cały ten czas wisiałam na telefonie. Dzwonili ludzie z informacjami o Rosiem albo o Duke’u (rzecz jasna, lipa), ale przede wszystkim odzywały się dawne koleżanki. Rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

Pytanie: To prawda, że jesteś z Liamem Nightingale’em?

Odpowiedź, niepewny ton: Tak.

Opcja reakcji (wybierz jedną lub dodaj własne pomysły): „O mój Boże!” w wersji na krzyk/pisk/wrzask/wizg/przekleństwo.

Pytanie: Czy już to zrobiliście?

Odpowiedź: Powoli się przymierzamy.

Po tym oznajmieniu następowało całe mnóstwo pretensji, że co tak długo; pytań, jak on całuje (no bo przecież już się z nim całowałam, nie?); kolejne wzmianki o tym idiotyzmie z kokardkami ze staników i tak dalej. Dziękowałam Bogu za trenowaną latami umiejętność udzielania wymijających odpowiedzi oraz mistrzostwo w kłamaniu; przydało się jak rzadko.

Po tej wyczerpującej aktywności, Tod i ja poszliśmy na mój balkon z telefonem i minutnikiem i padliśmy na fotele.

Bąłam się, że zasnę i spalę ciasto na węgiel, więc ustawiliśmy minutnik i przekreśliliśmy go co kwadrans.

W końcu jednak zapomnieliśmy o minutniku, telefon zamilkł i zapadłam w nieplanowaną turbodrzemkę. Na szczęście nie należałam do tych rudzielców, które pieką się na czerwono, jak tylko słońce dotknie ich skóry, no i wcześniej posmarowałam się kremem z filtrem ósemką, więc teraz miałam po prostu ładną opaleniznę.

Leżałam właśnie błogo, gdy poczułam coś na ramieniu. Wystawiłam rękę w pozycji karate, której używały wszystkie Aniołki Charliego.

Lee kucnął obok mnie.

– Chyba miałas być w domu... – powiedział niskim głosem, ale nie był zły. Patrzył na moją pozycję i choć miał na sobie okulary przeciwsłoneczne, widziałam rozbawienie w kącikach oczu.

Nie musiałam stosować na nim ciosów karate, więc już darowałam sobie wojowniczą pozę.

– Byłam w domu. Ale potem nam się znudziło, no i nie dało się tam opalać. Poza tym, Tod mnie chronił.

Spojrzeliliśmy na Toda. Chrapał w najlepsze, broń waląca się na podłodze, Chowleena leżała w cieniu fotela, spała równie głęboko.

No to wpadka.

– Pochodzi z Teksasu i jest drag queen. Ma błyskawiczny refleks – zapewniłam.

Mój sąsiad otworzył jedno oko i spojrzał na nas.

– Zmiana warty? – zapytał.

Lee skinął głową.

Tod podniósł broń, przywołał Chowleena i zwrócił się do mnie:

– Jutro wieczorem dajemy charytatywny show, pomożesz przy sukniach?

Tod i reszta społeczności drag często urządzali zbiórki pieniężne na cele dobroczynne. Stevie i ja byliśmy alter ego Toda, oficjalnymi przedstawicielami Burgundowej Róży. Targanie strojów pokrytych cekinami było moją jedyną sportową aktywnością, każdy z nich ważył tonę.

Skinęłam głową.

– Jeśli dożyję, nie powstrzymają mnie nawet dzikie mustangi.

Tod spojrzał na Lee.

– To charytatywny drag show. Przyjdiesz z Indy?

Lee wstał, a ponieważ Tod nie miał na nogach szpilek, patrząc na niego, musiał zadzierać głowę.

– Jeśli tylko nie zatrzyma mnie praca, wpadnę.

Tod znów przeniósł wzrok na mnie.

– Przysięgam na Boga, że jeżeli to spieprzysz, dzwonię po ludzi w białych fartuchach – oświadczył i wyszedł razem z Chowleena.

– Znalazłeś Rosiego? – spytałam Lee, wstając z fotela.

– Nie.

– Brylanty?

– Nie.

– Duke wrócił?

– Tak.

– Jest bezpieczny?

– Tak.

– Co z brylantami?

– Zniknęły.

– Szlag! – Tupnęłam. – Kto może je mieć?

– Dobre pytanie.

– Szlag, szlag, szlag. – Aż się we mnie gotowało. – Rozmawiałaś z Terryem Wilcoxem?

– Tak.

– Jak poszło?

Podniosłam rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem. W czasie tego przesłuchania Lee patrzył na alejkę i podwórko moich sąsiadów, teraz spojrzał na mnie.

– Podałem mu powód, dla którego nie zjawisz się w środę na kolacji.

– Jaki?

– Będiesz wtedy ze mną i będziemy się pieprzyć.

Poczułam skurcze w dole, zmiękły mi nogi.

– Jak to przyjął? – zapytałam swobodnie, udając, że nie jestem bliska omdlenia.

– Niezbyt dobrze.

– A co miałaś wcześniej na myśli, mówiąc o wypowiedzeniu wojny?

– Dobra, powiem, ale chodź do środka. Tu jesteśmy zbyt odsłonięci. Wzięłam telefon, minutnik i sarong, weszliśmy do sypialni. Sarong zawiązałam na

biodrach, resztę położyłam na łóżko. Lee zamknął za sobą drzwi i zdjął okulary.

Potem podszedł do mnie, rzucił okulary na łóżko i zdjął sarong z moich bioder.

– Dopiero go zawiązałam...

Jakby ogłuchł, cisnął chustę gdzieś daleko, poza moim zasięgiem, położył mi ręce na biodrach i przyciągnął do siebie.

– Mieliśmy chyba pogadać o wojnie – przypomniałam.

– To proste – odparł Lee. – Wilcox wyciąga rękę po coś, co należy do mnie. I już zaczął swoją kampanię, żeby dostać to, czego chce, a ja zacząłem swoją, by to zatrzymać.

Usiłowałam się nie wściec, było ciężko.

– Nie należę do ciebie i nie jestem rzeczą.

– Ja to wiem, ty to wiesz, ale tacy jak Coxy tego nie wiedzą. On kupuje rzeczy, dotyczy to również ludzi, a zwłaszcza kobiet. Jego chłopaki nie pracują dla niego z powodu szacunku czy zaufania; pracują, bo dużo płaci.

Miało sens.

Przywarłam biodrami do jego bioder, jego ręce sunęły po moich plecach, przyciskał mnie do siebie.

Próbując zachować zimną krew, pytałam dalej:

– Jest szansa na pokój?

– Raczej nie.

– I co teraz?

– Zajmę się tym. Jak tylko dostaniesz od niego wiadomość lub go zobaczysz, powiedz mi o tym.

Spoko, wydawało się proste.

Lee dotarł do moich ramion, teraz już przylegałam do niego całym ciałem.

– Która godzina? – spytałam.

Przechylił głowę, pocałował mnie w szyję.

– Za kwadrans druga – wymruczał w moją skórę.

– O Boże! – krzyknęłam i próbowałam go odepchnąć, ale jego ramiona napięły się, przyciągnął mnie z powrotem. – Muszę wziąć prysznic! Musimy jechać do taty. Obiecałam zrobić kotlety do hamburgerów.

– Twój ojciec może sam zrobić kotlety. Spóźnimy się.

Spojrzałam na niego przerażona.

– Spóźnimy? Wykluczone! Tata cię kocha, ale nie odczuwa wielkiego szczęścia z tego powodu, że jesteśmy razem. Nie możemy się spóźnić od razu na pierwszego grilla!

Jego twarz złagodniała, spojrzał ciepło.

– Jesteśmy razem?

A niech to.

Myślałam szybko.

– Nie, nie jesteśmy, nie razem.

– Chyba nie rozumiem.

– Nie do końca jesteśmy. To jakby okres próbny. Jazda testowa, żeby sprawdzić, czy chcemy to kupić.

– Jeśli się spóźnimy do twojego taty, będę mógł cię przekonać, że chcemy.

O, nie wątpiłam, że tak by było, dlatego działając w obronie koniecznej, oparłam dłoń na jego piersi i go pchnęłam.

Ani drgnął.

Zmieniłam taktykę.

– Skąd pewność, że chcesz to kupić?

– Chcę.

– Ale skąd to wiesz? – cisnęłam.

– Uwierz mi, wiem.

– Dlaczego?

– Mam pomysł: weźmiemy razem prysznic?

– Nie odpowiedziałeś – wytknęłam.

– Nie, ale ci pokażę.

– Więc te wyjaśnienia mają polegać na pokazywaniu, nie na rozmowie?

– Na jednym i drugim, ale w tej chwili jestem w nastroju na to pierwsze.

Wrr.

Przeszłam do planu C.

– A ja w czasie pokazu będę myślała o kotletach. Tego chcesz?

Posłał mi swój zabójczy uśmiech.

– Nie będziesz.

Cholera, ani trochę nie wątpiłam, że w tej kwestii również ma rację.

Dobra, wobec tego plan D.

– Słuchaj, zrozum. To mój tata, obiecałam, że przyjdę wcześniej, żeby mu pomóc.

Przyglądał mi się przez chwilę i jakby ustąpił.

– Dobrze, ale musisz mi dać coś w zamian.

Spanikowałam.

– Coś? Co?

Opuścił ręce.

– Wybieraj.

Robiło się późno, tata się wkurzy, Terry Wilcox rzucił Lee wyzwanie z mojego powodu, nadal trwała afera z Rosiem, ktoś drapnął brylanty i wszyscy ich szukali. I do tego jeszcze ja i Lee trwaliśmy w zawieszeniu i nie mieliśmy nawet kilku sekund, żeby pójść dalej. To nie pora silić się na kreatywność.

Dlatego po prostu go pocałowałam.

A w każdym razie zaczęłam go całować: założyłam mu ręce na szyję, musnęłam jego wargi, dotknęłam języka.

A potem to już on mnie całował. Jedną ręką objął moje plecy, drugą wsunął we włosy, namiętnie oddając pocałunek.

– Ho, ho... jesteś w tym dobra – wyszeptał.

Zamrugłam.

– Ja?

Patrzył na mnie błyszczącymi oczami.

– Tak, i cieszę się, że musisz o to pytać.

Przytuliłam się do niego mocniej, ale położył mi ręce na talii i odsunął mnie.

– Jeśli nie pójdziesz teraz pod prysznic, będą się musieli obejść bez sałatki makaronowej i brownie.

Pragnęłam się znów przytulić.

– Może jednak trochę się spóźnimy...

Spiął się, ale nadal trzymał mnie na odległość.

– Nie mówię o spóźnieniu... miałem na myśli nieobecność – wymruczał.

Patrzyłam na niego.

– Indy, idź pod prysznic – polecił.

No to poszłam.

Siedziałam na podwórku taty obok Kitty Sue.

Skoro tu dorastałam, było to również moje podwórko, ale nie mieszkałam tu od tak dawna, że już w pełni należało do niego. Teraz, kiedy miał trochę czasu, kiedy nie zawracałam mu głowy co pięć minut, mógł wreszcie zająć się nim na serio, a nie tylko kosić trawę co dwa tygodnie.

Dom stał przy Bonnie Brae, osiem przecznic od domu Kitty Sue i Malcolma. W dzieciństwie miałam wrażenie, że dotarcie do Ally zajmuje wieczność. Z biegiem czasu dystans jakby się skurczył, każda z nas pokonywała go kilka razy dziennie.

– Jak tam? – rzuciła Kitty Sue, spoglądając na mnie znacząco. Pewnie chodziło jej o mnie i Lee.

Przyjechaliśmy kwadrans przed wszystkimi, ale i tak piętnaście minut później, niż obiecałam. Tata miał pretensje do Lee, choć tłumaczyłam, że to przeze mnie, bo przysnęłam na słońcu.

Znalazłam chwilę, żeby pogadać z Lee, gdy tata kładł hamburgery na grillu.

– Nie bierz tego do siebie. On nigdy nie lubił żadnego z chłopaków, których przyprawdzałam do domu.

I chociaż to była prawda, najwyraźniej to wyznanie mu się nie spodobało. Spojrzał na mnie morderczo i zrozumiałam, że strzeliłam gafę.

Próbując jakoś załagodzić sytuację, tylko ją pogorszyłam.

– Nawet gdybym wybrała Hanka i tak ojciec znalazłby coś, o co mógłby się czepiać. Jest moim rodzicem, nic nie poradzisz.

Poprzednio tylko spiorunował mnie wzrokiem, teraz odwrócił się całym ciałem, odgradzając mnie od innych.

– W ogóle brałaś Hanka pod uwagę?

O, mammo.

– Tak tylko ogólnie powiedziałam.

– A konkretnie?

– Próbuję poprawić ci humor!

– Mam dobry humor. Wiem, że twój tata wolałby innego partnera dla ciebie; w końcu jednak zmieni zdanie. Nie potrzebuję jeszcze myśleć o tobie i Hanku. Jezu, Indy!

O wilku mowa...

– Chciałem tylko zauważyć, że macie widzów – powiedział Hank, dołączając do nas.

Wyjrzałam zza Lee, wszyscy szybko odwrócili głowy.

Świetnie.

Starszy Nightingale spokojnie objął mnie ręką, jak robił to milion razy, ale tym razem Lee spojrział na mnie zmrużonymi oczami.

– Wezmę piwo – wykręciłam się desperacko.

Siedząc teraz obok ich mamy, byłam już po trzech Fat Tire'ach[7], burgerze, sporej porcji sałatki makaronowej i surówki Kitty Sue. Miałam na sobie szorty z obciętych spodni wojskowych i czarną koszulkę bez rękawów, z delikatnym rysunkiem czerwonych róż i szarobiałego drutu kolczastego, który biegł przez moją talię i pierś na ramię, potem znów opadał. Było za gorąco na kowbojki, zresztą, do szortów wyglądałyby słabo (sprawdziłam wielokrotnie), więc włożyłam klapki na grubej podeszwie. Szorty zrobiły się ciasne w pasie, a nawet nie jadłam jeszcze brownie i ciasta.

Po naszej scysji omijałam Lee szerokim łukiem, co nie było trudne, w końcu miałam dziesięć lat doświadczenia w unikaniu go na imprezach rodzinnych.

Odwróciłam się do Kitty Sue i ku własnemu zaskoczeniu odpowiedziałam szczerze:

– U nas w porządku. Lee chyba ma się trochę lepiej niż ja. Mnie dręczą wątpliwości, czy to zagra, a Lee jest absolutnie pewny. W sumie on jest bardzo pewny wszystkiego.

W tej chwili dotarło do mnie, że to prawda. Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś tak pewnego siebie jak on. Może Hank mógł się z nim równać, ale jego pewność działała uspokajająco i krzepiąco. A, i jeszcze najlepszy kumpel Lee,

Eddie, ale on był jak bliźniak, ulepiony z tej samej gliny – zarozumiały, w opór asertywny.

– Ty nie jesteś pewna? – spytała Kitty Sue.

Popatrzyłam na nią i pomyślałam, że może lepiej skłamać. Za późno.

– Nie. On mnie przeraża – wypaliłam.

Skinęła głową.

– Tak, potrafi być przerażający.

Spojrzałam na nią wstrząśnięta. Rany, ta kobieta mówi o swoim synu!

– Serio tak myślisz?

Przeniosła wzrok na Lee, potem znów na mnie.

– Kochanie, ten chłopak przyprawia mnie o dreszcze. Zupełnie jakby nie był moim synem, nie mam pojęcia, w kogo on się wdał. Gdyby Ally nie była do niego tak podobna charakterem, zastanawiałabym się, czy go nie podmienili w szpitalu.

Nie odezwałam się, a ona ciągnęła:

– Hank jest taki sam jak jego ojciec: inteligentny, ostrożny, podejmuje dobrze skalkulowane ryzyko. Jestem pewna, że Lee też wyważa ryzyko, ale... on zostawia znacznie większy margines błędu i liczy na... Właściwie nie wiem, na co liczy. Że się jakoś wykaraska z tych sytuacji, w które się wiecznie pakuje?

Gapiałam się w nią jak sroka w gnat, ona mówiła dalej i wszystko, co wychodziło z jej ust, budziło dreszcze. Jeśli chciała mnie przekonać do bycia z jej synem, powinna obrać inną taktykę.

– A jednak... wiesz? – dodała.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że to pytanie, więc pokręciłam głową; nie, nie wiem.

– Jednak z każdej opresji wychodzi cało. Zawsze tak było i zawsze radził sobie sam, bez pomocy. Nie każda kobieta zdoła żyć takim życiem, wiedząc, jaki on jest i jak ryzykuje. – Ucisnęła moje kolano. – Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli się wycofasz. Mówię ci to, ponieważ taka jest prawda: wszyscy kochamy was oboje i nigdy nie przestaniemy kochać, bez względu na to, co zdarzy się między wami. – Westchnęła i dokończyła: – Nie wiem nawet, czy taka kobieta w ogóle istnieje, która by to wytrzymała. Jestem jego matką i jakoś z tym wszystkim żyję, chociaż włosy mi stają dęba i martwię się o niego

każdego dnia. I jestem przerażona.

Chyba nie chciałam, żeby mi włosy stawały dęba. To nie brzmiało dobrze.

Ale nie chciałam też, żeby inna kobieta okazała się tą, która zdoła zaakceptować jego margines błędu, i tą, do której będzie wracał każdej nocy. A już na pewno sobie nie życzyłam, żeby rodzina „nie miała do mnie pretensji”, jeśli odejdę od Lee, to znaczy, że jestem cieniem. Ale nie jestem. Owszem, młody Nightingale mnie przeraża, ale nie aż tak. I zdołam odsunąć każdą zdzirę, która próbowałaby zająć moje miejsce, nawet uwzględniając jego duży margines błędów.

– Chyba spróbuję brownie – powiedziałam do Kitty Sue.

Poklepała mnie po kolanie, a ja poszłam prosto do Lee.

Siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie, w towarzystwie Hanka, Malcolma i Ally. Patrzył, jak do nich idę z nieruchomą twarzą.

– Możemy pogadać? – rzuciłam.

Nie odpowiedział, ale wstał i przez odsuwane szklane drzwi wszedł za mną do kuchni. Zamknęłam drzwi i odwróciłam się do niego.

– Jesteś na mnie zły?

Splótł ręce na piersi. Nie odpowiedział, ale wyglądało, że owszem, jest wkurzony.

Spróbowałam jednego ze swoich chwytów, przechyliłam głowę i posłałam mu uśmiech.

– I co musi się stać, żebyś odpuścił?

Cisza.

Nie zadziało.

Westchnęłam i uniosłam ręce.

– Nie wybrałabym Hanka ani teraz, ani nigdy wcześniej. Hank nigdy nie był nawet opcją.

– Na litość boską, przestań mówić o Hanku! – wybuchł, złapał mnie za rękę i zaciągnął w głąb domu, żeby ci na podwórku nas stamtąd nie widzieli ani nie słyszeli. – To o co chodzi? – zwróciłam się do jego pleców, gdy weszłam za nim dalej, do salonu.

– Zastanów się – odparł i odwrócił się do mnie.

– Nie zamierzam sobie teraz łamać głowy! Gdybym wiedziała, już bym ci

wyjaśniła lub przeprosiła. Gadaj.

– Ani mi się śni.

– Do kurwy nędzy! – krzyknęłam. – Jak mogę coś naprawić, jeśli nawet nie wiem, co źle zrobiłam?

– Zapomnij o tym. Nie jestem na ciebie zły.

– Owszem, jesteś.

– Nie – powtórzył groźnie. – Nie jestem.

– Człowieku, ale ty masz humory! W życiu nie spotkałam tak humorzastego faceta!

– Jeśli chcesz coś naprawić, może zacznij od tego, że przestaniesz mówić o tych wszystkich innych facetach. To mogłoby pomóc.

Aż mnie zatkało.

– Zabrzmiało tak, jakbym była dziwką!

Podszedł do mnie, a ja nie ruszyłam się z miejsca. Stał bardzo blisko, czułam jego żar.

– Dobra, Indy. Po pierwsze, nie chcę wyobrazać sobie ciebie z innymi facetami. Nawet jeśli nie miałaś ich wielu. Cóż, nawet myśl o jednym doprowadza mnie do szału. Po drugie, nie lubię, jak się mnie porównuje z Hankiem, i nie chcę mieć z tyłu głowy, że Tom zaakceptowałby go łatwiej niż mnie.

Wreszcie olśniło mnie, jaką jestem kretynką.

– Lee...

– Idę się przejechać. Wpadnę potem, żeby cię zabrać do domu.

– Lee...

Wyszedł, a ja zostałam w salonie, patrząc przez wielkie okno na podjazd przed domem. Crossfire już dawno odjechał, gdy drzwi łazienki otworzyły się i wyszedł z nich tata. Spojrzał na mnie.

– Dużo słyszałeś? – zapytałam.

– Wszystko, rozmawialiście dość głośno – odparł, podchodząc do mnie.

Położyłam mu głowę na ramieniu, przytulił mnie.

– Jestem kretynką – oznajmiłam.

– Cóż, nie wiem, co tam wymruczałaś, ale to nie brzmiało dobrze.

– Jestem kretynką.

Tata pocałował mnie w skroń i oznajmił:

– Lee byłby skończonym idiotą, gdyby nie wrócił i nie przyjął twoich przeprosin. A można o nim wiele powiedzieć, tylko nie to, że jest głupi. Zaniosę wszystkim brownie.

Poszedł do kuchni, słyszałam, jak przesuwane drzwi otwierają się i zamykają.

Powłokłam się do łazienki. Nie dlatego, że musiałam skorzystać, ale skoro tata słyszał, co mówiliśmy, to do innych też to mogło dotrzeć, więc potrzebowałam chwili, żeby trochę ochłonąć. Słabo się to zaczęło, pierwsze spotkanie rodzinne, a ja już chlapnęłam coś głupiego i wkurzyłam Lee tak, że musiał się zmyć i odreagować.

Zastanawiając się, jak to naprawić, wyszłam z łazienki i usłyszałam dzwonek do drzwi. Podeszłam, myśląc, że jakimś cudem się zatrzasnęły. Jediną osobą, która mogła tam stać, był Lee, ale on przecież po prostu wszedłby albo okrążył dom i znalazł się na tylnym podwórku.

Otworzyłam drzwi i stanęłam oko w oko z gośćmi, którzy do mnie strzelali.

Byłam totalnie wstrząśnięta, że tak bezczelnie zjawili się na progu mojego rodzinnego domu. Aż mnie zamurowało.

A gdy otworzyłam usta, żeby wrzasnąć, jeden nachylił się do mnie z wyciągniętą ręką i wszystko zalała ciemność.

Rozdział 11

Dobranocka dla niegrzecznych dziewczynek

To porwanie zupełnie nie przypominało pierwszego.

Nie było kremowej adamaszkowej sofy.

Nie pytali mnie, jak się czuję, i nie byli serdeczni.

W ogóle się nie odzywali, i w sumie dobrze; to znaczyło, że ja z kolei nie muszę odpowiadać, nadmiernie nie ściągam na siebie ich uwagi i nie mam okazji ich wkurzyć do tego stopnia, żeby mnie uderzyli lub zastrzelili.

Ręce miałam skute z tyłu kajdankami i siedziałam przywiązana nylonową liną do krzesła. Pomyślałam, że przesadzili w tej gorliwości, ale nie dzieliłam się swoją opinią.

Bycie skutą i związaną jednocześnie było, delikatnie mówiąc, mało wygodne. Przy najmniejszym ruchu czułam ból, lina wrzynała mi się w skórę, a ręce miałam nienaturalnie wykręcone. Nie broniłam się, gdy mnie wiazali, bo nie mogłam skoordynować ruchów – po raz drugi porażono mnie paralizatorem. Zresztą i tak nic bym nie wskórała, obaj mieli broń. Na zajęcia samoobrony przestałam chodzić po trzech tygodniach i, zdaje się, nadal nie byłam kuloodporna.

Trzymali mnie w jakimś domu, nie wiem czym, ale chyba od dawna niezamieszkanym. Oprócz krzesła, na którym siedziałam, w zapuszczonym salonie stała jeszcze zapadnięta, pokryta kurzem kanapa. I tyle, koniec wystroju, jeśli nie liczyć kłębow kurzu wielkości cocker-spaniela.

Zostałam porwana przez tych samych gości, którzy strzelali do mnie i do Rosiego na samym początku tej afery. Jeden z nich siedział głównie w pokoju obok, chyba rozmawiał przez telefon, drugi pilnował mnie. Nie wyglądali na spanikowanych. Ale przerażali mnie znacznie bardziej niż wtedy. Wszystko wyglądało poważnie, sprawiali wrażenie zawodowców i chyba nie zamierzali się ze mną cackać.

Pewnie ogarniałby mnie większy strach, gdyby tak strasznie nie chciało mi się siku.

Normalnie mam pęcherz ze stali i jestem znana z tego, że wytrzymuję bez pójścia do łazienki dwa razy dłużej niż inni. Mogłam spokojnie pić piwo przed koncertem i nie przegapić ani jednej nuty w trakcie. Mój pęcherz stał się prawie tak legendarny jak moje „spotkanie” z Joe Perrym z Aerosmith. Ale trzy butelki piwa zrobiły swoje, przeszły przez organizm w rekordowym tempie i po prostu musiałam się iść wysikać.

Straciłam rachubę, jak długo siedzę w tej ruderze. Skupiałam się na tym, żeby się nie odezwać i nie posikać. Nie chciałam prosić, żeby mnie zaprowadzili do łazienki, i byłam zbyt rozbita, by obmyślać ucieczkę. Nie miałam też pojęcia, jak szybko moja rodzina zorientuje się, że zniknęłam – mogli dojść do wniosku, że po całej tej dramie z Lee wolałam pobyc sama. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że to porwanie mogłoby się źle skończyć, a ostatnią rzeczą, jaką w życiu zrobiłam, była kłótnia z Lee.

Spojrzałam w okno; może jeśli się dobrze przyjrzę, uda mi się zorientować, gdzie jestem? No i oderwę się od myślenia o tym, że zaraz się posikam, a moje życie się skończy.

I wtedy zobaczyłam czubek jasnej strzechy włosów i dwoje oczu. Strzechę przyciskały do głowy noktowizyjne gogle.

Przez okno zaglądał Tex.

Niech to!...

Po ułamku sekundy wyparował.

– Na co się gapisz? – spytał ten, który mnie pilnował, i odwrócił się w stronę okna.

Z pokoju przyszedł ten drugi. Obaj byli wielkimi drabami, w stylu Gary’ego Gnata i Straszego Teddy’ego, nosili luźne spodnie i koszule z podwiniętymi rękawami, bez krawatów.

Ten, który wisiał na telefonie, wyglądał na starszego, brązowe włosy przyprószyła siwizna. Drugi miał piaskowojasne włosy i kiedyś musiał uchodzić za przystojniaka, teraz zmierzał prosto w stronę wieku średniego.

– Zgadza się. Zgadza się na wymianę, brylanty za dziewczynę – oznajmił Siwy Telefonujący Piaskowemu Pilnującemu.

– Patrzyła na coś na zewnątrz, idę sprawdzić – poinformował Siwego

Telefoniarza Piaskowy Strażnik i wyszedł.

Siwy spojrzał na mnie.

– Twój facet?

Pokręciłam głową, bez słowa. Miałam nadzieję, że Tex jest już daleko stąd i dzwoni na numer alarmowy. Obawiam się jednak, że jest tuż obok i planuje zrobić Armagedon.

Siwy chodził od okna do okna, wyglądając dyskretnie. Powaga i profesjonalizm zaczęły ustępować na rzecz paniki.

– Pieprzony Nightingale! – wybuchnął, odwrócił się do mnie, wyciągnął pistolet zza paska spodni, wymierzył we mnie. – Jego widziałaś?!

– Nie! – odparłam zupełnie szczerze. Przecież mówił o Lee, a jego tam nie było. Przynajmniej zginę z czystym sumieniem, niezbrukanym kłamstwem.

Siwy nie wymachiwał bronią jak Rosie, trzymał ją pewnie, co śmiertelnie mnie przerażało. Tak bardzo, że totalnie zapomniałam o parciu na pęcherz.

– To na co patrzyłaś? – nie ustępował.

Kurczę, no dlaczego jestem takim dzbanem? Czemu nie mogę być zajebista tak jak ci porwani na filmach? Czemu nie potrafię udawać, że nic a nic nie widziałam, a potem spokojnie ustalić plan ucieczki z moim wybawcą, jedynie za pomocą mrugnięć i ruchów głową, gdy porywacze akurat stoją odwrócony tyłem?

– Ja na coś patrzyłam? Nie. Nic tam nie było, po prostu spojrzałam w okno.

Wciąż do mnie mierzył. Nie musiał nic dodawać, pistolet mówił sam za siebie: albo zdecyduję się mówić prawdę, albo koniec zabawy.

– Słuchaj, muszę iść do łazienki – palnęłam. – Serio, wypięłam trzy fat tire'y, zanim mnie sparaliżowaliście. Chyba ten prąd coś mi zrobił z pęcherzem, bo normalnie potrafię długo wytrzymać, ale teraz muszę natychmiast pójść siku...

Gapił się na mnie i nie opuszczał broni. Do pokoju wrócił Piaskowy; Siwy nawet nie drgnął i nie mrugnął.

– Nikogo – oznajmił Piaskowy.

– Gdyby tam się czaił Nightingale i tak byś go nie zobaczył, przygłupie. On jest jak dym.

Piaskowy spojrzał na mnie.

– Czemu do niej celujesz? – spytał.

– Mówiłeś, że coś widziała – odparł. – Może jak jej strzelę w kolano, powie, co zobaczyła.

Kurwa mać!

Piaskowy był tak samo wstrząśnięty jak ja.

– Rany, Rick, zwariowałeś? Mamy ją wymienić na brylanty, nie może dostać kulki w kolano! Twierdzisz, że Nightingale jest jak dym? Jak zapakujesz kulkę w jego kobietę, będzie cię szukał do końca życia i w końcu oskalpuje żywcem!

– Och, pozwolę jej przeżyć i będzie mógł ją spokojnie pieprzyć, reszta ciała nie ucierpi – odparł Siwy Rick. – Nie potrzebuje jej kolana do tego, żeby ją rznąć.

Wstrzymałam oddech. Chyba nie wybaczył mi tego pyskowania kilka dni temu.

I wtedy otworzyły się drzwi – obaj, Siwy i Piaskowy, zrobili błyskawiczny zwrot w tył. W drzwiach nikt się nie pokazał, ale coś przeturlało się po podłodze.

We troje patrzyliśmy, jak to coś podskakuje, dociera do kanapy, odbija się i zatrzymuje dwa metry od niej.

Wyglądało na granat.

Ale nigdy nie widziałam granatu na żywo, więc to mogło być coś innego.

Chwilę później potoczył się kolejny przedmiot, też wyglądał jak granat, tylko gładki, i teraz wydobywał się z niego biały dym.

– Czy to jest to, co ja myślę?... – zaczął Piaskowy i nagle pierwszy przedmiot eksplodował.

Nie myliłam się: granat.

Dym i pył wypełniły pokój, krztusiłam się, oślepiła; nadal nie mogłam się ruszyć.

Słyszałam tylko kasłanie, krzyki, uderzanie ciała o ciało, potem ktoś podszedł, uniósł mnie razem z krzesłem i szybko wyniósł z pokoju.

Obejrzałam się, próbując coś dostrzec. Oczy mi łzawiły, a nie mogłam ich wytrzeć, bo nie miałam wolnych rąk, przysięgłabym jednak, że widziałam rozmazaną sylwetkę Texa, który włożył sobie na twarz coś w stylu przeciwigazowej maski z II wojny światowej.

Wyniósł mnie tylnym wyjściem, postawił krzesło na ziemi, pomajstrował za

moimi plecami, lina spadła, a on uniósł maskę i krzyknął:

– Uciekaj!

Bez namysłu zerwałam się i zaczęłam biec.

Nie było łatwo. Ciało mi zdrętwiało od siedzenia bez ruchu, a ręce wciąż miałam skute z tyłu. Nadal kasłałam, krztusiłam się i niewiele widziałam. Do tego klapki to słaby wybór, jeśli musisz uciekać co sił w nogach.

Ale jak trzeba to trzeba, zwłaszcza gdy brak działania może oznaczać, że już nigdy nie zobaczę domku w Grand Lake. Pędziłam tak szybko, jak tylko dawałam radę, mając przed łzawiącymi oczami rozmazaną sylwetkę Texa.

Dotarliśmy do połowy ulicy, gdy rozległy się strzały. Tex pacnął mnie swoją wielką ręką, poleciałam w krzaki, głową do przodu, usłyszałam przeładowanie strzelby i huk.

Próbowałam wydostać się z tych krzaczorów. Czułam, jak gałęzie zdzierają ze mnie skórę. Znowu strzały, potem znowu huk. Zobaczyłam Texa, jak stoi na rozstawionych nogach, niczym ogromny cel. Normalnie wariat. Kule latają, a on spokojnie przeładowuje broń.

Leżąc na plecach jak żółw na skorupie, chciałam się obrócić i wstać, nadal zaplątana w krzaki, z rękami za plecami. Usłyszałam pisk opon, krzyki, znowu strzały – Texa odrzuciło do tyłu, przyklął na kolano.

– Jezu Chryste! – rozległ się głos Hanka. – Lee, ona jest tutaj!

Próbowałam spojrzeć na Hanka, który się nade mną pochylał... tak sędzę, bo niewiele widziałam. Ktoś mnie podniósł, Lee był chyba tuż obok, czułam słaby zapach skóry, przypraw i tytoniu.

– Trzymaj ręce tak daleko od siebie, jak tylko możesz, maksymalnie rozsuń nadgarstki i nie ruszaj się – polecił Lee.

Tak zrobiłam, poczułam, jak silna ręka ujmuje moje przedramię, usłyszałam strzał. Prawie mnie ogłuszyło, ale miałam wolne ręce.

Nareszcie!

Od razu wytarłam sobie łzy, które płynęły obficie.

– Nie trzyj – poinstruował mnie Lee. – Muszą wypłukać gaz. W porządku?

Skinęłam głową.

– Tex... – wykrztusiłam.

Rozmyta twarz Lee zwróciła się do Hanka.

– Zajmiesz się nią?

– Tak.

Lee zniknął.

Spojrzałam w stronę, gdzie Tex siedział teraz na trawie, trzymając się za ramię. Wciąż nie dostrzegałam szczegółów, ale padłam na kolana obok niego, złapałam go za zdrową rękę i mocno ścisnęłam. Nie wiem, czemu to zrobiłam, ale żeby mnie od niego oderwać, trzeba by użyć łomu.

Wyły syreny, wozy policyjne zwolniły. Hank pokazał, żeby jechali dalej, więc przyspieszyli.

Nie wiadomo skąd zjawiał się Pan Kumar, z papierowymi ręcznikami i wodą w plastikowej butelce. Puściłam Texa, żeby polać sobie na twarz i ręce. Gdy już przejrzałam na oczy, zobaczyłam wyraźnie, że Tex krwawi, więc oderwałam wielki kawałek papieru i przycisnęłam mu do ramienia.

Zrozumiałam, że jesteśmy w okolicy zamieszkania Texa i pana Kumara; gdybyśmy przebiegli jeszcze kawałek, znaleźlibyśmy się pod sklepem. Porywacze wyprowadzili mnie prosto na Texa.

Czy to ja miałam szczęście?

Czy Tex miał pecha?

Zobaczyłam migające światła, kolejny wóz policyjny zatrzymał się z piskiem opon.

Ze środka wyskoczyli Brian Bond i Willie Moses, podbiegli do Texa i do mnie.

– Cholera, Indy, co się stało? – zapytał Willie.

Willie był przyjacielem, kończył liceum w tym samym roku co Hank. Nadal w mundurze, wolał pracę operacyjną niż siedzenie przy biurku. Ale mundur leżał na nim naprawdę dobrze. W ogóle przystojniak z tego Williego. Wysoki, jedwabście gładka czarna skóra, niesamowity uśmiech i ciało zbudowane z samych mięśni. Był stypendystą Uniwersytetu Kolorado i grał w piłkę naprawdę dobrze, ale nie na tyle, żeby załapać się do NFL, zawodowej ligi futbolu. Podobnie jak Hank, zaraz po college'u poszedł do Akademii. Nauczył mnie grać w pokera (specjalnie tak, żebym przegrywała) i dawał mi łupnia w każdej partii.

Briana spotkałam kilka razy, ale jak dotąd ledwie wyszedł poza status nowego.

– Dzwonź po ambulans – powiedziała Williemu.

– Są dwie minuty za nami – poinformował mnie Brian.

– Wstań. – Willie spróbował mnie podnieść za rękę.

– Nie ma opcji. Nie puszczę go, dopóki karetka tu nie przyjedzie. – Z całych sił starając się nie rozpłakać, przyciskałam do ręki Texa papierowy ręcznik. Krew płynęła szybko i było jej strasznie dużo. W innych warunkach pewnie bym mnie zemdliło, ale teraz błyskawicznie zdobywałam nowe sprawności, włącznie z byciem niańką na adrenalinie.

– Nie zachowuj się jak dziewczyna – rzucił Tex. – Zaraz zaczniesz nade mną płakać. To tylko postrzał w ramię, zdarzały się gorsze rzeczy.

Popatrzyłam na niego. Siedział blady, miał zaciśnięte powieki, a głos zdradzał ból. Postanowiłam przemówić dobitnie, żeby do niego dotarło.

– Bardzo przepraszam! – warknęłam. – Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo postrzelonego w ramię... w ogóle nie widziałam nikogo postrzelonego! Wiadomość z ostatniej chwili, Tex: tak, jestem dziewczyną! I nie odejdę stąd, dopóki ten pieprzony ambulans nie przyjedzie. Rozumiesz, kurwa?

Willie puścił moją rękę, cofnął się.

– Dobra, dobra, nie musisz wyładowywać na mnie całego napięcia przedmiesiączkowego – ustąpił Tex. Spojrzał na coś za mną, odwróciłam się przez ramię.

Lee szedł w naszą stronę, w opuszczonej dłoni trzymał broń. Prowadził przed sobą Piaskowego, który miał ręce skute za plecami. Lee pchnął go mocno na trawnik, obok nas, Piaskowy padł na kolana.

– To jeden z nich? – zwrócił się do Texa, nie patrząc na mnie.

– Taak.

– On cię postrzelił? – spytał Willie.

– On strzelał do mnie i Indy. Ale to ten drugi mnie trafił.

Brian i Willie już nie słuchali. Wystarczyło, że usłyszeli „Indy”, żeby wciągnęli w płuca połowę nocnego powietrza. Spojrzeli na Piaskowego zmrużonymi oczami.

Strzelanie do córki gliniarza było prawie tak samo złe jak zastrzelenie gliniarza. Piaskowy nabył właśnie bilet pierwszej klasy do stacji Przerąbane na Maksa.

Przyjechała karetka.

Zmusiłam ratowników, żeby pozwolili mi jechać z tyłu razem z Texem, a udało mi się to dzięki napadowi szału. Gdy lokowali go w środku, tkwiłam przy jego boku. Tex pozwolił na to głównie dlatego, że już wiedział, że niewiele brakuje, a znów się odpalę. Nawet jeśli jesteś wielkim facetem, któremu niestraszne kule, to nie igrasz z rozwścieczoną kobietą.

Tex opowiedział mi, już w drodze do szpitala, że pan Kumar mieszka dwa domy dalej i widział, jak porywacze wynosili mnie z samochodu. Poszedł prosto do Texa, ten dał mu moją wizytówkę i powiedział, żeby dzwonić do Ally i żeby ona powiadomiła Lee. Dzięki temu Hank i Lee pojawili się tak szybko.

Detektyw Jimmy Marker, ten, który lata temu przyłapał mnie na picciu alkoholu, teraz dostał tę sprawę i przesłuchiwał mnie w szpitalnej poczekalni.

Jimmy siedział z ponurą miną, ale starał się wyglądać na mniej wkurzonego, niż był. Jak miałam osiem lat, spędził ze mną i swoimi dziećmi Dzień Ojca, bo mojemu tacie wypadła służba; razem braliśmy udział w wyścigu na trzy nogi. Podejrzywałam, że teraz bardzo chętnie zrzuciłby Piaskowego w kajdankach z bardzo wysokich schodów.

Przesłuchanie zajęło trochę czasu, ponieważ znaczna część policji Denver przyszła sprawdzić, czy ze mną wszystko w porządku. Miałam tam mnóstwo przyjaciół, połowa policjantów niańczyła mnie, jak byłam mała, z drugą połową się kumplowałam.

A potem nastąpił histeryczny wjazd Kitty Sue i Ally; tata i Malcolm szli z tyłu.

Kitty Sue nie płakała: ona wrzeszczała. Babcia często mówiła, że w chwilach napięcia krzyk równie dobrze rozładowuje emocje jak płacz. I tak, i tak wyglądasz okropnie, ale tylko jeden sposób kończy się czerwonymi oczami i zapuchniętą twarzą. Kitty Sue jako żona gliniarza już dawno temu nauczyła się, że histeryczny płacz prowadzi donikąd, za to krzyk ściąga uwagę. Mężczyźni zwykle są bezradni, kiedy kobieta płacze, ale zrobią wszystko, żeby przestała krzyczeć.

Pan Kumar również przyjechał do szpitala i chyba nie bardzo wiedział, co teraz robić, więc siedział cicho i usiłował być niewidzialny. Jimmy przesłuchał go zaraz po mnie.

Gdy już wyszedł, w końcu mogłam pójść do toalety i przysięgam, poczułam ulgę tak wielką, że prawie się popłakałam.

Potem oznajmiłam wszystkim, że chcę poczekać, aż skończą operować Texa. Powiedziałam to takim tonem, że nikt nie próbował zaprotestować. Nadal miałam na nadgarstkach przestrelone kajdanki, byłam pokrwawiona, trochę przez tarzanie się w krzakach, a trochę z powodu opatrywania rany postrzałowej Texa; ani fizycznie, ani psychicznie nie byłam w stanie, w którym można by mnie lekceważyć.

Usiadłam obok pana Kumara, wzięłam go za rękę i ścisnęłam. Chyba nie miał nic przeciwko temu, zresztą on też widział mój napad szału.

Siedzieliśmy w długim holu.

Kitty Sue wysłała tatę i Malcolma po coś do picia i wszyscy dostali okropną kawę z automatu. Kitty Sue i Ally siedziały blisko Kumara i mnie, Lee i Hank jeszcze się nie zjawili, straciłam ich z oczu w momencie, gdy przyjechała karetka.

Teraz, czekając na informacje o stanie Texa, doznałam szeregu olśnień. Ułamki wspomnień zaczęły układać się w całość.

Byłam wściekła, że znów mnie porwali i pewna, że zabrakło kilku sekund, żebym straciła kolano. Nigdy nie zwracałam większej uwagi na kolana, ale teraz przyjrzałam im się dokładnie i uznałam, że lubię je takie, jakie są.

Bałam się. O swoje życie, o kolano. Choć przez gaz łzawiący ledwo co widziałam, nie miałam wątpliwości, że Tex przyjął kulę, która leciała we mnie.

Ten strach budził wściekłość. Byłam wściekła, że porwali mnie na progu mojego własnego domu. Byłam wściekła, że Kitty Sue zachowuje się histerycznie. Byłam wściekła, że Malcolm stał i zerkał na mnie co chwila, jakby chciał coś powiedzieć i bał się, że jestem zbyt delikatna, by to usłyszeć. I byłam wściekła, że tata siedział naprzeciwko z przejętą miną.

Pozbierałam te kawałeczki puzzli, które wirowały wokół mnie od kilku dni, tylko nie starczyło mi rozumu, by połączyć je w całość, i to, co zobaczyłam, doprowadziło mnie do ostrego wkurwu.

Teraz byłam już pewna: Lee od początku ze mną pogrywał.

Bracia Nightingale'owie weszli do poczekalni, wszyscy odwrócili się w ich stronę. Lee miał kamienną twarz, Hank wyglądał na jeszcze bardziej wnerwionego niż ja. Spojrzał na Malcolma i pokręcił głową, Malcolm się spał.

Po tej bezgłośnej wymianie uwag tata zaklął głośno.

Zgadywałam, jak się okazało, słusznie, że Siwy Rick uciekł.

Hank podniósł mnie z krzesła i uściśnił tak mocno, że zabrakło mi tchu.

Lee podszedł do taty, Malcolm dołączył do nich i zaczęli cichą rozmowę, której nie mogłam słyszeć.

To mnie jeszcze bardziej zdenerwowało.

Hank mnie przytulił, a Lee ledwie na mnie spojrział.

Palant.

No dobra, nawet jeśli nadal był na mnie zły z powodu tej akcji na grillu, to przecież zostałam porwana, na miłość boską! Zasługiwałam choćby na poklepanie w ramię!

Hank puścił mnie, bo pojawili się lekarze. Oznajmili, że z Texem w porządku. Kula weszła w ramię, złamała łopatkę i wyszła tyłem.

Powiedzieli też, że jeśli będziemy cicho i nie zostaniemy długo, ja i pan Kumar możemy odwiedzić Texa.

Poszliśmy.

Tex zupełnie tu nie pasował – zbyt spokojny i na pewno zbyt wielki na to łóżko. I ledwo go poznałam bez gogli.

Uniósł powieki i spojrział na mnie.

– Fajna randka. Co robimy jutro wieczorem?

I zaraz potem znów zapadł w sen, a ja zaśmiałam się cicho.

Pan Kumar, który przyjechał do szpitala autem, wrócił do domu sam, Ally zabrała Kitty Sue, Hank pozostałych.

Malcolm siedział z przodu obok Hanka, ja z tyłu, wciśnięta pomiędzy tatę a Lee. Bez wątplenia stanowili wartę honorową.

Tata mocno trzymał moją dłoń, a Lee położył rękę na oparciu tylnego siedzenia, czyli ponad moimi ramionami. Ale chyba nie tyle chciał okazać jakieś uczucia, ile zrobić więcej miejsca.

Nikt nic nie mówił. Bo o czym tu gadać?

Hank zatrzymał się przed mieszkaniem Lee, ten odpiął pasy i wysiadł,

a potem odpiął moje pasy i podał mi rękę.

Zaskoczył mnie. Byłam pewna, że spędzę tę noc u siebie, i nawet tego chciałam. Lee mógł być na mnie nafochowany, ale ja miałam więcej powodów do wściekłości.

– Liam – odezwał się tata.

Lee nadal trzymał wyciągniętą rękę, ale pochylił się, żeby zajrzeć do samochodu.

– Tak?

– Dbaj o nią – powiedział ochrypłym głosem ojciec.

Ludzie od rekordów Guinnessa mogliby to zapisać, tuż obok mojego wkurwu. Jeszcze nikomu nie udało się doprowadzić do tego, żeby tata mówił takim tonem. Pieprzeni porywacze.

– Tak jest – odparł Lee.

Posłałam tacie buziaka. Uśmiechnął się, zatrzasnęliśmy drzwi, ale samochód nie ruszył.

Lee prowadził mnie do budynku. Pewnie mogłam oznajmić, że wolę jechać do domu, ale uznałam, że wystarczy już dramatów na jedną noc.

Odjechali dopiero, gdy drzwi do apartamentowca zamknęły się za nami i znaleźliśmy się w holu.

Nie zamieniliśmy ani słowa. Lee rozpiął mi kajdanki kluczem uniwersalnym. Rzucił je na komodę i odwrócił się do mnie, a ja skrzyżowałam ręce na piersi i spytałam:

– Nadal jesteś na mnie zły?

Ignorując moją bojową postawę, która komunikowała „nie podchodź” i była jasnym przekazem dla każdego mężczyzny (oprócz Lee), podszedł do mnie i położył mi dłonie na biodrach.

– Nie.

– To w czym problem?

Odpowiedział – od razu, bez wahania. Po prostu wyjaśnił mi, w czym rzecz, i zabrzmiało to tak jak szczerza prawda.

– Jestem wściekły na siebie, że tak zareagowałam na twoje słowa, chociaż nie miałas nic złego na myśli. I że zostawiłem cię tam bez ochrony.

Patrzyłam na niego dłuższą chwilę, usiłując ukryć zdumienie.

– Dobrze – mruknęłam w końcu. – Skoro mamy to już za sobą, idę pod prysznic.

Ujął mocniej moje biodra, patrząc na mnie zmrużonymi oczami. Przyglądał mi się przez jakiś czas.

– Rozumiem, że nie jestem zaproszony.

Odsunęłam się.

– Nie jesteś.

Stojąc pod strumieniem wody, umyłam włosy i obejrzałam wszystkie nowe skaleczenia i siniaki.

Dopiero po wyjściu spod prysznica zrozumiałam, że nie wzięłam do łazienki żadnych ubrań. Zdjęłam błękitny szlafrok Lee z wieszaka przy drzwiach, owinęłam się szczelnie, zawiązałam pasek.

Gdy wyszłam z łazienki, Lee leżał na łóżku bez koszulki, przykryty kołdrą do pasa i czytał. Tak, ja również nie mogłam w to uwierzyć – po prostu leżał sobie w łóżku i czytał.

Wrr.

Gdybym miała coś w ręku, rzuciłabym w niego.

Poszłam prosto do torby i przekopałam ją w poszukiwaniu majtek, znalazłam, wyprostowałam się i posłałam Lee mordercze spojrzenie. Odłożył książkę, teraz leżał na boku, z głową podpartą ręką i obserwował mnie.

– Zakładanie ich to strata czasu.

Tym razem posłałam mu spojrzenie lodowej północy, odwróciłam się tyłem i włożyłam majtki.

– Pogadaj ze mną, Indy – westchnął.

Odwróciłam się, oparłam ręce na biodrach.

Chciał gadać? Proszę bardzo.

– Miałam trochę czasu, żeby pomyśleć, gdy siedziałam przywiązana do krzesła, a potem w poczekalni... – Z tym myśleniem w czasie porwania to kłamstwo, ale nie musiał tego wiedzieć, za to wstęp wypadł bardziej dramatycznie. – Dziś rano powiedziałeś Hankowi, że pracujesz dla klienta. Myślałam, że mówisz o mnie. Ale się myliłam, prawda?

Patrzył na mnie bez słowa. Mówiłam dalej.

– Gdy wszystko się zaczęło, byłeś w Waszyngtonie, Ally twierdziła, że nie zamierzasz wracać. A jednak nagle się zjawiasz i znasz historię z brylantami. Znałeś ją już wcześniej.

Milczenie.

Przeszłam w ton oskarżycielski.

– Wróciłeś, żeby szukać brylantów. Miałeś klienta. Pracowałeś dla kogoś.

Podniósł się na łokciu.

– Bystrzacha – wymruczał i poklepał łóżko obok siebie. – Chodź tutaj, wyjaśnię ci wszystko.

Niedoczekanie.

– Wróciłeś do swojego mieszkania i okazało się, że praktycznie podałam ci brylanty na tacy, sprowadzając tu Rosiego. A potem w ramach zapłaty, chciałeś wymóc na mnie seks za coś, za co i tak ci już zapłacili, podczas gdy facet od brylantów spał sobie spokojnie na kanapie.

– Indy...

Przerwałam mu natychmiast.

– Nie potrzebuję twoich wyjaśnień. Śpię na kanapie, jutro wracam do domu. To koniec.

Z tymi słowami wymaszerowałam z sypialni, zapaliłam światło w salonie i wzięłam pilota. Dziesięć minut zajęło mi rozpoznanie, jak go używać, pięć kolejnych, żeby ustawić automatyczne wyłączenie telewizora i jeszcze dziesięć, żeby znaleźć coś do obejrzenia. Potem zgasiłam światło i położyłam się na kanapie.

Przez cały ten czas w uchylonych drzwiach sypialni widziałam światło, ale Lee nie dawał znaku życia. To zeźliło mnie jeszcze bardziej. Kilka minut po tym, jak już leciał jakiś program, światło zgasło, a mój wkurw sięgnął nieznanym wyżyn. Zrozumiałam, że to rzeczywiście koniec. Po prostu Lee zaakceptował moją decyzję.

No i bardzo dobrze, świetnie, ekstra; najlepiej.

Miałam za sobą traumatyczny dzień, zostałam porwana, dwukrotnie do mnie strzelano; nie wspominając już o emocjonalnych jazdach z Lee. Dlatego chociaż umysł buzował, ciało dopadło zejście po adrenalinie. Ocknęłam się, gdy wyłączył się telewizor, ale nie do końca oprzytomniałam, w trzech czwartych spałam, a w jednej czwartej byłam nieprzytomna.

A potem poczułam, że ktoś mnie podnosi z kanapy.

Lee niósł mnie do sypialni.

– Co robisz? – spytałam, trochę rozespana, a trochę oburzona.

– Zabieram cię do łóżka – odparł rzeczowo.

– Śpię na kanapie – oznajmiłam, gdy postawił mnie przy łóżku.

Nie odpowiedział, sięgnął do paska od szlafroka.

– Co robisz? – spytałam znowu.

– Szykuję cię do snu.

– Przestań! – Uderzyłam go po ręce, a gdy mnie zignorował, złapałam poły szlafroka i owinęłam się nimi bardzo ciasno. – Prawie nic pod tym nie mam!

Pasek zsunął się na podłogę. Lee nachylił się, ja zrobiłam kilka kroków w tył i prawie upadłam na łóżko, a on wyprostował się, trzymając koszulkę z logo Night Stalkersów, którą jakiś czas temu uznałam już za swoją.

Ponieważ nie miałam szans wygrać w tej szarpaninie, a do tego byłam wycieńczona, wzięłam koszulkę i odwróciłam się do niego plecami.

Ostatecznie mogę z nim spać, tłumaczyłam sobie, zakładając T-shirt przez głowę. Spałam z nim kilka ostatnich nocy i jakoś żyję. Jedna więcej nie zrobi mi już różnicy.

Zdjęłam szlafrok z ramion i tak szybko, jak tylko mogłam, włożyłam ręce w rękawy podkoszulki.

Za wolno.

Lee położył dłonie tuż nad moimi majtkami, brzeg koszulki spoczął na jego rękach.

Oparł brodę na moim ramieniu.

– Długo jeszcze będziesz się na mnie wściekać? – spytał niskim, chropawym głosem, budzącym dreszcz.

– Nie zamierzam przestać.

Przyciągnął mnie do siebie.

– Nie mogę rozmawiać z tobą o swoich klientach, Indy. Moje usługi zakładają poufność. Nie wolno mi opowiadać o pracy. Będziesz musiała do tego przywyknąć.

A przecież nie o to mi chodziło.

No dobra, był to jeden z punktów, ale nie główny.

Już dawno zauważyłam, że faceci omijają ten główny, jakby specjalnie.

Lee odrzucił mi włosy z szyi, przysunął usta do mojego ucha.

I przeszedł do tego głównego.

– Olewałaś mnie ostatnie dziesięć lat i nagle sprezentowałaś możliwość zwrócenia na siebie twojej uwagi. Nie lubię tracić okazji, wykorzystałem ją, Indy. Zdziałało: zauważyłaś mnie. Nie żałuję i zrobiłbym to znowu, nawet wiedząc, że w trakcie ugania się za tobą stracę gościa od brylantów.

Hm, to było wkurzające, ale szczere. A właściwie wkurzające, bo szczere.

Odsunęłam się, uwalniając z jego rąk, oparłam się kolanem na łóżku.

Mogłam się upierać przy spaniu na kanapie, ale nie chciałam tu urządzać zapasów, zwłaszcza po tym dreszczu w dolnych rejonach.

Przeszłam na kolanach po materacu, położyłam się na drugim końcu, przykryłam kołdrą.

Poczułam, że łóżko się ugina, zgasło światło.

A potem zostałam przeciągnięta przez materac i przyciśnięta plecami do twardego ciała, w pozycji na łyżeczkę, w której Lee zwykle mnie trzymał.

Nie stawiałam oporu. Dobrze szło mi milczenie, więc po prostu nadal leżałam spięta, dając znać, że nie wszystko zostało wybaczone. Cisza była chyba najlepszą bronią w moim arsenale, nie wahałam się, żeby jej użyć.

Ni z tego, ni z owego, Lee powiedział:

– Pamiętam ostatni raz, kiedy się bałem. To było w czasie szkolenia survivalowego. Pomyślałem wtedy: skoro ci dobrzy są w stanie wymyślić takie gówno na treningu, to do czego są zdolni ci źli?

Hm.

Opowieść na dobranoc dla niegrzecznych dziewczynek.

– A potem dotarło do mnie, że mogę nie być w stanie zapanować nad tym, co oni zrobią, ale mogę panować nad swoją reakcją. Strach niszczy koncentrację, powoduje, że tracisz panowanie nad sobą, bardzo cię osłabia. Daje fory przeciwnikowi. To był ostatni raz, kiedy straciłem panowanie i czułem strach.

Nadal leżałam spięta, ale teraz już z innego powodu; czekałam, co powie dalej.

– Dziś Ally zadzwoniła do mnie i poinformowała, że cię porwali. Zostawiłem

cię tam, a oni przyszli pod drzwi domu Toma i cię zabrali. Kiedy to usłyszałam, straciłam nad sobą panowanie.

O rany.

Jak to?

Co chciał powiedzieć?

Że się bał?

O mnie?... O to, że... że może mnie stracić?

O MÓJ BOŻE.

Czekałam, aż dalej to wyjaśni, ale nie zrobił tego.

Więc poczekałam jeszcze trochę.

To samo.

– Co to znaczy, że straciłeś panowanie? – szepnęłam w końcu.

Nadal cisza.

Odsunął moje włosy i dotknął ustami karku.

Nie broniłam się, słuchałam jego spokojnego oddechu. Wiedziałam, że nie śpi, i byłam pewna, że nic więcej nie powie. Nie ma opcji, żeby Liam Nightingale przyznał, i to głośno, że się o mnie bał.

Ale to i tak było jasne.

I nic więcej nie potrzebowałam.

Rozluźniłam się i wtuliłam tyłkiem w jego krocze.

Jest czas, żeby się obrazić.

I jest czas, żeby przestać.

Rozdział 12

Spełniłem swój obowiązek

Przebudziłam się, czując, że nie mam kołdry, chciałam ją na siebie naciągnąć.

I nie do końca ocucona zobaczyłam, że ledwie świta, a Lee siedzi na brzegu łóżka, gotów do wyjścia.

– Potrzebuję kawy – wymruczałam.

– Nie wstawaj. Chciałem tylko powiedzieć „do widzenia” – odparł.

Zamrugałam.

– Dokąd idziesz?

Ale już straciłam jego uwagę, patrzył na moje majtki.

– Zawsze nosisz taką bieliznę czy to dla mnie?

Przetoczyłam się na plecy, podciągnęłam kołdrę do pasa.

– Nie dla ciebie. Noszę taką bieliznę od czasu, gdy babcia sprezentowała mi pierwsze pudełko od Frederick of Hollywood na szesnaste urodziny. Teraz jestem winna bieliznę z Victoria's Secret swojemu pierwszemu dziecku.

Milczał przez kilka sekund, znów ściągnął ze mnie kołdrę.

– Czyli że od szesnastego roku życia na bożonarodzeniowym obiedzie siedzisz obok mnie w takiej bieliźnie?

Chyba miałam problem z przyswojeniem sytuacji. Wokół panował półmrok, Lee był ubrany do wyjścia i właśnie gadaliśmy o moich majtkach.

Czy siedziałam obok niego na obiedzie gwiazdkowym każdego roku?

Owszem. Z początku w wyniku moich kombinacji, a przez ostatnią dekadę na skutek ironii losu.

– Nie siadałam obok ciebie – mruknęłam.

– Oczywiście, bo to ja obok ciebie siadałam.

Słyszając to niebywałe oświadczenie, uniosłam się na łokciach i od razu

skrzywiłam z bólu. Cenna informacja: turlanie się w krzakach z kajdankami na rękach powoduje potem ból pleców.

Spojrzałam na zegarek.

– Jest pięć po piątej! Dokąd idziesz?

Pochylił się i musnął moje usta swoimi.

– Na polowanie.

Powiedział to tak, że zrobiło mi się żal wszystkich małych futerkowych stworzonek w lesie. A potem przypomniałam sobie, że przecież on nie poluje, w każdym razie nie na futrzaki.

O cholera.

Zastanawiałam się, jak zareagować. W końcu zdecydowałam się na:

– Uważaj na siebie.

Objął mnie ręką i przyciągnął.

Nie byłam miłośniczką porannych pieszczot przed myciem zębów, zwłaszcza pocałunków z języczkiem.

Ale on całował tak zajebiście, że zrobiłam wyjątek.

Posadził mnie na kolanach i pocałował jeszcze mocniej.

Jeśli posuniemy się trochę dalej, moje zielone jedwabne majtki z szarą koronką staną w płomieniach.

Wtedy podniósł głowę i polecił:

– Dzwon do Hanka, gdybyś chciała gdzieś jechać. Moi ludzie będą mi potrzebni, dzisiaj Hank cię popilnuje.

Ponieważ nie chciałam, żeby znów mnie porwano, a wczorajszy dzień pod względem beznadziei pobił na głowę ten, w którym dowiedziałam się, że bilety na Pearl Jam są wyprzedane, odparłam:

– Dobra.

Pocałował mnie szybko, położył na łóżku i wyszedł.

Pospałam jeszcze trochę, potem wstałam, wypiałam kawę, łyknęłam proszek przeciwbólowy i zadzwoniłam do Hanka, żeby przyjechał. Jeszcze nie ułożyłam sobie planu, ale byłam zbyt nakręcona wydarzeniami poprzedniego dnia, żeby

non stop siedzieć u Lee.

W łazience obejrzałam się dokładnie w lustrze.

Siniak na twarzy bladł, ale wciąż był.

Miałam siniaki na nadgarstkach, bicepsach i udach, głębokie zadrapania na rękach i nogach.

Szalenie atrakcyjne.

Żeby poprawić sobie nastrój, sięgnęłam po kosmetyki, które jeszcze nigdy mnie nie zawiodły. Użyłam delikatnego różu, cieni do powiek – takiego bez koloru, ale dającego połysk, białego podkładu do rzęs, który wydłużał je na kilometr, a potem dałam podwójną warstwę tuszu. Założyłam koszulkę z Lynyrd Skynyrd, dzinsy, czarny pleciony pas ze srebrną kwadratową klamrą z małymi różyczkami i czarne kowbojskie buty.

Właśnie zakładałam drugi but, gdy zadzwoniła komórka.

– Mamy problem – odezwał się Duke niskim głosem, przywodzącym na myśl Sama Elliotta.

– Duke, rany, miło cię słyszeć!

– Jestem pod księgarnią...

– Zamknęłam na weekend – poinformowałam go poniewczasie.

– Widziałem kartkę. Otworzyłem drzwi. Mamy tutaj prawie zamieszki. Ludzie są niezadowoleni, że nie ma Rosiego. Początkowo było spokojnie, ale teraz ten motłoch żąda krwi.

– Jesteś sam? – zapytałam wstrząśnięta.

Opanowanie księgarni w pojedynkę było spoko możliwe w czasach przedkawowych; w epoce późnego Rosiego – wykluczone.

– Jest ze mną Dolores – odparł Duke.

– O rany.

Dolores piła rozpuszczalną. Niedobrze.

– Przyjadę tak szybko, jak się da.

Odłożyłam telefon, ale odezwał się znowu, jednocześnie z brzęczykiem domofonu.

Dzwoniła Ally; odebrałam, poprosiłam, żeby zaczekała i nacisnęłam przycisk domofonu. To Hank, rzuciłam, że już schodzę.

– Jak się czujesz, mała? – spytała Ally.

– Dobrze, trochę boli, poza tym w porządku.

– Jakież plany?

– Duke otworzył księgarnię; szykują nam się zamieszki na tle Rosiego. Jdę tam zaraz z Hankiem.

– Dobra, widzimy się na miejscu.

Hank nie był specjalnie zachwycony perspektywą ogarniania buntu jako pierwszego punktu dnia swojej wachty. Namówiłam go jednak, odwołując się do jego odwagi.

Weszłam do księgarni i pożałowałam, że Hank nie odwiódł mnie od zamiaru uspokajania tłumów. Kłębiło się tu kilkanaście, może dwadzieścia osób i powietrze trzeszczało od wrogości. Stali bywalcy nie mieli nic przeciwko temu, żeby Rosie zniknął na dwa, trzy dni, ale teraz już stracili cierpliwość.

Anna wypatrzyła mnie, zanim Hank zdążył zamknąć drzwi. Przychodziła codziennie rano, ósma piętnaście, ubrana w żakiet. Jasne włosy miała ułożone w kask futbolisty. Setki razy rozmawiałyśmy przez ladę i zawsze była miła, nawet jak się spieszyła. Co robi tutaj w niedzielę? Nigdy nie odwiedzała nas w weekend.

– Co się, do cholery, wyprawia? – zaatakowała mnie. – Gdzie ten mały gość, co parzy kawę?

Gapiałam się na nią z otwartymi ustami.

– Właśnie! Gdzie Rosie i dlaczego wczoraj zamknęliście? Ellen nigdy nie zamykała księgarni, nigdy! – To już Manuel, stały bywalec z czasów przedkofeinowych. Zwykle spędzał całe godziny nad Vonnegutem i Updikiem w dziale fantastyki. Znałam go od zawsze.

– Przyszedłem tutaj specjalnie do tego gościa od kawy, siedemnaście przecznic! I co niby mam teraz zrobić? Dokąd iść? – odezwał się inny.

Nie znałam jego imienia, ale przychodził po tym, jak Rosie przeniósł się do nas. Zwykle wpadał ze dwa razy w miesiącu, właśnie w niedzielę, czasem nawet kupował książkę.

Ludzie zaczęli napierać, więc Hank zasłonił mnie, przechodząc w tryb ochroniarza.

Miałam dosyć. Rozumiałam miłość do kawy, ale to już przesada. Miałam za sobą najgorsze dni w życiu, do tego zostałam dziewczyną Lee Nightingale’a,

a wciąż *tego* nie zrobiliśmy. Balansowałam na krawędzi.

Dlatego wskoczyłam na krzesło, podniosłam palce do ust i gwizdnęłam przeraźliwie, czego nauczył mnie tata, jak miałam jedenaście lat.

– Posłuchajcie mnie, ludzie! – krzyknęłam.

Wszyscy spojrzeli na mnie, a ja zobaczyłam, że do księgarni wchodzi pan Kumar z dwiema Azjatkami – jedną mniej więcej w jego wieku i drugą, znacznie starszą, chyba z czasów prehistorycznych.

– Gość od kawy, który, tak przy okazji, ma na imię Rosie, wyjechał do Salwadoru – skłamałam.

Nie byli zadowoleni, ale kontynuowałam swoje wystąpienie.

– Chwilowo porzucił parzenie kawy i teraz jest w samym centrum Ameryki Środkowej, gdzie buduje domy dla ubogich. Myślę, że powinniśmy oderwać się na chwilę od kawy i tego, co nam daje Rosie, a zastanowić się nad tą szlachetną decyzją. Podczas gdy wy domagacie się kofeiny i złorzeczycie mojemu ciężko pracującemu i niewinnemu personelowi, Rosie siedzi w zdezelowanym pickupie i, trzęsąc się na wybojach, jedzie budować jednoizbowe domy dla ludzi, którzy nie mają nic!

Waliłam z grubej rury, plotąc trzy po trzy, ale liczyłam na amerykańską zaściankowość. Skoro nie prowadziliśmy wojny z Salwadorem, czy ktoś w ogóle coś o nim wiedział?

Ludzie gapili się na mnie jak na kuglarza z cyrku.

– Zrozumiem waszą decyzję, jeśli wrócicie do sieciowej kafejki, ale pomyślcie! Za kilka lat takie małe biznesy jak mój i pana Kumara, który stoi, o tam – wskazałam go, a on próbował wciągnąć głowę w ramiona – zostaną przejęte i w Ameryce będą same sieciówki. Franczyza zabija rodzinne sklepiki. Zapytajcie siebie samych: czy tego chcecie? Tego właśnie chcecie?

Zero reakcji.

– No? Czy to jest właśnie to, na czym wam zależy? – ryknęłam.

Szuranie butami, czyjeś ciche „nie”.

No, może to nie poklask, aplauz i owacje, ale mi wystarczyło. Zaczęłam czuć się jak świruska, gadałam jak Tex, a w dodatku stałam na krześle.

– W porządku! Teraz Duke przyjmie zamówienia na kawę i wszystkie zostaną błyskawicznie zrealizowane. Dziękuję za uwagę!

Zeskoczyłam z krzesła, Hank uśmiechał się do mnie szeroko; pomyślałam, że pewnie opowie o wszystkim Lee, ale miałam to gdzieś, i tak już każdy przywykł do moich odpałów. Zignorowałam Hanka i ukloniłam się Kumarowi.

– Dzień dobry, panu!

– India... To moja żona, pani Kumar, i matka mojej żony, pani Salim.

Uśmiechnęłam się do młodszej kobiety. Pani Kumar była kiedyś piękną i jej uroda jeszcze nie przeminęła. Odpowiedziała uśmiechem, który rozblęsnął również w jej oczach.

Pani Salim miała bardzo pomarszczoną, nieruchomą twarz; stłumiłam chęć sprawdzenia, czy oddycha.

– Kupujesz jedzenie w moim sklepie – oznajmił pan Kumar. – Dlatego przyszliśmy kupić książki w twoim.

Ten gest solidarności był tak wzruszający, że prawie się rozplakałam. Pan Kumar pewnie to wyczuł, bo skłonił głowę, odpowiedziałam tym samym.

– A potem chcemy odwiedzić Texa w szpitalu. A potem wrócimy i otworzymy nasz sklep – dodał.

– Ja też wybieram się później do Texa.

– Ale teraz widzę, że musisz iść robić kawę.

Przytaknęłam. Do księgarni weszła Ally, od razu zobaczyła Kumara, rozpromieniła się i zaczęła do nas przepychać.

– Hej, panie Kumar! To pana żona? O rany!

Obeszła Kumarów dookoła, zobaczyła panią Salim i nie zdołała ukryć reakcji.

Zostawiłam ją, żeby mogła jakoś zatuszować swoją gafę.

Dolores przyjmowała zamówienia, mówiąc do klientów mniej więcej tak: „chudą lah-tay, aha, jeszcze raz?”. Duke parzył kawę.

Dolores pracowała w Evergreen, w Little Bear, spoko barze, zawsze pełnym ludzi. Potrafiła przyjąć zamówienie na osiem margarit, dwie bez soli i trzy mrożone, trzy jacki danielsy i colę, białego rosjanina i shriley temple, zrobić wszystko bezbłędnie i przynieść do stolika na jednej tacy – ale w kwestii kawy okazała się beznadziejna. Przychodziła czasem pomóc do księgarni i nigdy nie kończyło się to dobrze.

Stałam ramię w ramię z Dukiem i zrobiłam Hankowi cappuccino na

potrójnym espresso. Siwy Rick pozostawał na wolności, więc chciałam, żeby Hank zachował hiperczułość. Usiadł przy końcu lady, gdzie miał idealny widok na drzwi wejściowe, i mnie w zasięgu ręki.

– Chyba wybrałam słaby czas na popijawę – zagał Duke.

– Trochę tak, ale już zaczęłam się przyzwyczajać, że traktuje mnie paralizatorem, porywają i próbują zastrzelić. Odkrycie zwłok to ciężkie doświadczenie, tak samo jak to, że Tex oberwał wczoraj w ramię, ale poza tym luz, wszyscy zdrowi.

Duke zastygł. Dolores podniosła wzrok znad papierowego kubka, gdzie bezlitośnie dręczyła nazwy zamówień jaskraworóżowym markerem, i spojrzała na mnie okrągłymi oczami. Klient, który stał przed ekspresem, gapił się na mnie.

Aha, czyli Lee nie wtajemniczył Duke'a w wydarzenia zeszłego wieczoru.

– Możesz powtórzyć? – poprosił Duke.

Zerknęłam na klienta:

– Później.

Właśnie udało nam się rozładować tłum, gdy rozległ się wesoły brzęk kasy przy ladzie książek. Wszyscy podnieśli wzrok.

– Sprzedałam książkę! – zawołała tradycyjnie Ally.

Zwykle w ten sposób uwiecznialiśmy fakt, że ktoś kupił książkę. Był powód do świętowania.

Wykonałam swój taniec szczęścia, obracając się wkoło i machając rękami w górze. Zauważyłam, że to Kumarowie coś kupili, stali właśnie przed Ally. Uniosłam wysoko oba kciuki.

W zwolnionym tempie stara pani Salim odwzajemniła gest, a ja zaczęłam się bać, że jej kciuk rozpadnie się w obłok pyłu, jak ręka zombie w *Thrillerze* Michaela Jacksona. Wzięła torbę od Ally kościstymi palcami i cała trójka wyszła, machając mi na pożegnanie; pani Salim człapała z tyłu, szeleszcząc torbą.

– Skoro mamy już wolną chwilę, możemy wrócić do opowieści o porwaniu i zwłokach? – Duke potarł czoło pod zrolowaną czerwoną bandanką.

Zadzwoniła moja komórka.

Dzięki ci, Boże.

– Halo?

Milczenie, potem cichy głos.

– Potrzebuję pomocy rockowych lasek.

– Słucham?

– Pod moimi drzwiami zjawił się przerażający gość. Już poszedł, ale wróci. On wie, że ja je mam, i zabije mnie tak samo jak Tima.

Kevster. Cholera, kto stał pod jego drzwiami? Zresztą, nieważne. To, co mówił, nie brzmiało dobrze. W dodatku okazywało się, że Kevster najprawdopodobniej ma coś, co jest małe, błyszczące i warte milion dolarów.

– Kevin?

– Musisz mi pomóc!

I się rozłączył.

Spojrzałam na Ally.

– Kevster ma kłopoty. – Zerknęłam szybko na Hanka. – Musimy jechać.

Już miałam wyjść zza lady, ale Nightingale chwycił moją koszulkę i zatrzymał mnie w miejscu.

– Co się dzieje?

Wy tłumaczyłam mu, próbując jednocześnie ciągnąć za sobą, ale stał nieruchomo i kręcił głową.

– Mogę wezwać patrol – powiedział.

– Nie! Żadnych glin. On jest trochę... wrażliwy.

Spojrzał na mnie i zacisnął usta.

– Ja też jestem gliną – przypomniał.

– Ale nie dziś.

– Zawsze.

– Hank, serio, on z jakiegoś powodu ufa mnie i Ally, musimy tam pojechać, a ty musisz się wyluzować.

– Indy, serio, nigdzie się stąd nie ruszasz, a ja nic nie muszę.

Podeszła do nas Ally.

– Ja pojadę.

– Ty też zostajesz na miejscu. – Hank patrzył to na mnie, to na nią. – A niech was! Ja pojadę.

Już idąc do drzwi, spytał o adres Kevina.

Deptałam mu po piętach, więc gdy nagle się odwrócił, wpadłam na niego.

– Zostań – polecił.

– Nie jestem psem!

– Nie jedziesz.

– Nie zostaję.

Hank spojrzał wymownie na Duke'a. Byłam pewna, że zaraz obaj się na mnie rzucą, dlatego palnęłam szybko:

– Porwali mnie z domu taty. Myślisz, że będą się zastanawiać, czy przyjść tutaj? Nie odstąpię cię nawet na krok, a ty musisz uratować Kevstera, więc idę z tobą.

– Lecę z wami – dodała Ally.

Role się odwróciły, teraz ja i Ally napadłyśmy na Hanka. Wyglądał, jakby chciał nas zabić, ale w końcu ustąpił. Znał nas wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że i tak dopniemy swego, żeby się paliło i waliło.

– Robicie to, co wam powiem – zażądał.

Akurat, na pewno.

– Oczywiście – skłamałam gładko.

Przyjrzał mi się, widział, że ściemniam. Westchnął i wyszliśmy.

Ledwie zdążył podjechać przed dom Kevstera, gdy wyskoczyłam z wozu.

– Indy, do jasnej cholery! – zawołał Hank.

Ale ja już dopadłam drzwi i zaczęłam walić w nie pięściami.

– Kevin, to ja! Indy Savage, rockowa laska! – zawołałam. Brzmiało to głupio, ale mniejsza z tym, jeśli to on miał brylanty, bardzo chciałam je dostać (i niech się to wszystko wreszcie skończy), za to bardzo nie chciałam, żeby znów mnie przywiązali do krzesła. Mogłam nawet brzmieć głupio.

Hank stanął za mną, a drzwi otworzyły się gwałtownie.

Kevin wychylił się, wziął mnie za ramię i wciągnął do środka. Moje nadwyreżone, obolałe mięśnie protestowały. Kevster szybko zamknął za mną drzwi.

Nie dość szybko. Hank zdążył wbić bark w szczelinę i pchnąć drzwi tak brutalnie, że Kevin uderzył w ścianę.

Nightingale załatwił kołesia w dwóch ruchach, i teraz, z ręką na jego szyi, przyciskał go do ściany.

– Ej, wyluzuj, to właśnie Kevin! – zawołałam.

Hank odwrócił się do mnie, spojrzał gdzieś za moje ramię i powiedział:

– Ja pierdziele...

Ally, która już weszła do środka, też zobaczyła coś, co było za mną, odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

Popatrzyłam do tyłu: cały salon wypełniały rośliny. Na każdym kawałku płaskiej powierzchni stały doniczki, pokrywały całą podłogę, zostawiono jedynie wąską ścieżkę.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rosła marihuana. To była istna plantacja.

– O niech to szlag – wymamrotałam.

– Mchr – zabełkotał Kevster.

– Dobra, puść go – poleciła Ally.

Hank osłabił uchwyt i drugą ręką sięgnął za plecy. Miał na sobie dżinsy, wysokie buty i szarą podkoszulkę, opinającą ramiona i pierś, luźną w pasie. Gdy podciągnął podkoszulkę, zobaczyłam broń wsuniętą za pasek, obok kajdanki. Wyjął je, jedną obręcz zapiął na ręce Kevina, przyciągnął go do drzwi i tam zatrzaskał drugą na klamce.

Kevin kasłał i tłumaczył się jednocześnie.

– Słuchajcie, musiałem ratować te rośliny! One umierały, a przecież nie zrobiły nic złego, są niewinne. Rosie zostawił je na pewną śmierć, ktoś musiał im pomóc!

Hank w ogóle nie zwracał uwagi na tę paplaninę. Spojrzał na mnie.

– Musimy porozmawiać – rzucił krótko.

Przedzierał się ścieżką między zielonymi ścianami, szłam za nim, znaleźliśmy się w kuchni, też zastawionej doniczkami.

Rozejrzał się.

– Co to, kurwa, jest?

– Skąd mam wiedzieć, co to, kurwa, jest? Myślałam, że dzwoni w sprawie Siwego Ricka, tego gościa, który mnie porwał. Nie miałam pojęcia o tym wszystkim.

Hank patrzył na mnie przez chwilę, potem spojrzał w sufit.

– Co chcesz zrobić? – spytałam.

– Zgłosić to – odparł swoim bardzo gliniarskim tonem.

Oho.

– A możemy najpierw przenieść doniczki do domu Rosiego i dopiero potem zadzwonić stamtąd? – zaproponowałam.

Gapił się na mnie z niedowierzaniem, jakbym pytała o pozwolenie na rządzenie światem oraz ustanowienie wtorków Międzynarodowym Dniem Różowego Szampana.

Chyba nie było opcji.

– Dobra, a czy policja może zabrać tę zieleninę i zostawić Kevina? – spróbowałam inaczej. – To nie są jego rośliny, on się tylko nimi zajmował jako zatroskany ekolog.

Hank wsparł ręce na biodrach.

Wciągnęłam powietrze przez nos i wypuściłam.

– Jak bardzo jest w dupie?

– Indy, masz pojęcie, ile to jest warte?

Potoczyłam wzrokiem wkoło. Widziałam już w życiu marihuanę. Widziałam ludzi, którzy jarają zioło. Sama kilka razy paliłam jointy w swojej dzikiej przeszłości. Ale nie znalazłam nawet przybliżonej wartości takiej plantacji.

– Ee, nie.

– Słuchaj, on jest bardzo głęboko w dupie.

Tego właśnie się bałam.

Wróciliśmy zieloną ścieżką do pozostałej dwójki. Kevster wyglądał na wystraszonego, do Ally też dotarła powaga sytuacji.

– Co chcesz z tym zrobić? – zagadnęła brata.

Ominął ją i poszedł do drzwi, wydając telefon.

– Ale się narobiło syfu – mruknęłam do niej półgębkiem.

– Czemu ściągnęłyście tu gliny? – jęczał Kevin.

– To mój ochroniarz. Ciągłe do mnie strzelają i już dwa razy mnie porwali – wyjaśniłam.

Kevster wytrzeszczył na mnie oczy, normalna reakcja ludzi na tę wiadomość.

Wszyscy przeżywali wstrząs, bo tak, owszem, to wstrząsający news.

W końcu wystękał ponuro:

– Tim nie żyje. Słyszałem w wiadomościach. Rosie wrobił nas wszystkich.

To prawda. Cichy, mały Rosie, chłopak od kawy, gromadnie wpakował nas w szambo.

– Czemu przeniosłeś rośliny tutaj? – Ally zadała pytanie za milion dolców.

– Stara, jaram zioło. A to najlepszy towar w Denver, w Kolorado, może na całym świecie. Jak coś takiego zniszczyć? To byłaby zbrodnia. Spełniłem wobec tych roślin swój obowiązek i teraz za to zapłacę; nie mam pretensji – uderzył Kevster w dramatyczną nutę na chwilę przed aresztowaniem. Pomyślałam, że to dobra linia obrony.

– Powiedz mi o tym facecie, który był tu dzisiaj. Jak wyglądał? – spytałam jeszcze.

Wzruszył ramionami. Może perspektywa chodzenia do toalety z asystą sprawiła, że przerażający gość nie był już tak przerażający.

– To ten sam, który wcześniej tu się kręcił, tylko bez kumpla. Ciemne włosy, trochę siwizny, wielki drab. Widziałem go przez okno, wyglądał na wkurzonego.

Odwróciłam się do Ally, uniosła brwi, ja skinęłam głową.

Siwy Rick.

– Kiedy to było? – zainteresowała się.

– Dziś rano, jeszcze przed świtem – odparł Kevster. – Łomotał do drzwi, walił w okno i krzyczał. Tak mnie wystraszył, że bałem się wyjść z sypialni, a wasza wizytówka leżała na lodówce. Czekałem całą wieczność, w końcu musiałam pójść się wysikać, złapałam wizytówkę i telefon w drodze do łazienki. Zadzwoiłem natychmiast po tym, jak się odlałem.

Chyba nie potrzebowałam tych informacji.

Wprawdzie Siwy Rick dawno stąd zniknął, ale i tak musiałam się skontaktować z Lee. Wyruszył na polowanie, a informacje dotyczyły jego ofiary.

Wyszłam na dwór, Hank rozmawiał przed domem z dwoma policjantami. Jednym z nich był Jorge Alvarez, który miał niedługo zdać egzamin na detektywa i, zdaniem Malcolma, wcześniej czy później pewnie zostanie szefem policji.

Drugi to Carl Farrel, z którym Ally całowała się po spotkaniu F.O.P. Carl

zrobił licencjat z biologii i politologii, teraz studiował kryminalistykę. Wysoki, potężny, z jasnymi, wiecznie rozwichrzonymi włosami i niebieskimi oczami. Miał sarkastyczne poczucie humoru, a gdy na jakąś laskę patrzył, odnosiła wrażenie, że on wie, jak ona wygląda nago. Innymi słowy: cholernie seksowne ciacho. Gdybym nie była tak zafiksowana na Lee, Ally miałyby konkurencję.

Pomachałam im, gdy wchodzili do środka. Jorge pogroził mi palcem w udawanym gniewie, Carl mrugnął z uśmiechem.

Właśnie miałam wybrać numer Lee, gdy telefon zadzwonił.

– Słucham?

– Słuchaj, słuchaj, kobieto. Przyjeżdżasz po mnie, czy jak?

Tex!

– Wypuszczają mnie, ale nie dają ani pójść na piechotę, ani wziąć taksówki.

Zastanowiłam się. Był w Denver Health, czyli z osiem kilometrów od domu. Szalony Tex, który włóczy się ulicami, naszpikowany środkami przeciwbólowymi, nie wróżył miastu spokojnego popołudnia.

Podjechały kolejne dwa radiowozy, a za nimi telewizyjny van Channel 9 News.

Ekstra.

Plantacja marihuany – wiadomość tygodnia.

– Kiedy cię wypuszczają? – spytałam Texa.

– Dziesięć minut temu.

– Będę najszybciej, jak się da.

Rozłączyłam się, Hank spojrzał na mnie.

– Co znowu?

Ally wyszła z domu przed Jorge, Carlem i Kevsterem.

A raczej: Ally wyłoniła się, kołysząc biodrami, ze znaczącym uśmiechem na twarzy, a Carl szedł za nią, gapiąc się na jej tyłek, też uśmiechnięty.

Zajechał kolejny radiowóz. Zjawiła się też kolejna ekipa dziennikarzy. Samochód Channel 7 właśnie szukał miejsca do zaparkowania. Jorge prowadził Kevina do wozu. Mijając nas, rzucił Hankowi jego kajdanki.

– Odwiedzajcie mnie, rockowe dziewczyny! – zawołał Kevin, który na szczęście nie chował do nas urazy. – Przynieście brownie!

– Spróbuj przemycić mu cokolwiek, to cię zabiję – zagroził Hank.

Puściłam to mimo uszu.

– Musisz tu zostać?

– Nie, przekazałem sprawę Jorge, zajmą się tym. Potem pojedziemy na posterunek złożyć zeznania.

– Dobrze się składa, bo musimy odebrać Texa ze szpitala – odparłam. – Wypuścili go, potrzebuje podwózki.

Hank pokręcił głową.

– Nie jedziemy do jego domu. Są poważne dowody, by przypuszczać, że przechowywał u siebie granaty i gaz łzawiący. Nie chcę nawet myśleć, co moglibyśmy znaleźć w jego salonie. Musiałbym dzwonić po tych z ATF[8], a to świry.

– No, to ty nie wchodź – zasugerowałam.

– Indy...

Zagrałam *va banque*.

– Człowiek mnie osłonił!

Zadziałało.

– Liam mi się za to nie wypłaci – wymruczał Hank, idąc do swojej toyoty.

Zdążyliśmy ruszyć, gdy odezwała się moja komórka. Na ekranie widniała informacja, że to połączenie od Lee.

– Cześć, właśnie miałam do ciebie dzwonić – oznajmiłam.

– Doniesiono mi, że jesteś na wszystkich częstotliwościach policji.

Coś podobnego.

– Tak się złożyło, że doprowadziłam Hanka do domu pełnego zioła i musiał wezwać gliny.

Cisza.

– Lee?

– A czemu nie jesteś u mnie?

– Dzwonił Duke, musiał otworzyć księgarnię, mieliśmy tam małe rozruchy z powodu Rosiego. Opanowaliśmy sytuację, a potem zadzwonił Kevster, że ktoś był pod jego domem i go wystraszył, pomyślałam, że to tamten porywacz, Siwy Rick, i miałam rację. Właśnie dlatego zamierzałam się z tobą skontaktować:

przyszedł do Kevina z samego rana i dobijał się do drzwi, uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Znowu cisza.

– Lee?

– Gdzie w tej chwili jest Hank?

– Prowadzi, bo jedziemy zabrać Texa ze szpitala i odwieźć go do domu.

Wypuścili go już.

– Chcę z nim pogadać.

Zerknęłam na Hanka. Wyglądał na wkurzonego.

– To chyba niedobry pomysł.

– Bo?

– Zdaje się, że jest na ciebie wściekły.

– Wyjaśnijmy to, żebyś miał pewność, że zrozumiałem. Miał cię pilnować, a zabrał cię do domu, gdzie kilka godzin wcześniej grasował twój porywacz... I teraz on wścieka się na mnie?

Uch.

– Myślę, że na mnie też – zauważyłam.

Milczenie.

– Trochę go namówiłam – wyznałam.

– Tak, podejrzewam, że jesteś w tym dobra.

– Jeśli to ci poprawi humor, zdążył mi już zagrozić, że mnie zabije.

Usłyszałam westchnienie, a potem:

– Bądź ostrożna, na litość boską.

I się rozłączył.

Kiedy wysiedliśmy z toyoty, zobaczyliśmy Texa na wózku inwalidzkim przy wejściu na oddział ratunkowy. Rękę miał na temblaku, za nim stał krępy facet w kitlu i drewniakach.

Tex wstał z wózka, spojrzął ponuro na mężczyznę w drewniakach.

– Pieprzone wózki. Pieprzeni sanitariusze – wymruczał.

– Nie jestem sanitariuszem, jestem pielęgniarzem – poprawił gość w drewniakach. Patrząc na niego, byłam gotowa się zgodzić, wyglądał tak, jakby

mógł być, kim chciał.

– Wszystko jedno – burknął Tex i spojrzał na mnie. – Co przegapiłem?

Opowiedziałam mu o zamieszkach, starożytnej teściowej Kumara, telefonie Kevstera, zjawieniu się porywacza, plantacji marihuany, policji i dwóch wozach telewizyjnych.

– Zajeście, słonko – podsumował.

– Też tak myślę – odparłam. – I co teraz?

Tex poczłapał do SUV-a.

– Teraz pojedziemy nakarmić koty.

Rozdział 13

Pandemonium w gejowskim barze

Weszliśmy do domu Texa. Kiedy on się przebierał, my nakarmiliśmy milion kotów i wyczyściliśmy kuwety. Nie była to może najprzyjemniejsza robota na świecie, ale futrzaki okazały nam wdzięczność. Zostaliśmy trochę, by je wygłaskać, pobawić się z nimi piórkami i światełkiem lasera na ścianie, bo, jak twierdził Tex, to ważne, żeby trenowały umysł i ciało.

Na całe szczęście broń palna i materiały wybuchowe nie leżały nigdzie na wierzchu.

Gdy zaczęliśmy się zbierać, poszedł za nami.

Hank zatrzymał się i odwrócił.

– Dokąd idziesz?

– Z wami.

– Nie sądzę.

– Myślisz, że dasz radę chronić pannę Calamity^[9] sam jeden? – mruknął Tex, wskazując mnie kciukiem.

Ee, że co? Pannę Calamity?

– Masz rękę na temblaku – przypomniał Hank.

– Posłuchaj, tkwię na tej ulicy dwadzieścia lat, nie zszedłem z ganku nigdy, z wyjątkiem pójścia do cholernego dentysty w dziewięćdziesiątym ósmym, jak mnie bolał ząb. Poprzedniej nocy też zszedłem i po raz pierwszy od lat czuję się wolny.

Hank się zastanowił.

Był twardzielem, ale zawsze miał dużą wrażliwość. Wdawał się w bójki, wyłącznie stając w obronie gnębionych dzieciaków w szkole albo gdy ktoś pieprzył bzdury o dziewczynach, a on wiedział, że to bujda (tymi dziewczynami zwykle byliśmy ja i Ally). W dzieciństwie przyprowadzał do domu bezdomne

psy i przynosił poranione ptaszki. Zawsze myślałam, że wstąpił do policji, żeby bardziej chronić niż pilnować porządku.

– Lee mi się nie wypłaci – powtórzył, poddając się.

Poszliśmy do sklepu Kumara, zaopatrzyliśmy się w niezdrowe jedzenie i produkty na lunch, potem udaliśmy się na posterunek złożyć zeznania o wydarzeniach na plantacji marihuany i w końcu pojechaliśmy do mnie.

Stevie i Tod akurat kosili, pielili i przycinali gałęzie przed domem. Kitty Sue opalała się na werandzie, pólżąc na płóciennym krześle butterfly, niegdyś soczyście turkusowym, teraz szarobłękitnym. Marianne Meyer siedziała na schodku i bawiła się z dzieckiem, Andrea uganiała się za brzdącem, który łąził po mojej stronie trawnika, a dwójka innych jej dzieci tarzała się w trawie, a wyglądało to tak, jakby mieli się pozabijać.

Hank zaparkował po przeciwnej stronie ulicy i weszliśmy na posesję. Wszyscy gapili się na Texa, który nawet bez gogli zwracał na siebie uwagę.

Potem Marianne przerzuciła się na mnie.

– No? – spytała.

– Co: no?

Uniosła rękę:

– Czy Lee zdobył już kokardkę z twoich majtek?

Wrr.

Podeszli Tod i Stevie, ratując mnie przed odpowiedzią.

– Kitty Sue mówiła, że porwano cię zeszłej nocy – powiedział przejęty Stevie.

– Po raz drugi – dodał Tod.

Nie zdążyłam jeszcze otworzyć ust, gdy Kitty Sue zawołała ze swojego miejsca:

– Czemu nie powiedziałaś, że Tod występuje dziś wieczór? Wiesz, jak lubię oglądać show Burgundowej Róży!

– O co chodzi z tymi majtkami? – dorzucił Tex.

– Moglibyśmy włączyć dzieciakom zraszacz? Jest okropnie gorąco, miałyby frajdę – krzyknęła Andrea z drugiego końca trawnika, gdzie próbowała włożyć spodenki małemu golasowi.

– A właśnie – dodała Kitty Sue, wstając z krzesła. – Postanowiliśmy pójść na

pizzę przed występem Toda, wszyscy razem. Będzie fajnie!

Patrzyli na mnie, a ja czułam się zagubiona. Dobra, może wcześniej moje życie nie było szare i nudne, może było całkiem aktywne i emocjonujące, ale miałam je pod kontrolą. Teraz wszystko wymykało mi się z rąk.

Ally jak zwykle uratowała mi tyłek.

– Marianne, to nie twoja sprawa, więc skończ pytać i sama się z kimś prześpij, do licha. Hank, weź wąż i polej te małe potwory, zanim zorają trawnik. Tex, idź na górę i połóż się na chwilę. Mamo, pomóż mi przygotować kanapki. –

A potem ruszyła przodem z zakupami, otworzyła drzwi swoim kluczem i weszła do środka.

– Uwielbiam twoją siostrę – powiedziałam Hankowi.

Otoczył mnie ramieniem i przytulił bokiem do siebie.

Tod i Stevie wrócili do pracy ogrodniczej, a mnie ukłuło poczucie winy. Ich część podwórka wyglądała pięknie: zielona i zadbana, brzegi dochodzące do ceglanej alejki – starannie przystrzyżone. Przed czarną kutą furtką, przy drewnianym płocie i na klombach przed gankiem rosły kolorowe kwiaty. Na ganku stał kosz, z którego wylewały się fuksje, a każdy schodek ozdobiły terakotowe doniczki, kipiące kwiatami i oplecione bluszczem.

Moja część trawnika była przystrzyżona i miała przycięte brzegi tylko dlatego, że dbał o to Stevie. Posadziłam kwiaty na klombach, ale zdusiły je chwasty, teraz, niepodlewane od kilku dni, ozdobne roślinki wyglądały na bliskie śmierci. Kosz fuksji, który podarował mi Tod, aby zachować symetrię w wyglądzie ganków, był brudny, ale w lepszym stanie niż klomby – głównie dlatego, że nie zaatakowały go chwasty.

Ich strona – obraz radosnej elegancji. Moja – niedbale zapuszczona.

Powinnam pomóc przy pracy na podwórku. To mój sąsiedzki obowiązek.

Poszłam do sypialni. Kończyły mi się ubrania w mieszkaniu Lee, więc wyrzuciłam zawartość ze swojej zawsze gotowej i rzadko używanej torby sportowej i włożyłam tam trochę rzeczy na wypadek, gdybym miała zostać u niego dłużej. Rozebrałam się, posmarowałam kremem do opalania, włożyłam obcięte dżinsowe szorty i soczyście zielony podkoszulek. Związałam włosy w niedbały kok na czubku głowy, wzięłam komórkę i zadzwoniłam do Lee.

– Tak? – odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Jak leci?

– Nie za dobrze. – Brzmiał niezbyt szczęśliwie.

Słabo.

– Jak byś dzisiaj skończył, to idziemy na pizzę przed występem Toda – poinformowałam.

– My?

– Twoja mama powiedziała „wszyscy razem”, więc zgaduję, że to oznacza Marianne Meyer, Andreę Moran z dziećmi, zapewne Ally i Hanka, raczej tatę i Malcolma, i być może wybranych graczy Colorado Rockies... – wyliczyłam. – A, no i Texa.

– Marianne Meyer i Andrea Moran?

– Śledzą postępy seksualne Indy i Lee.

– Jeszcze raz?

– Chcą się dowiedzieć, kiedy to wreszcie zrobimy.

Cisza.

– Jeśli to się wkrótce nie stanie, zmuszą nas, grożąc bronią – dodałam.

– No, nieźle.

– Wiem. Ale spoko, nie czuj się przymuszony. Zapewniłam, że powoli się przymierzamy.

– Musisz im się meldować?

– Czuję się zobowiązana.

– Dlaczego?

Cóż, lata temu zwerbowałam je do „Akcji Lee”, ale nie zamierzałam się przyznać, dlatego rzuciłam tylko:

– Nieważne.

– Jeśli to się wkrótce nie stanie, będzie źle. Nie mogę się skoncentrować. Potrafię myśleć wyłącznie o twoich zakupach w Victoria's Secret.

– Musisz się skupić – przypomniałam mu. – Różni łajdacy na mnie polują.

– Co ty powiesz?

Kiedy się rozłączył, zajrzałam do drugiej sypialni. Tex leżał na kanapie, talerz z kanapką i otwarta torba chipsów balansowały na temblaku, w ręku trzymał pilota, w telewizji właśnie leciał mecz.

– W porządku? – zapytałam.

– Super. – Przełączał kanały. Wyglądał tak, jakby gościł u mnie bez przerwy.
Wzięłam kanapkę od Ally i Kitty Sue, zjadłam na stojąco i wyszłam.

Hank polewał na przemian: dzieciaki Andrei, moją fuksję i trawnik. Przykucnęłam, żeby wypielić klomb przed domem, udało mi się zrobić kawałek i uznałam, że czas na przerwę.

Położyłam się na plecach na trawie i zapadłam w drzemkę. Nic nie poradzę, że pielienie aż tak mnie zmogło.

Coś delikatnie przesunęło się po mojej skroni i policzku; otworzyłam oczy i zobaczyłam Lee: kuczał przy mnie, zasłaniając słońce.

– Nie lubię pielęgnować trawnika – oznajmiłam.

– U mnie nie ma trawnika – przypomniał.

Hm.

Usiadłam; podał mi rękę i pomógł wstać. Ktoś (pewnie Kitty Sue i Marianne) wypielił boczne i przednie klomby; ten, przy którym ja pracowałam, wciąż był zrobiony tylko do połowy. Na podwórku panowała cisza, odetchnęłam głęboko – słodka chwila samotności.

– Nie rozpędzaj się. Publiczność patrzy na nas z trzech okien – poradził Lee.

Stał blisko mnie, musiałam zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Wciąż wyglądał nieziemsko, ale teraz zmęczenie odcisnęło piętno na jego twarzy. Dotarło do mnie, że Lee ogarnia ten cały bałagan od kilku dni bez przerwy, ja przynajmniej złapałam kilka drzemek.

– Jak polowanie?

– Miewałem lepsze wyniki.

– Nie brzmi dobrze.

– Bo nie jest dobrze.

– Co myślisz?

– Nie wierzę, żeby zszedł do podziemia, jeden z moich kontaktów coś by już wiedział. To oznacza, że albo wyniósł się z miasta, co mało prawdopodobne, albo nie żyje.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

– To możliwe?

– Ma kilku wrogów, z Coxym na czele.

– Wyjaśnisz mi to?

– W tej chwili nie, zaraz idziemy na pizzę, muszę pojechać do domu i wziąć prysznic.

– Weź tutaj. – Spróbowałam zignorować dreszcz, który mnie przeszył na myśl, że stałby nago pod moim prysznicem. Udawałam, że taka wizja na mnie nie działa.

– Chciałbym wziąć prysznic z tobą, pojedziesz ze mną?

Dobra, nie dam rady odstawić twardziela. Taka wizja na mnie działa, i to jak cholera.

Spojrzałam na dom, z okien szybko zniknęły twarze.

– Chyba nie mogę, mam gości.

Przyciągnął mnie i pocałował, mocno, szybko, za krótko.

– Włóż seksowną bieliznę dziś w nocy – szepnął w moje usta.

– Nie mam innej, mogę tylko być nago.

Jego ręka znieruchomiła, wymruczał:

– Mmm.

Dołączył do nas już w Beau Jo.

Serwowali tam wielkie, pulchne i chrupiące *mountain pies* – najlepszą pizzę, jaką jadłam od czasów, kiedy z tatą odwiedzaliśmy ciotkę Sunny w Chicago. Ciasto było tak cudownie wyrośnięte, że jeśli zachowało się brzegi, smarowało się je miodem i zjadało na deser.

Przy naszym długachnym stole panował dziki chaos. Jakby nie dość było dzieci Andrei, żeby robić harmider i przeszkadzać innym klientom, dobili do nas Duke i Dolores oraz tata i Malcolm, którzy razem z Dukiem i Texem urządzili zawody w teksty supermacho.

Lee wśliznął się na miejsce obok mnie. Jeszcze wilgotne włosy zawijały mu się na szyi i nad uszami, miał na sobie znoszone zielone bojówki i błękitną luźną koszulę z kołnierzykiem, niezapiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami.

Wyglądał seksownie.

Zanim zdążył usiąść wygodniej, brzdąc Andrei krzyknął przejmująco bez

żadnego widocznego powodu. Lubiłam dzieci. Cudze. W małych dawkach. Najlepiej bardzo małych.

Gdy Andrei udało się uciszyć synka, spytałam Lee:

– Chciałbyś mieć dzieci?

Zerknął na mnie, biorąc menu.

– Tak.

– Ile?

Odwrócił się do mnie i położył rękę na oparciu mojego krzesła.

– Troje.

Wyobraziłam sobie siebie z trojgiem dzieci, ta wizja mnie nie zachwyciła.

– A ty? – Delikatnie pociągnął mnie za włosy.

– Co: ja?

– Dzieci?

– Na razie nie umiem się zająć nawet trawnikiem – zauważyłam.

Posłał mi swój boski uśmiech i od razu uznałam, że troje potomków to jednak świetny pomysł.

– Jak sprawy? – zwrócił się tata do Liama.

Lee zabrał rękę z mojego krzesła, zajrzał w menu.

– Zależy. Niektóre świetnie, inne nie za dobrze.

Ojciec skinął głową, odpowiedź wyraźnie była dla niego zadowolająca, a w każdym razie zrozumiała. Pomyślałam, że w tym zdaniu zostało powiedziane o wiele więcej, niż usłyszałam, mężczyźni mają sekretny sposób komunikacji.

Jedliśmy. Ganialiśmy za dziećmi, które chciały odwiedzać inne stoliki. Rozmawialiśmy. Śmialiśmy się. Po jakimś czasie zaczęłam się rozluźniać. Życie ostatnio mocno dało mi w kość, nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno mnie to spina. Bardzo potrzebowałam takiego wieczoru jak dzisiejszy.

Poląłam miodem swój okrawek i patrzyłam na Texa. Nie wyglądał jak człowiek, który barykadował się w domu przez dwie dekady. Był zupełnie wyluzowany, idealnie wpasowywał się w moją rodzinę i przyjaciół.

No cóż, zaskarbił sobie lojalność, ratując córkę/siostrę/dziewczynę z rąk porywaczy i nie pozwalając, żeby dostała kulkę za swoją głupotę.

Jedząc posmarowany miodem brzeg ciasta, spojrzałam na Lee, który słuchał Dolores. Jego udo dotykało mojego uda. Dwa razy podał mi miód, choć nie prosiłam. Rodzina Savage'ów i Nightingale'ów nieraz siedziała w Beau Jo, i w Denver, i w Idaho Spring na wypadzie na narty.

Lee wiedział, kiedy potrzebuję miodu.

Rany.

Jak to możliwe?

Cokolwiek bym mówiła, teraz już naprawdę byliśmy razem, „jazdę próbną” mieliśmy za sobą. Po tylu latach znajomości przeskoczyliśmy fazę osvajania się, to oczywiste, i znaleźliśmy się w samym środku tego etapu związku, gdy ma się już mnóstwo wspólnych wspomnień i kawał stażu.

Z drugiej strony, ta sytuacja wciąż była ekscytująco nowa. Odkrywaliśmy różne rzeczy, na przykład to, że Lee ma gosposię, dobrą kawę w kuchni, jest humorzasty, fantastycznie całuje, a jego nagie ciało to istny dar od Boga.

Przy tych myślach zniecka ogarnęła mnie panika.

Wyczuwając to szóstym zmysłem, Lee od razu odwrócił do mnie głowę.

– Co się stało? – zapytał.

Instykt samozachowawczy stłumił panikę.

– Nic – skłamałam.

Teraz już odwrócił się do mnie całym ciałem, jedną rękę położył na oparciu mojego krzesła, drugą rękę na stole.

– Co się stało? – powtórzył.

– Nic – burknęłam.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

– Musimy popracować nad podkręceniem twoich umiejętności kłamania.

– Nie kłamię – skłamałam znowu.

Nachylił się do mnie.

– Jest dobrze i jeśli uda ci się przekonać samą siebie, że to nie potrwa długo, i się odprężysz, zobaczysz, że będzie znacznie lepiej.

O, proszę. Zna mnie na wylot. To niepokojące.

Skoro ze ściemnianiem nie wyszło, zmieniłam strategię na wkurzenie.

– Wyłaż z mojej głowy, bo to mnie drażni – warknęłam.

A potem dowiedziałam się, czy raczej uświadomiłam sobie, coś nowego o Lee. Coś, co usiłował pokazać od kilku dni.

Sam nie stosował gierki i nie lubił, kiedy ja to robię. Może życie pełne niebezpiecznych sytuacji i walki o przetrwanie czyniło człowieka bardziej szczerym i mniej skłonny do tracenia cennego czasu.

– Jaką bieliznę masz dziś na sobie? – spytał.

– Co? Czemu?

– Jeśli opowiesz, może uznam, że jesteś warta grzechu.

Żeby się już nie pogrążyć, skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam na niego gniewnie.

Odwrócił się, zupełnie nieprzejęty.

Pochwyciłam spojrzenie taty, który siedział kawałek od nas. Na pewno nic nie słyszał z naszej rozmowy, bo Lee był tyłem do niego i mówił cicho. A jednak ojciec pokręcił głową.

– Co? – naskoczyłam teraz na niego.

– Jezu, to niepojęte. Jesteś taka sama jak twoja matka.

Uregulowaliśmy rachunek i pojechaliśmy szykować się na show Burgundowej Róży. Ally odwiozła Texa, Lee zabrał mnie do mojego domu crossfire'em.

Brałam już prysznic przed wyjściem do Beau Jo, ale nie umalowałam się, prawie wszystkie moje kosmetyki miałam u Lee. Weszliśmy do sypialni, gdzie chciałam się przebrać. Lee spostrzegł torbę.

– Co to?

Wolałam się nie przyznawać, ani co to jest, ani co znaczy, że się spakowałam. Ale skoro umiał przejrzeć moje kłamstwa i był na tyle bezczelny, żeby otworzyć torbę i sprawdzić, powiedziałam prawdę.

– Spakowałam trochę rzeczy, żeby mieć u ciebie coś do założenia.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki; przyciągnął mnie do siebie, pocałował w miejsce pod uchem.

– Przestałaś już udawać, że jesteś na mnie wściekła, żeby ukryć strach? – wymruczał.

Zesztywniałam.

– To głupie – prychnęłam.

Spojrzał mi w oczy.

– Racja. To było głupie.

O kurde. Co mogłam na to powiedzieć?

– Jestem zmęczony, mam za sobą długi dzień – mówił dalej, trąc czoło.

– No dobra – odparłam. – Nie jestem zła i nie udaję, że jestem zła. Ale chciałam się umalować, a wszystkie kosmetyki są u ciebie.

Zmieniłam T-shirt z Lynyrd Skynyrd na czarną jedwabną koszulkę na cienkich ramiączkach, która wisiała w szafie w sekcji Sushi Den. Stanik do tej koszulki był niepotrzebny, a ponieważ Lee leżał sobie w najlepsze na łóżku z rękami pod głową, obserwując, jak się przebieram (a czułabym się jak głupek, zamykając się w łazience), musiałam wykonać skomplikowany ruch, żeby zdjąć stanik i wyjąć go spod bluzki. Zostawiłam te same dżinsy, ale zmieniłam pasek na inny, ze strasami, a wysokie buty na sandałówki na obcasie z dżetami na pasku z przodu. Założyłam ze dwadzieścia błyszczących czarnych bransoletek i długie kolczyki. A potem odwróciłam się w stronę łóżka.

Myślałam, że Lee nadal mi się przygląda, ale on zasnął.

Usiadłam obok niego. Gdy poczuł uginający się materac, otworzył oczy.

– Prześpij się... Wrócę zaraz po show.

Wyjął rękę spod głowy i przesunął palcem po jedwabnym ramiączku.

– Nie spuszcze cię już z oka.

Jego dotyk przyspieszył mi oddech.

– Nic się nie stanie, przecież wszyscy tam będą.

Spojrzał mi prosto w oczy i zrozumiałam, że nie ma już o czym mówić, podjął decyzję.

Pociągnął za ramiączko; mogłam się oprzeć i ryzykować, że delikatny materiał pęknie, albo ulec. Lubiłam tę koszulkę, więc się nachyliłam.

Objął mnie, ja oparłam ręce na jego piersi.

– Jak długo to dzisiaj potrwa? – spytał.

Też już nad tym myślałam.

– Powinno się skończyć jakoś po pierwszej. Obiecałam pomóc Burgundowej

Róży, więc muszę zostać do końca.

W jego oczach, które właśnie przybierały kolor stopionej czekolady, pojawiła się niecierpliwość.

– Już zawsze będę mógł tylko spać koło ciebie?

O Boże, mam nadzieję, że nie... Teraz, gdy zaakceptowałam fakt bycia razem, również czekałam na to, czego jeszcze nie zrobiliśmy.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale jego spojrzenie znów złagodniało.

– Nie musisz odpowiadać. Twoja twarz mówi wszystko.

Uch.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, zapukałam do Toda i Steviego, wsunęłam głowę.

– Juhuu! – zawołałam.

Stevie krzyknął ze środka domu, żeby wchodzić. Znaleźliśmy się w kuchni. Chowleena podeszła do mnie i otarła się łepkiem o moje nogi. Potem cofnęła się i szczeknęła dwa razy na Lee, podnosząc przednie łapki przy każdym szczeknięciu. Gdy uznała, że został już ostrzeżony, otarła się również o jego nogi.

– Lubi cię – poinformowałam Lee, a on nachylił się, żeby podrapać psa za uszami. – Jestem z Lee! – zawołałam.

Stevie stanął w drzwiach i otwarcie, bardzo uważnie obejrzał Lee od stóp do głów.

Uśmiechnął się do mnie z aprobatą.

– Jestem Stevie – przedstawił się, znów badawczo patrząc na mojego partnera.

– Lee.

Wymienili uściski dłoni, mnie Stevie pocałował w policzek.

Chowleena szczeknęła i wybiegła z pokoju, demonstracyjnie kręcąc tyłeczkiem.

Poszliśmy za psiakiem.

Jadalniosalon został starannie odcięty od świata zewnętrznego. Przemiany Burgundowej Róży strzegły zaciągnięte kotary i zamknięte frontowe drzwi. Jadalnia wyglądała, jakby trwał w niej pokaz nowojorskiej mody. Na całym stole kosmetyki, dwa oświetlone lustra i trzy głowy manekinów w perukach. Na

oparciach krzesel wisały suknie w każdym kolorze i z każdego materiału; lśniły cekinami, pióra poruszały się w lekkim powiewie nadawanym przez wiatrak na górze. Wszędzie leżały porozrzucone buty.

Tod był w połowie przemiany. Siedział w szlafroku, miał na sobie pończochy, pod szlafrokiem widniała już kobieca figura. Głowa, z włosami przyciśniętymi do czaszki, była przygotowana do nałożenia na nią peruki, make up zrobiony, prawie skończone oczy. Na palcach trzymał sztuczne rzęsy, w ustach papierosa.

Popatrzył przez dym na Lee.

– Nikt, ale to absolutnie nikt poza przystojniakiem Indy nie może mnie widzieć w takim stanie. Jak się wygadasz, zginiesz.

To pusta groźba i wszyscy o tym wiedzieli. Po pierwsze, niby komu Lee miałyby powiedzieć, a po drugie, to on skopałby tyłek każdemu.

– Komuś coś do picia? – zaoferował w przestrzeń Stevie, gościnnie jak zawsze.

– Potrzebuję kosmetyków, bo moje są u Lee – powiedziałam Todowi.

Wyjął papierosa z ust i wskazał stół.

– Czuj się jak u siebie.

Do BJ Carousel dotarliśmy prawie po godzinie. Burgundowa Róża miała występować, śpiewać, kilka razy zmieniać kreacje. Stevie i ja ostrożnie włożyliśmy wskazane przez Toda suknie do pokrowców. Spakowaliśmy trzy peruki. Wzięliśmy sześć pudełek butów, torebkę od Luisa Vuittona pełną zapasowych rzeczy (pończochy, jeśli polecą oczko, paczkę papierosów, zapalniczki, mniejsze torebki z bransoletkami, kolczykami, naszyjnikami, zmywacz do paznokci i tak dalej) oraz dużą okutą skrzynkę kosmetyków. I to wszystko władowaliśmy do Hondy CR-V.

Ja i Lee jechaliśmy za Todem i Steviem. Bar znajdował się na Broadwayu, półtora kilometra na południe od Fortnum, tuż za estakadą I-25. To był nieduży lokal, ale Diva Queens miały go dziś ożywić.

Na tyłach władowaliśmy rzeczy Róży i weszliśmy do małej przestrzeni przy garderobie. Pełno było tu dymu, drag queen, ich partnerów, przyjaciółek i innych ludzi. Gdy się pojawiliśmy, wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta i drag queen, odwrócili się i spojrzeli na Lee.

– Słodki Jezu – westchnęła imitacja Shanii Twain, stojąca metr od nas, pożerając Liama oczami.

Burgundowa Róża oznajmiła donośnie:

– To hetero i jest zajęty, a jeśli nagle stanie się gejem, ja mam prawo pierwszeństwa.

Stevie postawił bagaż, Lee podał mu torbę, którą trzymał, i odwrócił się do mnie:

– Zamówię ci coś do picia.

– Super. Jeśli stąd nie wyjdiesz, rzucą się na ciebie i zedrą z ciebie ubranie.

Mrugnął do mnie.

– Ciekawa myśl.

– Nie żartuję – ostrzegłam. – Gdybyś mógł mi wziąć...

– Wiem, co lubisz, Indy – wciął mi się w pół zdania.

Znów poczułam panikę.

Uśmiechnął się tym swoim słynnym uśmiechem, teraz intensywnym, ciepłym, intymnym. Wszyscy obecni głęboko wciągnęli powietrze na ten widok, a moje ciało zareagowało podwójnie, mrowieniem w dole i drażliwością piersi.

Lee objął mnie, jego usta znalazły moje. Pocałował mnie szybko.

– Nie bądź taka przerażona, nie zjem cię – szepnął, a potem zsunął rękę na mój tyłek, przyciskając biodra do swoich, w obietnicy przeczącej jego słowom.

O, jasna cholera.

Gdy Lee wyszedł, połowa publiki zaczęła się wachlować, druga połowa poprawiała spodnie.

Stevie i ja przygotowaliśmy Burgundową Różę do występu. Na sali siedziało mnóstwo ludzi. Kontyngent Savage/Nightingale i przyjaciele zajął stolik z przodu, przy scenie. Andrea zostawiła dzieci z opiekunką i ściągnęła tu męża, który czuł się równie swobodnie jak republikanin na paradzie równości. Za to dla Texa było to jak kolejny dzień w biurze. Siedział wyluzowany, trzymając stopy na sąsiednim krześle, na którym ktoś mógłby usiąść, ale nikt nie miał odwagi spytać.

Na mnie i na Steviego czekały dwa wolne miejsca, z drinkami w zestawie.

Lee i Hank stali przy wejściu, oparci o ścianę, obaj trzymali w ręku po butelce piwa, nieświadomie emanując agresywną heteroseksualnością.

Show zaczął się z opóźnieniem, jeden z gości wypił za dużo, zaczął pokrzykiwać, dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu, ale Burgundowa Róża szybko go spacyfikowała.

Moja rada: nigdy nie zadzierajcie z drag queen, bo zrobi z was mielone.

Występ był świetny, na stole pojawiały się kolejne drinki. W pewnym momencie ja i Stevie dostaliśmy sygnał, że czas na zmianę kreacji, więc wymknęliśmy się z sali. W garderobie zamieniliśmy na Burgundowej Róży i jej gąbkowych biodrach jedną ciężką, cekinową kreację na inną i wróciliśmy do stołu. Nasza grupa hojnie dawała występującym napiwki, za dolara dostawało się pocałunek przesłany w powietrzu; szybko staliśmy się ulubionym stolikiem, wszystkie divy koncentrowały się na nas.

Było wspaniale. Czulałam się odprężona, szczęśliwa, bawiłam się doskonale. Przypomniałam sobie, że może istnieje ekscytujące życie bez kul gwizdzących nad głową. Piłam właśnie piąty korzenny rum z colą, gdy Burgundowa Róża wkroczyła na scenę i zaczęła zapowiedź.

– Wielu z was ją zna i uwielbia. Teraz chcemy zaprosić ją tutaj do nas. Szykujcie napiwki, panie i panowie, bo oto łamiemy tradycję i zapraszamy na naszą scenę kobietę. Proszę o brawa dla Indii Savage!

Ale... że co?

Jasny gwint.

Niemożliwe.

I wtedy usłyszałam pierwsze takty piosenki Barbry Streisand i Donny Summer *No more tears*. Śpiewałam ją milion razy z Todem w ich salonie przy dużej dawce schłodzonego wina musującego i maratonie gry w kości.

Ale nigdy przed publicznością.

Nigdy.

Ally poderwała mnie z krzesła, Marianne, Dolores i Andrea wepchnęły na podwyższenie, Stevie podał mi wyłączony mikrofon. Burgundowa Róża właśnie intonowała tę część, którą śpiewa Barbra, więc nie miałam innego wyjścia, jak tylko podjąć partię Donny.

Stałam na scenie, wchodząc w ten powolny wstęp. „Śpiewałam” o tym, czego brakuje w intymnym życiu Donny i próbowałam się zgrać z Burgundową Różą, patrząc jej w oczy, jakby te słowa faktycznie zapadały mi głęboko w duszę.

Problem w tym, że byłam sztywna jak kołek, a tymczasem zaczynała się

szybka część.

Lee patrzył na mnie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było wyginanie się na scenie przed setką ludzi, wśród których stał Liam Nightingale, i udawanie, że śpiewam do pieprzonego disco.

Musiałam się ogarnąć. Zbierali kasę na cele charytatywne, nie miałam pojęcia jakie, ale co za różnica. Zrobię z siebie większą idiotkę, jeśli nie wyluzuję, i to szybko.

A nic tego nie zapowiadało.

„Śpiewałyśmy” teraz twarzą w twarz. Burgundowa posłała mi spojrzenie „na litość boską, daj czadu”, i w tej jednej chwili strząsnęłam z siebie nieśmiałość.

Gdy wszedł dyskotekowy rytm, moje „aa” nadal brzmiało w powietrzu, przesunęłam się sztywno, udając niepewność.

A gdy ryknęły trąbki, hamulce puściły – zaczęłam kręcić biodrami i skakać po scenie jak biała wersja wkurzonej Tiny Turner, robiąc taki popis, że Chowleena byłaby ze mnie dumna.

Potem stałyśmy z Burgundową Różą nos w nos, krzycząc do siebie i machając głowami. Widzowie dołączyli w refrenie.

Ponieważ to była piosenka Barbry, a Donna stanowiła tylko dodatek, ja nawiązywałam kontakt z tłumem. Nachylałam się, z ręką na biodrze, i niszczyłam wzrokiem ludzi, którzy mieli czelność podejść z dolarem napiwku. Wyrywałam banknoty z rąk, jakby mi się należały, krzywiłam się i nie przesłałam ani jednego pocałunku. Posunęłam się tak daleko, że oparłam podeszwę sandała na piersi jakiegoś motocyklisty i odepchnęłam go; parsknęłam śmiechem.

Tłum to kupił. Rozlegały się krzyki, zachęty, ogłuszające gwizdy i zaczepki.

Było niesamowicie. Najbardziej zajebista impreza, jaką przeżyłam.

Gdy dyskotekowy rytm trochę zwolnił i przeszedł w funky, po przeciwnej stronie sali zobaczyłam Siwego Ricka, jak mierzy do mnie z pistoletu.

Zastygłam.

Potem zrobiłam obrót, rzuciłam się na Burgundową Różę i powaliłam ją na scenę. Zarobione pieniądze i mikrofony spadły na deski, a Róża wydała bardzo męski okrzyk: „Co jest, kurwa?”.

Tłum wiwatował. Ludzie myśleli, że to część show, ale okrzyki szybko przeszły we wrzaski, gdy rozległy się strzały.

– Czołgaj się! – wysyczałam do Toda. – Nie wstawaj i odczołgaj się stąd, szybko!

Zaczęliśmy się pełznąć, ale znów padły strzały, więc skoczyłam na Toda, żeby przykryć go swoim ciałem. Gdy huk ucichł, dotarło do mnie, jak tata i Malcolm wykrzykują polecenia, próbując zapanować nad tłumem i nie dopuścić do panicznej ucieczki.

Znowu się czołgaliśmy i jedyne, co widziałam, to wycekinowany tyłek Toda. Potem usłyszałam na scenie ciężkie kroki i ktoś mnie podniósł. Wrzasnęłam, na wpół ze złości, na wpół ze strachu. Próbowałam się wyrwać; zorientowałam się, kto to, dopiero gdy mną cisnął ze sceny.

Przeleciałam w powietrzu i uderzyłam w Lee, oboje jęknęliśmy; złapał mnie mocno i cofnął się o krok, żeby utrzymać równowagę. Tex, który mną rzucił, bo doskoczył do mnie chwilę przed Lee, dał teraz nura w widownię; swoją dużą masą wylądował na nieprzygotowanych pechowcach.

Ale nie mogłam się temu dłużej przyglądać, bo Lee złapał mnie w pasie i niósł do drzwi. Odpychał ludzi z drogi, często taranując ich barkiem.

Zobaczyłam przed nami Hanka – trzymał Ally w ten sam sposób, i Malcolma, który ewakuował Kitty Sue.

Lee zaniósł mnie do wozu Ally, nowego forda mustanga z odkrywanym dachem. Hank wskazał Ally miejsce kierowcy, Lee posadził mnie na siedzeniu dla pasażera.

– Indy! – usłyszałam krzyk taty z oddali.

– Tutaj, bezpieczna – odkrzyknął Lee.

Znalazłam ojca wzrokiem. Uniósł palec wskazujący i wycelował w Lee, jakby chciał powiedzieć: „dobra robota”. Wsiadł do samochodu z Malcolmem i Kitty Sue.

– Zostań tu, zamknij drzwi i się nie wychylaj – rzucił mi polecenie Lee. – Postaraj się, żeby cię nikt nie widział.

– Tam jest Tod, Stevie, Tex, Andrea! – zawołałam do niego gorączkowo.

Ale nie słuchał. Trzasnął drzwiami i pobiegł z powrotem do baru.

– A teraz ty – powiedziałam cicho, odprowadzając go wzrokiem.

Ally wzięła mnie za rękę.

– Da radę – pocieszyła mnie. – Przecież sama wiesz, że nie chciałybyś być

z facetem, który nie wróciłby, żeby ratować czyjąś matką albo drag queen.

To prawda.

Położyła mi rękę na karku i przycisnęła mnie do dołu; moje ciało mogło zbadać limity zapiętych pasów.

– Powiem ci, co się dzieje – zaproponowała.

Schyliłam się tak mocno, jak tylko zdołałam. Usłyszałam dźwięk blokady zamka i odpalenie silnika na wypadek, gdybyśmy musiały wiać. Ally relacjonowała mi na bieżąco: Duke i Dolores odjechali na pełnym gazie, Marianne wyszła z Hankiem, który zaprowadził ją do jej samochodu, Andrea szła z Lee, za nimi jej mąż. Lee upewnił się, że wsiedli do minivana i wrócił do baru. Tex wytoczył się o własnych siłach. Gdy usłyszałam, jak Ally mówi: „cholera, on znów krwawi”, chciałam się poderwać, ale przytrzymała mnie ręką.

Szczęk odblokowanego zamka i zostałam wciśnięta do przodu, pas wbił mi się w pierś, a oparcie mojego siedzenia pochyliło się znacznie – Tex ładował się na tylne siedzenie.

– Ja chromolę, pandemonium w gejowskim barze! – zawołał.

Odwróciłam głowę i spojrzałam do tyłu.

– Jak tam? – spytałam Texa.

– Chyba coś mi się naderwało, jak cię rzucałem albo jak skakałem ze sceny, albo jak walczyłem z tym gościem w skórze. Nieważne, czuję się zajebiście. W środku jest straszny burdel. Pieprzone czubki! – przerwał, pochylił się, żeby wyrzeć przez przednią szybę. – Hej, to przecież ten gość, co do mnie strzelał!

Poderwałam głowę – rzeczywiście, to Siwy Rick.

Biegł do mini morrisa, w którym siedzieli jacyś ludzie, pewnie wyszli z baru i teraz chcieli odjechać. Usłyszałam syreny policyjne i zobaczyłam, jak Rick wyrzuca kierowcę z samochodu, pasażer wyskoczył sam. Napastnik wskoczył szybko i ruszył, paląc gumy.

– Jedź, jedź za nim! – wrzasnął Tex do Ally, a ta bez namysłu wystrzeliła z piskiem opon.

Spojrzałam na nią ogłupiała.

– Co ty wyprawiasz?!

– Już nam nie ucieknie!

Odwróciłam głowę: ludzie Terry’ego Wilcoxa, Gary Gnat i Głęb wychodzili

z BJ.

O, mamó, czy to był zjazd porywczy Indy Savage?

Ally ostro wyprzedziła jakiś samochód przy wyjeździe z parkingu, zahaczyła o pobocze, potem zaczęła grzać na południe, na Broadway. Zajechała drogę innemu wozowi, przecięła dwa pasy biegnące na północ i wyskoczyła tuż przed radiowozem, który kierował się na południe.

Wóz policyjny miał właśnie skręcić do BJ, ale na widok mustanga zawrócił na Broadway.

– Zjedź, gliny za nim pojedą! – poleciłam.

– Nie zjeżdżaj! Gość do mnie strzelał! – krzyknął Tex.

Ally i tak nie słuchała, grzała Broadwayem. Błyskawicznie zmieniała biegi i leciała z tak niebezpieczną prędkością, że to przestało być śmieszne.

– Ally, zjedź! – darłam się co sił.

– Jest dwa samochody przed nami, wyprzedź go, wyprzedź! – gorączkował się Tex.

Przemknęliśmy obok dwóch radiowozów, które jechały na północ, na światłach i na sygnałach. Jeden wyhamował w miejscu, zawrócił i pojechał za nami.

– Zatrzymaj się! Jest więcej glin, nie ucieknie! – wrzasnęłam.

– Jedź! – dopingował Tex. – Nie pękaj!

Zawsze chodziłam do barów i klubów bez torebki. Pieniądze, karty kredytowe, prawo jazdy i pomadkę zwykle trzymałam w przedniej kieszeni spodni, a komórkę w tylnej; teraz poczułam jak telefon wibruje na moim tyłku. Wyszarpnęłam go, oderwałam oczy od drogi i spojrzałam na ekran, dzwonił Lee.

Odebrałam, a Tex właśnie wrzasnął:

– Jesteś tuż za nim, wal w niego, teraz!

– Nie rób tego! – krzyknęłam. – To nie jego samochód!

Nie słuchała. Grzmotnęliśmy w Siwego Ricka, mustangiem zarzuciło, Ally wyprostowała tor jazdy i wrzasnęła:

– Zajebioza!

Ja byłam zbyt przerażona, żeby wydusić choć słowo.

– Indy – usłyszałam głos przy uchu, nie zdawałam sobie sprawy, że

przycisnęłam komórkę do twarzy.

– Tak? – odezwałam się znacznie spokojniej, niż się czułam.

– Przywal mu jeszcze raz, dziewczyno! – zachęcał Tex.

– Gdzie, do cholery, jesteś? – Głos Lee był daleki od spokoju.

Kolejny wóz policyjny, zmierzający na północ, wyhamował ostro i zawrócił. Obejrzałam się: jechały za nami trzy radiowozy, wyjąc i migając światłami. Inne samochody też brały udział w pościgu, wydawało mi się, że wśród nich był też crossfire.

– Zobaczyliśmy Siwego Ricka i pojechaliśmy za nim. Jedzie na południe Broadwayem.

Jakieś auto śmignęło obok nas, w środku siedziały chyba zbiry Wilcoxa. Samochód wyskoczył przed Siwego Ricka i kierowca depnął po hamulcach; wszyscy, którzy byli z tyłu, czyli my też, musieli dać po heblach i przejść do skomplikowanych manewrów. Mustang Ally miotał się przez chwilę, potem przyspieszyliśmy, a Siwy Rick i chłopaki Coxy'ego walczyli o pozycję przed nami, zupełnie jakbyśmy brali udział w NASCAR. Szczęśliwie wszyscy przypadkowi uczestnicy ruchu usuwali się na widok kawalkady policji.

– Zjedźcie na bok – usłyszałam głos Lee.

– Ally mnie nie słucha – poinformowałam go ochrypłym głosem. – Ona i Tex mają misję.

– Indy, powiedz jej, żeby... do jasnej cholery... zjechała na bok – powtórzył Lee.

– Ally, Lee każe ci zjechać!

– Nie! Nie zrobię tego. Facet strzelał do ciebie i teraz mi nie ucieknie.

Wtedy dostałam szału, odsunęłam telefon od ucha i wrzasnęłam:

– Ja pierdolę, zjedź na bok!

Zaraz mieliśmy wjechać na Englewood, gdy jeden radiowóz zrównał się z nami. Prowadził Willie Moses, obok niego siedział Brian Bond i machał do nas rękami, strasznie wkurzony. Ally spojrzała na niego i straciła panowanie nad samochodem.

Rzuciło nas w prawo, w lewo, prawie uderzyliśmy w Williego i Briana, zrobili unik i wyskoczyli do przodu, my przejechaliśmy przez środek i wjechaliśmy na przeciwny pas, samochody skręcały gwałtownie i trąbiły.

Z niewiarygodnym szczęściem wpadliśmy na stary nieczynny parking, przewróciliśmy siatkę ogrodzenia i walnęliśmy w betonową płytę.

Rozdział 14

Czy on do kogoś dzwonił?

Zadziały poduszki.

Przez kilka sekund siedziałam oszołomiona. Mój mózg odpalił inwentaryzację potencjalnych uszkodzeń. Gdy już wiedziałam, że wszystko ze mną porządku, oderwałam głowę od poduszki i spytałam:

– Żyjecie?

Ally burknęła coś, usłyszałam pomruk z tylnego siedzenia i wtedy ktoś otworzył gwałtownie moje drzwi.

Scyzoryk przebił poduszkę, która od razu sflaczała, czyjaś ręka przycisnęła mnie do siedzenia, żebym nie upadła do przodu. Zresztą, pasy i tak by nie pozwoliły, wyhamowały uderzenie, ale cała pierś bolała mnie jak cholera. Lee klęczał przy drzwiach obok mnie.

– W porządku? – spytał, jednocześnie dokonując oględzin. Jego dłonie biegły po moich rękach i nogach; taksował mnie wzrokiem, szukając krwi albo kości na wierzchu, za przebitą skórą. Na pustym parkingu stały latarnie, widziałam na jego twarzy złość i lęk.

Hank był przy Ally (jej poduszka już oklapła) i też sprawdzał, czy siostra nie ma obrażeń.

– Tak, chyba tak – powiedziałam do Lee.

– Trzeba wydostać je z samochodu – rzucił Hank.

Lee odpiął moje pasy, pomógł mi wyjść i wyprowadził daleko w stronę ulicy. Próbowałam ochłonać. Poczułam ból w kilku nowych miejscach. Wsunęłam komórkę do kieszeni.

Ally i Tex stali kilka metrów dalej; Tex przestępował z nogi na nogę, jakby wykonywał taniec wojenny bez użycia rąk. Na temblaku miał ślady krwi; na szczęście była to jedyna krew w tym wypadku.

Miałam straszną ochotę rozszarpać ich oboje.

– Jesteście porąbani! – wrzasnęłam. Chciałam ich zabić, a przynajmniej uszkodzić. – Mogliśmy zginąć!

Zrobiłam dwa szybkie kroki i poczułam, że ktoś łapie mnie wpół i odciąga do tyłu. Uderzyłam w ciało Lee, trzymał mocno, a ja rwałam się do przodu, wymachując rękami.

– Nie wierzę, serio, nie wierzę, że to zrobiłaś! – darłam się na Ally. – Jesteś jebnięta, totalnie powalona! Co ty sobie myślałaś?!

– Chciał uciec! – odwrzasnęła.

– Kogo to obchodzi!

– Mnie!

– To nie było zbyt mądre – wtrącił Hank. Jego głos, twarz, całe ciało wyrażały nie tyle złość, co z trudem powstrzymaną furię.

Ally spiorunowała mnie wzrokiem, odwróciła się szybko do Hanka i wybuchła:

– Strzelał do Indy! Porwał ją! Nie chciałam, żeby uciekł! Odpieprzcie się ode mnie, ja też jestem Nightingale! Gdyby któryś z was... – wskazała Hanka, potem Lee – siedział w samochodzie i zobaczył, że jest okazja go dorwać, skorzystalibyście z niej bez wahania. To co, ja nie mogę, bo jestem dziewczyną?!

No dobra, ma rację.

Przestałam się wyrywać.

– A ty? – zwróciła się do mnie. – Gdyby ktoś zrobił to samo mnie albo twojemu tacie, albo komuś z nas, gdybyś ty była za kierownicą i mogłabyś go dopaść, zastanawiałabyś się?!

I znów – racja.

Przygryzłam wargę.

Uwikłana w wydarzenia ostatnich dni nie miałam czasu pomyśleć, jak ludzie, których kocham i którzy kochają mnie, czują się z tym, co się ze mną dzieje.

Teraz popatrzyłam na to z ich strony i... to mnie przytłoczyło. Łzy ścisnęły mi gardło, przełknęłam je z trudem.

– Ally... – szepnęłam.

Ale ona jeszcze nie skończyła.

– Może nie jestem twardym gliną ani twardym... – spojrzała na Lee – tym, czym tam jesteś, ale jeśli mogę coś zrobić, robię to. Gość przerwał *No more tears*, gdy Burgundowa Róża i Indy dawały czadu. Ktoś musiał coś zrobić!

– Myślę, że zrozumieliśmy – odezwał się Lee za moimi plecami. Nadal mocno obejmował mnie w pasie.

Na parking wjechał samochód, w środku siedzieli tata, Malcolm i Kitty Sue.

Malcolm wysiadł, zorientował się, że wszyscy są cali i zdrowi, i huknął na Ally:

– Powiedz mi, że nie brałaś udziału w tym pościgu!

– Już to omówiliśmy – odparł Hank.

Lee puścił mnie, tata podszedł, objął mnie i pocałował w czoło.

– W porządku? – spytał.

– Tak.

Zajechał wóz policyjny, wyskoczył z niego wściekły Carl.

– Zwariowałaś?! – ryknął na Ally.

To wyraźnie nie była jej noc.

Ale fakt, że Carl tak się wkurzył, dawał do myślenia.

Jorge wysiadł wolniej, jego twarz nie ujawniała emocji. Podszedł do Lee, taty i do mnie.

– Nie wiem, co się dzieje, Nightingale, ale może na jakiś czas powinieneś ukryć Indy w jakimś bezpiecznym miejscu – zauważył.

Lee nie skomentował. Ally i Carl wrzeszczeli na siebie, tata mnie obejmował, Lee i Hank gdzieś dzwonili, Jorge wyjął notes i wszyscy złożyliśmy zeznania.

Gdy już mustang Ally został zabrany, Lee wsadził mnie do crossfire'a. Carl siedział w wozie policyjnym z mikrofonem w ręku, zdawał raport. Tex miał jechać z nim i Jorge do szpitala, żeby mu założyli nowe szwy. Ally i Hank wracali z Malcolmem do BJ po samochód Hanka.

Pomachałam wszystkim na pożegnanie. Lee ruszył Broadwayem na północ.

– Nie chcę siedzieć w bezpiecznym miejscu – zaprotestowałam.

– I tak siedzisz, moje mieszkanie jest bardzo bezpieczne. Tylko ciągle z niego wychodzisz.

– Myślisz o tym, żeby znów przykuć mnie do łóżka?

Odpowiedział od razu.

– Tak.

Super.

– Na twoim miejscu nie robiłabym tego – ostrzegłam.

– To, że chętnie bym cię przykuł, nie oznacza wcale, że to zrobię. Stanowisz wyzwanie dla ochroniarza. Muszę zapewnić ci bezpieczeństwo, nie zmniejszając szans dostania się do twoich majtek, a konkretnie: do ich zdjęcia.

Miałam nadzieję, że nie ustanie w staraniach.

– Przy okazji, bardzo dobry występ – zauważył. – Zwłaszcza ta część, gdy kopnąłaś w pierś tego motocyklistę. Klasa.

W jego głosie zabrzmiał podziw z domieszką rozbawienia.

Gdy dotarliśmy do mieszkania, powiedziałam, że muszę zadzwonić w kilka miejsc, upewnić, czy wszyscy mają się dobrze.

Stałam na balkonie z komórką w ręku, a Lee, sam z siebie, przyniósł mi dwa środki przeciwbólowe i szklankę wody. Patrzył, jak wypijam, zabrał szklankę i zniknął.

O kurde.

Rzeczywiście jest dobry w tworzeniu więzi.

Przede wszystkim zadzwoniłam do Toda i Steviego.

Byli w domu, bezpieczni, trochę wystraszeni, ale nie gniewali się na mnie. W każdym razie Tod się nie gniewał, bardziej przejęty naszym wspólnym występem.

– Dziewczyno, daliśmy czadu! Leżeli u naszych stóp. Śpiewali. Idziemy na zakupy! Kupimy ci strój w stylu Burgundowej Róży. I ruszamy w trasę!

Andrea i Marianne również były bezpieczne, choć mąż Andrei zapowiedział, że więcej nigdzie ze mną nie wyjdzie. Pokłócili się ostro, bo nikt nigdy nie mówił Andrei, co ma robić. Gdyby nawet Richie Sambora, boski gitarzysta z Bon Jovi i mężczyzna jej marzeń, zaczął się rządzić, kazałaby mu spierdalać.

Duke uznał całą akcję za fajną przygodę a Dolores zastanawiała się nad wycofaniem z babskiego wieczoru w środę.

Schowałam telefon i poszłam do sypialni. Lee leżał w tej samej pozycji co ostatnio, na plecach, z nagim torsem, przykryty prześcieradłem do pasa. Światło się paliło, ale tym razem nie czytał – mocno spał.

Jeszcze nigdy nie miałam okazji, żeby mu się przyjrzeć, jak śpi. Wyglądał zupełnie inaczej, trochę jak dawny Lee sprzed sił specjalnych. Cała jego postawa twardziela zniknęła, został tylko... Lee.

Miałam ogromną ochotę go pocałować. Wyglądał bardzo ładnie, jak tak leżał i spał. Serio.

Ale nie zrobiłam tego. Umyłam twarz, zęby i włożyłam koszulkę z logo Night Stalkersów. Dwa razy sprawdziłam drzwi wyjściowe, potem jeszcze, czy drzwi na balkon są zabezpieczone. Podeszłam na palcach do szafki od strony Lee, zgasiłam światło, wróciłam na drugą stronę łóżka i położyłam się delikatnie, żeby go nie obudzić.

Powtarzałam sobie w myślach, żeby tylko go nie kopnąć i nie uderzyć przez sen. To pozwoliło mi trzymać umysł z dala od wspomnień o świszczących kulach oraz od myśli o tym, jak bardzo nie panuję nad swoim życiem.

Obudziłam się, czując na swoim tyłku jedną rękę, a na piersi drugą. Leżałam połową ciała na Lee, wtulając twarz w jego szyję.

– Nie śpisz? – zapytał.

Pokręciłam głową. Od razu wyczułam, że jestem już lekko podniecona.

Jego ręka mocniej ujęła moją pierś, kciuk dotknął sutka. Przeszył mnie prąd i ta część o „lekkim podnieceniu” stała się odległym wspomnieniem.

Przechyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć, powiedzieć coś w rodzaju „kawa”, „pasta do zębów” albo „jeszcze”, a jego usta natychmiast znalazły się na moich.

Wciągnął mnie na siebie, wyjął dłoń z moich majtek i obie jego ręce przesunęły się mi po bokach. Na moment przestał mnie całować i, ziuu, koszulki Night Stalkersów już nie było. Poleciała gdzieś na łóżko.

Moja naga skóra dotykała jego skóry, poczułam uniesienie, a zarazem straszliwą panikę, i zanim się zorientowałam, co jest silniejsze, obrócił mnie na plecy. Teraz on znalazł się na mnie.

Na początku całował mnie w usta, jego ręce były wszędzie, muskając, gładząc, podniecając.

Potem zaczął całować szyję, piersi, brzuch, a potem...

O rany!

Moje biodra drgnęły, gdy sunął ustami po moich majtkach i nagle pocałował mnie *tam*.

– W porządku? – wymruczał.

– Tak – wykrztusiłam, chociaż miałam chęć krzyknąć „tak, tak, tysiąc razy tak!”.

Wsunął palce pod majtki. Poczułam, że jesteśmy blisko, bardzo blisko, w każdym razie ja na pewno. Panika, podniecenie, uniesienie przejęły całkowicie kontrolę. Zanurzyłam dłonie w jego włosy.

Wtedy rozległ się dźwięk domofonu: trzy razy krótko, trzy razy długo, znów trzy razy krótko.

Lee przestał mnie całować i uniósł się nade mną.

– Kurwa mać! – wybuchnęła. – Rany, przepraszam cię. Naprawdę przepraszam.

Wstał i wyszedł nago z pokoju.

Leżałam tam, całkowicie w szoku.

Znowu.

Czemu prześladowuje nas taki pech? Czy to boska interwencja?

Usiadłam. Moje obolałe ciało zaprotestowało, podniosłam T-shirt z podłogi i włożyłam niezgrabnie. Lee wrócił do pokoju.

– Postrzelono jednego z moich ludzi – oznajmił.

Zapomniałam o bólu i siniakach, zerwałam się z łóżka.

– O Boże...

– Idą tutaj Bobby i Matt, ja skoczę pod prysznic, wpuść ich, dobrze? – poprosił i znikł w łazience.

Zdążyłam wpaść do kuchni i nastawić kawę, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

Spojrzałam przez wizjer. To Bobby i Matt.

Wyglądali ponuro.

– Co z wami? W porządku?

Skinienie.

– Kto dostał? Jak się czuje?

– Miał na sobie kamizelkę, amunicja przeciwpancerna – Tyle tylko powiedział Matt. Więcej nie musiał.

– O rany... – Kręciłam się po kuchni, Lee miał kolekcję kubków podróży, za to zero filiżanek. Wybrałam trzy i spytałam: – Jedliście coś? Chcecie śniadanie? Przygotuję szybko tosty.

– Nie rób sobie kłopotu – odpowiedział Bobby z wysiłkiem.

Patrzyliśmy na siebie. Nie mogłam tak beczynnie stać, więc wzięłam dzbanek, na jego miejsce wstawiłam kubek, potem jeden po drugim napełniałam kawą. Zamykałam je właśnie, gdy wszedł Lee, z mokrymi włosami, ogolony.

– Jedziemy – rzucił do Bobby'ego i Matta.

Dałam im kawę, ostatni kubek gazem wyjęłam z ekspresu, wstawiłam tam pusty dzbanek i szłam za Lee, zakręcając przykrywkę.

– Nie jest pełny – powiedziałam do niego przy drzwiach, czułam się głupio i beużytecznie.

– Spoko. – Wziął go ode mnie.

– Zadzwoń, jak już będziesz coś wiedział.

Pochylił się, pocałował mnie przelotnie i wyszedł.

Gdy Stevie i ja pakowaliśmy Burgundową Różę poprzedniego wieczoru, Lee zajrzał do mnie do domu, zabrał moją torbę i przyniósł do swojego mieszkania. Dobrze się składało, dzięki temu miałam się w co ubrać. Ponieważ było wcześniej, postanowiłam pojechać do księgarni. Poniedziałkowa kolejka po kawę pomoże mi się oderwać od myśli o tym, czym zajmuje się Lee, i rozładować stres wynikający z faktu, że człowiek, którego postrzelili, robił coś, żeby mi pomóc.

Pomyślałam, że pożyczę sobie samochód Lee, raczej nie miałby nic przeciwko temu.

Umyłam się, trzasnęłam kawę i proszek przeciwbólowy, pozwoliłam włosom schnąć bez suszarki i zrobiłam makijaż, usiłując nie patrzeć na pozostałości sinika. Włożyłam pomarańczową koszulkę z samochodem Starsky'ego i Hutch'a na piersi, wciągnęłam spłowiełe dzinsy, czerwony pasek, czerwone kowbojskie buty i zjechałam do garażu.

Crossfire prowadził się jak marzenie, ale głowę miałam zbyt zajęta, by to docenić. Nie wiedziałam, czy gliny dorwały wczoraj Siwego Ricka. Nie chciałam wyobrazić sobie Lee, człowieka czynu, jak siedzi uziemiony

w szpitalu i tylko biernie czeka na wiadomość od lekarzy. I nie chciałam myśleć, co przyniesie dzisiejszy dzień.

Było dziesięć po siódmej, otwieraliśmy za dwadzieścia minut. Gdy podjechałam, zobaczyłam Jane – stała przed księgarnią, wpatrzoną w chodnik. Zaparkowałam przed wejściem, wysiadłam, nie spuszczać z oka Jane, która nawet nie drgnęła.

A potem spojrzałam na to, na co się gapiła, i stanęłam jak wryta.

Przed wejściem do Fortnum leżał Siwy Rick. Drzwi wychodziły na róg ulicy pod pewnym kątem, a on leżał plecami w stronę chodnika, natomiast ramiona i to, co zostało z jego głowy, opierały się o nasze drzwi. Był martwy, martwy jak cholera, jak Tim Shubert, tylko bez rozbryzganego mózgu.

– Jane, skarbie, odsuń się stąd – poprosiłam cicho.

Ale ona tkwiła bez ruchu jak wmurowana, w rękę trzymała komórkę.

– Jane! – powiedziałam głośniej, żeby zwrócić jej uwagę.

Aż podskoczyła, telefon wypadł jej z ręki, przeleciał w powietrzu, spadł na pierś Siwego Ricka i zsuwał się, żeby wreszcie wyhamować na jego rękę.

Obie patrzyłyśmy, jak aparat leci, ląduje i nieruchomieje.

– Ojej – stęknęła Jane i niemal widziałam, jak zapada w niej decyzja kupienia nowego sprzętu.

Wyjęłam komórkę z torebki, zastanowiłam się, do kogo dzwonić, wybrałam Hanka.

– Tak?

– Ee, to ja, Indy. Naprawdę wolałabym tego nie mówić, ale jest tutaj martwy gość, przed drzwiami Fortnum.

Cisza.

Zza rogu wyjechał Duke, Jane i ja spojrzaliśmy na niego, uśmiechnął się promiennie, ale potem opuścił wzrok i zamarł.

– O ja pierdole – powiedział.

– Duke się zjawił – stwierdził Hank.

– Taak.

– Zaraz kogoś przyślę. Znamy tego truposza? – spytał Hank.

– Wygląda na to, że nie zostaną więcej porwana – odparłam.

Hank rozłączył się, Duke spojrzał na mnie.

– Ej, czy on do kogoś dzwonił?

Chciałam się zaśmiać, potem uznałam, że mam chęć się rozpłakać, a ponieważ nie byłam mazgajem i płacz nie wchodził w rachubę, zapragnęłam krzyczeć.

Kwadrans później przy księgarni kręciło się pełno glin, włączając tatę, Hanka i Malcolma. Miejsce zbrodni otoczono taśmą. Policjanci odsyłali gapiów i tych, którzy przyszli po swoją poranną kawę.

Stałam z boku i poszukałam w telefonie numeru Lee.

– Wszystko w porządku? – spytał od razu.

– Rozumiem, że już ci doniesiono. – Myślałam, że tajemnicze siły działające w kartelu komandosów przekazały mu wiadomość o mojej najnowszej przygodzie.

– O czym mi doniesiono?

Więc jednak nie.

– Nie chciałam ci przeszkadzać, ale stwierdziłam, że może cię powiadomię, zanim twoi ludzie usłyszą o tym na policyjnych częstotliwościach. Zwłoki Siwego Ricka leżą przed wejściem do księgarni, właśnie je znalazłyśmy.

Cisza, potem stwierdzenie:

– To prezent.

– Co?

– Zaraz tam będę.

– Lee, nie musisz... – urwałam, bo już się rozłączył.

Jimmy Marker podszedł do mnie, zadał kilka pytań i potarł oczy dłonią.

– Indy, przysięgnij, że niczego przede mną nie ukrywasz.

Gdy postrzelono Texa i siedzieliśmy w szpitalu, opowiedziałam Jimmy’emu o Rosim, marihuanie, brylantach, o Terryem Wilcoxie i wszystkim innym. No dobra, nie o wszystkim, pominęłam tylko włamanie, czyli prawie o wszystkim. Nie miałam już nic do dodania, więc jeśli Jimmy tracił cierpliwość i był sfrustrowany, to miał okazję przekonać się, jak to jest być w mojej skórze.

– Jimmy, może jestem wariatką, ale nie jestem głupia, i nawet jeśli myślisz inaczej, odróżniam dobro od zła. Wszystko, co wiedziałam, powiedziałam ci już wtedy w szpitalu.

Podszedł tata, objął ręką moje ramiona.

– Ciekawi mnie jedynie, czemu to się skupia na tobie – ciągnął Jimmy.

– Tak, mnie też to ciekawi – dodał tata.

– Super, w takim razie jak się dowiecie, dajcie znać, bo te akcje zaczynają mnie już wkurzać! – stopniowo podnosiłam głos i koniec zdania wręcz wykrzyczałam.

Jimmy cofnął się, kilka głów odwróciło się w moją stronę.

Zobaczyłam parkującego SUV-a. Zza kierownicy wysiadł Lee. Patrzył na mnie, ale Malcolm i Hank zatrzymali go, zanim zdążył podejść.

– Rozumiem, że ty wiesz, co się dzieje? – zwróciłam się do taty.

– O tyle, o ile. Gliny gadają, ty jesteś moją córką, a Jimmy informuje mnie na bieżąco – odparł.

– Czemu nic nie mówiłeś?

– Ufam Liamowi, że to załatwi, i tobie, że postępujesz właściwie.

Proste.

Tata jest super. Tata zawsze był super. I w jakimś momencie tych ostatnich dni Lee dostał jednak jego błogosławieństwo. Pewnie wtedy, gdy zaczęły dziać się rzeczy, przy których każdy ojciec chciałby, żeby to Liam Nightingale był chłopakiem jego córki.

Ruszyłam w stronę grupki Nightingale'ów; Malcolm stał tyłem do mnie, Lee i Hank po jego obu stronach, też prawie tyłem.

Podchodząc, usłyszałam głos Malcolma:

– Hank, rozumiem, że posługujesz się Lee, żeby ogarniał to gównno, bo wtedy ty nie musisz brudzić sobie rąk, i wiem, Lee, że prowadzisz tę grę dość swobodnie. Pozwalałem wam działać tak, jak między sobą uzgodniliście, ponieważ do tej pory ten system działał. Ale nie podoba mi się to, co wyczuwam teraz i...

Lee odwrócił głowę i dostrzegł mnie kątem oka.

– Indy – rzucił, raczej do Malcolma niż do mnie.

Wszyscy Nightingale'owie odwrócili się i to był koniec tematu.

No i git. Bardzo dobrze. Mam to gdzieś.

Stałam blisko Lee, ale chyba nie tak blisko, jak by chciał, bo objął mnie za

szyję i przyciągnął do siebie. Hank, tata i Malcolm odeszli.

– Jak się masz, śliczna?

– Tracę cierpliwość. To się robi nudne – odparłam. – Co z twoim człowiekiem?

– Nic jeszcze nie wiem, muszę wrócić do szpitala. Widzę, że skonfiskowałaś crossfire'a.

– Masz coś przeciwko?

– Nie.

Odwróciłam się do niego, położyłam rękę na jego torsie i dopiero wtedy zapytałam z wahaniem:

– Twój człowiek... czy on... robił coś dla mnie?

Lee pogłaskał mnie po karku, potem leciutko pociągnął za włosy.

– Inne zlecenie, nic wspólnego z tobą, Rosiem czy brylantami.

Co za ulga. I tak czułam się obciążona raną postrzałową Texa, rozbitym mustangiem Ally, tym, że przysparzam zmartwień tak wielu osobom; nie chciałam, żeby dołożyło się coś jeszcze. Popatrzyłam na Lee i uświadomiłam sobie, że on też jest mocno obciążony – moim sprawami, ale też innymi, o których nie wiedziałam.

– Musisz iść – przypomniałam.

– Wiem.

Zamierzałam się odsunąć, ale objął mnie i przytulił mocno do siebie.

– Skoro Rick nie żyje, zakładam, że jesteś bezpieczna, mimo to uważaj. Coxy nie powinien stanowić zagrożenia, ale z nim nigdy nic nie wiadomo.

Skinęłam głową.

– Chciałbym wrócić do ciebie – powiedział.

Przestałam oddychać. Nie wciągnęłam powietrza, nie wypuściłam go, po prostu dech mi zaparło.

Otrząsnęłam się.

– To znaczy?

– Dziś wieczorem. Zadzwoń, jak będę jechał. Żeby dostać się do garażu i do mieszkania, wystarczy to, co masz przy kluczach crossfire'a. Zaczekam, aż zoperują Luke'a, w tym czasie pozalátwiam parę rzeczy, ale gdy wieczorem

wrócę do domu, chciałbym, żebyś tam była.

Wahałam się tylko chwilę.

– Dobrze.

Przyglądał mi się, jego oczy złagodniały.

– Przepraszam za dziś rano.

– Nic nie dało się zrobić.

– Dokończymy wieczorem.

No, wreszcie coś, na co można czekać.

Duke wydrukował sześć informacji, że księgarnia zamknięta, i powiesił w witrynach. Ciężko przyjmować klientów, skoro drzwi wejściowe blokuje taśma policyjna.

Dzięki ci, Boże, że nie mam kredytu do spłacenia.

Nagle okazało się, że przede mną cały dzień i żaden ochroniarz nie śledzi każdego mojego kroku. Czułam się dziwnie.

Pojechałam do Texa, żeby opowiedzieć mu ostatnie nowiny i ogarnąć koty, dowiedziałam się, że założyli mu nowe szwy. Nie wiedziałam, jak zareaguje na wiadomość o śmierci Siwego Ricka; myślałam, że się ucieszy, ale on zauważył tylko filozoficznie:

– Najpierw żyjesz, potem umierasz.

Pomogłam nakarmić kocury, pobawiłam się z nimi świecątkiem na ścianach, wyczyściłam kuwety. Poszłam do sklepu pana Kumara na zakupy i plotki. Nie było go, ale pogawędziłam z panią Kumar, która stała za ladą. Pani Salim siedziała nieopodal na stołku, zupełnie nieruchoma. Pomyślałam (ale nie powiedziałam tego), że może biznes szedłby lepiej, gdyby nie trzymali mumii tuż za kasą.

Miałam nadzieję, że nie strzeli we mnie piorun za takie myśli.

Wzięłam zakupy i pojechałam do Ally.

Zrobiła mi kawę i poratowała środkiem przeciwbólowym.

– Słyszałam już, że nie żyje. Najpierw zadzwonił ojciec, później mama. Jak ty się czujesz? – spytała.

- Jestem tym wszystkim zmęczona.
- No, na pewno.
- Co dzisiaj porabiasz?
- Siedzę w domu, wieczorem idę na swoją zmianę.

Chwilowo pracowała w My Brother's Bar przy Platte River. Istnieli na tyle długo, żeby drewniane ściany i stoły nadgryzł zęb czasu, i serwowali najlepsze barowe żarcie w Denver. Przychodzili tu członkowie orkiestry symfonicznej po występach i można było dostać świetnego guinnessa.

– O, myślałam, że zrezygnowałaś?

– Nie, miałam zmianę akurat wtedy, gdy cię porwali, ale wiesz, to niezły czad, jak dzwonisz i mówisz, że nie możesz przyjechać, bo twoja przyjaciółka została porwana.

– Pewnie tak – mruknęłam.

Zaproponowała, że zrobi mi manikiur i pedikiur, a ja odwdzieczyłam się jej myciem i układaniem włosów. Gdybym nie odziedziczyła księgarni, poszłabym do szkoły fryzjerskiej, od liceum układałam dziewczynom włosy. Z Ally to było proste, miała miękkie i grube włosy, lekko falujące, zawsze dobrze wyglądały.

– Jak tam z Lee? – spytała, przekrzykując suszarkę, gdy trzymałam jej włosy na szczotce.

– Jestem totalnie przerażona – odkrzyknęłam.

– Da się wyczuć.

Wyłączyłam suszarkę i spojrzałam na Ally.

– On jest w tym dobry, serio.

– W czym?

– W byciu razem. Wrodzony talent, niesamowite. Dopiero zaczynamy, a jest tak, jakbyśmy byli ze sobą bardzo długo. Nie ogarniam tego.

– Zawsze był denny w związkach. Jest dobry, bo chodzi o ciebie.

– Słucham?

– Tobie też nie szło najlepiej z facetami, bo żaden z nich nie był Liamem.

Oho, mamy wstawkę o dwóch połówkach pomarańczy.

Włączyłam suszarkę, koniec tematu.

Potem pojechałam do domu, sprzątnęłam, sprawdziłam skrzynkę, podlałam

trawnik i kwiaty. Podlałam również trawnik swoich sąsiadów. Po wszystkim poszłam do nich i zastukałam do drzwi.

Stevie otworzył i nerwowo spojrzał mi przez ramię, jakby się spodziewał snajpera.

– Podlałam wasz trawnik – oznajmiłam.

– O, to miłe.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór.

– Nie wiem, czy ci wybaczę. Chociaż Tod powiedział, że rzuciłaś się, by go osłonić, więc może jednak nie jestem aż taki zły na ciebie. Tod uważa, że było ekstra, to wszystko przypomniało mu rodzinne strony.

– Jak go słucham, to chyba nie chcę jechać do Teksasu.

Nie skomentował.

– Wiesz, łatwo mu mówić, chroniły go warstwy gąbki.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że kule z łatwością by ją przedziurawiły.

– Dziś rano ktoś podrzucił pod księgarnię ciało tego człowieka, który strzelał.

Stevie spojrzał na mnie okrągłymi oczami.

W tym momencie dotarła do mnie cała groza sytuacji. Poza tym Stevie był jednak trochę zły na mnie, a nie lubię, jak ludzie, na których mi zależy, mają mi coś za złe. W końcu wczorajsza akcja to nie moja sprawka, no nie? Zapięły mnie łyzy.

– Dobra, na razie – dodałam.

– Dziewczyno, jesteś totalnie rozbita, włącz do środka...

Wciągnął mnie do mieszkania, zrobił drinka i posadził na sofie. Opowiedziałam mu wszystko, nawet to, że chociaż za każdym razem ja i Lee mocno zbliżaliśmy się do siebie, wciąż tego nie zrobiliśmy.

Stevie słuchał, przytulał mnie od czasu do czasu, podawał chusteczki, jeśli płynęły łyzy, i nie komentował. Potem poszedł ze mną do mojej garderoby, przejrzał wieszaki w szafie, otwierał kolejne pudełka z butami, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. I przez cały ten czas opowiadał o swoim planie.

W końcu odprowadził mnie do samochodu, oznajmił, że Tod jest już na lotnisku w Denver, zaraz wylatuje i nie będzie go kilka dni. Stevie wyjeżdżał nazajutrz rano, spytał, czy zajęłabym się Chowleena.

– A gdybym zabrała ją do Lee, to byłby problem?

– Absolutnie nie, tylko daj znać.

Pomachał mi na pożegnanie, a ja pojechałam załatwić kilka rzeczy, ściśle związanych z dzisiejszym wieczorem.

W centrum handlowym zajrzałam do Linens'n'Things po kilka niezbędnych drobiazgów i do Fresh and Wild kupić to, czego potrzebowałam na wieczór i rano, gdyby pobyt u Lee się wydłużył. Zniosłam to wszystko, łącznie z zakupami od Kumara, sukienką i butami, do mieszkania Lee.

Zaczęłam działać. Zrobiłam ciasto czekoladowe z bitą śmietaną, potem przygotowałam zapiekankę z ziemniaków i przykryłam folią aluminiową, żeby była gotowa do zapieczenia. Wyłuskałam zielony groszek i wstawiłam stek do lodówki – zdążę go usmażyć w dziesięć minut, gdy Lee zadzwoni, że jedzie.

Nakryłam stół. Rozłożyłam podkładki i materiałowe serwetki, przeciągnięte przez obręcz, wszystko kupione w Linen. Starłam się wybrać zestaw w stylu macho, żeby tu pasował, ale w takich sklepach nie idą za bardzo w takie klimaty.

Na środku stołu postawiłam srebrny świecznik z długimi świeczkami (wszystko świeżo kupione); kwiaty z Fresh and Wild włożyłam do wazonu. Wyjęłam kieliszki z szafki i na zakończenie postawiłam przy nich butelkę drogiego wina.

Nie musiałam go uwodzić, ale odrobina romantyzmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła, w każdym razie zdaniem Stewiego. Poza tym, Lee ciągle pracował, a wiedziałam, że lubi stek, pieczone ziemniaki i ciasto czekoladowe, Kity Sue robi to na każde jego urodziny. Uznałam, że po ciężkiej harówce należy mu się trochę przyjemności.

Zniosłam do sypialni sukienkę i buty. Zdumiona spojrzałam na krzesło – obie moje torby zniknęły. Zajrzałam do szafy i kilku szuflad, wyjaśniło się, że moje rzeczy nie tylko zostały rozpakowane, ale również uprane, uprasowane i powieszzone w szafie lub ułożone w szufladach. Rozejrzałam się po pokoju: na łóżku świeża pościel, dywany odkurzone.

Wyglądało na to, że w poniedziałki gospodarowała tu Judy.

Potem zajęłam się sobą. Włosy w stylu Tawny Kitaen[10], odgarnięte do tyłu i spięte spinką, ciemny makijaż oczu. Włożyłam sukienkę, którą wybrał Stevie, czarną, atlasową, na cienkich ramiączkach. Intrygująco, lecz niewyzywająco spływała po mojej sylwetce. Z przodu miała delikatny dekolt, cały szyk polegał na głębokim wycięciu z tyłu. Włożyłam buty na cienkiej i bardzo wysokiej szpilce, z tyłoma paskami, że niektóre z nich musiałam owinąć wokół łydki.

Kropla perfum i żadnej biżuterii – kto w najgorętszym momencie chciałby tracić czas na zdejmowanie błyskotek?

Robiło się późno, wstawiłam zapiekanekę do piekarnika. Nawet jeśli Lee wróci jeszcze później, zdążę ją podgrzać, robiąc stek.

Potem znalazłam książkę Johna Grishama i zaczęłam czytać.

Później wyjęłam zapiekanekę i wróciłam do czytania.

Wzięłam komórkę i stacjonarny Lee, położyłam na stoliku, żeby mieć je w zasięgu ręki, i znowu czytałam, wygodnie moszcząc się na kanapie.

Minuta po minucie powieki w końcu same zaczęły mi się zamykać, a że jestem śpiochem, zasnęłam.

Rozdział 15

Nie mówiłaś o cieście

Moje włosy opadły do tyłu, odsunięte z ramienia.

Otworzyłam oczy: Lee siedział na kanapie, u moich stóp.

– Cześć – wymamrotałam.

– Cześć.

– Nie dzwoniłeś.

– Zrobiło się późno. Bałem się, że cię obudzę.

Oparłam się na łokciu.

– Która godzina?

– Prawie północ.

Przeciągnęłam się i podniosłam; objął mnie w talii i posadził sobie na kolanach. Książka spadła na podłogę, żadne z nas się tym nie przejęło. Położyłam mu głowę na ramieniu i objęłam go w pasie. Lee jedną ręką mnie obejmował, drugą położył mi na udzie.

– Zaplanowałaś kolację – zauważył. – Bardzo to zepsułem?

– Przygotowałam rzeczy, które da się łatwo spasować ze zmiennym grafikiem. Możemy zjeść je jutro albo już zaraz, teraz. Głodny?

– Tak... ale nie chcę jeść.

Jego ręka przesunęła się w górę razem z sukienką.

Poczułam ucisk w żołądku.

– Zmęczona?

– Spałam.

– Nie o to pytałem.

– Ty nie jesteś?

– Teraz już nie.

– Aha.

Rany.

Przesunął rękę jeszcze wyżej, pochylił głowę i dotknął ustami mojej szyi.

– Jak twój człowiek? – spytałam.

– Żyje. – Musnął miejsce poniżej mojego ucha. – Jest w stanie krytycznym, ale to twardziel. – Polizał moją skórę, drgnęłam.

– To dobrze – szepnęłam.

– Chcesz iść do łóżka?

– Tak...

Podniósł głowę, jego ręka sunęła po moim udzie, wślizgując się pod sukienkę. Opuszkami palców przejechał po brzegu majtek.

– Spytałem inaczej: chcesz iść spać?

Zwariował? Czy ja chcę spać? Co za pytanie!

– Niekoniecznie – odparłam, siląc się na spokój.

Posłał mi ten swój śmiech.

– Świetnie – szepnął, a potem mnie pocałował.

To był zajeździe dobry pocałunek: długi, wolny, głęboki i namiętny. Gdy się skończył, Lee muskał ustami mój policzek, potem zszedł w dół szyi, na obojczyk. Ręka na talii przesunęła się po moich plecach, pociągnął mnie za włosy, eksponując szyję do czułej pieczyoty.

Puścił moje włosy, położył mi rękę z tyłu głowy i znowu mnie pocałował. Powtórka tamtego pocałunku, tylko jeszcze lepsza. Jedną ręką przytrzymał mi głowę, druga delikatnie pieściła moją pierś.

To wszystko było niesamowite, piękne, wspaniałe... Ale zachowywał się tak, jakbyśmy mieli do dyspozycji cały czas świata, jakby żaden domofon nie miał nigdy odezwać się żadnym kodem, odrywając Lee od tej namiętnej gry i zostawiając mnie, napaloną, a właściwie mokrą i zdyszana.

Uniosłam się i zmieniałam pozycję, teraz siedziałam na nim okrakiem. Wyciągnęłam mu koszulkę z dzinsów, zdjęłam przez głowę i rzuciłam za siebie. Przesunęłam rękami po jego piersi, po brzuchu, delikatnie drapiąc i patrząc, jak jego mięśnie spinają się odruchowo. Sięgnęłam do rozporoka, zapinanego na guziki.

Odpięłam górny – złapał mnie za nadgarstki.

Zajrzałam mu w oczy, zobaczyłam półuśmiech w kącikach.

– Spieszysz się gdzieś? – spytał przekornie.

– Mhm – mruknęłam tonem „no raczej”. – Tak.

– Nie ma powodu. – Odsunął moje ręce, puścił je i przejechał dłońmi po moich bokach.

– Rano sam się spieszyłeś – przypomniałam.

Patrzył na swoje dłonie, które zatrzymały się przy piersiach. Zwinął palce w pięść i przesunął knykciami po twardniejącym sutku.

Przygryzłam wargę. Czując, jak prąd biegnie od piersi do dolnych partii, rzuciłam niecierpliwie:

– Lee!

Przeniósł wzrok na mnie.

– Rano było inaczej.

– Jak?

– Jestem facetem – oznajmił, jakby ta oczywista prawda wszystko tłumaczyła.

Zresztą, trochę jednak tłumaczyła. Nie poznałam jeszcze mężczyzny, który obudziłby się, nie myśląc właśnie o tym, zwykle gotowy, zanim jeszcze otworzył oczy.

– No więc to, co czułeś rano, ja czuję teraz – oznajmiłam i wróciłam do rozpinania rozporaka.

Znów wziął mnie za nadgarstki i odsunął moje ręce do tyłu.

– Myślałem, że chciałaś działać powoli – wytknął.

Przysięgam, że słyszałam śmiech w jego głosie.

Łajdak.

– Co powiesz na to? Ty zrobisz to na swój sposób, a ja na swój – zaproponowałam.

Patrzył mi prosto w oczy.

– Mogłoby być ciekawie.

– Jak cholera.

Pocałowałam go. Wiedziałałam, że lubi moje pocałunki, sam to wyznał, a do tej pory mnie nie okłamał.

Oddał pocałunek, puścił moje nadgarstki i objął mnie.

Moje dłonie wróciły do rozporka, ale już nie próbowałam go rozpinać, położyłam na nim rękę. Bardzo przyjemne uczucie.

Lee przełożył mnie na plecy i przykrył swoim ciałem. Straciłam przewagę.

Pocałował mnie, ujął moją pierś. Przesunął kciukiem po sutku, potem kciukiem i palcem wskazującym zaczął pocierać go przez jedwab sukienki.

O rany.

Odsunęłam kolano, jego biodra znalazły się między moimi nogami, położyłam na nim drugą nogę, przytrzymałam się jego ramienia, łokciem odepchnęłam od kanapy, pomogłam sobie stopą i obróciłam się.

Spadliśmy z kanapy, on z jękiem wylądował na plecach, ja wróciłam na górę.

Uniosłam się i zanim zdążył coś zrobić, dosiadłam go znowu. Pochyliłam się. Muskałam ustami i lekko podgryzałam skórę na jego piersi, mój język wędrował po jego brzuchu. Lee smakował wspaniale, skóra na twardych mięśniach była miła w dotyku.

Fantastyczne uczucie.

Pokonałam drugi guzik rozporka, usta schodziły niżej, palce zajmowały się kolejnym guzikiem tuż przy niecierpliwych ustach. Nie mogłam się już doczekać...

Przez cały ten czas trzymał ręce pod sukienką, na moim tyłku. Nagle wysunął je, wyprostował mnie, potem unióś nad sobą i przerzucił na plecy.

Nogami przewróciliśmy stół; piloty, czasopisma, telefony spadły na podłogę.

Teraz on był na mnie, trzymając mi nadgarstki nad głową.

– Naprawdę ci się spieszy...

– Przecież mówiłam.

Musnął mnie ustami.

– Wyluzuj...

– Sam wyluzuj. Możesz zagwarantować, że domofon zaraz się nie odezwie?

– Nie.

– Możesz zagwarantować, że twój telefon zaraz nie zadzwoni? Bo mój nie zadzwoni na pewno. Że całe wschodnie wybrzeże Stanów nie zapadnie się do oceanu?

Poczułam i usłyszałam cichy śmiech.

– Nie.

– Jest mi przykro, że twój człowiek dostał, naprawdę. To straszne i nie mam do ciebie żalu, że pognałeś ogarnąć sytuację. Ale ja nie pozwoliłabym, żeby *mój* domofon zadzwonił, gdyby to *moje* usta były między twoimi nogami. Nadążasz?

– Chyba zaczynam łapać.

– No i?

– Nadal będziemy działać powoli.

Sapnęłam zniecierpliwiona.

– Bo?

– Bo tego właśnie chcę.

– A co z tym, czego ja chcę?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie ciepło.

– Dostaniesz to, obiecuję.

Rzuciłam mu wyzywające spojrzenie „załóż się o swój zajebisty tyłek, że tak będzie”.

Znowu mnie pieścił, zaczęłam się wić; jego usta na mojej szyi przenosiły mnie w krainę rozkoszy.

Dla jasności. Nie pędziłam na wyścigi po orgazm dlatego, że to był Liam Nightingale, ani dlatego, że ostatni miałam jakiś czas temu (choć tak właśnie było, jeśli nie liczyć tych wygenerowanych własnoręcznie). Po prostu mocno się już nakręciłam, od kilku dni tlił się we mnie ogień.

Pieszczoty, usta Liama... wszystko było cudowne, jego ciało ciepłe i seksowne, umięśnione i ciężkie. Jego siła dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Był twardy, czułam to na udzie, teraz chciałam poczuć w rękę, potem w siebie, a jeśli wystarczy czasu, brałam też pod uwagę inne opcje.

Przesunął dłońmi po moich ramionach, usta zeszyły niżej, teraz całował moje piersi przez materiał sukienki, po chwili wrócił do ust.

Sięgnęłam do jego tyłka, wsunęłam dłoń w dzinsy, łapiąc go za pośladek. Gdy oderwał ode mnie wargi, zaczęłam całować jego szyję, przesunęłam

językiem po policzku.

Przeniosłam dłoń z pośladka na krocze.

– Indy... – W jego głosie brzmiało rozbawienie, ostrzeżenie i niecierpliwe oczekiwanie.

Dałam spokój guzikom, moja dłoń zanurkowała do środka. W ciasnej przestrzeni udało mi się położyć palce na jego członku.

Nareszcie.

– Tak... – szepnęłam w jego usta, gdy zaczęłam przesuwając dłonią w górę i w dół.

– Dobra.

Wstał szybko, cofnęłam dłoń ze spodni. Pochylił się, chwycił mnie za rękę i podniósł.

– Co się stało?

Znow się pochylił, jedno ramię wsunął mi pod kolana, drugim objął w pasie i wziął mnie na ręce.

– Chcesz szybko, będzie szybko.

– Jupi!

Zaniósł mnie do sypialni.

– Czy właśnie zawołałaś „jupi”?

Kurczę, nie zdawałam sobie sprawy, że mi się wyrwało na głos.

– Wymsknęło mi się – wyjaśniłam.

– Dobra, tym razem dam się namówić. – Postawił mnie przy łóżku, puścił i usiadł, żeby zdjąć buty. – Ale się nie przyzwyczajaj.

Wszystko jedno – pomyślałam i schyliłam się, żeby rozwiązać paski pantofli. Strzepnęłam buty ze stóp. Wstałam, zdjęłam sukienkę przez głowę i odrzuciłam ją byle gdzie.

Stałam kolanem na materacu i zaczęłam po nim iść, ale Lee złapał mnie wpół, obrócił na plecy i błyskawicznie zdarł ze mnie majtki. W jednej chwili leżałam przed nim nago.

Przyglądał mi się, chyba spodobało mu się to, co zobaczył. On też był już nago. Pochylił się nade mną, jego teraz czekoladowe oczy aż lśniły.

Wsunął rękę między moje nogi, poczułam jego mocne palce. Cudownie.

– Nie musimy się aż tak spieszyć – wysapałam i jednocześnie przysunęłam się do niego.

– Za późno.

Rozsunął moje nogi i tam, gdzie przed chwilą były jego palce, znalazły się usta. Chór już się rozgrzewał i w ciągu kilku minut jego namiętne wargi i zwinny język posłały mnie prosto na najwyższą nutę arii.

Jakie to boskie.

Błyskawicznie znalazł się na mnie i wszedł we mnie. To było tak niewiarygodnie przyjemne, że chociaż już pierwszy akt wydawał się spektakularny, po drugim, który nastąpił zaraz potem, rozpadł się świat.

– Chyba jestem głodna – powiedziałam jakiś czas później.

– Znowu? – zdziwił się. – Z tego, co się orientuję, doszłaś dwa razy.

Wrr.

Faktycznie doszłam dwa razy. Może nawet trzy albo ten drugi był bardzo długi.

Leżeliśmy objęci, więc wyplątałam się z jego rąk i nóg, odsunęłam i sięgnęłam pod poduszkę. Okazało się, że Judy nie tylko uprała, ale również uprasowała Night Stalkersów (rany, kto prasuje T-shirty?). Wciągnęłam koszulkę przez głowę.

– Muszę coś zjeść. – Odwróciłam się i spojrzałam na niego. – Ty nie chcesz?

– A co zrobiłaś?

– Miał być stek, zielony groszek i zapiekanka z ziemniaków. Na razie są gotowe tylko ziemniaki.

Gdy usłyszał menu, spojrzał na mnie ciepło.

– Może coś bym przekąsił.

Chyba zapunktowałam z tym zestawem, nawet jeśli zdołałam zrobić jedynie część.

Już w kuchni postanowiłam zacząć od wina. Właśnie walczyłam z korkiem, gdy podszedł do mnie, ubrany tylko w dzinsy. Wziął butelkę i odkorkował bez wysiłku. Postawiłam kieliszki na blacie, nalał wina.

Przełożyłam zapiekankę do miski i wrzuciłam do mikrofalni. Czułam się dziwnie. Zrobiliśmy kolejny krok w stronę bycia razem, jak do tej pory najlepszy, a mimo to nadal się bałam.

– Jak ci minął dzień? – spytałam, próbując maskować strach.

Rany, ale to zabrzmiało.

– W innych sprawach mam większe postępy – odparł.

Odezwał się brzęczyk mikrofalni, wyjęłam ziemniaki, postawiłam gorącą miskę na złożonym ręczniku i podałam Liamowi razem z widelcem. Oparł się biodrem o blat, jadł na stojąco.

Napiłam się jeszcze wina. Postanowiłam pominąć zapiekankę i przejść od razu do deseru.

– Zdecydowałam, że wrócę do sprawy Rosiego. Planuję zwerbować Texa, on ma wprawę – oznajmiłam.

Chodziło mi o to, że facet się niczego nie boi, nawet łamania prawa, no i uważa mnie za zabawną.

Otworzyłam lodówkę, wyjęłam ciasto.

Lee patrzył na mnie.

– Nie mówiłaś o cieście.

– Czekoladowe, z bitą śmietaną.

Gapił się na mnie bez słowa, z widelcem w pół drogi do ust. Widać było, jak intensywnie myśli, jak coś mu zaklikało i chyba się z tego czegoś ucieszył, ale nic nie powiedział.

Nie pytałam. Jak będzie chciał, sam powie. Zresztą, nie musiałam mu skanować mózgu, żeby zrozumieć, że to dla niego frajda, że specjalnie upiekłam jego ulubione ciasto.

– Dlaczego chcesz drażnić sprawę Rosiego?

– Dlatego, że to on mnie w wpakował w tę chorą sytuację i że mam już dość trupów i strzelaniny. Ludzie, których kocham, boją się o mnie, a kluczem do wszystkiego jest Rosie. Zamierzam wydobyć go spod ziemi i skopać mu dupę; potem powinno się ułożyć.

Poszłam na drugą stronę kuchni, postawiłam ciasto na blacie, wzięłam widelec.

– Czyli potrzebujesz Texa, żeby skopał twojemu bariście dupę – podsumował

Lee.

Miałam ukroić sobie kawałek, ale zmieniłam zdanie. W końcu jesteśmy tutaj sami, po co tyle ceregieli. Wsadziłam palec w bitą śmietanę i odwróciłam się do Lee.

– Też mogę skopać mu tyłek, luzik – odparłam i włożyłam palec do ust.

Patrzył na mnie, jak oblizuję śmietanę; przechyliłam głowę i uśmiechnęłam się do niego. Posłał mi swój sławetny uśmiech, ale nie tyle podkreślony dawką ciepła i intymności, co megawatowo rozjarzony myślą o zajebistym seksie, który mieliśmy za sobą, i obietnicą tego, co jeszcze przed nami.

Zmiękły mi nogi.

– Ostatnim razem, jak widziałś się z Rosim, wymachiwał bronią – przypomniał Lee.

– Tex też ma broń.

– Strzelbę. Cywile z bronią z zasady są niebezpieczni. Cywile nieumiejący się nią posługiwać są bardzo niebezpieczni. Gość, który łązi ze śrutówką, to już czyste wariactwo.

Wzruszyłam ramionami, podciągnęłam się i usiadłam na blacie. Założyłam nogę na nogę i upiłam łyk wina. Znowu zabrałam się za opychanie słodkościami. Trzymałam w ręku talerz z całym ciastem, rozważając przeze chwilę, jak się do niego dobrać. Uznałam, że najlepsze będzie w środku, więc wzięłam widelec i centralnie wbiłam go w ciasto.

Cztery kęsy później spojrzałam na Lee. Trzymał swój kieliszek i przyglądał mi się uważnie, miska po zapiekance stała już w zlewie.

– Co tam? – spytałam.

– Włożyłaś dużo wysiłku w tę kolację. Jesteś na mnie zła, że wróciłam tak późno?

– Nie.

– Kłamiesz tak lekko, jak oddychasz, powiedz szczerze.

Popatrzyłam zdziwiona.

– Czemu miałabym się wkurzyć? Wyglądam na wkurzoną? Mówiłeś, że zadzwonisz, jak będziesz wracał. Wiedziałam, że jesteś zajęty i masz dużo spraw, więc odpowiednio zaplanowałam kolację. Nic się nie zmarnowało. Rany, Lee, pewnie, że zdarza mi się ściemniać, ale wyłącznie w sprawach nieważnych.

To przecież tylko kolacja, nie reaktywacja Led Zeppelin.

Napił się wina, nadal się we mnie wpatrywał.

Nabrałam spory kawałek ciasta i odwróciłam widelec do Liama.

– Chcesz?

Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił.

– Tak. – Odstawił wino i podszedł do mnie.

O kurde.

Chyba nie chodziło o ciasto.

Nie myliłam się.

Wziął ode mnie widelec, odłożył na talerz, potem odstawił ciasto na bok.

– Ej, jeszcze nie skończyłam!

– Dokończysz później.

Rozchylił mi nogi. Nie zakładałam majtek, poczułam się totalnie bezbronna. Stał pomiędzy kolanami, mój tyłek przesunął się po blacie; bezbronność zniknęła, gdy poczułam ciepło Lee.

– Co robisz? – spytałam, jakbym nie wiedziała.

– Planuję deser. – Pocałował mnie.

Smakował winem. A ja na pewno miałam smak ciasta.

Jeszcze przed chwilą jedyne, czego bardzo chciałam, to zjeść więcej ciasta, ale gdy zaczął mnie całować, chęć zniknęła.

Jedną rękę położył na moim biodrze, drugą rozpiął sobie rozporek.

– Przytrzymaj się blatu – poradził.

– Co?

Bez słowa pociągnął mnie do siebie. Ledwo złapałam się brzegu blatu, Lee nagle znalazł się we mnie.

Nie jestem cnotką, ale nie mogę powiedzieć, żebym miała wybujałe życie seksualne. W każdym razie nigdy jeszcze nie kochałam się na meblach kuchennych.

To było fantastyczne, trochę perwersyjne, a z całą pewnością niegrzeczne, gdy kochasz się w miejscu, gdzie codziennie parzysz kawę.

– I kto tu się teraz spieszy? – zapytałam, zaplatając nogi na jego biodrach.

Przyciągnął moje biodra mocno do siebie; z rozkoszy aż przygryzłam wargę.

– Chcesz coś jeszcze dodać?

Pokręciłam głową, a potem powiedziałam:

– Ej, jednak chcę: zrób to jeszcze raz.

Jego ciało zastygło, uniósł brwi.

Dotknęłam wargami jego ust i wymruczałam:

– Proszę.

Wtedy zobaczyłam nową wersję firmowego uśmiechu. Najbardziej seksowny, najlepszy, najcieplejszy, najbardziej niebezpieczny i intymny uśmiech stawał się wtedy, gdy Lee był we mnie.

Zjedliśmy ciasto.

Wzięliśmy prysznic.

Gdy stoisz pod prysznicem naga, namydlona i mokra, sytuacja może się wymknąć spod kontroli, zwłaszcza jeśli towarzyszy ci Lee.

Wylądowaliśmy na dywaniku.

Dziękowałam w myślach nieznannej Judy, że łazienka lśni czystością, a dywanik pachnie płynem do płukania.

Na koniec znalazłam się w łóżku, przytulona do Liama, z dłonią na jego brzuchu, z jego rękami na swojej talii. Położyłam nogę na jego udzie, oparłam głowę na ramieniu.

Było mi wygodnie, ciepło i sennie.

Czułam radość, spełnienie.

– Wracając do twojego szukania baristy z Texem... Proszę cię, żebyś tego nie robiła – oznajmił zniecierpliwiony Lee.

Nie chciałam teraz o tym rozmawiać. Byłam cudownie wyczerpana, odprężona, może nawet szczęśliwa. A taka dyskusja mogłaby przerodzić się w kłótnię.

Dlatego się nie odezwałam.

Potrząsnął mną delikatnie.

– Indy.

– Mm? – mruknęłam w jego ramię.

– Słyszałaś mnie?

– Słyszałam.

Westchnął.

– Znów myślisz o tym, żeby mnie przykuć do łóżka, co? – wymamrotałam.

– Taak.

Uniosłam głowę, tylko trochę, żeby na niego spojrzeć, nie odrywając policzka od jego ciała.

– Czemu nie chcesz, żebym szukała Rosiego?

– Ile powodów potrzebujesz?

– Dwa dobre – burknęłam, wciąż rozluźniona, a jednak już opryskliwa.

– Nie wiesz, na co się porywasz, a Tex jest ostro szurnięty.

– Bardzo dobre powody.

Cholera. Naprawdę to powiedziałam?

Co się ze mną dzieje, że wrywają mi się najskrytsze myśli?

Przesunął się na mnie, jego biodro znalazło się między moimi nogami tak, że musiałam je objąć. Położył rękę na moim tyłku, przyciskając do siebie. Drugą dłoń wsunął mi we włosy i przytulił moją głowę do siebie.

Chyba uznał, że przyznałam mu rację, i w ten sposób dziękował.

Czułam się naprawdę cudownie, gdy mnie tak trzymał. Serio.

I zupełnie nie musiał wiedzieć, że choć przyznaję mu rację, to i tak zrobię dokładnie to, czego, do jasnej cholery, chcę.

Obudziłam się, gdy materac ugiął się pod ciężarem.

Otworzyłam oczy.

– Kawa – powiedział Lee i zobaczyłam parujący kubek w jego ręku.

Podniosłam się, poprawiłam poduszki, podciągnęłam kołdrę pod szyję i wzięłam gorący ożywczy napój.

Upiłam łyk; mocna.

– Mój bohater – wymruczałam w kubek.

– Co dziś planujesz?

– Za mało kofeiny na snucie planów – skłamałam bez namysłu.

Patrzył na mnie w milczeniu.

Wiedział, że ściemniam.

Wstał. Włosy miał w nieładzie, trochę z powodu snu, a trochę przeze mnie, bo mu potargałam; wyblakłe granatowe dresy wisały nisko, seksownie odsłaniając biodra; podwinięte nogawki kończyły się w połowie łydki. Wyglądał tak, że wystarczyło na niego spojrzeć i już czułam się podniecona.

Przeszedł przez pokój i wrócił.

Napiłam się jeszcze kawy i usłyszałam kliknięcie, ale byłam zbyt nieprzytomna, żeby skojarzyć fakty.

Nagle kubek znikł z moich rąk, Lee podciągnął mnie za nadgarstki do wezłowania łóżka, gdzie, jak się dopiero zorientowałam, przypiął kajdanki.

Za późno. Wziął mnie za nadgarstek, brzęknął łańcuszek; obróciłam się, rozległo się szcęknięcie i... już po mnie.

Spojrzałam na niego wkurwiona.

– Chyba żartujesz – warknęłam.

Położył się obok mnie i do połowy zsunął kołdrę.

– Nie.

Poczułam na sobie jego ręce, wargi muskały moją szyję.

– O na pewno nie. – Odepchnęłam go wolną ręką. – Wybierz to sobie z głowy, że przypniesz mnie kajdankami i będziesz robił, co ci się podoba.

Złapał mnie za rękę.

– Założymy się?

Drugą ręką zsunął kołdrę z moich bioder, teraz leżałam przed nim zupełnie naga.

– I co, zostawisz mnie tutaj na cały dzień?

– Już potem... tak – szepnął mi do ucha.

Wrr.

– Rozkuj mnie! – zażądałam.

– Nie.

– Lee, to nie jest zabawne. I sam wiesz, że do porannego seksu mamy pecha, jak tylko zaczniesz coś robić, zadzwoni domofon, dowiemy się, że zaatakowano Alamo i musisz iść.

Przesunął dłoń na mój tyłek, zbliżył wargi do moich ust.

– Jakoś przeżyjesz.

– Nie!

Teraz jego usta były przy moim uchu.

– Przedtem ci się udało.

– Tylko dlatego, że nie wiedziałam, co tracę!

Podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

Niech go szlag.

– Rozkuję cię, jak mi obiecasz, że nie ruszysz z Texem na poszukiwania Rosiego. – Otworzyłam usta, a on dodał: – Obiecasz i dotrzymasz słowa.

Zamknęłam usta.

Gdybym mogła, skrzyżowałabym ramiona na piersi, a ponieważ nie mogłam, wyjaśniłam:

– Stevie jest na mnie zły, bo Tod znalazł się na linii ognia. Ally ściga przestępców, rozbijając samochód. Moje życie przypomina cyklon, który wciąga innych. Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać, muszę działać. Nie chcę się dłużej bać.

Spróbowałam odwrócić się do niego tyłem, ale przycisnął mnie udem do materaca. Puścił moją rękę, podparł się na łokciu i przesunął palcem po moim policzku, patrząc mi w oczy.

Zastanawiał się nad czymś.

W końcu podjął decyzję.

– W takim razie pracuj ze mną.

Znieruchomiałam. Serio? Miałam pracować z legendarnym hardcorem Liamem Nightingale'em?!

– Jak to?

– Poszukamy Rosiego razem.

Szczęka mi opadła.

– Poważnie?

Skinął głową.

Zacząłem się uśmiechać, a on zaznaczył:

– Ale są pewne warunki.

Uśmiech zgasł, zmrużyłam oczy.

– Jakie?

Patrzył na mnie łagodnie, w kąciakach oczu znowu pojawiły się zmarszczki.

– Jesteś słodka – wymruczał.

Co proszę?

– Jakie warunki? – warknęłam, odkładając reakcję na to „słodka” na później.

– Robisz to, co powiem, wtedy, kiedy ci powiem, i nie komentujesz. Jeśli będziemy gdzieś i wyczuję, że jest źle i nie powinnaś tam być, nie dyskutujesz, po prostu znikasz.

Zastanowiłam się... uznałam, że brzmi rozsądnie.

– Rozkuj mnie – powtórzyłam.

– Zgoda?

– Zgoda.

Rozpiął kajdanki, odturlałam się, ale złapał mnie i przyciągnął z powrotem.

– Dokąd się wybierasz?

– To, że zgodziłam się z tobą pracować, nie oznacza, że nie jestem na ciebie zła. Chciałeś szczerości, proszę bardzo: wkurwiłeś mnie.

Muskał moją szyję, zupełnie nieprzejęty.

– Pomogę ci przez to przejść.

– Jesteś niemożliwie zarozumiała.

– Wiem. Ale i tak mnie kochasz.

Znieruchomiałam.

– Słucham?

Objął mnie, trzymał mocno, jakby w obawie, że się zerwę, więc przygotował się z awansu. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego oczy były ciemne i gorące.

– Kochasz mnie.

Posłałam mu groźne spojrzenie i wycodziłam przez zęby, kłamiąc (fajnie, że

wciąż potrafię):

– Wcale cię nie kocham.

Przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Kłamiesz – wyszeptał. – Kochasz mnie od czasu, gdy trzymałem cię za rękę na pogrzebie twojej mamy, jak miałaś pięć lat.

CO TAKIEGO?!

Rozdział 16

Maszyna stop

– Co powiedziałaś?! – wrzasnęłam.

Patrzył na mnie uważnie. Wygięłam się, chciałam go odepchnąć, uwolnić się, ale nie ustępował.

– Puszczaj!

Nic nie mówił, tylko bez wysiłku trzymał przy sobie.

Zastygłam i spojrzałam na niego.

Nie mogłam dłużej zaprzeczać. Znał fakty, to nie mógł być przypadek.

– Jak się dowiedziałeś? Od Ally?!

– Przeczytałem twój pamiętnik.

O kurwa.

– Co?! Kiedy?

– Nie pamiętam dokładnie. Miałaś piętnaście albo szesnaście lat. Układałaś plany i atakowałaś mnie od dłuższego czasu, werbując do pomocy przyjaciółki. Niektóre akcje były genialne. Szukałem sposobu, żeby... – zawahał się, po czym dokończył: – ostudzić twój zapal.

Ja pierdzielę.

Jak mam się teraz czuć?

To wszystko działo się dawno temu; nie przypominałam już sobie zbyt dobrze, co właściwie pisałam w pamiętniku. Ale prawie wszystko dotyczyło Lee i na pewno było bardzo osobiste.

Przycisnęłam ręce do jego piersi i pochyliłam głowę, żeby na niego nie patrzeć.

Nie przeżyję tego. Moje ciało płonęło z upokorzenia, chciałam się stąd wydostać, zanim wybuchnę. Jeszcze nigdy nie czułam się tak poniżona.

– Indy...

– Nie powinieneś czytać mojego pamiętnika. To strasznie słabe – warknęłam w jego pierś. – Poza tym, pisałam to dawno temu, wszystko się zmieniło, ja również, i tamtych uczuć już nie ma.

– I dlatego zrobiłaś ciasto czekoladowe?

Cisnęłam w niego morderczym wzrokiem.

– Miałaś za sobą ciężkie dni. Chciałam być miła.

– No, minioną noc była naprawdę miła.

– Spierdalaj.

Czułam się podle, nie zamierzałam słuchać jego „komplementów”, nie mogłam myśleć; najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

– Biorąc pod uwagę, że nareszcie cię miałem, w trzech różnych pomieszczeniach, i czuję się z tego powodu absolutnie doskonale, puszczę twoją uwagę mimo uszu – powiedział; zabrzmiało to tak, jakby zaczął się wkurzać.

– Świetnie – wysyczałam.

Szarpnęłam się, przygniótł mnie mocniej.

– Uspokój się.

– Złaż ze mnie!

– Dobra – warknął, w końcu już wkurzony. – Zamknij się i posłuchaj.

Spojrzałam na niego wściekła, ale zanim zdążyłam zareagować, mówił dalej:

– Po pierwsze, nie byłaś pełnoletnia, więc nie miałem prawa cię dotknąć, a na pewno nie tak, jak bym pragnął. Nie ma na świecie wielu ludzi, z których opinią się liczę, ale twój ojciec jest jednym z nich. Dostałby szau, gdybyśmy wtedy zaczęli ze sobą kręcić; moja reputacja jest zła, i to się nie zmienia od lat.

Racja.

Co nie znaczy, że przestałam się wściekać.

– Myślisz, że bez trudu ci odmawiałem? Od małego jesteś cholernie śliczna. Pragnąłem cię, ale byłaś dzikim dzieciakiem, wszyscy wiedzieli, że lubisz jeździć po bandzie. Nie chciałem się do ciebie zbliżać, aż się nie uspokoisz. Obserwowanie tego, co wyprawiacie, mogło się wydawać zabawne, ale gdybyś była moja, dostałbym szau. Znam siebie i wiem to na pewno.

Nawet jeśli to prawda, nie zamierzałam tego słuchać. Ale jeszcze nie

skończył.

– Mimo to pragnąłem, żebyś pewnego dnia stała się moja, i zawsze miałem to z tyłu głowy. Uważałem cię za swoją, nawet jeśli nie byliśmy razem. Każdy wiedział, że nasze rodziny się przyjaźnią i połowa znanych mi kretynów przyłączyła do mnie powiedzieć, jak to chciałyby cię przelecieć, a druga połowa łągała, że już się bzykaliście. Jak myślisz, dlaczego tyle się biłem?

O rany. To dopiero nowina!

– Zdecydowałem, że zanim będziemy razem, muszę mieć porządek w swoim życiu. Ale ty wcześniej zaczęłaś mnie unikać. To już omówiliśmy, chociaż w tej kwestii nie byłaś zbyt wylewna. A teraz jesteśmy tutaj.

Patrzył na mnie. Nie odzywałam się.

– Jeśli chcesz coś skomentować, wal śmiało.

Łaskawca.

– Nie należało czytać mojego pamiętnika – burknęłam.

– Odpuść to.

– Ani mi się śni. To kwestia prywatności. To ja powinnam ci powiedzieć o swoich uczuciach.

Po chwili wahania przyznał:

– Racja.

I nic więcej, żadnego poczucia żalu, żadnych przeprosin.

Palant.

– Miałam kilkanaście lat i najzwyczajniej w świecie się zadurzyłam – mruknęłam. – Nie myl tego, kim byłam wtedy, z tym, kim jestem teraz.

Nie odezwał się, a ze mnie znów wylał się potok słów:

– Nadal jestem dzika. Nadal popełniam błędy i robię różne wariactwa. Słucham głośno rocka, śpiewam razem z drag queen. Bawi mnie rywalizowanie z hostessami w Sushi Den i czasem jeździmy z Ally po Denver „pożyczonym” wozem. Nie zmienię się, a ty nie próbuj mnie kontrolować. Jeśli zaczniesz to robić, zniknę.

– Jest różnica pomiędzy kontrolą a ochroną – zauważył.

– Uważaj, żeby nie przekroczyć tej linii. Po której, dodajmy, rano już stąpałeś. A skoro mowa o kontroli, to nawet jeśli ja się nie zmieniłam, ty się zmieniłeś. Nie jesteś tym Lee, którego kochałam jako nastolatka.

To go ubodło, patrzył zmrużonymi oczami.

– Ja przynajmniej nic nie ukrywam.

– Sugerujesz, że ja ukrywam?

– Jezu, Indy, gdyby mur, którym się otaczasz, był odrobinę grubszy, znalazłabyś się w Meksyku!

– Jestem otwarta na ludzi!

– Pierdolenie.

Sapnęłam wkurzona, zabrzmiało to tak, jakbym dostała w brzuch.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytałam gniewnie.

Jego twarz zmieniła się, pojawiło się coś, czego jeszcze nie widziałam. Sam widok przerażał mnie jak cholera.

Ale gdy Lee się odezwał, głos miał łagodny, prawie delikatny.

– Żyjesz tak, jakby ten dzień miał być ostatnim. Gdy twoja mama zmarła, była młodsza od ciebie teraz. Patrzyłaś, jak twój ojciec żyje sam, nigdy nie związał się z żadną kobietą. Nie trzeba być psychologiem, żeby połączyć fakty i zrozumieć, czemu rzucasz się na ratunek wszystkim Rosim i Texom tego świata, a nie pozwalasz ludziom zbliżyć się do ciebie.

Teraz poczułam się tak, jak gdybym rzeczywiście dostała w brzuch.

Odwrociłam głowę i szarpnęłam się znowu.

– Złaż ze mnie.

– Nie. – Zmusił mnie, żebym na niego spojrzała. – Nie zejdem, nie zniknem, nie bede grał w żadne cholerne gierki i tracił dłużej czasu. Nie wierzę w przeznaczenie, w los, w żadne takie bzdury. Ale wiem, że nie istnieje inna kobieta, która tak pasowałaby do mojego życia. Która nie zrobi afery, jeśli się spóźnię, gdy ona przygotowuje specjalną kolację. Która nie dostanie histerii, gdy powiem, że jednego z moich chłopaków postrzelili. Ty po prostu wstajesz i robisz kawę! Jesteś kobietą, która prosi, żebym na siebie uważał, gdy idę na polowanie: nie narzeka, nie jęczy, że moja ścieżka kariery jej nie pasuje. Większość ludzi by się załamała, gdyby ktoś wpadł do nich, groził im bronią i strzelał do sąsiada. A ty robisz brownie, a potem zasypiasz w słońcu. Żyjesz ostro, grasz ostro, jakbyś niczego się nie bała, a jednocześnie masz w sobie niepojętą łagodność. Chciałaś, żebym ci powiedział, skąd mam tę pewność odnośnie do nas, to już wiesz: właśnie stąd. Wychowywał cię gliniarz i wiesz,

jak to jest. Nie chcę nikogo uczyć tego, jak być silnym. Potrzebuję kobiety wystarczająco hardej, żeby dała radę przez to przechodzić, żyjąc ze mną. To właśnie ty.

Patrzyłam na niego rozszerzonymi oczami. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby powiedział tyle naraz, a znałam go od zawsze.

– Często się zdarza, że strzelają do twoich ludzi?

– Strzelają często, na szczęście rzadko celnie.

Chciałam zapytać, jak często strzelają do niego, jak często obrywa – ale nie byłam gotowa na odpowiedź. Więc nie spytałam.

– Mądra decyzja – uznał.

A niech cię diabli. Znów siedział w mojej głowie.

– Boję się – szepnęłam. – Przerażasz mnie.

Jego oczy się rozweseliły.

– To najlepsza rzecz, jaką słyszałem w tym tygodniu.

Znieruchomiałam.

– Że mnie przerażasz?!

Musnął ustami moje wargi.

– Jeśli cię przerażam, to znaczy, że ci zależy. Posłuchaj, jestem tym samym Lee, tylko starszym i mądrzejszym. Kochasz mnie i gdy w końcu twój mur runie, przynasz to przed sobą, a potem wyznasz to mnie.

Ale z niego zarozumialec.

Zaczął mnie pieścić.

Nasza mała drama dobiegła końca.

– Nadal jestem na ciebie zła – oznajmiłam.

– W porządku. Mogę się z tobą kochać nawet, jak jesteś zła.

Niewiarygodne.

– Nie sądzę – odparłam.

Wsunął rękę między moje nogi, jego palec zaczął zataczać małe kółka. Dotyk był na tyle mocny, żeby zwrócić moją uwagę, i na tyle delikatny, żebym zapragnęła więcej.

Drań.

Odruchowo rozchyliłam nogi, pocałował mnie.

– Obiecałem, że ci pokażę, kim jestem. Większość już wiesz, a dziś dowiesz się jeszcze więcej. – Musnął moją szyję. Trochę słuchałam, ale jego palce wciąż się poruszały, więc skupianie się na słowach stawało się trudne. – I obiecałem, że powiem ci, czego chcę, i dam ci czas na decyzję.

Rany, to nie fair.

Rozchyliłam nogi jeszcze szerzej, jego ruchy stały się mocniejsze. Przesunęłam rękami po plecach Lee, schowałam twarz w jego szyi. Nie ma opcji, żebym się skoncentrowała na rozmowie.

– A możemy... – westchnęłam – pogadać o tym później?

Chyba się zgodził, bo znalazł się między moimi udami i wszedł we mnie.

Co za rozkosz.

Zaczął się we mnie poruszać.

– Chcę, żebyś była w moim domu i w moim łóżku. I żebyś się tu przeprowadziła przed weekendem.

Do tej pory miałam zamknięte oczy, teraz otworzyłam je szeroko – patrzył na mnie.

Nadal wolałam, żeby nasz związek rozwijał się powoli. Lee najwyraźniej pędził z prędkością nadświatlną.

Ale nie mogłam teraz o tym myśleć, nie potrafiłam. Poruszał się we mnie zmysłowo i było tak zajebiście dobrze czuć go w sobie.

Objęłam go rękami i nogami, wsunęłam palce w jego włosy.

– Lee...

Nie miałam nic do powiedzenia, chciałam go jedynie uciszyć, żeby napawać się czystą rozkoszą.

– Och... – Schował twarz w mojej szyi. – Nie znam nic lepszego na świecie, niż to jak wymawiasz moje imię, gdy jestem w tobie. – Pchnął mocniej, wypełniając mnie. – Całe lata czekałem, żeby znaleźć się właśnie tutaj.

O szlag.

– Mógłbym być na zadaniu – szeptał – na pustyni gorącej jak piekło, w środku pieprzonej dżungli i dałbym radę, wyobrażając sobie ciebie, jak wymawiasz moje imię w ten sposób.

O jasny gwint.

– Przeprowadzę się przed weekendem – obiecałam cicho.
Podniósł głowę i się uśmiechnął.
Cholerny cwaniak.

Malowałam się w łazience.

Po siniaku został jedynie cień, po inwentaryzacji obrażeń wynikało, że prawie nic mnie nie boli – wystarczył jeden dzień bez dramatycznych wydarzeń, a potem noc i poranek zaręczystego seksu, który wyraźnie miał zbawienny wpływ na mięśnie. Pomyślałam, że wczoraj przełamaliśmy wreszcie złą passę: w końcu zrobiliśmy to z Lee, a przygody ograniczyły się do jednych zwłok, i w dodatku nie moich. W sumie wychodziłam na plus.

Lee wszedł do łazienki, nadal w spłowiałych dresach.

Spojrzałam na niego w lustrze i ogarnęła mnie nagła panika.

Pod wpływem seksualnych uniesień obiecałam, że się do niego wprowadzę.

No dobra, bardziej pod wpływem tego, co mówił, niż tego, co robił, ale obietnica to obietnica.

W dodatku właśnie coś do mnie dotarło: Judy przygotowała w toalecie szufladę na moje kosmetyki.

To mnie przytłaczało.

Lee postawił kubek świeżej kawy na toalecie, obok położył moją komórkę.

– Dzwonił twój telefon.

Przesunęłam się, żeby mógł się ogolić, i piłam kawę, oszołomiona.

Rany boskie. Ja się maluję, on się goli, w jednej łazience, w tym samym czasie, po tym, jak się kochaliśmy, wielokrotnie, w różnych miejscach, nawet tu, na podłodze!

Znieruchomiałam i popatrzyłam na Lee.

Nałożył na policzki żel do golenia i spojrzał na mnie.

– Coś nie tak?

– Hm, nie jestem przyzwyczajona do dzielenia łazienki.

Przeniósł wzrok na lustro, spokojnie wracając do golenia.

– Kochanie, jak to dobrze, że jesteś taka śliczna przy swojej upierdliwości.
Jasne.

Wzięłam do ręki telefon: siedem nieodebranych połączeń.

O, kurka. Jak to się stało?

Połączyłam się z pocztą głosową i nachyliłam do lustra przy swojej części toaletki (w sumie to całkiem spory kawałek mebla... może zmięknę). Zaczęłam malować rzęsy.

Cztery wiadomości.

Willie Moses.

– Indy, tu Willie, oddzwon.

Hm.

Marianne.

– Wiem, Ally mówiła, że to nie moja sprawa, ale zrozum, mieszkam z rodzicami i prawie nie mam własnego życia. A twoje jest super i chcę wiedzieć wszystko! Mogłybyśmy spotkać się w Hornecie dzisiaj wieczorem, jeśli zagwarantujesz, że nikt nie będzie do nas strzelał.

O, matko.

Trzeci telefon – od Steviego.

– No i jak tam? Nie zapomnij o Chowleenie, wyjeżdżam przed południem. Tod wraca jutro rano, więc jeśli nadal chcesz wziąć ją na noc, zostaw wiadomość. Buziaki.

Czwarty zadzwonił Duke, który chyba nagrał się przez pomyłkę:

– ... stąd swój tyłek, bo go zabiję.

Z wrażenia wsadziłam sobie szczoteczkę z tuszem do oka.

– Cholera...

– Bolało?

Zamrugałam, przez łzy spróbowałam włączyć „odsłuchaj wiadomość ponownie”.

Lee podał mi kawałek papieru, zabrał telefon.

– Posłuchaj tej ostatniej!

Otworzyłam szeroko oczy, a przy tym – jak to zwykle bywa – również usta, wytarłam łzy i ślady tuszu.

– Kogo on chce zabić? – zapytał Lee.

– Nie wiem. To Duke, ma cierpliwość komara i błyskawiczny zapłon. Myślisz, że mówił o Rosim?

– Gdzie on jest?

– Skąd mogę wiedzieć, przecież to Duke! Za nic nie kupi komórki, cholerny jaskiniowiec.

Lee poszukał w mojej książce telefonicznej i wcisnął przycisk.

– Dolores, tu Lee. Dasz mi Duke'a?

Bardzo inteligentnie zadzwonił po prostu na ich domowy. Nie znosiłam u siebie takich zaćmień umysłu; co za szczęście, że mamy w rodzinie detektywa.

Jezu, czy właśnie pomyślałam „w rodzinie”?

Halo, maszyna stop...

Nałożyłam cienie i pociągnęłam tuszem rzęsy, w końcu usłyszałam, jak mówi:

– Tak, łapię, dzięki.

Zakręciłam tusz i wrzuciłam do szuflady; Lee odłożył moją komórkę na blat i spokojnie wrócił do golenia. Zamknęłam szufladę biodrem.

– No? – spytałam.

– Policja zdjęła taśmy, Willie dzwonił, żeby cię o tym poinformować, a gdy nie odbierałaś, skontaktował się z Dukiem. Zdaje się, że w księgarni zjawił się jakiś szalony Włoch, twierdzi, że jest twoim nowym baristą. Jane zadzwoniła do Dolores, bo Duke zaczął dostawać szału, a Dolores wezwała gliny.

– Jaki Włoch?

Lee przechylił głowę, żeby obejrzeć policzek, przesunął ostrzem po szyi.

– Tego nie wiem.

– Mieliśmy dziś nie otwierać – zawołałam poirytowana. – Musimy tam pojechać.

– Dolores nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej.

– Dolores mieszka z Dukiem i uważa, że jest słodki. Pracuje w The Little Bear, gdzie ludzie rozrzucają bieliznę. Nie jest najlepsza w ocenie sytuacji i adekwatnego wyrażania emocji.

Lee spojrzał na mnie w lustrze.

– Zaczynam dochodzić do wniosku, że ty też nie jesteś w tym mistrzem.

Byłam już ubrana, miałam na sobie króciutkie spodenki w kolorze khaki, błękitną dopasowaną podkoszulkę z błyszczącym napisem *Xanadu* i gruby brązowy pas z matową klamrą. Teraz wyszłam z łazienki, wyjęłam z szafy klapki w kolorze khaki, z paseczkami w niebieskie wzorki i wsunęłam je na stopy; wzięłam torebkę i powiesiłam na ramieniu.

Wróciłam do łazienki, zgarnęłam telefon do torebki. W końcu oparłam się biodrem o toaletkę, niecierpliwie postukałam palcami w blat, drugą ręką wzięłam się pod bok.

Lee wytarł twarz ręcznikiem, wrzucił go do umywalki.

– Ej, chyba nie zostawisz tak ręcznika? – warknęłam. – Myślisz, że kto to będzie sprzątał? Bo na pewno nie ja!

Przyciągnął mnie do siebie, uśmiechnął się szeroko.

– Chcesz w trybie przyspieszonym doprowadzić do tego, żebym wycofał ofertę twojego wprowadzenia się?

– Nie. I to nie była oferta, tylko szantaż na tle seksualnym.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Niech go szlag.

– Halo! Moja księgarnia? Źródło utrzymania? Biznes rodzinny od... – Rany, nie wiedziałam, od jak dawna Fortnum jest w naszej rodzinie, trzeba to sprawdzić. – Niepamiętnych czasów? Włoski szaleniec? Groźba mordy? Coś ci to mówi?

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

– Wspominałem już, że jesteś słodka?

Wrr.

Weszliśmy do księgarni i od razu wpadliśmy w wir wydarzeń.

Naprzeciwko Duke'a stali Terry Wilcox, Gary Gnat i Głęb.

– Co się tu dzieje? – ryknęłam, chociaż żołądek zacisnął mi się w węzeł. W pomieszczeniu wisiało napięcie.

Nie było żadnych klientów (dzięki Bogu), nie widziałam też nigdzie Jane (na

szczęście).

– Ten kretyn znów ściągnął tu tego Włocha, po tym jak policja go wyprowadziła. Mówi, że to prezent – poinformował mnie Duke.

– India... Pięknie wyglądasz – odezwał się Wilcox, sunąc po mnie wzrokiem. Ohyda.

Na widok Wilcoxa mój organizm zareagował tak jak zwykle: przyplływem mdłości. Miałam nadzieję, że to spotkanie będzie drugie i ostatnie. Jak dobrze, że czułam na swoim biodrze ciepłą, mocną dłoń.

– Coxy – przywitał go Liam.

– Lee.

– Znasz go? – zapytał Duke.

– Tak – odparł Lee. Wystarczyło to jedno słowo, aby dał do zrozumienia, że zna, ale za nim nie przepada.

Duke podszedł do nas, Lee próbował przesunąć mnie za siebie. Zapałam się i zostałam tam, gdzie byłam.

Gary i Głęb stanęli w gotowości.

Super. Jeszcze tylko bijatyki w księgarni mi brakowało.

Wilcox wziął na siebie rolę negocjatora.

– Nie ma co się denerwować, chłopcy – powiedział. – India, wspominałaś, że straciłaś baristę i przez to spadły obroty. Przyprowadziłem nowego, pochodzi z Włoch, kraju, który stworzył espresso. To Antonio. Prawdziwy talent.

Dopiero teraz zauważyłam Włocha, stał za Garym. Wyglądał jak włoska wersja Rosiego, tylko bardziej zadbana. Trochę bardziej.

– Dzięki, ale nie potrzebujemy baristy, daliśmy radę. – Ledwo skończyłam to mówić, gdy drzwi otworzyły się i usłyszałam za plecami:

– Oho, coś tu wisi w powietrzu. Co tam znowu, kobieto?

Odwróciłam się i ujrzałam Texa.

Coraz lepiej. Teraz jeszcze on będzie w to zamieszany.

– Co ty tu robisz?

– Przyszedłem na kawę.

Jakżeby inaczej.

– Jak się tutaj dostałeś?

– Mam samochód, zwykle używają go sąsiedzi.

– Prowadziłeś z ręką na temblaku?!

– A jak! Tylko trochę ciężko zmienia się biegi.

Przyłożyłam dłonie do czoła. To jedna z takich chwil, kiedy pragniesz znaleźć się zupełnie gdzie indziej.

– Coxy, ona nie potrzebuje twojego człowieka, odeślij go do domu – oznajmi Lee spokojnie, ale groźnie.

– To prezent dla Indii. Nie ty będziesz decydował – odparł Wilcox również opanowanym głosem, ale bojowo.

– Jak Lee mówi, że masz spadać, to spadasz! – ryknął Duke, daleki od spokoju.

– Ja zrobię kawę! – zawołał radośnie Włoch, który chyba czuł się bardziej na luzie, jak ludzie wokół niego krzyczeli.

Wyobraziłam sobie, jak zbir Gary wylatuje przez witrynę księgarni.

– Każdy może zrobić kawę, koleżko. Ja też potrafię, więc o co tyle szumu? – rzucił Tex i, jakby za mało było problemów, podszedł do ekspresu. – No co? Kto ma ochotę?

Boże coś w niebie!

To się nie dzieje.

Przed oczami przemknęło mi całe życie, w każdym razie na pewno zobaczyłam wyciągi z banku.

Odwróciłam się do Lee i szepnęłam:

– Ten ekspres kosztuje grube tysiące dolców... – Skrzywiłam się, gdy Tex uderzył czymś głośno. – Jeśli go zepsuje, jestem w dupie.

– Halo tam! Składajcie zamówienia! Co ci zrobić, kobieto? – Wskazał mnie kolbą.

– To ja jestem baristą. Najlepszym w Mediolanie. Ja przygotuję kawę! – zawołał Antonio i wpadł za ladę. – *Signorina*, espresso?

Lee zignorował mnie, więc rzuciłam w przestrzeń:

– Niech ktoś ich powstrzyma!

– Indy pije waniliową latte – doniósł Duke.

Złapałam Liama za rękę.

Lee obserwował Gary'ego Gnata i Głaba. Nie patrząc na mnie, powiedział:

– Jeśli go zepsuje, kupię ci nowy.

– Kosztował siedem tysięcy!

Spojrzał na mnie szybko.

– Indy, kochanie, już ci odpowiedziałem.

O, kurczę.

Najwyraźniej lepiej zostawić go w spokoju, gdy się koncentruje.

– Ha, ha! – triumfował Antonio, zwracając się do Texa. – Nie wiesz nic o espresso! Ja jestem baristą, mój ojciec był baristą, mój dziadek był...

– To zamknij dziób i parz tę kawę, skoro taki z ciebie barista – burknął Tex.

Wilcox zrobił dwa kroki w naszą stronę, Lee mnie zasłonił, Duke zamknął flankę.

– Wystarczy, Coxy – ostrzegł Lee.

– Odsyłasz moje prezenty... – Wilcox patrzył na mnie dziwnie, intensywnie i przerażająco.

Poczułam na plecach zimny dreszcz.

– Dziękuję, to bardzo miłe, ale przyjmowanie ich nie byłoby z mojej strony w porządku.

– Wczoraj przyjęłaś – zauważył.

Lee spał się, powietrze zatrzeszczało elektrycznością.

Wtedy do mnie dotarło.

Gdy rozmawialiśmy przez telefon, Lee stwierdził, że zwłoki Siwego Ricka to prezent.

Wtedy nie zwróciłam na jego słowa większej uwagi, teraz zrozumiałam, co miał na myśli. Wilcox zabił mojego porywacza i podrzucił mi ciało. W ramach prezentu.

Boże drogi.

To się w głowie nie mieści.

Stałam za Lee, ściskając w dłoni jego koszulkę, i nie odrywałam oczu od Wilcoxa.

– Nie – szepnęłam.

– Umieć cię chronić, Indio. Mój wczorajszy prezent tego dowodzi.

W gardle rosła mi dławiąca gula.

I wtedy coś mi się przypomniało. Fortnum jest na podsłuchu! Jeśli zdołam wyciągnąć z Wilcoxa zeznanie, to się nagra, ktoś w kwaterze głównej tego wysłucha. Wilcoxa zamkną za zabójstwo i już nigdy nie będę musiała się nim przejmować. A przynajmniej do czasu, aż go wypuszczą.

– Lee już mnie chroni – rzuciłam, zastanawiając się, jak skłonić typa do mówienia.

Uśmiechnął się obleśnie.

– Żeby robić to dobrze, trzeba eliminować zagrożenie.

– To właśnie zrobiłeś? Wyeliminowałeś zagrożenie i podrzuciłeś trupa pod moje drzwi? – naciskałam.

Nadal się uśmiechał, ale już nic nie mówił.

– Nie miałam pojęcia, że ty za tym stoisz, skąd mogłam wiedzieć, że ten martwy gość jest od ciebie, szkoda, że nie zostawiłeś jakiegoś liściku czy czegoś takiego...

– Antonio! – zawołał Wilcox tak nagle, że aż podskoczyłam. – Wychodzimy. Pani nie potrzebuje już twoich usług.

– Ale ja robię kawę – marudził Włoch.

Szef tylko na niego spojrzął i chłopak bez słowa wybiegł z za lady.

Wilcox mrugnął do mnie, skinął głową Lee i Duke'owi i wyszedł. Antonio oraz dwaj pozostali – za nim.

– Dziwię się, że nie strzeliłeś go pięścią w twarz – powiedział Duke do Lee.

– Wolałbym strzelić mu w głowę. – Liam brzmiał teraz znacznie bardziej przerażająco, chyba rzeczywiście chętnie palnąłby Coxy'emu w łeb.

Odwrócił się, przyciągnął mnie i pocałował w czoło.

– Rozegrałaś to bardzo dobrze.

– Niech to się wreszcie skończy, bo jestem zupełnie rozpieprzona.

Otulił mnie ramionami i trzymał mocno przy sobie.

Zza regałów wyłoniła się Jane z nosem w książce. Nieświadoma rozgrywających się tu dramatów, najwyraźniej wyczuła naszą obecność, bo podniosła wzrok tak zaskoczona, jakby natknęła się na nas w swoim salonie,

a nie w środku dużej księgarni. Zobaczyła Texa i stanęła jak wryta.

– Cześć, Jane. Jak się miewasz? – Myślałam, że może jeszcze się nie otrząsnęła po wczorajszym.

Przeniosła wzrok na mnie, potem na Lee i się zarumieniła.

Normalka. On właśnie tak działa na kobiety.

Bez słowa skinęła głową i stanęła za ladą sprzedaży książek.

– Kręciła się tutaj – wymruczał Duke, odpowiadając na niezadane pytanie.

– Indy, spróbujesz w końcu mojej kawy czy nie? – zawołał Tex.

Odsunęłam się od Lee i podeszłam chwiejnie do lady. Wzięłam kubek od Texa, ale zanim upiłam łyk, znieruchomiałam na chwilę i podniosłam oczy na tego wielkiego, szalonego faceta.

Kawa pachniała wspaniale.

Spróbowałam.

Smakowała niebiańsko.

– Tex – wymamrotałam cicho. – To nektar bogów.

– Mówiłem ci, że każdy umie zaparzyć kawę – prychnął, wzruszając ramionami.

– Nie potrzebujesz pracy?

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Wydurniasz się?

– Nie.

– A co z kotami?

– Czasem się bawią, a czasem śpią. Ty będziesz robił kawę, a one utną sobie drzemkę.

Rozdział 17

Potrójne ostrzeżenie

Zostawiliśmy Texa, żeby wypełnił sobie formularz zatrudnienia, i pojechaliśmy z Lee do jego biura.

Na parkingu podziemnym znajdowało się kilka miejsc z tabliczką „Nightingale Investigations”, zaparkował crossfire’a na jednym z nich. Większość była pusta, na jednym stał jeep, dalej mercedes, którym Lee przyjechał, gdy ja i Tex robiliśmy włam, potem czerwona Mazda Miata, wreszcie dwa motory, czarny Ducati Monster Testastretta i srebrny Harley Dyna Low Rider.

Widziałam już Lee na ducati i wyglądał super. Miałam nadzieję, że harley również jest jego.

Ale nie mogłam myśleć o przejażdżce motorem, zbyt mocno ekscytowałam się tym, że za chwilę zobaczę biuro Lee.

Wysiedliśmy z windy na piętrze, na drzwiach widniała mosiężna tabliczka z nazwą firmy. Lee puścił mnie przodem.

Recepcję urządzono w typowo męskim stylu: drewniane panele na ścianach, wielkie biurko, skórzane kanapy, gruby dywan; na ścianach, w ciemnych drewnianych ramach obrazy z kowbojami. W kącie posąg z brązu – koń w skoku.

Całość wykańczała siedząca za biurkiem elegancka blondynka supermodelka.

Podniosła na nas oczy.

– Cześć, Lee – powiedziała, a raczej wymruczała w stylu *Happy birthday, Mr. President*.

– Dawn, to Indy – przedstawił mnie Lee, ale ona już taksowała mnie wzrokiem.

Miała na sobie markowe ciuchy, na paznokciach świeży french, a jej roczne wydatki na fryzjera zapewne przekraczały moje wydatki na meble. Prezentowała

się tak, jakby za chwilę miała wsiąść do prywatnego odrzutowca. Ja z kolei wyglądałam tak, jakbym wybierała się do lunaparku.

Obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę, a gdy znów spojrzała na Lee, utwierdziłam się w przekonaniu, że nie pracuje tu ze względu na zajebiste możliwości rozwoju.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Miło cię poznać, Dawn – skłamałam.

– Witaj, Indy – odparła ze sztucznym uśmiechem i znów spojrzała na Lee. – Luke wyszedł ze stanu krytycznego. Przesłałam e-mailem twoje wiadomości głosowe, dwie z wysokim priorytetem. Jest spory skok obligacji, warto to sprawdzić. Teczka masz na biurku.

Lee skinął głową i, trzymając rękę na moich plecach, poprowadził mnie w stronę korytarza.

– Dawn, przygotuj dla Indy pas z paralizatorem i gazem, dobrze? – rzucił jeszcze.

O rany. Czy ja tego potrzebuję? Ale nie odezwałam się ani słowem.

– Jasna sprawa – odparła dziewczyna.

Wcielenie uczynności.

Szliśmy korytarzem do gabinetu Lee, urządzonego w podobnym stylu, tylko z większym biurkiem.

To, co od razu rzucało się w oczy, to nieprawdopodobny porządek. Dizajnerski kubek do kawy stał na skórzanej podkładce, lśniąco czystością. Zamknięty laptop był idealnie przystawiony do ściany. Oprócz tego – różne akcesoria biurowe ze skóry i drewna, wszystkie puste, z wyjątkiem pojemnika, w którym umieszczono idealnie zaostrome ołówki. Obok leżała teczka.

– Nieźle, masz świra na punkcie porządku! – zauważyłam.

Lee usiadł za biurkiem, otworzył laptopa:

– Dawn się tym zajmuje.

A to niespodzianka.

– Nie dziwię się – wymruczałam.

Spojrzał na mnie.

– Wiesz, w moim biznesie raczej nie trzyma się papierów rozrzuconych na biurku.

Hm.

Chowanie poufnych dokumentów to jedna sprawa, ale polerowanie na błysk kubka swojego szefa to już zupełnie co innego. Pewnie nawet sam kubek był prezentem od Dawn, bo niby od kogo. Ciekawe tylko, czy to podziękowanie za fajny seks, czy raczej wyraz nadziei na fajny seks w przyszłości.

Nie skomentowałam jego odpowiedzi, udając, że z przejęciem oglądam plakaty na ścianie. Postanowiłam też nie mówić Lee, że Dawn wyczyściłaby jego crossfire'a szczoteczką do zębów, gdyby o to poprosił.

Znając go, doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Spotyka się ze wspomagającym z Bronco – oznajmił, jak zawsze wiedząc, o czym myślę.

– Oo? – powiedziałam do ściany.

Jest duża różnica między spotykaniem się z gościem, który w niedzielę, dwa sezony w roku, gra twardziela w ochraniaczach, a gościem, który po prostu jest twardzielem.

Zerknęłam na niego, przeglądał dokumenty, ale w oczach miał uśmiech.

Chyba go bawiłam.

– I co cię tak śmieszy?

– Jesteś zazdrosna – odparł, nie podnosząc wzroku.

Bezczelny.

– Wcale nie! – zaprotestowałam.

Pokręcił głową bez słowa, nadal przeglądał papiery.

– Lee, jeśli myślisz, że ona na ciebie nie leci, to nie jesteś tak bystry, jak przypuszczałam. A jeśli już ją bzyknąłeś, to jesteś jeszcze mniej bystry, niż przypuszczałam.

Zamknął i odłożył teczkę. Podszedł do mnie.

– Dawn jest świetnie zorganizowana, serdeczna, punktualna, bez marudzenia przyjmuje nadgodziny, nie robi problemów. Wiem, że na mnie leci, ale jest moim pracownikiem. Do tego dobrym. Więc nie ma takiej możliwości, żebym ją tknął. Nie robisz pieprznika tam, gdzie pracujesz.

Prowadził mnie tyłem, znowu obezwładniając swoją bezpośrednią przemową. Ale musiałam przyznać, że mi ulżyło, że z nią nie spał. To nie tylko mogło być nieprzyjemne w przyszłości, to byłoby zwyczajnie słabe. Dopiero teraz, gdy już

ochłonęłam, dotarło do mnie, że Dawn nie jest w jego typie.

– W porządku – powiedziałam, gdy dotknęłam tyłem nóg skórzanej kanapy.
Musnął mój policzek.

– Nie masz żadnych powodów do obaw.

– Niczego się nie obawiałam – mruknęłam z fochem. Dawn jest ładna, ale bardzo szczupła; Lee woli kobiety z krągłościami, zawsze tak było i zawsze, miejmy nadzieję, tak będzie.

– Nie? – Spojrzał na mnie ciepło. Jego twarz przybrała ten łagodny wyraz, który pojawiał się, gdy Lee na mnie patrzył.

Nie wierzył mi ani trochę.

– Lubisz krągłości, nie kości. Dawn jest ładna, ale nie w twoim typie.

Jakby na potwierdzenie moich słów, położył mi dłonie na tyłku.

Ja oparłam ręce na jego piersi.

– Będziemy robić jakieś zajebiste detektywistyczne rzeczy?

Nachylił się.

– Za chwileczkę.

Przywarł do mnie, zaciskając dłonie na pośladkach, patrzył swoimi oczami koloru stopionej czekolady. Było jasne, o co mu chodzi.

– Słuchaj, drzwi są otwarte, każdy może niespodziewanie wejść... Poza tym musimy złapać takiego jednego baristę. Szkoda czasu. O czym ty myślisz?

– Żeby pieprzyć się z tobą na kanapie.

O, cholera.

Dreszcz zaczął sunąć od moich stóp.

– Lee! Mamy sprawy do załatwienia, trzeba jechać, działać, a my siedzimy w twoim biurze, z Dawn na końcu korytarza! A jeśli zaraz tu wparuje z paralizatorem dla mnie?

Podszedł do drzwi, zamknął je i wrócił.

Odsunęłam się, ale objął mnie w talii, przyciągnął i pchnął lekko, tak że upadłam na kanapę. Znalazł się na mnie.

– Już rozumiem, czemu wciąż nie znalazłeś Rosiego ani brylantów. Łatwo cię zdekoncentrować.

Całował mnie w szyję.

– Tak, tobie przychodzi to zupełnie bez problemu... Rzadko tu bywam, zwykle jestem w terenie, nie lubię siedzieć w biurze – mówił w przestrzeń pod moim uchem, a potem podniósł głowę, żeby musnąć wargami moje usta. – Ale teraz, za każdym razem jak tu będę, spojrzę na tę kanapę, przypomnę sobie, że leżał na niej twój słodki tyłeczek, i już zrobi się milej.

A niech to.

Pewnie powinnam się oburzyć lub przynajmniej obruszyć, ale w sumie fajnie, że Lee będzie o mnie myślał w swoim biurze. Nawet jeśli w taki sposób – a może zwłaszcza jeśli w taki sposób. Podobało mi się, że mówi o tym tak bezpośrednio. Może to nie był elegancki komplement, ale podziąkał.

– No dobra – poddałam się, obejmując go, a on mnie pocałował i przysięgam, że jego ciałem wstrząsał śmiech.

Gdy już rozdzwiczyliśmy biurową kanapę, ja skorzystałam z jego prywatnej łazienki, a on sprawdził e-maile i wykonał kilka telefonów. Doprowadziłam do porządku włosy i ubranie. Już mogliśmy wyjść z gabinetu. Lee chciał mnie oprowadzić, więc ruszyliśmy korytarzem w głąb biura.

Otworzył drzwi tuż obok gabinetu. W dużym pomieszczeniu zobaczyłam rower stacjonarny, bieżnię treningową, ciężarki, płaski telewizor i dużą wygodną kanapę.

– To pokój dla dyżurujących, korzystają z niego w czasie przestoju – wyjaśnił.

Przeszedł na drugą stronę korytarza, otworzył kolejne drzwi i zajrzał do środka. To była łazienka. Dwie umywalki, nad nimi lustrzane szafki, toaletka, dwudrzwiowa szafa z przeszkolonymi frontami, po jednej stronie leżały ręczniki, po drugiej kosmetyki, głównie kremy do golenia i dezodoranty (wszystkie męskie i w niedużym wyborze; z tego, co zauważyłam, ani Lee, ani żaden z jego chłopaków nie używał żadnej pomady do włosów). Sporo miejsca zajmowały leki i środki opatrunkowe, co budziło niepokój. Dalej – duża przestrzeń wyłożona kafelkami, dwa otwarte prysznice. Wszystko lśniło czystością i wyglądało na nowe.

– Gdy jesteś tu w biurze, korzystaj z mojej łazienki, ta jest dla chłopaków.

Poczułam dreszcz, gdy usłyszałam tę instrukcję. Może następnym razem, gdy

będę szła korytarzem, jakiś facet nie zamknie drzwi do łazienki z otwartymi prysznicami... Hm, chyba powinnam ściągnąć tutaj Marianne, żeby miała szansę odmienić swoje życie. Zaczęłam myśleć, że Dawn jest całkiem sprytna... Ale nadal jej nie lubiłam i absolutnie nie ufałam.

– Z której korzysta twoja asystentka?

Spojrzał na mnie.

– Nie pytałem.

Szliśmy dalej. Zobaczyłam mały pokój, a w nim kilkanaście szafek, duża ogniotrwała szafa z elektronicznym zamkiem i kuchenka na końcu. Ucieszyłam się, że już wiem, gdzie szukać kawy.

Potem odwrócił się, zastukał do drzwi dwa razy, dotknął breloczkiem czytnika z boku, zapaliło się zielone światło i drzwi stanęły otworem.

U lala!

Nareszcie coś konkretnego.

Centralny układ nerwowy.

Weszliśmy do pokoju, gdzie było milion ekranów telewizyjnych na jednej ścianie (każdy miał nagrywarke dvd), z konsolą pełną przycisków i przełączników pod spodem i kilkoma telefonami wieloliniowymi. Na drugiej ścianie stały radia na wbudowanych półkach, słyszałam trzeszczenie częstotliwości policyjnych. W pokoju siedzieli dwaj mężczyźni, pozostałe dwa krzesła stały puste. Większość ekranów była włączona, reszta ciemna. Przy ścianie naprzeciwko znajdowały się dwa biurka, już nie tak uporządkowane jak biurko Lee: teczki i dokumenty rozrzucone w nieładzie, między nimi puste puszki po napojach, brudne kubki po kawie.

Ha! Miałam rację co do Dawn.

Obaj mężczyźni siedzieli tyłem do drzwi, teraz odwrócili się i wyszczerzyli w uśmiechu na mój widok. Miałam dziwne, niekomfortowe uczucie, że doskonale wiedzą, co działo się przed chwilą w gabinecie Lee.

– Poznaj Monty’ego i Vance’a. Indy już chyba znacie.

Słucham?

– Siemasz, Indy. – Monty uśmiechnął się szeroko. Miał jasne, krótko obcięte włosy, wyglądał na bardzo sprawnego i był z dziesięć lat starszy od Lee. Wskazał mi cztery monitory, a na nich... różne miejsca w księgarni.

Aha.

Stąd mnie znają.

Z przerażeniem zobaczyłam, jak Tex wali kolbą od ekspresu; Monty nacisnął przycisk i policyjne trzaski zagłuszył głos Texa: „Pieprzona para! Dawaj więcej pieprzonej pary, ty grzmocie!”. Duke odkrzyknął: „Daje tyle pary, ile potrzeba, człowieku!”.

Cudownie.

Teraz już zrozumiałam, co ich tak bawiło.

Oderwałam wzrok od tego dreszczowca, żeby spojrzeć na Vance’a.

Młodszy od Lee, ale niewiele. Miał lśniąco, proste kruczoczarne włosy, zebrane w kucyk i szczupłe, fantastycznie zbudowane ciało. Zdaje się, był rdzennym mieszkańcem Ameryki.

Niesamowicie seksowny gość.

Tak, ściągnę tutaj Marianne, może Andreę, a już najlepiej Toda.

To trochę jak chippendales, tylko lepiej.

Przyłapałam się na tym, że przyglądam się Vance’owi, obserwuję, jak on i Monty wymieniają spojrzenia, słuchając Texa i Duke’a.

Vance uśmiechnął się, Tex chyba go bawił.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że na niego patrzę. Przechyliłam głowę i uśmiechnęłam się, odpowiedział uśmiechem, jego zęby odcinały się bielą od oliwkowej skóry.

– Cześć – powiedziałam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Mm, pycha.

Ręka Lee znalazła się na pasku moich szortów.

Ach, no tak.

Monty i Vance wrócili do monitorów, ja też tam zerknęłam. Zobaczyłam kawałek holu w budynku, gdzie mieszka Lee, puste miejsca parkingowe w jego garażu, strefę recepcji, gdzie Dawn rozmawiała właśnie przez telefon (pewnie obgadywała mnie z przyjaciółką). Dwa ekrany pokazywały miejsca parkingowe tutaj. Miałam gorącą nadzieję, że żaden z pustych ekranów nie dawał podglądu gabinetu Lee.

Osiem innych ekranów pokazywało jakieś wnętrza, niektóre domowe, inne biurowe.

– Kiedyś zajmowaliśmy się ochroną. Dobrze płatne, ale piekielnie nudne, ciężko utrzymać pracowników.

– Nie byłoby tak źle, gdyby monitorowało się twoją księgarnię. To jak jakiś serial komediowy – rzucił Monty z rozbawieniem.

Dzięki.

Monty odwrócił się do mnie:

– Poprosiliśmy Dawn, żeby zrobiła transkrypcję twojej przemowy o Salwadorze, małych sklepikach i przyszłości Ameryki, rozesłaliśmy ten tekst e-mailem. Hank nie jest na liście płac, ale dostał tygodniową stawkę za to, że zajmował się tobą tamtego dnia. Wiele bym dał, żeby zobaczyć jego minę na tej plantacji marihuany.

Ha, ha.

Byłam pewna, że Dawn wysłała tę transkrypcję również do Lee.

Chyba stanowiłam dla nich rozrywkowy przerywnik.

Lee puścił moje spodenki i powiedział:

– Księgarnia pozostanie pod obserwacją, potrzebujemy również kamery przed wejściem.

W skupieniu wodził wzrokiem po ekranach.

Zerknął na mnie przelotnie. Był zawodowcem, ale czułam, że coś jest na rzeczy, tylko nie chce pokazać tego przy chłopakach.

– W tej chwili zajmujemy się głównie dochodzeniami, zazwyczaj korporacyjnymi – wyjaśnił. – Kradzieże, oszustwa, malwersacje... Czasem przyjmujemy zlecenia od osób prywatnych, wyłącznie dobrze płatne. Zwykle chodzi o dowody niewierności jednego z partnerów oraz inne dowody, niezbędne do uzyskania potężnych alimentów czy odszkodowań.

– Najczęściej facet posuwa opiekunkę do dziecka – wtrącił się Monty. – Fajne kino.

– To zależy od opiekunki – stwierdził Vance głębokim, mocnym głosem. Teraz patrzył na moje nogi, jakby dając do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko, żeby zobaczyć mnie na miejscu jakiejś niani. Oby nie dawał w ten sposób do zrozumienia, że przed chwilą oglądał mnie i Lee.

Niech to szlag.

Ale trzeba przyznać, że koleś ma jaja, żeby tak na mnie patrzeć w obecności szefa.

Lee kontynuował.

– Ludzie przy monitorach zmieniają się w zależności od zadania, do którego są przydzieleni. Dzięki temu nie siedzisz bez przerwy w pomieszczeniu bez okien, praca operacyjna utrzymuje cię w formie.

Potem poprowadził mnie do wyjścia.

– To na razie, chłopaki! – zawołałam.

Obaj na mnie spojrzeli, Monty pomachał ręką, Vance się uśmiechnął. Ciekawe, czy jeszcze się zobaczymy, dajmy na to, na jakimś pikniku firmowym.

– Masz kamery w swoim gabinecie? – spytałam Lee, gdy już zamknął drzwi.

– Nie.

Dzięki ci, Boże.

– Powiedz mi coś o Montym.

– Był w SEAL, po kontuzji kolana musiał odejść. Jedyne, który bierze pięć zmian w tygodniu w tym pokoju. Zawiaduje tutaj. Gdy prowadzimy operacje w terenie, większość z nich planuje on, jest w tym dobry. Żonaty od dwudziestu lat, pięcioro dzieci. Choć wygląda dobrodusznie, a na dodatek ma uszkodzone kolano, to i tak nie należy z nim zadzierać.

Oho.

– Operacje w terenie?

– Czasem są zwińczeniem śledztwa w korporacji. Najogólniej to część współpracy z policją i federalnymi.

– I co wtedy robicie?

Nie odpowiedział. Nie naciskałam.

– A Vance?

– Mistrz wielozadaniowości. Żył w rezerwacie, trzeźwiejący alkoholik, siedział za kradzieże samochodów. Ma zręczne dłonie, porusza się bezszelestnie, umie być niewidzialny, wytropi każdego, z kamerami i elektroniką zrobi wszystko. Zwykle śledzi gości, których szukamy, ale robi też większość naszej elektronicznej roboty, to on zakładał podsłuch w twojej księgarni. Dałbym mu nową sprawę, ale właśnie załatwił sobie tydzień w centrum monitoringu. A jeśli

chodzi o ciebie, to jak znów tak na niego popatrzysz, przykuję cię do łóżka i będę wypuszczał tylko do łazienki.

– Popatrz, popatrz! I kto tu jest zazdrosny?

Znów powiedziałam to, co chciałam tylko pomyśleć. Takie paplanie zaczęło mi wchodzić w nawyk i było niepokojące.

A teraz okazało się dużym błędem.

Znienacka złapał mnie za bark, otworzył szatnię i wepchnął do środka. Zamknął drzwi, pchnął mnie na szafki i podszedł tak blisko, że nie mogłam się ruszyć.

Spojrzałam na niego, miałam coś warknąć, ale nie zrobiłam tego; był wściekły.

– Musisz się czegoś dowiedzieć, skoro jeszcze tego nie zrozumiałaś – oznajmił swoim przerażająco spokojnym tonem. – Wiem, że przyciągasz uwagę i że to jest coś, do czego będę musiał się przyzwyczaić. To nie problem, mam za sobą lata praktyki. To, co mi się nie podoba, to fakt, że flirtujesz równie łatwo, jak kłamiesz. To twoja druga natura. Musisz zdobyć się na wysiłek, żeby nad tym panować, bo nie zamierzam tego tolerować. A już zwłaszcza gdy flirtujesz z moimi ludźmi. Mają być skupieni, a ty, jak już ustaliliśmy, dekoncentrujesz ludzi. To, że ja będę myśleć o pieprzeniu się z tobą na swojej kanapie, jest okej. Ale nie chcę widzieć, że Vance wyobraża sobie, jak się z tobą pieprzy w pokoju ochrony albo na swoim harleyu, skoro na pewno zauważył, że patrzyłaś na motor tak, jakbyś miała zrobić wszystko, żeby się na nim znaleźć.

– Więc to jego harley – palnęłam odruchowo. Cholera, znów mi się wyrwało! Lee znalazł się jeszcze bliżej, ciałem przyciskał mnie do szafek.

– Cofnij się – ostrzegłam, teraz i ja zaczęłam się wkurzać.

Nawet nie drgnął.

– To było nieszkodliwe!

– Moje nadgodziny z Dawn też uważasz za nieszkodliwe?

Zamrugałam zaskoczona. Zajebisty seks na kanapie w gabinecie odsunął tę laskę w niebyt.

– Owszem.

Patrzył na mnie z kamienną twarzą.

– Na miłość boską, ona nie jest w twoim typie! A Vance może być przystojny,

ale nie jest w moim!

– Po dziesięciu latach uważnych obserwacji, nie powiedziałbym, że masz jakiś konkretny typ.

Zmiażdżyłam go wzrokiem. To już jawna obraza.

Faceci są idiotami, a Lee to największy z nich.

Czy nie on przyznał się rano, że czytał mój pamiętnik? Nadal nie rozumie, że zawsze miałam tylko jeden typ – jego? Czy to nie on stwierdził, że go kocham i że kiedyś w końcu to wyznam?

Jesteśmy razem. Nareszcie. Liam i India razem, a ja niedługo się do niego wprowadzę, na miłość boską!

To coś, do czego będę musiała przywyknąć, jak już znajdę czas, żeby o tym pomyśleć. W przeciwieństwie do innych spraw, nasze wspólne zamieszkanie wydawało się naturalne i tego, jako jednej z nielicznych rzeczy, nie musiałam wałkować z Ally, Andream albo Todem i Steviem.

Naprawdę myśli, że teraz to spieprzę, romansując z jego człowiekiem?

– Jesteś walnięty.

Zmrużył oczy, na jego policzkach zagrały mięśnie.

– Co?

– Jesteś walnięty – powtórzyłam dobitnie. – Pomyśl trochę i jak już będziesz gotów na przeprosiny, to je przyjmę.

– Nie chcesz mi wytłumaczyć? – To nie zabrzmiało jak pytanie.

– Nie. Ale dam ci podpowiedź. W całym moim rzekomo bogatym doświadczeniu z mężczyznami, które najwyraźniej postrzegasz jako dekadę kurewstwa Indii, nigdy, ani razu i z nikim nie zaszłam tak daleko, żeby mieć swoją szczoteczkę do zębów w jego mieszkaniu.

Patrzył na mnie. Chyba nie załapał, może był zbyt wściekły. Nie ruszył się i nadal przygwaźdżał mnie do szafek. Poczułam się zmuszona do dalszych wyjaśnień.

– U ciebie miałam szczoteczkę od razu po pierwszej nocy. To co, że wcześniej należała do ciebie? Raz użyta staje się moja, nie? A wtedy jeszcze nawet tego nie zrobiliśmy. I jeszcze mam bieliznę w twojej szufladzie, i noszę twoje koszulki! – Wsparłam ręce na biodrach. – Aha, i śpię w twoim mieszkaniu w sumie przez cały czas. Nic podobnego nie zdarzyło się z żadnym innym

facetem nigdy przedtem. Jasne? Teraz dotarło?

Coś zmieniło się w jego oczach, lecz cokolwiek to było, tylko smagnęło uczucie, które już wewnątrz Lee wrzało. Sytuacja zaczęła się niebezpiecznie wymykać spod kontroli.

Poczułam skurcz żołądka, nie wiedziałam, co stanie się za chwilę.

Położył mi ręce na biodrach i przyciągnął mocno do siebie. Objął mnie, jedną rękę wsunął we włosy i pociągnął, ale nie delikatnie, tylko tak, jakby nie potrafił już panować nad swoją siłą.

Moja głowa poleciała do tyłu, krzyknęłam cicho, ale jego usta znalazły się na moich. Pocałował mnie. Inaczej niż do tej pory: ostro, dziko, szaleńczo.

Stracił nad sobą władzę. Muszę przyznać, że podobało mi się, że potrafię go do takiego stanu doprowadzić.

Nawet bardzo mi się podobało.

Odsunął się, oparł swoje czoło o moje, nie otwierał oczu i nic nie mówił. Oboje oddychaliśmy ciężko, ja obejmowałam go w pasie, zaciskając dłonie na jego koszulce. Prowadził wewnętrzną walkę, a gdy otworzył oczy, zrozumiałam, że bez względu na to, o co się toczyła, wyszedł z niej zwycięsko.

– Zabolało cię? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Cholera, Indy, wywróciłaś mnie na drugą stronę.

– Lee, ja ci nic nie zrobiłam. Robisz to sobie sam – powiedziałam cicho. – Zaczynam podejrzewać, że ty też zupełnie mnie nie znasz. Miałam w życiu różnych facetów, ale... – Już chciałam dodać: „żaden nie był tobą”, na szczęście powstrzymałam się i w ostatniej chwili dokończyłam: – ...to nie było na serio. Połowa z nich nie wyszła poza całowanie. Nie jestem taką dziwką, jak myślisz.

– Nigdy tak nie myślałam.

– Twoje wypowiedzi temu przeczą.

– Przez długi czas patrzyłem na facetów zajmujących miejsce, które uważałem za swoje, i nie znosiłem tego. Powinienem coś z tym zrobić dawno temu. To mój problem, a teraz obciążam nim ciebie.

O rany. Nie zdawałam sobie sprawy, że od lat doświadczał tego samego co ja.

– Mój flirt jest nieszkodliwy. Nie masz się o co martwić – zapewniłam go szczerze.

– Mimo to nadal cię proszę, żebyś nie flirtowała – odparł.

Patrzyłam w jego oczy przez kilka sekund i westchnęłam.

– Dobra. Przestanę.

Przytulił mnie mocniej do siebie.

– Moja dziewczyna – wymruczał, a moje serce przestało na chwilę bić.

To prawda. Jestem jego dziewczyną.

I czuję się z tym zajebiście.

Jasna cholera.

Ukryłam swoją reakcję, zmieniając temat:

– Mogę przyprowadzić tutaj Marianne? Żeby poznała Vance’a i Matta albo Bobby’ego? – Lee patrzył bez słowa, mówiłam dalej: – Tod też pewnie chętnie by tu zajrzał.

– Nie – odparł stanowczo Lee, ale już się uśmiechał, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie tylko, czy ona nie jest słodka?”.

– Oj tam, oj tam... – mruknęłam. – To co, jedziemy szukać Rosiego?

Po tym jak okiełznałam dziką bestię w szatni, Lee dokończył oprowadzanie.

Zostały jeszcze trzy pomieszczenia.

Pierwsze było pokojem z podwójnym łóżkiem, fotelem z odchylanym oparciem, telewizorem, odtwarzaczem dvd i regałem pełnym filmów i książek. Miało własną łazienkę i było nazywane „schronem”. Żeby tam wejść, należało użyć breloczka do jednego czytnika, kciuka do drugiego i na koniec jeszcze zwykłego klucza.

W drugim pokoju znajdowały się cztery stanowiska pracy: krzesła, biurka z szafkami, komputery – wszystko pooddzielane cienkimi ściankami. Znad jednego z takich stanowisk podniósł na mnie wzrok Brody, przyjaciel mój i Ally, maniak komputerowy.

– Indy! – przywitał mnie entuzjastycznie.

– Jasny gwint, Brody, co ty tu robisz? – zawołałam, podchodząc do niego i uśmiechając się. Uścisnęłam go. Miał na sobie czarną koszulkę, czarne dżinsy, czarne martensy i okulary w stylu Buddy’ego Holly. Ciemne włosy

rozczochrane, ciało pozbawione kształtu od ciągłego siedzenia przed komputerem.

– Ally uznała, że muszę częściej wychodzić z domu, i załatwiła mi pół etatu u Lee. A ty? Co ty tutaj robisz? – Spojrzał na mnie, potem na Lee. – A, zapomniałem! Podobno w końcu jesteście razem. Super, nareszcie! Pewnie szczęśliwi?

Zerknęłam na Lee. Bestia zniknęła, jej miejsce zajął zarozumialec.

Odwróciłam się do Brody'ego.

– Programujesz?

– Nie, hakuję. Zwykle wyłapuję malwersacje, ale czasami...

– Brody! – przerwał mu ostrzegawczo Lee. – A tak, sorki, jasne, jasne – wymruczał. – Poufne – szepnął do mnie. – Ciągłe zapominam.

Rozejrzałam się po pokoju zafascynowana tym, co Lee zdążył stworzyć w tak krótkim czasie. To potężna machina.

– Pozostałe stanowiska służą do wyszukiwania danych i takich tam. To miejsce Kim, fantastyczna dziewczyna, na pewno byś ją polubiła. Jej mąż jest ratownikiem medycznym, więc ona często pracuje wtedy, jak on ma zmianę, od siódmej do piętnastej albo od piętnastej do dwudziestej trzeciej. Tam siedzi Pablo, też ma pół etatu, tylko ja zwykle przychodzę rano, on po południu. Ostatnia kabinka jest dla chłopaków, jak muszą zrobić coś na komputerze i nie chcą, żebyśmy widzieli.

– Aha.

Brody spojrzał na Lee.

– Widzisz, o wszystkim jej opowiedziałem, nie mówiąc, co konkretnie robimy.

Lee świdrował go wzrokiem, najwyraźniej przewartościowując przysługę, którą wyświadczył siostrze.

– Bardzo dobrze, Brody – pochwaliłam, jakby był wielkim poczciwym psem, chociaż trochę takiego przypominał.

Lee położył mi dłoń na ramieniu, dając znać, że czas iść.

– Gdy wyjdziemy, zamknij drzwi i nie otwieraj przez piętnaście minut, chyba że usłyszysz pukanie: trzy, dwa, dwa, rozumiesz?

– Trzy, dwa, dwa, kumam. – Zwrócił się do mnie: – Dużo tu mają kodów.

Trzy krótkie, jeden długi. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. Kurde, jak leciał ten nowy?

Lee westchnął.

– Trzy, dwa, dwa.

– Dobra, tak. Trzy, dwa, dwa. Trzymaj się, Indy. Przy okazji, fajowy ten mail z Salwadorem. Serio, zajebioszka. Skąd ci przychodzą do głowy takie rzeczy? – spytał jeszcze i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do swojego biurka, mamrocząc: – Trzy, dwa, dwa, trzy, dwa, dwa...

Wróciliśmy do recepcji. Dawn na nasz widok zmusiła twarz do uśmiechu. Na jej biurku panował nienaganny porządek. Zakłócał go jedynie pas taktyczny. Lee podniósł go, nieznacznie skinął jej głową.

Wyjął płaski czarny przedmiot z dwiema końcówkami na czubku.

– Paralizator – oznajmił. – Musisz być blisko, żeby go użyć, powalasz przeciwnika w pół sekundy, błyskawiczne działanie. Nie dotykaj elektrod, bo dostaniesz prądem o napięciu sześćset dwadzieścia pięć tysięcy woltów.

O, cholera.

Tego właśnie doświadczyłam?

Sześciuset dwudziestu pięciu tysięcy woltów?

Trochę dużo.

Właściwie to w huk dużo.

– Ma nowe baterie, włączasz, dotykasz elektrodą cel, powalasz w pół sekundy.

– Znasz to z autopsji – odezwała się słodko Dawn. – Nie jest to miłe, ale skuteczne.

Lee spojrzał na asystentkę i ta od razu wróciła do pracy, a ja powstrzymałam się, żeby jej nie pokazać języka.

Lee wsunął paralizator na pasek i wyjął coś, co wyglądało jak prawdziwa broń.

– Taser. Używasz go na odległość, celujesz i strzelasz, daje ten sam efekt co paralizator. Elektrody wysuwają się i uderzają. Nie przejmuj się ubraniem, przebiją się nawet przez kamizelkę.

– Kamizelkę kuloodporną, oczywiście – wtrąciła się znowu Dawn.

– Dzięki – warknęłam, dokładając cukierkowy uśmiech i groźny wzrok. Ta

trudna kombinacja nosiła miano „potrójnego ostrzeżenia”.

Spojrzałam na Lee i zobaczyłam rozbawienie w jego oczach. Wsunął taser z powrotem na pasek.

Chyba uważał, że jesteśmy zabawne.

Postanowiłam nie przechodzić w tryb wkurwu. Chłopaki z monitoringu mieliby z tego ubaw przez tydzień.

Lee wyjął pojemnik.

– To gaz pieprzowy. Potrząśnij, zanim użyjesz, i upewnij się, że celujesz w dobrą stronę. Działa na cztery metry. Celuj w twarz i nie używaj w zamkniętym pomieszczeniu, bo zrobisz sobie krzywdę.

– Spoko – rzuciłam szybko, zanim Dawn zdążyła udzielić mi swoich kolejnych świątłych wskazówek.

Lee odwrócił się do niej.

– Możesz iść na lunch.

Bez słowa wzięła torebkę i wyszła, demonstrując swoje długie nogi i kołysząc biodrami jak na wybiegu dla modelek.

Patrzyliśmy na ten pokaz. Odwróciłam się do Lee.

– Dochodzę do wniosku, że jednak ona stanowi problem.

Lee założył mi pas, pokręcił głową i spojrzał w oczy.

Patrzył bardzo poważnie, od razu zapomniałam o Dawn.

– Rozrywkowa część dnia dobiegła końca – oznajmił bardzo poważnie, zapinając mi pas na talii.

Oho.

– Być może zobaczysz i usłyszysz rzeczy, które ci się nie spodobają. To moja praca i musisz pamiętać, że cokolwiek się dzieje, dzieje się nie bez powodu i jest pod kontrolą. Mów do mnie, zanim zareagujesz, i słuchaj mnie. Orientuj się i bądź bystra. Jeśli zrobi się dla ciebie zbyt intensywnie, sygnalizuj to od razu. Bez względu na wszelkie okoliczności, wyciągnę cię z tego. W porządku?

Nie brzmiało dobrze.

Przenikał mnie wzrokiem i czekał na odpowiedź.

– W porządku – odparłam.

– Idziemy do aresztu. Gdy złapiemy jakiegoś gościa i z jakiegoś powodu nie

doprowadzimy go na posterunek, korzystamy z aresztu. Zobaczysz, że może mieć również inne zastosowania.

Jezu.

– Nie odzywaj się niepotrzebnie, patrz uważnie i pamiętaj, gdzie masz broń. Nie używaj gazu pieprzowego. Mamy tam kogoś i chcemy go wypuścić. Trudno przewidzieć, jak na to zareaguje.

– Wypuścić? – powtórzyłam. Nie wiedziałam, o kogo chodzi, ale jeśli siedzi w areszcie, to uwolnienie go chyba nie jest słuszne.

– To element większej całości. Pracujemy nad gościem od kilku dni, usiłujemy go zmusić do mówienia. Nie dał się złamać i teraz dla dobra akcji należy go puścić.

Miałam pytania, ale nie zdążyłam ich zadać. Lee już wychodził, pozostawało mi tylko iść za nim albo uciec.

Rozdział 18

Naga wdzięczność

Poszłam za nim.

Zastukał dwa razy do pokoju monitoringu, użył swojego breloczka i wszedł.

– Idziemy – oznajmił.

Vance wstał, podszedł do biurka. Monty pochylił się, pstryknął przełącznikami, ożyły nowe ekrany. Zobaczyłam Brody’ego przy komputerze, pusty korytarz oraz pomieszczenie z łóżkiem, toaletę i umywalką. Na łóżku, obrócony na bok, leżał mężczyzna. Nie zdążyłam mu się przyjrzeć, podszedł do mnie Vance. W ręku trzymał pas taktyczny, rozpiął go i założył. Miał na nim to co ja, plus broń ostrą i kajdanki.

Podniósł rękę, spojrzał na mnie ciemnymi oczami, bez śladu podrywu, i wskazał wyjście.

Ruszyłam za Lee, Vance ostatni opuścił pomieszczenie. Lee szedł korytarzem aż do ostatnich drzwi, jedynych, których nie otworzył w czasie oprowadzania.

– Wiesz, gdzie co masz? – upewnił się.

Pomacałam pas, przytaknęłam. Czuję się w nim jak kretyńka, chociaż Vance w swoim wyglądał zajebiście. Lee zamiast pasa taktycznego miał zwykły pasek z ciemnej skóry, który podtrzymywał bojówki.

Skinął Vance’owi głową, ten użył breloka, zapłonęła zielona lampka.

– Trzymaj się za mną – polecił mi Liam, otworzył drzwi i wszedł.

Na łóżku leżał Straszny Teddy, zbir Coxy’ego, ten sam, który mnie uderzył; miałam wrażenie, że to stało się milion lat temu.

Obrócił się i wstał.

Zszokowana, gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Miał opatrunek na nosie i siniaka pod okiem. I nos, i oko groteskowo spuchnięte upodabniały go do Rocky’ego Balboa po walce z Apollo Creedem.

Teddy spojrzał na mnie przelotnie i czujnie stanął przodem do Lee.

Vance zajął pozycję w drzwiach z ręką na taserze.

– Możesz iść. Mój człowiek wyprowadzi cię z budynku – oznajmił Lee.

Teddy zerknął na Vance'a, ten wyjął taser i gestem wskazał korytarz za sobą.

Szumiało mi w głowie. Próbowalam policzyć, ile dni minęło od mojego „przelotnego” kontaktu z Teddym, przypomniałam sobie, że Lee polecił swoim ludziom go znaleźć. Jak długo tu siedział? Co mu się stało w twarz?

– Mogę iść? – zapytał podejrzliwie.

– Tak – odparł Lee.

– Tak po prostu?

Nikt mu nie odpowiedział; Teddy przeniósł wzrok na mnie, ja też nic nie mówiłam. Lee wspomniał, żebym się nie odzywała, zresztą, nawet gdyby tego nie zrobił, i tak byłam zbyt zszokowana, by wykrztusić z siebie choć słowo.

– Rozeszły się plotki, że zaczęłeś gadać – poinformował go Lee. – Nie wiem, jak to się stało.

Spojrzał na Vance'a, ten wzruszył ramionami.

Robili go w konia.

– Coxy prowadzi ze mną wojnę, próbuje zaimponować Indy – mówił dalej Lee. – Pamiętasz Ricka? – Teddy powoli skinął głową. – Coxy wsadził mu kulkę w łeb. Rick źle potraktował Indy i wczoraj twój przyjaciel przysłał jej prezent: zwłoki Ricka z podziurawioną głową. Ty ją uderzyłeś, siniaki długo jej nie schodziły. Teraz jesteś wolny. Powodzenia.

– Ja pierdolę – zaklął Teddy i wbił we mnie błagalne spojrzenie, jakby spodziewał się pomocy. I choć mnie walnął i byłam stuprocentowo pewna, że ma na sumieniu niejedno, teraz mu współczułam.

– Idziemy – odezwał się Vance.

Teddy odwrócił się do Lee.

– Jeśli będę mówił, zabije mnie. Jeśli będę milczał, też mnie zabije – powiedział, jakby myślał na głos, próbując zrozumieć.

– Życie jest podłe – odparł Lee, odwrócił się do Teddy'ego tyłem i przywołał mnie gestem. – Idziemy.

Ruszyłam za nim, Vance został.

Doszliśmy do gabinetu, Lee przystanął, otworzył drzwi, wpuścił mnie do środka, podniósł palce i, patrząc mi prosto w oczy, pokazał: trzy, dwa, dwa. Skinęłam głową, a on zamknął drzwi.

Przekręciłam klucz.

O rany boskie.

Niecałe pięć minut później ktoś zastukał: trzy, dwa, dwa.

Otworzyłam.

– Wyszedł – poinformował Lee, przekraczając próg. – Chodźmy coś zjeść.

Gdy objechaliśmy Brown Palace i spytałam:

– Czemu on tak wyglądał?

– Przeze mnie.

– Pobiłeś go?

– Uderzył cię i zrobił ci krzywdę, znaleźliśmy typa i go oklepałem.

Matko kochana.

– Powiedz, że nie zrobiłeś tego w tym pomieszczeniu – poprosiłam cicho.

– Nie, to się stało, zanim wsadziliśmy go do aresztu.

Chociaż tyle.

Lee prowadził, ja się nie odzywałam. Mój pas taktyczny leżał już w bagażniku obok pasa, który Lee wyjął z szuflady biurka. Jego był tak samo wyposażony jak ten Vance'a.

Zaparkowaliśmy przed Las Delicias.

Uwielbiam tę knajpę. Najlepsza meksykańska restauracja w mieście, nie licząc El Tejado. Właściwie El Tejado oficjalnie zalicza się do Englewood, więc Las Delicias pozostawała bezkonkurencyjna.

Milczałam również wtedy, gdy kelnerka wskazała nam boks i Lee usiadł obok mnie zamiast naprzeciwko.

Odwróciłam się do niego, popatrzyłam na siedzenie, potem na niego.

– Niech zgadnę: boksami też nie lubisz się dzielić?

Pokręciłam głową.

– Mam to samo, ale próbuję kontrolować sytuację.

Spojrzałam ponad jego ramieniem: siedział zwrócony w moją stronę, tyłem do sali.

– Dzikiego Billa Hickoka zastrzelono, gdy był tyłem do drzwi – poinformowałam.

– Nie staram się kontrolować sali, tylko ciebie.

Coś podobnego.

Podeszła kelnerka, postawiła koszyk z chipsami i miseczką salsy.

Żadne z nas nie otworzyło menu, znaleźliśmy je na pamięć.

Ally i ja odwiedzałyśmy Las Delicias lub El Tejado przynajmniej dwa razy w miesiącu, czasem częściej. Zdarzało się, że dołączał do nas mój tata, często załapywał się Hank, nawet jak miał służbę, to wpadał na przerwę obiadową. Od czasu do czasu – a jak się tak zastanowić, to w ostatnich dwóch latach trochę częściej – przychodził z nami Lee. Jedliśmy tu wspólne posiłki tyle razy, że mogłabym złożyć zamówienie za niego. Brał trzy burrito z kurczakiem, sałatą i serem, wieczorem piwo, w ciągu dnia mrożoną herbatę.

Lee spojrzał na kelnerkę i dla mnie poprosił o dietetyczny napój, *burrito chicharrone* i tostadę z czarną fasolą, sałatą i serem, dla siebie wziął mrożoną herbatę i burrito również z sałatą i serem.

Pamiętał, co zamawiam.

Odwrócił się do mnie.

– Przyszliśmy tutaj, bo nie tylko mają dobre żarcie, ale też szybką obsługę. Jest dużo do zrobienia.

Z roztargnieniem pokiwałam głową. Wciąż nie otrząsnęłam się z szoku i niewiele do mnie docierało. Miałam tylko nadzieję, że żołądek poradzi sobie z burrito i tostadą, bo musiałabym zapłacić za czyszczenie crossfire'a.

Lee położył rękę na oparciu i odwrócił się do mnie całym ciałem.

– Po pierwsze: Teddy. Pamiętajmy, że nie jest to miły facet i walnięcie cię w twarz było jednym z najmniejszych jego przewinień. Są różne rodzaje sprawiedliwości, Hank wymierza ją na swój sposób, ja na swój.

O, cholera.

Lee mówił dalej (niestety).

– Działam w niebezpiecznym biznesie i mam wrogów. Teraz w moim życiu

jesteś ty. Chcę, żeby dla każdego to było jasne: jeśli ktoś zrobi ci krzywdę, zawsze i nieuchronnie poniesie konsekwencje.

– Tak po prostu? – zapytałam, usiłując nie pokazać mu, że mnie przeraża.

– Nie. Ale nie zamierzam stać bezczynnie i słuchać, że ktoś cię krzywdzi. To była przyjemność, dać mu w ryj i złamać mu nos. To kawał draba, mógł ci zrobić poważną krzywdę. Teraz dwa razy się zastanowi, zanim znów uderzy kobietę.

O, matko.

– To dla ciebie problem?

– Tak – odparłam szczerze.

– Jesteś w stanie z tym żyć?

– Tak – odparłam, znów szczerze.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie.

Tym razem też nie kłamałam. Wolałam o tym nie rozmawiać. Radzenie sobie z sytuacją w dużej mierze opierało się u mnie na wypieraniu, rozmowa automatycznie niszczyła moją strategię.

Przyglądał mi się uważnie, jakby stosował specjalny test do wykrywania kłamstw Indy Savage, a potem pochylił się i pocałował mnie szybko.

Chyba zdałam ten test.

Kelnerka przyniosła nam napoje.

Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, każdy powinien spróbować salsy z Las Delicias. Chrupiąca świeża cebulka, idealna ilość kolendry. Po kilku margaritach Ally i ja byliśmy gotowe zaproponować salsę jako remedium na wojnę na Bliskim Wschodzie.

Wzięłam chipsa i nabrałam solidną porcję.

– I co się teraz z nim stanie?

– Jeśli jest bystry, wyjedzie z miasta.

– A jest?

– Niekoniecznie. Coxy miał dwóch bystrych gości, Ricka i Pete'a, chociaż, jak się w efekcie okazało, nie tak znów bystrych; Rick nie żyje, a Pete siedzi i czeka na rozprawę; jest oskarżony o porwanie, zadanie obrażeń i usiłowanie

zabójstwa, z czego dwie rzeczy przeciwko córce policjanta. Pewnie z przyjemnością oddaliby mu sznurowadła, ale zrobią wszystko, żeby nic mu się nie stało i żeby nikt go nie załatwił. Ma przerąbane.

Wzięłam kolejnego chipsa i przełamalam na pół, to najlepszy sposób nabierania salsy. Nie zdążyłam (na szczęście) poznać bliżej Pete'a, czyli jak go nazywałam: Piaskowego; przywiązał mnie do krzesła i strzelił dwa razy. Nie rozumiałam tego kawałka o sznurowadłach, ale zgadzałam się co do tego, że gość jest w dupie.

– Jak myślisz, kto ma brylanty? – spytałam.

– Ja.

– Co?!

No dobra, przyznaję, że krzyknęłam, odwrócili się do nas inni goście. Ale no kurde – co?!

– Mów ciszej – ostrzegł Lee.

– Czy właśnie powiedziałaś, że masz brylanty?

Skinął głową. Prawą ręką sięgał po chipsy z salsą, lewą nadal trzymał na oparciu siedzenia.

– Lepiej to wyjaśnij, zanim zacznę planować morderstwo.

W jego oczach pojawił się uśmiech.

– To już nie uszłoby ci na sucho.

– W tym przypadku odsiadkę przyjmę z godnością.

Napił się mrożonej herbaty, dopiero potem odpowiedział:

– Znalazłem brylanty w domu Duke'a tego samego dnia, w którym Rosie zwiął z mojego mieszkania. Właściwie jestem ci winien podziękowanie. Duke wie, że je mam, dowiedział się od moich kontaktów jeszcze w Sturgis.

– Twoich kontaktów?

– Powierzyłem sprawę kilku detektywom i łowcom nagród w miejscach, do których moim zdaniem Duke mógł się udać. Rozejrzeli się, zadali kilka pytań, złapali ślad i znaleźli go ci z Dakoty Południowej.

– Jeśli twoja stawka to pięćset za godzinę, ile trzeba by wybulić za taką akcję?

– Powiem tak: rzeczywiście sporo kosztujesz.

Zmrużyłam oczy.

– Ale pamiętasz, że za tę robotę już ci zapłacili?

– Mam trzy zlecenia obejmujące ten bajzel, jedno z nich dotyczyło znalezienia brylantów. Przechwyciłem je od razu pierwszego dnia. To, że Duke żyje i wrócił cały do domu, zrobiłem specjalnie dla ciebie.

Nadal byłam wkurzona, ale troska Lee mnie wzruszyła.

– Zwrócę ci hajs.

Sięgnął ręką do moich włosów, nawinął kosmyk na palec.

– Nie ma takiej potrzeby.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc mruknęłam tylko:

– Dziękuję.

– Podziękujesz mi w nocy, jak będziesz naga.

Jeju.

Wróciła kelnerka i postawiła talerze na stole. Wyjęłam sztucce z serwetki owiniętej papierową taśmą.

– Zanim przejdziemy do mojej nagiej wdzięczności, może pogadajmy o tym, jak przez cały ten czas okłamywałeś mnie w sprawie brylantów.

– Nie kłamałem. Udzielałem kreatywnych odpowiedzi.

– O, jasne.

Puścił moje włosy i zabrał się do jedzenia.

– To była informacja dla upoważnionych. Ty nie musiałaś o tym wiedzieć.

Z wysiłkiem przełknęłam kawałek burrito.

– Słucham?!

Lee przełknął swój kęs i odwrócił się do mnie, załapując się na polarne spojrzenie.

– Dobra. Nie mogę ci dużo powiedzieć, ale spróbuję trochę przemycić.

– Będę wdzięczna.

– Na początek kilka wyjaśnień – zaczął. – Światek kryminalny jest zhierarchizowany i dobrze zorganizowany. Przestępcy mają poziomy zarządzania, swoje zakresy zadaniowe i terytoria. Zwykle chodzi o malwersacje, handel bronią, narkotykami, dziewczyny, wymuszanie forsy za ochronę i tak dalej. Wszyscy wiedzą, kto w czym siedzi, każdy działa we własnym rewirze.

Granice przekracza się dopiero wtedy, gdy jesteś na tyle silny, by utrzymać to, co chcesz przejąć.

Skinęłam głową, Lee zjadł kolejny kawałek.

– Coxy funkcjonuje inaczej. On bierze to, co chce, i tam, gdzie chce. Robi bajzel, jest chciwy i popieprzony, zdeterminowany, uparty i, powiedzmy to jeszcze raz: popieprzony. Od dłuższego czasu sprawia problemy. Każda organizacja, nawet przestępcza, postępuje według jakichś zasad. Bajzel oznacza zwykle więcej dragów, broni i, co gorsza, więcej trupów. Przedtem Coxy był tylko uciążliwy, teraz zrobiło się gorzej. Świątek kryminalny chce się go pozbyć równie mocno jak gliny.

– To czemu w takim razie po prostu go, no... nie usuną?

– Chodzi o koneksje – odparł. Wytrzeszczyłam oczy, więc wyjaśnił: – Jego matka z pochodzenia jest Włoszką, mieszka w Nowym Jorku, jej rodzina jest bardzo wpływowa. Coxy ma plecy. Jeśli coś mu się stanie, Nowy Jork będzie się mścił. W każdym razie na to wgląda, do tej pory chłopaki stamtąd wspierali Coxy’ego w kilku akcjach i sprząтали bajzel.

– Mówimy o mafii? – szepnęłam.

Lee skończył drugie burrito, spojrzał na mnie kątem oka.

A niech to.

– Rzecz w tym, że Coxy narobił już tyle syfu, że nawet ludzie z Nowego Jorku mają go dosyć. Zresztą do końca nie wiadomo, jak to jest z tym wsparciem. Jego matka ożeniła się poza Nowym Jorkiem, z bogatym gościem z Denver. Może koneksje nie idą tak daleko, a może Coxy znacznie naciągnął więzi i przekroczył granicę. Nie był członkiem mafii, nie przeszedł szkolenia i z tego, co wiadomo, może być postrzegany najwyżej jako kuzyn z Denver.

Odgryzłam kęs tostady. Staralam się zachowywać zupełnie na luzie, choć tak naprawdę myślałam o Tonym Soprano i miałam małą spinę.

– To świeża sytuacja? – zapytałam.

– Nie, to się dzieje od lat. Świeża za to jest pogłoska, że Nowy Jork już umywa ręce. Świeża, ale niepotwierdzona. Żeby przywrócić porządek w Denver, zawarto układ: Coxy ma zostać usunięty, jednak nie może wyglądać na to, że został usunięty. Wtedy Nowy Jork nie będzie miał powodów, żeby interweniować, a w świecie przestępczym znów zapanuje spokój i ład.

– A co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

– Mam powiązania po obu stronach: Eddie i Hank używają mnie jako pośrednika z Marcusem i Dariusem.

Siedziałam z tostadą w ręku i zeszywniała gapiłam się na niego.

Eddie Chavez i Darius Tucker przyjaźnili się z Lee w liceum.

Chavez – wyszczekany przystojniak o wątpliwej moralności, podobnie jak Lee i kilku innych. Wszyscy byli pewni, że Eddie przejdzie na ciemną stronę i większość życia minie mu na odsiadkach; tymczasem on został gliną. Teraz zajmował stanowisko zastępcy komendanta. Postrzegano go jako totalnego indywidualistę (zdaniem taty to zaleta) i postrzeleńca (w ustach Malcolma brzmiało to jak zarzut).

Darius Tucker – bardzo podobny typ, a prócz tego tak zabawny, że każdy sikał przy nim ze śmiechu. Miał głębokie spojrzenie, a na jego ramieniu wyplakiwały się dziewczyny. Wszyscy sądzili, że szybko się hajtnie i ustatkuje, że zostanie dobrym mężem i ojcem. Ale gdy miał siedemnaście lat, jego tata został zamordowany, i Darius zszedł na złą drogę. Od tamtego czasu go nie widziałam i nawet za nim tęskniłam. Był naprawdę fajny, potrafił mnie rozśmieszyć i mnóstwo razy mu się żaliłam. Tata i Malcolm twierdzili zgodnie, że teraz sprawia niezłe problemy.

Człowieka o imieniu Marcus nie znałam.

– Darius? – powtórzyłam tępo, gdy ochłonełam.

Lee odsunął swój talerz i odwrócił się do mnie.

– Tak. Układ polegał na tym, że wszyscy działamy razem, utrudniając życie Coxy’emu. Opóźnione albo przechwycone dostawy, gliny pojawiające się w bardzo określonym momencie... Ja i moi ludzie stwarzaliśmy ten rodzaj komplikacji, których Hank i Eddie nie mogli. Dostawcy i odbiorcy Coxy’ego zaczęli się wściekać, jego ludzie dezertowali. Rick i Pete zdecydowali się na wcześniejszą emeryturę i, w ramach podwyższenia sobie świadczeń, ukradli brylanty Marcusa.

– Marcusa?

– Znamy się z czasów, gdy zajmowałem się ochroną. Nadal wynajmuje nas do kilku spraw. Jest bardzo wpływowy i nie był zadowolony, gdy go okradli. Siedziałem akurat w Waszyngtonie, tam dostałem telefon, że brylanty zniknęły.

– Czemu dzwonił właśnie do ciebie?

Wzruszył ramionami.

– Bo jestem dobry w znajdowaniu najróżniejszych rzeczy.

O, dobry Boże.

Poczułam, że to jeden z tych przypadków, gdy nie chcę nic więcej wiedzieć.

Zmieniłam temat.

– A skąd, do diabła, Rosie wziął się w tym wszystkim?

– Miał na boku dobrze prosperujący biznes, nieduży, popularny, o którym na jego nieszczęście zrobiło się głośno. Coxy dostał cynk o tym interesie i zmusił Rosiego do dzielenia się zyskami. Potem kazał mu robić rzeczy, których ten nie chciał robić, ale nie umiał odmówić. Rick i Pete postanowili udawać niewiniątka w kwestii brylantów, przynajmniej dopóty, dopóki nie ogarną sprawy na tyle, żeby zniknąć w Brazylii, do czego miało dojść lada dzień. Ukryli kamienie u Rosiego. Myśleli, że ten jest na tyle zestrachany, że posłusznie wykona polecenia. Okazało się jednak, że Rosie już stracił cierpliwość i wkurwił się na tyle, żeby użyć brylantów do szantażowania Ricka i Pete'a i spróbować wyzwolić się spod władzy Coxy'ego. Niestety, zagrał w nie swojej lidze. Zdążyło się roznieść, że brylanty przepadły, a Coxy załapał, że jego ludzie go wystawili. Nawet on nie jest na tyle szalony, żeby zadzierać z Marcusem, zwłaszcza teraz. Każdy zaczął szukać brylantów, włączając ciebie.

– Jestem trochę oszołomiona.

– Też bym był, gdybym znalazł się w środku tego pierdolnika, nie znając tła. Popieprzona sytuacja.

– Czemu się tym zajmujesz?

– Bo mi płacą.

– Tylko tyle?

– Nie. Bardzo dużo mi płacą.

– I to jest tego warte?

Jego ręka znalazła się za mną na oparciu, znów się do mnie odwrócił. Odłożyłam niedojedzoną tostadę, usiadłam przodem do niego.

– Lubię swoją robotę, ale tutaj jest jak w sporcie, kariera szybko się kończy. Chcę przejść na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat, mieć domek w Grand Lake i mieszkanie na Florydzie, zajebisty jacht w obu tych miejscach, a na koncie tyle pieniędzy, żeby wystarczyło mi na dobre życie aż do śmierci.

– Brzmi, jakby cała ta zabawa była tego warta.

Znów nawinął sobie na palec kosmyk moich włosów. Jego głos i spojrzenie zmieniły się, przestały być surowe i rzeczowe, przybrały ciepłą barwę.

– Owszem, jest warta – potwierdził. – Lubisz Florydę?

Poczułam motyle w brzuchu.

– Czy Floryda oznacza również usługi gosposi, która odwiesza ręczniki ciśnięte do umywalki?

– To część tego dobrego życia.

– Chybabym mogła je polubić.

Żartobliwie pociągnął mnie za włosy, zignorowałam to i spytałam:

– Kto ci płaci?

Pochylił się i wyjął portfel.

– Koniec opowieści na dziś. Wracamy do pracy.

– Domyślałam się, że to również koniec pytań.

Zerknął na mnie, dając do zrozumienia, że tak, jak najbardziej.

Siedzieliśmy już w jego samochodzie, gdy oznajmiłam, że musimy podjechać do Toda i Steviego po Chowleenę.

– Słucham?

– Mam się nią zająć.

– Zabierzemy ją później.

– Nie możemy zostawić psa samego w domu na tak długo.

– Nie wezmę żadnej Chowleeny do pracy – oznajmił Lee.

– Będzie grzeczna, przysięgam! To cudowny pies.

– Nie.

Wytoczyłam najcięższe działo.

– Dostaniesz za to moją nagą wdzięczność...

Wahał się, ale tylko przez chwilę.

– Szlag – wymruczał.

I pojechał w stronę Baker.

Rozdział 19

Eddie i Darius

Dojechaliśmy do Paris on the Platte z Chowleem na moich kolanach. Wyglądała przez okno, mrużyła oczy od wiatru i ziała. Z radia w samochodzie leciało *Jungle Love* Steve'a Millera.

Istnieje kilka piosenek, których słuchanie po cichu jest zbrodnią przeciw naturze, i *Jungle love* należy do tej grupy, chociaż Lee się ze mną nie zgadza.

Odkryłam, że obietnica nagiej wdzięczności może być bardzo użyteczna.

Gdy Lee parkował, ja przyglądałam się Paris on the Platte. Trochę księgarnia, ale głównie funky kawiarnia. Funkcjonowała całą wieczność, w porównaniu z ich kawą, dzieła Rosiego zajeżdżały amatorszczyzną.

Przy jednym ze stolików na zewnątrz siedział Eddie Chavez, z nogami wyciągniętymi przed siebie i skrzyżowanymi w kostkach, z opuszczonymi rękami.

Luz w czystej postaci.

Miał na sobie białą podkoszulkę termiczną z krótkimi rękawami, parę znoszonych lewisów, czarne kowbojki i czarny pas z dużą kłamrą wciśniętą w płaski brzuch. Ciemna skóra, czarne włosy i oczy zasłonięte lustrzankami, ale wiedziałam, że są tak ciemne, że prawie czarne. Posłał nam szeroki uśmiech, ultrabiały na tle ciemnej karnacji.

Wyglądał zabójczo.

Znałam go dobrze, bo razem dorastaliśmy. On, Darius i Lee często szwendali się razem, a ponieważ ja robiłam wszystko, żeby znaleźć się obok Lee, spędzałam z całą trójką sporo czasu.

Teraz też się widywaliśmy. Trzymał się z Lee i Hankiem, przychodził na imprezy do Kitty Sue i Malcolma, wpadał do Hanka na mecze. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale lubiłam go i wiedziałam, że z wzajemnością.

Właściwie to chyba on nawet bardzo mnie lubił. I nie chodziło o żarty

i przekomarzenie się, bo wiadomo, że to tylko wygłupy.

Gdy Eddie ma do ciebie słabość, nie pokazuje tego otwarcie, nie należy do gości, którzy uwodzą kobiety gadką. Jego taktyka była subtelniejsza i znacznie bardziej praktyczna. Lubił wyzwania. Typ milczącego uwodziciela. Okazywał swoje zainteresowanie niewerbalnie, używając gestów i spojrzeń. To prowokowało, zmuszało do myślenia, i chyba właśnie o to mu chodziło. Nie zdarzało się, żeby Eddie robił coś, czego nie chce.

Wysiadłam z Chowleena na smyczy i podeszłam do niego. Na widok psa jego olśniewająco biały uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Indy! – Objął mnie w pasie, przycisnął do siebie i pocałował w szyję (nie mówiłam?, prowokacyjny dotyk!). Był kilka centymetrów wyższy ode mnie, dwa z nich stanowiły obcasy.

Spojrzał przez lustrzanki na Lee.

– Chow-chow?

– Nie gadam o tym – burknął Lee zirytowany.

Eddie zaśmiał się i pomyślałam, że chow-chow nie jest najlepszym psem dla twardziela, a już zwłaszcza nie chow-chow ostrzyżony na lwa w długich futrzanych nogawkach.

To musiałyby być owczarek niemiecki albo rottweiler, a nie mały, puchaty misiek.

– Ma obiecaną w zamian nagą wdzięczność – wypaliłam, próbując ratować reputację Lee.

Lustrzanki odwróciły się do mnie.

– Tak podejrzewam. – Eddie nachylił się. – Chociaż w moim przypadku rekompensatą za łożenie z chow-chowem nie byłaby nagość. Wolałabym tam jeszcze czarną koronkową bieliznę, pończochy z pasem i szpilki.

O, ja cię kręcę. To już jawny flirt. I robił to przy Lee, z którym kumplował się od lat i któremu ja obiecałam, że nie będę flirtować. Co mogłam zrobić?

Cholera.

Odwróciłam się do Lee. On też miał okulary przeciwsłoneczne, ale bardziej w stylu *Top Gun*, przydymione szkła i złote oprawki. Twarz pozostała obojętna, jednak zaciśnięte usta utworzyły wąską kreskę.

– Nie dysponuję zestawem czarnych koronkowych majtek i pasa do pończoch

– powiadomiłam Eddiego.

Zaśmiał się cicho. Twarz Lee nie zmieniała wyrazu.

– Dysponuję za to czerwonym – oznajmiłam radośnie. Zresztą zgodnie z prawdą.

Eddie przestał się śmiać.

– Mam też fioletowe body z podwiązkami. Zaprezentuję ci wszystkie, to sobie wybierzesz.

Spojrzałam na Eddiego kątem oka – jego uśmiech zniknął.

Usiadłam. Moja część dobiegła końca.

Lee posłał mi swój firmowy uśmiech, mały, ale znaczący.

– Zawsze byłeś pieprzonym farciarzem – wymruczał Eddie.

Kelner podszedł i przyjął zamówienia. Wzięłam to co zwykle: *café fantasia*. Gorąca czekolada na dole, espresso na górze, rozdzielone plasterkiem pomarańczy. Całość wykończona bitą śmietaną z drobinkami smażonej skórki pomarańczowej. Rozpusta.

Poprosiłam też o miseczkę wody dla Chowleeny.

– Masz coś dla mnie? – spytał Lee Eddiego, gdy kelner poszedł.

– Tak. Mówi się, że Rick został załatwiony przez kogoś spoza miasta.

Lee odchylił się na oparcie.

– Nowy Jork?

– Mhm, ale nie z rodziny, niezależny gracz. Coxy musi teraz wynajmować cyngli. Gary nie wsadziłby nikomu kulki w łeb, nawet pod groźbą śmierci.

Dobrze wiedzieć. Jeśli to prawda, zbir Gary stanowił mniejsze zagrożenie. Cieszyły mnie wszystkie dobre wiadomości, nawet jeśli trochę przerażały.

– Podobno miał na liście dwóch ludzi. Jednym z nich był Rick – ciągnął Eddie.

– Drugi to Teddy?

– Nie, Coxy spisał go na straty, przynajmniej dopóki Teddy nie pojawił się na ulicy godzinę temu.

– To kto drugi?

– Coltrane.

O, nie! Rosie!

Wstrząśnięta popatrzyłam na Lee. Ja też miałam na nosie okulary – duże, błyszczące, rockowe, coś między okularami Jackie O i Bono. Teraz odnosiłam wrażenie, że szkła topią się od mojego wzroku.

Kelner przyniósł nam kawę, Chowleenie wodę i odszedł.

– Trzeba go znaleźć! – powiedziałam Lee.

– Znajdziemy.

Nie do końca wiedziałam, jak nam się to uda, skoro siedzieliśmy sobie w słońcu, popijając kawkę. Jak na razie praca detektywa nie wydawała się jakoś szczególnie niebezpieczna. Znacznie groźniejsze wydawało mi się przemawianie do wzburzonego tłumu w księgarni.

Lee przyjął wiadomość o Rosim ze spokojem, ja wręcz przeciwnie. Najemny zabójca dostał zlecenie na mojego baristę! Wprawdzie byłam na niego zła, ale wciąż go lubiłam i chciałam, żeby jego mózg pozostał na swoim miejscu.

– A tak na marginesie, dla twojej ciekawości: buki przyjmują zakłady, ty kontra Coxy, kto z was wygra Indy – dorzucił Eddie i spojrzał na mnie.

Słucham?

– Mówisz poważnie? – wykrztusiłam.

– I na kogo stawiają? – zainteresował się Lee.

Szczęka mi opadła. Czy on oszalał? Co za różnica? Ludzie zakładają się o nas!

Eddie odwrócił się do niego.

– Na ciebie.

– Żartujesz sobie? – drążyłam wciąż wstrząśnięta.

Pokręcił głową.

Zajęłam się kawą.

Jeśli nie wiesz, co zrobić i jak zareagować, napij się kawy.

Lubię bitą śmietaną, ale nie wtedy, gdy rozpuszcza się w kawie. Uniosłam kubeczek z *café fantasia*, otworzyłam usta nad śmietaną i wessałam ją szybko. Potem wzięłam łyżeczkę, żeby wycisnąć pomarańczę i zmieszać czekoladę z kawą. Poczułam mrowienie na karku, podniosłam wzrok: Lee i Eddie patrzyli na mnie przez okulary.

Eddie odwrócił się do Lee i wymruczał:

– Pieprzony farciarz.

Zadzwoił telefon Lee.

– Tak? – Cisza. – Aha. – Cisza. – Bądź tam za dziesięć minut.

Potem rozłączył się i oznajmił:

– Mamy Rosiego.

Wsiedliśmy do samochodu Eddiego, Lee na miejscu pasażera, ja z Chowleoną z tyłu. Lee miał swój pas taktyczny przed sobą, mój leżał na podłodze obok psa.

Dojechaliśmy do dzielnicy parterowych szeregowców. Schodki do drzwi, mały ganek blisko chodnika, okno od salonu. To nie była ani dobra dzielnica, ani zła, raczej mało zadbana i cicha.

Eddie właśnie zdążył się zatrzymać, gdy drzwi po przeciwnej stronie ode mnie otworzyły się i do środka wśliznął się Darius Tucker.

Lee i Eddie płynnie przeszli od stadium przystojnych chłopców, w których durzą się dziewczyny, do stadium atrakcyjnych mężczyzn, na których widok kobiety wilgotnieją.

Darius nie miał tyle szczęścia. Zawsze wysoki i szczupły, teraz był chudy; twarz pokrywały zmarszczki, jego afro, niegdyś krótko obcięte, teraz sterczało na wszystkie strony, co przy małej ingerencji grzebienia mogłoby nawet fajnie wyglądać. W ciemnych oczach o głębokim spojrzeniu błyszczał gniew, a nawet wyzierała brutalność.

– Co ona tu, kurwa, robi? W dodatku z psem? – spytał.

O, ciebie też miło widzieć, pomyślałam, ale się nie odezwałam.

Lee i Eddie spojrzeli na Dariusza.

– Mamy czas na takie wyjaśnienia? – zapytał Lee.

– Nie wiem. Musiałem pozatwierać różne rzeczy, nie mogłem non stop obserwować domu – odparł Darius. – Nie zajmuję się wyłącznie tym gównem.

– Gdzie on jest? – spytał Eddie.

– Trzecie drzwi.

Lee spojrział przez tylną szybę.

– Jazda, ktoś tu był przed nami. – Głos mu się zmienił, teraz mówił krótko i szybko. Popatrzył na mnie. – Siedź tutaj i się nie wychylaj. Chryste, jak ja się dałem na to namówić?

– Byłam przypięta kajdankami do łóżka – przypomniałam mu odruchowo. Nie bardzo ogarniałam, co się dzieje, ale wyczułam, że zrobiło się źle.

– Pieprzony farciarz – mruknął znowu Eddie, otworzył drzwi i zniknął. Właśnie tak, po prostu rozwiął się w powietrzu. W jednej chwili wychodził z samochodu, w następnej już go nigdzie nie było.

– Tata nauczył cię, jak posługiwać się bronią? – zwrócił się do mnie Darius.

Jego oczy patrzyły zimno i to tak strasznie nie pasowało do twarzy, którą znałam, że czułam się z tym okropnie.

Przytaknęłam.

Lee sięgnął pod siedzenie kierowcy, podał mi pistolet.

– Pokaż – zażądał ostro.

Cholera.

Weź i działaj pod taką presją.

To był glock, tata też miał taką spluwę.

– Bezpiecznik w spuście – wymruczałam i wyjęłam magazynek. Odsunęłam zabezpieczenie, z góry wpadł nabój. Złapałam go, włożyłam z powrotem do magazynka, jednym ruchem wsunęłam magazynek do pistoletu.

Spojrzałam na nich. Spodziewali się czegoś więcej?

Bez słowa komentarka otworzyli drzwi i... tyle ich widziałam.

Puf! Po prostu zniknęli.

Tak jak Eddie.

Położyłam Chowleene na siedzeniu. Nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji, po prostu uznała, że czas na drzemkę. Miałam ochotę ją ucałować.

Zanim się jednak pochyliłam, szybko spojrzałam na drzwi numer trzy.

Po chwili znów się podniosłam i zagapiłam w okno.

W środku była Ally.

Widziałam ją w oknie tylko przez chwilę, ale miałam pewność.

O, cholera, jasna cholera.

Co ona tu robi? Lee o tym wie? No przecież do niego nie zadzwonię...

Szlag!

A potem zobaczyłam tego faceta, szedł sobie ulicą. Niby zwykły gość, przechodzień pasujący do każdej scenerii. Istny Tom Hanks. Problem w tym, że Tom Hanks nie mieszka w tej okolicy.

Na plecach poczułam dreszcz.

Złapałam swój pas taktyczny, wyjęłam gaz pieprzowy i włożyłam do kieszeni z przodu. Taser zatknęłam za pasek spodenek; glocka wsunęłam z tyłu. Obciągnęłam podkoszulkę i zanim mój mózg zdążył znaleźć powody, żeby tego nie robić, wyszłam z samochodu.

Właściwie nie miałam żadnego planu działania. Wiedziałam tylko, że przed chwilą było tu trzech gości z bronią, którzy nagle zniknęli, był potencjalny zabójca, był Rosie, a teraz między nimi wszystkimi była jeszcze Ally.

Przebiegłam szybko ulicę, ruszyłam chodnikiem.

Doszedł już prawie do domu numer trzy, gdy usłyszał moje klapki.

Odwrócił się.

Uśmiechnęłam się lekko, jakbym najzwyczajniej w świecie akurat przechodziła tędy i chciała być miła. Nadal szłam w jego stronę.

Spojrzał na mój pasek.

Niestety, podkoszulka nie była luźna i rękojeść tasera się odznaczała.

Zrobił ruch w moją stronę, wtedy wyszarpnęłam taser, przypadkiem podnosząc ubranie i na chwilę odsłaniając pomarańczową koronkę stanika. Bluzka opadła, gdy uniosłam rękę; nacisnęłam spust, elektrody wyskoczyły i uderzyły – gdy on sięgnął po pistolet do kabury na ramieniu.

Widok mojego stanika rozproszył go na chwilę, dał mi czas. Facet padł na ziemię, zanim zdążył wyprostować rękę, dlatego teraz w moim ciele nie było krwawiących dziur.

Dopiero gdy osunął się na chodnik, czyjeś silne ręce złapały mnie wpół i zostałam przygwożdżona do samochodu; dłoń na brzuchu przytrzymała mnie w miejscu.

– Myślisz, że co to, kurwa, jest, Dziki Zachód?! – warknął Eddie ostro wkurzony. Wyrwał mi taser z ręki i zaczął mówić coś po hiszpańsku z prędkością karabinu maszynowego. Nic z tego nie zrozumiałam, i chyba dobrze.

Obok nas zmaterializował się Lee. Nie był zły. Był wściekły. Rozchodziły się od niego fale furii.

– Tam jest Ally! – wyjaśniłam mu szybko. – Widziałam ją przez okno!

Odwrócili się w stronę drzwi, czułam, jak gniew opada. Obaj wiedzieli, że dla Ally rzuciłabym się na pociąg, autobus albo zabójcę.

Drzwi się otworzyły, w progu stanęła Ally.

– Co się dzieje? – Uniosła brwi. Spojrzała na powalonego mężczyznę, na nas, spokojna jak Pacyfik.

Jak jej nie kochać?

Eddie i Lee zakłękli pod nosem. Eddie zabrał dłoń z mojego brzucha i ruszył z kajdankami do powalonego mężczyzny. Lee poszedł do siostry, a ja pobiegłam do samochodu po Chowleena. Wracając, widziałam, jak Eddie obraca skutego faceta na plecy. Weszłam do domu.

Rosie leżał na brzuchu na podłodze, charcząc i jęcząc. Lee klęczał, jedną nogę miał na podłodze, drugą na plecach mojego baristy. Właśnie skuwał mu ręce.

Podnosił Rosiego na nogi, gdy Eddie wszedł z tamtym gościem i rzucił go na kanapę.

Darius bezszelestnie pojawił się od tyłu domu. Rozejrzył się.

– Zapomniałem o sosie – rzucił.

Prawie się roześmiałam. To Darius, którego pamiętałam.

– Darius! – zawołała Ally, nareszcie okazując jakieś emocje. Patrzyła na niego, a na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– Hm, widzę, że w ogóle się nie zmieniłyście – rzucił do Ally.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Nikt nie skomentował, w sumie to była prawda.

– Normalnie aż jestem rozczarowany całą tą akcją – zauważył Eddie kilka sekund później.

Podeszłam do Rosiego i palnęłam go w łeb.

– Auć! – zawołał, a Chowleena szczeknęła.

Patrzyłam na niego i palnęłam go jeszcze raz, Chowleena znowu szczeknęła. Uznała, że to fajna zabawa i chciała wziąć w niej udział.

– Ty kretynie! – wrzasnęłam i znowu mu przywaliłam.

– Au! Przestań! Ona mnie bije! – poskarżył się Lee. – Zrób coś, jesteś z policji!

Lee patrzył bez słowa.

– Nie jest z policji – poinformowałam Rosiego i strzeliłam go znowu.

– Aua! – Rosie spojrzał desperacko na Dariusa. – A ty?

– Ja? Z policji? – Darius zaczął się śmiać. Twarz mu się rozpogodziła, to odjęło mu kilka lat, znów wyglądał przystojnie.

Gdybym nie była tak wkurzona, może zaprzestałabym rękoczynów, żeby mu się przyglądać.

Walnęłam Rosiego jeszcze raz i znów towarzyszył temu szczek Chowleeny.

Rosie rozejrzał się dziko:

– Wszyscy macie broń i kajdanki! – wrzasnął. – Musicie być z policji!

Teraz uderzyłam go w ramię.

Eddie powoli podniósł rękę.

– Indy, chyba muszę cię prosić, żebyś przestała.

Podeszłam bardzo blisko Rosiego i spojrzałam na niego gniewnie.

– Gdybym się tak nie cieszyła, że żyjesz, tobym cię zatłukła na śmierć.

Rosie oklapł.

– Indy, przepraszam – szepnął. Wyglądał nieszczęśliwie.

– Przepraszam?! Tydzień temu miałeś troje przyjaciół. Teraz Tim nie żyje, Kevster jest za kratkami, bo próbował ratować twoje rośliny, a mnie nie starczyłoby całego popołudnia, żeby opowiedzieć, co mi się przydarzyło. Z ostatniej chwili: bukmacherzy przyjmują zakłady, czy odejdę od Lee z tym obrzydliwym, przerażającym Wilcoxem.

Rosie zbladł:

– Ble! On wygląda jak Dziadek Munster!

– Otóż to! – ryknęłam.

– Chętnie pooglądałbym ten show, ale mam sprawy do załatwienia – wtrącił się Darius. – Zgłaszasz to? – spytał Eddiego.

– Tak. – Eddie spojrzał na Lee. Zdjął okulary, zawiesił pod szyją na podkoszulce. – Lee, musimy pogadać. Myślisz, że Betty i Veronica^[11] mogą przypilnować tych dwóch?

– Ja będę Veronicą! – zgłosiła się od razu Ally.

Odwróciłam się do niej.

– Niby dlaczego?

Nie chciałam być Betty. Betty to słabeusz. Veronica ma styl.

– Bo jestem bardziej jak ona – odparła Ally.

– Mhm – wystękał mężczyzna na kanapie.

– Jezu – mruknął Darius.

Lee pociągnął Rosiego i posadził na kanapie obok niedoszłego zabójcy. Potem stuknął go palcem i polecił:

– Siedzisz tu i się nie ruszasz.

Gdy obserwowałam Lee, poczułam rękę na plecach; ktoś podniósł mi podkoszulkę. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Eddiego, wsunął dłoń za pasek moich spodni i wyjął mi broń.

Mógł wyciągnąć ją za rękojęść, ledwie mnie dotykając, ale nie zrobił tego. Jego palec wskazujący znalazł się przy lufie, pozostałe palce zacisnął na rękojęści, knykциями muskając skórę w dole pleców i dotykając brzegu majtek tak, żebym poczułam ciepło jego ręki. Trzeba przyznać – przyjemne doznanie.

Znów to samo: prowokacyjny dotyk.

Odwróciłam się do Lee, widziałam, że się przygląda. Na jego policzku zagrały mięśnie.

– Wyjmij – warknął do Eddiego.

Eddie wyjął broń i zwrócił się do mnie:

– Celuj w tego gościa i nie odrywaj od niego wzroku. Jeśli się ruszy, strzelasz. Zrozumiano?

Skinęłam głową.

Lee, Darius i Eddie wyszli z domu.

Wycelowałam broń w zabójcę, wyjęłam z kieszeni gaz pieprzowy, podałam Ally.

– Jak znalazłaś Rosiego? – zapytałam.

– Pamiętasz o tych śladach, o których ci mówiłam?

– No?

– Sprawdziłam je, dostałam nowe informacje, te doprowadziły mnie do

kolejnych śladów i jestem tutaj.

Byłam pod wrażeniem.

– Niezła jesteś.

– A jak! – Uśmiechnęła się szeroko.

Przez siatkowe drzwi dobiegły głosy.

– Była na spacerze – rzucił Lee.

– Właśnie, na spacerze z psem – dodał Darius.

– Błyskawicznie załatwiła najemnego zabójcę w środku dnia i miała przy sobie pierdolony taser – warknął Eddie.

– To nie twoja sprawa, ale zawarliśmy układ.

– Tak, słyszałem. Klepnęliście go, jak leżała przykuta do łóżka. Chryste, Lee, nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy zaczniesz myśleć fiutem – odparł Eddie.

Auć.

Mocne.

Spojrzałam na Ally, nawet ona pobladła.

– Chłopaki... – odezwał się Darius pojednawczo.

– Wiesz co? Korci mnie, żeby powierzyć ci ją na tydzień i zobaczyć, jak tobie by poszło pilnowanie jej – odparł Lee.

Ee, co?

– Wchodzę w to. Chętnie.

No, chyba nie.

– Indy, zapomniałam ci o czymś powiedzieć – szepnęła Ally z boku; nie słuchałam.

– Zauważyłem – odparł groźnie Lee. – Całus w szyję, twoja ręka prawie w jej majtkach. Ostrzegam cię, Eddie: do trzech razy sztuka.

– Yy, Indy? – nawoływała mnie Ally.

– Cicho!

– Powiedziałem ci rok temu, żebyś zrobił swój ruch, bo ja to zrobię – odparł Eddie. – Teraz zrobiłeś i słyszę na posterunku, że ucieka przez Highlands ze skutymi rękami, potraktowana gazem łzawiącym, że strzelają do niej zbiry Coxy’ego, a jakiś szalony gość po odsiadce osłania ją i obrywa. Co to, kurwa, jest?

– Eddie... – Darius wyraźnie próbował rozładować napięcie. – Przecież mówimy o Indy. W jej przypadku to jak sobotnia impreza.

Nikt się nie zaśmiał. W powietrzu wisiała ciężka cisza.

Przerwał ją Eddie.

– Jeśli to spieprzysz, nie zawaham się. Jasne?

Ally złapała mnie za rękę, a ja aż podskoczyłam. Zabójca był prawie przytomny i teraz gapił się na nas.

– Co się, kurwa, dzieje? – wymruczał.

– Zamknij ryj – rozkazałam, mierząc do niego z glocka. Wskazałam głową drzwi. – Słyszałaś? – spytałam Ally teatralnym szeptem.

Miała zboląły wygląd.

– Tak.

– Co to było?

– No, wiesz – zaczęła, już miałam pewność, że nie spodoba mi się to, co usłyszę. – Chodzi o to, że...

– No, mów wreszcie!

– Dobra. Pamiętasz, że jakoś rok temu Eddie i Lee przestali ze sobą rozmawiać?

– Nie. Przecież unikałam Lee, zapomniałaś?

– No więc, jakiś rok temu Eddie i Lee przestali ze sobą rozmawiać.

– Dzięki za info.

– No i – przewróciła oczami – Hank mi mówił, że Eddie leci na ciebie już od dawna, ale trzyma się z boku, bo wszyscy wiedzieli o twoich uczuciach do Lee, więc czekali, aż Lee wykona jakiś ruch. Trochę słaba sytuacja, bo w sumie byli najlepszymi kumplami.

Dobry Boże.

Tego właśnie potrzebowałam, żeby moje życie stało się bardziej porąbane.

– No i?

– W zeszłym roku Eddie stracił cierpliwość i powiedział Lee, że jeśli nic nie zrobi, przejmuje inicjatywę.

O, kurde.

– Niemożliwe – jęknęłam.

– A jednak.

– Czemu nie pisałaś mi o tym ani słowem?

– Bo się odsunęłaś od Lee, a Eddie to przystojniak. Pomyślałam, że jeśli ci o nim powiem, w końcu odpuścisz Lee i już nigdy nie będę miała bratanicy noszącej moje imię.

Spojrzałam na zabójcę, który przyglądał nam się uważnie, i warknęłam:

– Nie myśl sobie, że skoro moje życie stało się telenowelą, to zapomniałam o tobie. Albo o tobie – rzuciłam Rosiemu.

Żaden nie drgnął. Chyba wyglądałam na kobietę, która tylko czeka na pretekst, żeby kogoś zastrzelić.

– Od jak dawna Eddie coś do mnie czuje?

Ally wzruszyła ramionami.

– Z tego, co mówi Hank, mniej więcej tak długo, jak ty czujesz coś do Lee.

Kurde.

– Jak bardzo mniej więcej?

– Ich zeszłoroczna kłótnia nie była pierwszą w tym stylu. Pamiętasz, jak raz Lee przyjechał zabrać nas z imprezy, miał krew na koszuli i wyglądał, jakby dostał w nos? A potem widzieliśmy Eddiego na imprezie Andrei, jak się nawalił i ktoś mu podbił oko?

Pamiętałam. To była ostatnia klasa, kończyłam siedemnaście lat. Lee często miał krew na koszuli, a Eddie często się wdawał w różne awantury. Myślałam, że po prostu z kimś się ciągle tłuką, nie że ze sobą.

– I poszło o mnie?

– O ciebie. Nie pierwszy i nie ostatni raz – odparła.

Nie wiedziałam, co zrobić z tymi informacjami. W ogóle żałowałam, że je wyciągnęłam z Ally.

– Chyba pójdę w kierunku wyparcia – stwierdziłam.

– Miałam ci podsunąć takie rozwiązanie.

Pomyślałam, że będąc z Lee, to stanie się rutynowym podejściem.

Lee i Eddie wrócili. Obaj wyglądali ponuro, Dariusa z nimi nie było.

Nie odzywając się do nas, sięgnęli po telefony. Lee dzwonił do swojego

biura. Eddie na posterunek.

Gdy Chavez skończył rozmawiać, zwrócił się do tych na kanapie:

– Jesteście aresztowani.

Twarz zabójcy nie zmieniła wyrazu.

Rosie spanikował.

– Ja? Co ja zrobiłem? – zawołał. Najwyraźniej zapomniał o swojej plantacji zajeźbistej marihuany, która niestety pozostawała nielegalna.

Eddie spojrzał na niego i gdyby wzrok mógł zabijać, Rosie leżałby martwy.

– Coś ci wymyślimy.

Lee też skończył rozmowę, teraz patrzył na Ally.

– Musimy później pogadać.

– Chcesz mi zaproponować pracę? – Mrugnęła do niego.

Nie był w nastroju do żartów. Przeniósł spojrzenie na mnie.

– Znaleźliśmy Rosiego. Nasz układ dobiegł końca.

Właśnie zaczęło do mnie docierać, że widziałam przerażającego Dariusa, że nie tylko sparaliżowałam, ale i zdeorientowałam najemnego zabójcę, a wiadomość dnia, że Eddie Chavez na mnie leci, już się powoli przebijała do Fortecy Wyparcia. Ale poza tym większość dnia była super, a nawet megasuper i, szczerze mówiąc, podobała mi się praca z Lee. Fantastyczna przygoda, w ogóle czad.

Wyraz jego twarzy mówił jednak wyraźnie, że lepiej nie naciskać.

– Dobra – zgodziłam się. – I tak muszę pojechać do księgarni, a Marianne chciała się spotkać w Hornecie na drinka.

Chyba spodziewał się protestów. Po moich słowach jego złość zniknęła, a ze spojrzenia wyczytałam, że gdybyśmy nie mieli widzów, rzuciłby się na mnie.

Rozdział 20

Dwie dusze rozdzielone w niebie

– Nie ma sensu przymierzać. Biorę czerwone – oznajmił Lee.

Crossfire stał przed księgarnią, Chowleena siedziała mi na kolanach.

Rosiego i najemnego zabójcę aresztowano; Eddie zabezpieczył broń, z której prawdopodobnie został zabity Siwy Rick. Złożyłam milion pierwsze zeznanie na policji w tym tygodniu; Hank przemknął obok nas, tracąc masę energii na powstrzymanie się przed zabiciem mnie i Ally. Nie rozmawiał o tym z Lee, ale zdaje się, że trzymał stronę Eddiego, jeśli chodzi o mój udział w tym wszystkim. Eddie emanował wkurwieniem, trzymając wszystkich na dystans. Matt przyjechał po mnie i Liama, żeby podrzucić nas do crossfire'a.

Spojrzałam pytająco na Lee.

– Na początek – dodał.

– Ale co?

Objął mnie za szyję i przyciągnął.

– Bielizna, pas i pończochy – wymruczał w moje usta.

Ach, no tak.

Nie zdziwił mnie ten wybór. Czerwony był nie tylko seksowny, to również kolor władzy.

Musnął moje usta i puścił mnie.

– Daj swój telefon – zażądał; podałam mu komórkę. – Dzwoń do mnie z każdego miejsca, w którym będziesz, chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Mam jeszcze kilka rzeczy do załatwienia tu i tam. Wpiszę ci numer naszego monitoringu, jeśli nie dodzwonisz się do mnie, tam ktoś siedzi dwadzieścia cztery na siedem, przekażą mi wiadomość.

– Dobrze.

– Jeśli skończę o przyzwoitej porze, spotkamy się w Hornecie.

– A jeśli skończysz w środku nocy, tak jak wczoraj?

Spojrzał na mnie uważnie.

– Przyjadę do ciebie.

– A jeśli będę spała?

– Użyję klucza.

– Jakiego klucza?

– Tego, który dorobiłem z klucza Ally.

– Ona o tym wie?

Nie odpowiedział; czyli nie wiedziała.

– Kiedy to zrobiłeś?

W jego oczach pojawił się uśmiech, ale odpowiedź nie padła.

– Kiedy to zrobiłeś? – przycisnęłam.

Jedną rękę trzymał na kierowcy, drugą na moim oparciu. Wziął kosmyk moich włosów, zawinął sobie na palcu.

– Pomyślałem, że nadejdzie taki czas, kiedy będę go potrzebował, więc gdy miałem okazję dorobić, dorobiłem.

– Mówiłam ci już, że jesteś zarozumiały?

– Wspominałaś.

Pociągnął mnie delikatnie za włosy, nachyliłam się do niego, pocałował mnie, tym razem głębiej, co mnie lekko podnieciło.

No dobra, może bardziej niż lekko.

Zaczekał, aż ja i Chowleena znikniemy za drzwiami księgarni, i dopiero wtedy odjechał.

Za ladą sprzedaży książek stał Duke; ekspresu pilnował Tex. Nie było ani klientów, ani Jane.

– Jedź do domu. Trzy dni temu zostałeś postrzelony – zwróciłam się do Texa.

– Czekałem, aż wrócisz, chciałem poznać nowiny – odparł.

Padłam na kanapę. Chowleena wskoczyła obok mnie i patrzyła na Texa. Wszyscy: mężczyzna, kobieta i pies patrzyliśmy na Texa. Przedstawiłam mu skróconą wersję wydarzeń.

– Zostałam oprowadzona po kwaterze głównej Lee, prawie pobiłam się z jego

repcjonistką, potraktowałam taserem killera na ulicy, zanim mnie zastrzelił, znaleźliśmy Rosiego, on i zabójca zostali aresztowani, a teraz jestem tutaj.

Duke oparł czoło o ladę.

Tex przez chwilę nieruchomo gapił się na mnie, w końcu wzruszył ramionami.

– Dzień jeszcze młody.

Zamknęłam oczy.

Wyszedł, a ja nadal siedziałam na kanapie.

– Wiesz, ile on ma lat? – spytał mnie Duke.

– Dużo? Bardzo dużo?

– Wiesz, że siedział?

– Tak.

– Wiesz, że nie pracował ani jednego dnia, odkąd wrócił z Wietnamu?

Otworzyłam szeroko oczy.

– Nie.

– Jest totalnie poza społeczeństwem. Tak bardzo, że zaczynam się przy nim czuć jak nadopiekuńcza mamuśka. Aha.

– I skąd to wszystko wiesz?

– Hank tu zajrzał.

Skinęłam głową i znów zamknęłam oczy.

– Parzy wspaniałą kawę, wszyscy tak twierdzą – dodał Duke.

Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

Gdy odezwał się znowu, jego głos zabrzmiał po prawej stronie ode mnie.

– Robisz dla niego dużo dobrego. Nie da się żyć tylko z kotami, nie schodząc z ganku.

Przytaknęłam.

– Poza postrzałem, wydaje się w świetnej formie – zauważyłam. – Wrzucił mnie przez okno i sam widziałeś, co robił na scenie w BJ. Czuje się dobrze, w każdym razie fizycznie, a psychicznie to się dopiero okaże.

– Taak. – Duke wyjrzał przez okno. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale powiem ci, że dobrze widzieć, że ty i Lee już nie obchodzą się nawzajem

szerokim łukiem. Twoja babcia mawiała, że jesteście dwiema duszami rozdzielonymi w niebie; zwykle chodziło jej o to, że oboje sprawiacie kupę problemów i jesteście siebie warci.

Jak miło.

– Ale by się cieszyła, gdyby żyła.

Coś ścisnęło mnie za gardło. Gdy odpuściło, szepnęłam:

– Dzięki, Duke.

– Po zamknięciu odprowadzę cię do domu.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie. W porządku. Wprawdzie miałam Chowleene, ale jej ekstrawagancja i puchate nogawki raczej nie odstraszą złoczyńców.

– Dobra.

Dotarłam do domu, dryndnęłam do Marianne i umówiłyśmy się w Hornecie. Potem powiadomiłam Lee, że jestem w domu. Był właśnie w szpitalu, odwiedzał Luke'a. Ucieszyłam się, że mnie tam nie ma, bo to nadwyrężyłoby moje wyparcie.

Nalałam Chowleenie wody, nasypałam karmy. Wzgardziła suchym groszkiem, więc dałam jej psie ciasteczko. Pochłonęła w ułamku sekundy. Spojrzała na mnie żałośnie, dałam drugie. Wtedy pobiegła do salonu, merdając ogonem, wskoczyła na moją nową kanapę, pokręciła się milion razy i w końcu ułożyła wygodnie.

Weszłam pod prysznic i w ramach przygotowań do wieczoru ogoliłam nogi. Nie chciało mi się, byłam zmęczona i nie złapałam turbodrzemki, ale istniała możliwość, że Lee dołączy do nas w Hornecie, a jego recepcjonistka wygląda jak modelka, więc uznałam, że warto się trochę postarać.

Założyłam sukienkę z czarnym, elastycznym topem i zwiewnym oliwkowym dołem; materiał sięgał do kolan. Zapięłam w talii czarny pas z okrągłą srebrną klamrą, podciągnęłam zwiewną część, skracając całą kreację do mini. Rozpuściłam włosy, znalazłam jakieś kosmetyki na dnie szuflady, umalowałam się. Założyłam srebrne kolczyki w kształcie kół, mnóstwo bransoletek i srebrnych pierścionków i wciągnęłam czarne kowbojki. Wrzuciłam kilka rzeczy do czarnej torebki i byłam gotowa do wyjścia.

Do Hornetu poszłam na piechotę, mieścił się cztery przecznice dalej. Rosie

się znalazł, Siwy i Piaskowy nie stanowili już zagrożenia, killer siedział w areszcie. Czułam się stosunkowo bezpieczna, choć wiadomo: lepiej nie kusić losu.

Marianne już czekała przy barze. Zapraszałam Ally, żeby do nas dołączyła, ale miała wieczorną zmianę, spytałam nawet Eddiego, czy nie chce przyjść, ale on z kolei siedział w papierach.

– Chciałabym znowu nosić taką sukienkę – oznajmiła Marianne, gdy usiadłam obok niej.

Zwykle nosiła rozmiar 36. Zmieniała kolor włosów adekwatnie do nastroju tak często, że nie pamiętałam już, jak wyglądały pierwotnie; teraz zrobiła się na brunetkę. Z dużymi szarymi oczami, wciąż przyciągała spojrzenia mimo nadwagi. Zawsze się podobała, zgrabna i słodka, miała powodzenie. Ale nie doszła do siebie po rozwodzie i nadal zjadała ból.

Nic nie odpowiedziałam, zamówiłam korzenny rum i colę, przeprosiłam i znowu zadzwoniłam do Lee z informacją, że tym razem jestem w Hornecie. Marianne nie skomentowała. Po pierwsze: widziała strzelaninę, po drugie: Lee to cholerny przystojniak.

– No i? – spytała, gdy odłożyłam telefon.

Westchnęłam.

– Lee nie kolekcjonuje kokardek z majtek ani staników, w każdym razie nie teraz.

Oczy jej rozbłysły.

– Jest dobry?

W jej pytaniu nie było nic plotkarskiego ani wścibskiego, po prostu jedna przyjaciółka pytała drugą o życie seksualne, w naszym kółku tak się właśnie robiło. Może to nie *Seks w wielkim mieście*, ale dzieliłyśmy się wrażeniami i wiedziałyśmy, że połowa Denver nie dostanie stenogramu naszej rozmowy jeszcze przed północą.

– Tak – odparłam.

– Jak bardzo?

Spojrzałam na nią.

– Bardzo, bardzo.

Uśmiechnęła się, ja również.

– Tak strasznie się cieszę – szepnęła.

Też powoli zaczynałam pozwalać sobie na radość.

Dostałam drinka, zamówiłam sałatkę z kurczakiem buffalo i dodatkowym serem pleśniowym. Marianne oznajmiła, że jest na diecie i wzięła to samo, ale bez sera.

Jadłyśmy przy barze, potem Marianne poszła do toalety, a ja piłam trzeciego drinka, gdy ktoś odgarnął mi na bok włosy, dłonią przesuając po nagim ramieniu. Odwróciłam się i podniosłam wzrok: za mną stał Lee.

Ogolił się i przebrał. Miał na sobie wytarte džinsy, które wyglądały na nowe, brązowe kowbojki i zieloną koszulę z kołnierzykiem. Wyglądał świetnie.

Posłałam mu szeroki uśmiech, odpowiedział zmarszczeniem brwi.

– Gdzie masz resztę ubrania?

Spojrzałam na sukienkę, potem na niego.

– Niczego nie brakuje. Nie podoba ci się?

– Podobałaby mi się bardzo, gdybyś nosiła ją w mojej kuchni, smażąc steki. Nie podoba mi się, że masz ją na sobie, siedząc na stołku w barze i banda facetów już czuje twoje nogi na plecach.

O, matko.

– Lee, musisz sobie odpuścić tę zazdrość i zaborczość.

– Indy, musisz przywyknąć, że jestem zazdrosny i zaborczy.

Jasne.

Nie ciągnęłam tematu. Ja nie zamierzałam zmieniać stylu, on nie zamierzał się z tego cieszyć. Sytuacja patowa.

– Jadłeś kolację?

– Przegryzłem coś w domu.

Zamówił sobie piwo.

Marianne nie wracała, więc zagaiłam:

– Musimy pogadać o Eddiem.

Lee wsunął się w przestrzeń między mną a stołkiem Marianne, biodrem dotykał moich kolan, oparł się o bar.

– Musimy. Od teraz widzisz się z Eddiem tylko wtedy, gdy jestem przy tobie.

Zacisnęłam zęby.

– Dobra, to najpierw musimy pogadać o tym, że ciągle mną dyrygujesz, a ja strasznie tego nie lubię.

Iskierki rozbawienia w kącikach oczu, pewnie znów pomyślał, że jestem słodka.

– Mówię serio – dodałam.

Dostał piwo, przesunął banknot po blacie, napił się i nachylił do mnie.

– Tak to właśnie działa. Ja mówię ci całkiem szczerze i serio, jak się czuję, ty robisz to samo. Wiele razy nie będziemy się zgadzać, ale poradzimy sobie.

Zamrugłam.

Naprawdę uważał, że to się uda?

– Wie, że słyszałaś naszą rozmowę. Ja znam stanowisko Eddiego, on zna moje. Jeśli między tobą a mną będzie dobrze, Eddie nie stanowi zagrożenia. Jeśli nie, na pewno wkroczy do akcji.

– To załapałam.

– Nie zamierzam dopuścić do tego, żeby coś poszło źle, co nie znaczy, że Eddie nie spróbuje ci pokazać, co tracisz.

Cholera.

– Dlatego chcę być przy tobie, i tak, jestem zazdrosny i zaborczy, a teraz ty wiesz, jak się z tym czuję. Jeśli się z nim widzisz, gdy mnie nie ma, odpowiedzialność spada na ciebie. W porządku?

– Czyli nie mówisz mi, co mam robić, tylko wyjaśniasz, co byś chciał.

– Gdybym chciał być z kobietą, która posłusznie wykonuje moje polecenia, nie byłbym z tobą.

Nie znam żadnej kobiety, która podporządkowywała się komuś, ale podejrzewam, że gdzieś jakieś istnieją. Po prostu nie mam takich znajomych.

– Skoro tylko tłumaczysz mi, jak się z tym czujesz, na pewno potrafisz zrobić to tak, żeby nie zabrzmiało jak rozkaz.

– Przywykłem wydawać rozkazy, a jeśli to, co mówię, tak właśnie brzmi, to nikła szansa, że posłuchasz.

Spojrzałam na niego groźnie. Uśmiechnął się.

Marianne wróciła i musieliśmy skończyć tę rozmowę. Potem we dwie pogadałyśmy jeszcze chwilę, Lee stał za mną, sącząc piwo. Był tak blisko, że

mogłam oprzeć się plecami o jego tors. Bardzo wygodne. Co jakiś czas Marianne spoglądała na nas i wzdychała.

Potem odprowadziliśmy Marianne do samochodu. Uścisnęłam ją na pożegnanie. Wróciliśmy przed Hornet. Lee zaparkował niemal przy samym wejściu.

– Jak zdobyłeś to miejsce? – spytałam, gdy otworzył przede mną drzwiczki.

– Po prostu mi się pofarciło.

Akurat. Na pewno to był jeden z jego „sposobów”.

Ruszyliśmy, gdy zadzwonił jego telefon. Odebrał, przecinając cztery pasy Broadwayu, żeby skręcić w prawo do mnie do domu.

– Co jest? – spytał, a potem warknął: – Szczegóły.

Skończył słuchać, włączył się w sznur samochodów i położył komórkę na desce rozdzielczej.

– Myślałem, że to będzie spokojna noc. Potrzebuję spokojnej nocy – wymruczał do przedniej szyby.

– Co robimy?

– My nic. Ja muszę coś zrobić, ty czekasz w samochodzie.

– To zabrzmiało jak rozkaz.

– Bo to był rozkaz.

Hm.

– To Luke powinien być dziś pod telefonem, ale jest w szpitalu, więc brakuje nam jednego człowieka. Myślałem, że dziś odpocznę, mamy tylko jednego poszukiwanego, który może zaczekać, a chłopaki i tak robili za dwóch, swoje zadania i rzeczy dla ciebie, chociaż teraz wszystkie twoje obiekty są albo martwe, albo w areszcie, albo zatrudnione w księgarni. Nagle informator dzwoni do Ike’a, który siedzi w monitoringu... poszukiwany wypłynął. A ja pozwoliłem Bobby’emu i Vance’owi jechać do domu. Vance mieszka w domku poza Golden, ja jestem najbliżej. Bobby dobije jako wsparcie, powinien być pięć minut po mnie.

– Skąd wiedzą, że jesteś najbliżej?

– Wszystkie samochody firmowe są wyposażone w urządzenie śledzące. Crossfire i twój volkswagen również.

Mój volkswagen? A to nowina.

– Serio?

– Serio.

– Ale mój samochód w zasadzie cały czas stoi w jednym miejscu – zauważyłam, choć Lee świetnie o tym wiedział, skoro prawie wszędzie mnie wozi.

– Mhm – mruknął tylko.

– Zdejmiesz teraz to urządzenie, gdy znaleźliśmy Rosiego?

– Jesteś pod ochroną Nightingale Security.

Co takiego?

– Myślałam, że już nie robisz w ochronie.

– Zajmuję się tym tylko w wyjątkowych przypadkach. Chłopaki mają oko na moje mieszkanie, od niedawna też na twoje.

– No raczej nie czuję się z tym dobrze.

– Zacznieś to doceniać, jak jakiś świr w ramach zemsty na mnie dotrze do ciebie, a moi chłopcy znajdą cię w pięć minut, a nie dopiero po tym, jak już cię zgwałci i zamorduje.

O cholera.

Uruchomiłam kontrolę mentalną, która objęła wyparciem również ten temat, i spytałam o coś innego.

– Kim jest Ike?

– Jednym z moich ludzi.

– Ilu z nich jeszcze nie znam?

– Luke’a, Mace’a, Jacka.

Mace? Kto nosi imię Mace?

– Masz pracownika o imieniu Mace? – No, nie mogłam nie spytać.

– Oficjalnie to Mason. Ale brzmi słabo, więc mówimy na niego Mace.

Aha, aha, aha.

Podjechaliśmy do baru na Colfax Avenue, o którego istnieniu nigdy nie słyszałam, może dlatego, że nie spędzałam zbyt wiele czasu na Colfax.

Wyglądał na spelunkę.

Lee zaciągnął ręczny, wyłączył silnik i odwrócił się do mnie.

– Zostajesz w aucie, nie pokazujesz się i trzymasz drzwi zamknięte. Bobby zaraz tu się zjawi.

Skinęłam głową.

Wyszedł. Zablokowałam drzwi i patrzyłam, jak idzie. Potem przechyliłam się do deski rozdzielczej, znalazłam, gdzie się otwiera bagażnik, i wzięłam kluczyki. Wsiadłam i podeszłam do bagażnika, mój pas nadal tam leżał. Dałam Ally swój gaz pieprzowy, Eddie zabrał mi taser, został tylko paralizator działający z bliska. Wzięłam go, zatrzasnęłam bagażnik, zamknęłam samochód i poszłam w stronę baru.

Zrobiłam to z kilku powodów. Po pierwsze: w samochodzie czułam się wystawiona na widok i totalnie bezbronna. Po drugie: nie lubię, jak się mnie zostawia, a po trzecie: zaczynałam rozumieć, czemu faceci kochają takie jazdy. To jak haj. I wreszcie: chciałam zobaczyć Lee w akcji.

Weszłam do baru i stanęłam jak wryta.

Od momentu, gdy Lee wysiadł z samochodu, minęły może dwie minuty, a na podłodze już leżał rozciągnięty wielki ciemnoskóry facet. Ręce i nogi miał rozsunięte, jedną rękę trzymał na głowie, drugą był przypięty kajdankami do rury, która biegła na dole pod barem przez całą długość.

Lee stał na środku sali, a jakiś gość – albo pijany, albo niezadowolony z tego, co się tu stało – atakował go jak szarżujący byk. Lee unikał ciosów, odchylając głowę i skręcając ciało, a potem nagle jego pięść trafiła napastnika prosto w lewe oko. Zaskoczenie i siła ciosu odrzuciły faceta na trzy metry.

Lee ruszył w jego stronę, a wtedy jakiś inny koleś na niego skoczył, kolejny chciał zaatakować z tyłu. Lee pochylił się, przerzucając napastnika przez ramię, potem nagle się wyprostował i rzucił na tego, który się zbliżał. Obaj klienci rąbnęli w stół, szklanki i butelki poleciały po kątach.

To było jak sygnał: wybuchła bijatyka pełna krzyków, jęków, latających butelek piwa i rozwalanych mebli. W jednej chwili Lee miał tu występ solowy, w drugiej wszyscy brali w tym bajzlu udział.

Do Lee przyskoczyło dwóch nowych klientów, odwrócił się do jednego z nich, może nie olbrzyma, ale i nie kurdupla, złapał go za podkoszulek i pasek spodni, podniósł i cisnął przez salę.

Tak po prostu.

Facet, który oberwał chwilę wcześniej, właśnie doszedł do siebie i sunął

w stronę swojego pogromcy; pomyślałam, że to dobry moment, aby wkroczyć do akcji. Nacisnęłam przełącznik na paralizatorze, usłyszałam potrzaskiwanie, podeszłam i dotknęłam faceta elektrodami. Znieruchomiał i padł jak długi.

A niech mnie. Niezłe.

Lee spojrzał na mnie, lekko pokręcił głową, odwrócił się i załatwił kolejnego faceta ciosem w szczękę.

– Ej, ty, białaska! Co ty se, kurwa, myślisz? – Jakaś ciemnoskóra kobieta; trzymała rękę na biodrze i potrzasała głową. – Nie możesz tak po prostu paralizować mojego chłopca... Nie możesz...

Przystawiłam elektrody do niej, padła jak ścięta.

– Ty, suko! Uważaj, z kim zadzieras! – Ruszyła do mnie kumpelka tamtej, mocno wkurwiona i już w trybie wpierdolu.

Nachyliłam się i ją też paralizatorem posłałam na podłogę.

Mimo panującego chaosu, ja i mój trzeszczący sprzęt zyskaliśmy trochę wolnej przestrzeni. Potem dwie dłonie spoczęły na moim pasie, zostałam podniesiona i posadzona na barze. Lee pochylił się, wziął mnie za kostki, przerzucił moje nogi przez kontuar, a potem pchnął mnie lekko między łopatki, posyłając na drugą stronę.

Wszedł Bobby, namierzył Liama i przebił się do niego. Obaj się pochylili, więc nie mogłam ich widzieć ze swojej miejscówki. Wokół rozpętało się pandemonium, dwa razy musiałam się uchylić; raz, żeby uniknąć butelki z piwem, drugi raz, żeby nie dostać krzesłem.

Bobby i Lee wyłonili się z wrzawy, prowadząc tamtego wielkiego gościa, który teraz miał ręce skute za plecami.

Bobby trochę go podtrzymywał, a trochę pchał, facet był albo znokautowany, albo zamroczony. Bobby, jeszcze większy od tego typu i chyba nawet większy niż ktokolwiek w knajpie, bez problemu przedzierał się przez tłum.

Lee wskoczył na bar, podniósł mnie i znów posadził na kontuarze, przeprowadzając tę samą operację w drugą stronę. Zeskoczył na podłogę, złapał mnie w pasie i wyniósł z lokalu.

Wyły syreny, podjechał wóz policyjny. Gdy przekraczaliśmy próg, Willie i Brian już szli do baru; nadjeżdżał drugi radiowóz.

Na mój widok Brianowi opadła szczęką.

Willie spojrzał na Lee, doszło do jakiejś niewerbalnej komunikacji;

zrozumiałam z niej tyle, że Lee stracił w tym roku szansę na zdobycie tytułu najlepszego chłopaka córki policjanta.

– Odwiozę Indy i widzimy się na posterunku – poinformował Bobby’ego, gdy ten wsadzał wielkiego gościa na tył SUV-a i skuwał mu nogi.

Krew we mnie wrzała. Nigdy nie brałam udziału w barowej bójce, jeśli nie liczyć tego, co się działo w BJ Carousel, chociaż tam była raczej strzelanina.

I odkryłam, że uwielbiam paralizatory. Są zajebiste, pod warunkiem że to ty ich używasz, nie ktoś na tobie.

A Lee w ogóle wymiatał.

Spokojny, wyluzowany, panował nad wszystkim.

Nikt go nie uderzył, nikt nawet się do niego aż tak nie zbliżył.

Jechaliśmy w dół Colfax, Lee lawirował między samochodami. Nie odezwał się ani słowem.

– Myślisz o tym, żeby znów wziąć mnie w kajdanki? – spytałam.

– Nie, zastanawiam się, czy muszę wyjechać z miasta, żeby uniknąć linczu.

Hm.

– Mogę zatrzymać paralizator?

Nie odpowiedział.

Gdy zahamował przed moim domem, odwróciłam się do niego. Nie mogłam ukryć swojego nabuzowania.

– To bardzo źle, że jestem nakręcona?

Odwrócił się do mnie, twarz miał w cieniu.

– Nie.

– Nauczyłeś się tak bić w siłach specjalnych?

– Nie. Nauczyłem się tak bić w barach.

– A ty nie jesteś nabuzowany?

Wyglądał na spokojnego.

– Jestem. Dlatego chciałbym, żebyś wysiadła z samochodu, wtedy będę mógł podjechać na posterunek, załatwić papierologię i wrócić do ciebie, żeby z tobą rozładować to napięcie.

O, kurczę.

– Dobra! – rzuciłam szybko, cmoknęłam go i wyskoczyłam z auta.

Odjechał, gdy już weszłam do domu.

Wypuściłam Chowleenę na podwórko i pobiegłam na górę.

Znalazłam czerwone koronkowe majtki i pas do pończoch.

Po pierwsze: chciałam się jakoś odwdzięczyć, po drugie: chyba zdecydowałam, że to najwyższy czas, by szczęście przedarło się przez mur, który zdaniem Lee budowałam wokół siebie.

Moim facetem jest zajebiście seksowny i niemożliwie przystojny twardziel.

Miałam wyłącznie czarne pończochy, więc nie było wyboru; do tego czarne szpilki z niebezpiecznie ostrym czubkiem, bardzo wysokim i cienkim obcasem oraz seksownym paskiem na kostce. Wyjęłam je szybko z pudełka, rozebrałam się, włożyłam bieliznę, narzuciłam krótki szlafroczek i wpuściłam Chowleenę do domu. Potem wygładziłam pończochy, zapaliłam lampkę na stoliku, która dawała dość światła, żeby coś widzieć, ale bez żadnych szczegółów.

Zacząłam krążyć po pokoju i czekać na Lee. Wkrótce się zjawi, przecież jest nakręcony i pragnie jak najszybciej wrócić do domu.

Postawiłam szpilki obok łóżka, żebym mogła je szybko włożyć, gdy usłyszę, że wchodzi.

Potem położyłam się na łóżku.

Wtedy zeszła ze mnie adrenalina i zasnęłam.

Rozdział 21

To nie są ćwiczenia

Usłyszałam, jak Lee mamrocze „cholera” i łapie mnie za nadgarstek.

Otworzyłam oczy: leżał na łóżku, trzymając się za policzek.

– Hej – rzuciłam sennie.

– Nie czekałaś długo. – Puścił moją rękę.

– Padłam.

Leżał na poduszkach, miał rozpiętą koszulę, dżinsy bez paska. Wydawał się taki ciepły i przytulny, więc podciągnęłam się do niego i schowałam twarz w jego szyi. Jedną ręką objął moje ramiona, drugą pocierał szczękę.

– Coś się stało?

– Jak się kładłem, obróciłaś się gwałtownie i oberwałem.

Oj.

– Przepraszam. Czasem mi się to zdarza. Mam niezwykle aktywny sen.

– Coś o tym słyszałem.

Przywarłam do niego mocniej, położyłam mu rękę na brzuchu. Zamknęłam oczy i wtuliłam policzek w jego ramię.

– Co robisz? – spytał.

– Zасыpiam. Jestem śpiąca.

– Już nie nakręcona?

– Nie-e – wymruczałam, moszcząc się wygodniej. – Teraz śpiąca.

Odwrócił się na bok, jedną rękę położył na moim biodrze i lekko je odsunął. Uchyliłam powieki.

Dłoń przewędrowała z biodra na tyłek, sunąc po szlafroku.

Spojrzałam na niego. Panował półmrok, ale widziałam gorący, pożądlivy wzrok.

Mm...

– Wciąż nabuzowany?

– Totalnie. – Musnął wargami mój policzek, zszedł do szyi.

Włożył rękę pod szlafrok, wymacał pas do pończoch i zastygł.

Zdążyłam o tym zapomnieć.

– A... zanim zasnęłam, planowałam małą niespodziankę – wyjaśniłam.

Przesunął palcem do miejsca zamocowania pończoch.

– Mhm, czuję.

Sięgnął i zapalił lampkę przy łóżku; rozproszone romantyczne światło zniknęło.

– Lee, zgaś...

– Cicho. Chcę cię widzieć.

Rozwiązał mi szlafrok i rozchylił poły. Czułam się trochę głupio, kupiłam ten pas z czystego pragmatyzmu, po prostu uważałam, że pończochy są wygodniejsze od rajstop. Nie używałam jeszcze tego zestawu w celach pokazowych.

Lee przyglądał się, potem podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Był w nich cień tego, co widziałam w szatni jego biura. Poczułam dreszcze: ewidentnie ledwie nad sobą panował.

– To jak prezent na Gwiazdkę – powiedział.

Przesunął palcem po koronce stanika, potem przejechał po niej językiem.

A ja niespodziewanie przestałam być śpiąca.

Usta Lee znalazły się na mojej piersi, powędrowały w górę, aż dotarły do warg.

– Czy ta bielizna ma jakąś sentymentalną wartość?

Uniosłam brwi. Chciałam go pocałować, a on mi tu wyjeżdża z sentymentalną wartością majtek. Znowu zazdrość i zaborczość? Pytał, czy bielizny nie kupił mi jakiś facet?

Wtuliłam się w niego, założyłam nogę na jego talię, rękami objęłam szyję.

– Nie, sama sobie kupiłam, po prostu żeby nosić.

– Więc jeśli je z ciebie zedrę, a potem odkupię, nie przeżyjesz traumy?

O, rany.

Spojrzałam mu w oczy. Kontrola zanikała, ustępując bestii.

Nie byłam pewna, czy zdołam zapanować nad głosem, więc tylko skinęłam głową.

– To dobrze – wymruczał.

Już po wszystkim pół leżałam, pół siedziałam na nim okrakiem, z twarzą wtuloną w jego szyję.

Gdy uspokoił mi się oddech, spytałam:

– Nie jestem za ciężka?

– Nie.

Jego dłonie błędziły po moich plecach, tuż nad tyłkiem. Dobrze, że nie było mu niewygodnie, bo zamierzałam trwać tak przez resztę życia.

Zgarnął rękami moje włosy, pociągnął lekko.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego; przesunął wzrokiem po mojej twarzy i się uśmiechnął.

– Co? – zdziwiłam się.

– Lubię patrzeć na twoją twarz, jak już skończymy. Jesteś taka szczęśliwa, zrelaksowana... – przerwał i dodał łagodnie: – Taka spełniona.

Poruszyłam głowę, puścił włosy. Opadły na nas, znowu schowałam twarz w jego szyi, a on odgarniał kosmyki, przesuwał po nich palcami.

– Zarozumialec – wymruczałam w jego skórę.

Poczułam drżenie śmiechu w jego ciele, objął mnie.

– Lubię to – wymamrotałam sennie.

– Co?

– Czuć w ten sposób twój śmiech. Kiedyś śmiałeś się bez przerwy. Teraz już nie tak często.

– Unikałaś mnie i rzadko byłem obok ciebie.

– Chcesz powiedzieć, że śmiałeś się cały czas, tylko ja tego nie widziałam?

– Nie. Mówię, że kiedyś śmiałem się często, bo byłem przy tobie. Jesteś zwariowana i zabawna. Między innymi to w tobie kocham.

Znieruchomiałam.

– Co powiedziałaś?

– Że jesteś zabawna.

– Nie, to później. – Milczał, więc uniosłam głowę i spojrzałam na niego. – O tym, że coś we mnie kochasz.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Tak jest – odparł.

– Co jeszcze we mnie kochasz?

Nadal patrzył łagodnie, miał ciepły wzrok i cholernie seksowny wyraz spełnienia na twarzy, ale instynktownie wychwyciłam, że stał się czujny.

– Kocham twój tyłek, twoje włosy i nogi – odparł.

– To wszystko?

– I oczy.

Zmrużyłam je, przeszyłam go wzrokiem.

– To wszystko?

– Właściwie najbardziej kocham tyłek.

Uniosłam się, ale on obrócił mnie i przygwoździł własnym ciałem.

– Żebym miał pewność, co się właściwie dzieje – zaczął. – To senna mamrotanka po seksie i za chwilę odpłyniesz w krainę snu czy rozmawiamy poważnie?

Już teraz rozmawialiśmy poważnie. Odechciało mi się spać, czułam się spłoszona i serce waliło mi jak młotem.

– Rozmawiamy poważnie – odparłam twardo.

– Okay. To jeszcze chciałbym wiedzieć, czy opuścisz gardę i będziemy mieli szansę na szczerą wymianę zdań?

Hm, na to pytanie odpowiedź już nie wydawała się taka prosta.

Patrzył na mnie.

– No więc właśnie – wymruczał.

Cholera.

Cholera, cholera jasna.

– I mimo wszystko przedstawię ci swoje intencje – powiedział. – To nie są

ćwiczenia i nie tylko dlatego, że na szali znajdują się rodzina i przyjaciele. To dlatego, że cię kocham. Jesteś zwariowana, zabawna, piękna i troszczysz się o ludzi. Lubię to, jak na mnie patrzysz, gdy myślisz, że tego nie widzę. Cieszę się, że mamy historię, że nasze dzieci będą częścią dużej rodziny i będą dzielić tę historię, bo ich rodzice od zawsze są razem. Gdyby seks z tobą był słaby, może bym to przemyślał, ale razem w łóżku jesteśmy jak dynamit. Chcę się z tobą ożenić i spędzić razem resztę życia. Jeśli to cię przeraża, trudno, bo teraz, skoro już zaczęliśmy, nie ma odwrotu.

Po kilku uderzeniach serca zrozumiałam, że nie oddycham; zrobiłam świadomy wysiłek, żeby znów nabrać powietrza.

Przyglądał mi się uważnie.

– Chcesz coś powiedzieć?

Było mnóstwo rzeczy, które chciałam powiedzieć, ale nie czułam się jeszcze na to gotowa.

– Kiedy zrozumiałeś, że mnie kochasz?

Zsunął się ze mnie, położył na boku i obrócił mnie tak, że leżeliśmy teraz w twarz w twarz.

– Wtedy, gdy ostatni raz próbowałeś mnie uwieść. Wróciłem do domu na przepustkę, ty rzuciłaś się na mnie w salonie twojego taty, a ja powiedziałem, że traktuję cię jak siostrę.

Serce mi się ścisnęło na to wspomnienie. Najgorsza, najbardziej upokarzająca, najstraszniejsza chwila w moim życiu.

– Nie rzuciłam się.

– Ale prawie.

Jezu.

– Dlaczego wtedy mi tak wypaliłeś?

– Zawsze chciałem się z tobą przespać, odsuwanie cię bolało niemal fizycznie. A gdy to powiedziałem i spojrzałem na twoją twarz, naprawdę poczułem się podle. Bolało mnie to, że cię krzywdzę. Wtedy zrozumiałem.

– Dawne dzieje.

Przesunął rękę na moje plecy i przyciągnął mnie.

– Tak, zmarnowaliśmy szmat czasu. Dużo do nadrobienia.

Pieścił moją szyję, ale ja jeszcze nie skończyłam rozmowy.

– Chciałbyś się ze mną ożenić?

– Nie tyle chciałym: ożenię się. – Oderwał głowę od mojej szyi. – Przeprowadzasz się do mnie w ten weekend. Będziemy razem mieszkać, przyzwyczajając się do siebie, wyjedziemy do domku, a może jeszcze gdzieś, gdzie jest plaża. Za kilka miesięcy dam ci pierścionek, potem się pobierzemy.

Nie wierzyłam w to, co słyszę.

– Wszystko zaplanowałeś.

– Właściwie... tak.

– I to już?

– Już. Nie tak to się zwykle odbywa?

– Pewnie tak, ale...

Poczułam, że znów się śmieje.

– No nie do wiary: India Savage chce, żeby było ckliwie i romantycznie.

Podniosłam się na łokciu. Bezczelny! Ja i ckliwie? Halo, jestem rockową dziewczyną!

– Nieprawda – warknęłam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Prawda.

– Nie – ucięłam.

Przerzucił mnie na plecy i znów znalazł się na górze. Trzymał ręce przy moich włosach i patrzył mi prosto w oczy.

– Nie będzie ckliwie, ale słowo, że się nie rozczarujesz.

– Zarozumialec.

– Kochanie, mam to gdzieś, czy mi wierzysz, że między nami wszystko doskonale się ułoży. Ja wiem, że obojgu nam się spodoba, jak będę ci to udowadniał.

Spiorunowałam go wzrokiem.

W ogóle się tym nie przejął, zsunął się na bok i przytulił mnie do siebie.

Myślałam, że mózg nie da mi zasnąć, ale się myliłam. Zatopiłam się w zmęczeniu, ciepłe jego ciała i tym słodkim uczuciu, że jestem dokładnie tam, gdzie powinnam być.

Obudziłam się przytulona do pleców Lee, z policzkiem wciśniętym w jego łopatkę.

Spojrzałam ponad nim na zegarek, pięć po szóstej.

I chociaż było mi ciepło i dobrze, to skoro się obudziłam, musiałam wstać.

Lee nadal spał, więc delikatnie odsunęłam się i zaczęłam przemieszczać na drugą stronę łóżka.

Odwrócił się, złapał mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

Czekałam, co dalej, a po chwili zrozumiałam, że śpi.

– Lee...

– Mm? – wymruczał seksownie przez sen.

– Kochanie, muszę iść do łazienki.

Puścił mnie i zsunęłam się z łóżka.

Podniosłam czerwone majtki, które jednak nie zostały podarte (mało brakowało), włożyłam je, narzuciłam koszulę Lee i zapięłam guziki.

Poszłam do łazienki, umyłam zęby, użyłam nitki dentystycznej i ochlapałam twarz. Zrobiłam niedbały kok na czubku głowy i poszukałam w szafkach zapasowej szczoteczki do zębów. Składowałam trzy. Nie, nie spodziewałam się gości, po prostu miałam świra na punkcie higieny zębów. Położyłam szczoteczkę dla Lee na blacie przy umywalce.

Zeszłam do kuchni, nastawiłam kawę i wypuściłam Chowleeneę na dwór; otworzyłam furtkę na tyłach między moim podwórkiem a sąsiadów, żeby sobie swobodnie pobiegała.

Piłam drugą kawę, przeglądając e-maile przy stole w jadalni, ze stopami na drugim krześle i kolanami pod brodą, gdy pojawił się Lee.

Włosy miał w seksownym nieładzie, na policzkach jednodniowy zarost. Włożył jedynie dzinsy i zapiął na kilka guzików, żeby nie zsuwały się z bioder. Nadal był zaspany, jakby obudził się przed sekundą. Szedł prosto do mnie.

– Cześć – rzuciłam.

Wsunął dłoń w moje włosy, odchylił mi głowę i pocałował, mocno i głęboko, z języczkiem.

Gdy podniósł głowę, powiedział:

– Nie lubię się budzić, gdy nie ma cię obok mnie.

Zamrugałam.

– Sorka – szepnęłam.

Puścił moje włosy i wszedł do kuchni.

Jezu.

Chyba też potrzebował porannej kawy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi; wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, kogo przyniosło o tak niehumanitarnej godzinie. Pewnie nadciągała apokalipsa i Lee znowu musi ratować świat.

Przed domem stał Eddie.

Szlag.

Podeszłam, zdjęłam klucz z haczyka obok futryny, otworzyłam jedne drzwi, potem drugie – antywłamaniowe.

Eddie wyglądał prawie tak jak wczoraj, tylko dzinsy miał bardziej wymięte, a białą termiczną podkoszulkę zmienił na czarną.

– Cześć, Eddie.

Wszedł i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Siema. Szukam Lee. – Przesunął po mnie wzrokiem, zarejestrował, że noszę koszulę Lee. – I chyba go znalazłem.

– Hej – rozległ się głos z głębi domu i oboje się odwróciliśmy.

Lee stał w kuchennych drzwiach, z kubkiem w ręku. Dzinsy miał już zapięte, wzrok chłodny, twarz pozbawioną wyrazu.

Oho.

Ale sytuacja.

Nikt się nie ruszał, nikt się nie odzywał.

Postanowiłam to przerwać.

– Eddie, napijesz kawy? – spytałam, przechodząc do salonu.

– Pewnie, trzy łyżeczki cukru i śmietanka. Dzięki.

Zalotnie przechyliłam głowę.

– Lubisz słodko, co?

Cholera!

Szlag, szlag, szlag!

Flirtowałam zupełnie odruchowo, chociaż wcale nie chciałam.

Eddie spojrzał na mnie, w jego oczach zabłysło rozbawienie.

– Tak, lubię słodko.

Niech to.

– Zaraz zrobię – mruknęłam i przeszłam szybko przez pokój.

Lee nadal stał w drzwiach do kuchni; nie ruszył się, chociaż szłam w jego stronę.

W ostatniej chwili przesunął się, ale nieznacznie. Musiałam się precyzyjnie. Niemal czułam, jak mnie spała spojrzeniem.

Gdy byłam w kuchni, wszedł do salonu.

– Co tu robisz? – zwrócił się do kumpla.

– Szukałem cię.

– Znalazłeś – nie zabrzmiało to miło, w powietrzu gęstniało napięcie.

– Słyszałem, że ty i Indy braliście wczoraj udział w tej rozróbie na Colfax – oznajmił Eddie.

O, cholera. Niedobrze.

Wyjęłam kubek.

– Jakiej rozróbie? Pojechałem zgarnąć gościa, Indy miała poczekać w samochodzie. Ponieważ rwała się, żeby przetestować paralizator, weszła do knajpy za mną i powaliła kogoś, kto do niej wystartował. Potem przybyło moje wsparcie i na tym koniec. – Odczekał chwilę i dodał: – Chyba została miłośniczką paralizatorów.

Eddie odpowiedział po chwili ciszy:

– Tak, o tym też słyszałem. Willie widział ją z paralizatorem w ręku. Mówił, że podłoga była usłana jej ofiarami.

Cisza.

Wstrzymałam oddech, sypiąc cukier do kubka.

Potem usłyszałam cichy śmiech.

Odetchnęłam.

No dobra, może połączyło ich moje wariactwo, co dość krępujące, jednak coś ich połączyło.

Weszłam do salonu, podałam kawę.

– Idę się ubrać – oznajmiłam.

Lee omiółtł mnie spojrzeniem, ale nie potrafiłam odgadnąć jego myśli.

– Jak się ubierzesz, znieś tu moją koszulę, dobrze?

Skinęłam głową i weszłam po schodach do sypialni. Zastanawiałam się, jaki ma humor, i doszłam do wniosku, że chyba nie najlepszy po tym incydentalnym flircie.

Założyłam czerwony stanik i czerwone sportowe spodnie z szerokim białym pasem, który biegł od kostki w górę, przez tyłek i spadał w dół drugiej nogawki. Dorzuciłam białą cieniutką bluzkę z niedużym dekoltem, spryskałam się perfumami, użyłam dezodorantu, pudru, różu i tuszu. Wsunęłam nogi w czerwone klapki i ruszyłam na dół.

Lee i Eddie siedzieli, a raczej póллеżeli rozwaleni po królewsku przy moim stole.

Spoko.

Podeszłam do nich.

– To pierwszy dzień Texa przy porannym ruchu, idę do pracy – poinformowałam.

Lee przyglądał mi się, gdy do niego pochodziłam, wzrok Eddiego sunął po mnie i zatrzymał się na moim biuście.

Nie reagując na prowokacyjne spojrzenie, podałam koszulę Lee. Wziął ją i wzruszył ramionami.

– Do zobaczenia – rzuciłam.

Chciałam odejść, ale złapał mnie za rękę; odwróciłam się.

– Zaraz, moment. Dwie rzeczy...

– Co jest?

Spojrzał na moją bluzkę.

– Po pierwsze: przebierz się w coś normalnego.

Że... co?

– Przepraszam? – dałam mu szansę. Niemożliwe, że to powiedział...

– Nie wyjdiesz z domu w czymś takim – odparł.

A więc jednak. Właśnie to powiedział.

Nie wiedziałam, czy to huczy w pokoju, czy tylko w mojej głowie; było jak na filmach przed trzęsieniem ziemi, które za chwilę pochłonie budynki i samochody.

– Przepraszam? – powtórzyłam, tym razem głośniej.

Eddie podniósł rękę, obejrzał sobie paznokcie. Siedział bokiem, ale i tak wiedziałam, że się uśmiecha, poznałam po cholernym dołeczku w jego poliku.

– Może porozmawiamy o tym na górze – zasugerował Lee, widząc, że patrzę na jego przyjaciela.

– Może porozmawiajcie o tym w świecie równoległym, gdzie jakaś inna Indy nie będzie miała w dupie tego, co jakiś inny Lee chciałby, żeby nosiła.

Tak, jechałam po całości.

Eddie wstał.

– Doleję sobie kawy.

– Przepraszam cię, Eddie – rzuciłam, zanim zniknął w kuchni.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – odparł, biorąc kurs na ekspres.

Gdy zniknął, zwróciłam się do Lee.

– Powiedz mi, że właśnie nie wydałeś mi polecenia, żebym się przebrała – wysyczałam.

– Powiedziałbym, gdyby widok twojego flirtu sprzed chwili nie wrył mi się w mózg.

Miałam rację. Nie podobało mu się, że jestem zalotna.

Wyrwałam rękę z jego uścisku.

– W porządku, Eddie! – zawołałam. – Możesz wrócić, ja już wychodzę!

– Spróbuj przekroczyć próg, a zaniosę cię na górę i sam przebiorę – zagroził Lee.

Eddie oparł się o framugę w kuchni.

– Chyba jeszcze nie skończyliście – zauważył i dodał: – Tak czy siak, muszę przyznać Lee rację. Gdybyś była moją kobietą, nie ma opcji, żebym wypuścił cię z domu w takim stroju.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie.

– Ktoś cię o coś pytał?

– Nie, ale próbuję pomóc – odparł z uśmiechem.

Otworzyłam usta, żeby zacząć krzyczeć, wrzeszczeć albo przeklinać, gdy zza drzwi dobiegło:

– Juhuu!

I oto pojawił się Tod w stroju stewarda.

– Zobaczyłem Chowleene, całą i zdrową, i twoje otwarte drzwi. Wiem, że zawsze masz kawę, a ja masakrycznie potrzebuję kofeiny. Mamy na chodzie tylko jeden samochód i muszę być przytomny, wrócić na lotnisko po Steviego za parę godzin, a ledwo trzymam się na nogach. Twoja kawa jest taka mocna, że rozpuszcza gwoździe, więc...

Mówił to, wchodząc do kuchni przez tylne drzwi. Wziął sobie kubek kawy i nagle wryło go w próg salonu. Stał tak przez chwilę z otwartymi ustami. Patrzył to na Eddiego, to na Lee, w końcu przeniósł wzrok na mnie.

– Co jest? Kompletujesz szwadron heterycznych maczystów?

Eddie parsknął śmiechem, Lee spojrział w bok, ale widziałam uśmiech w kącikach oczu.

Zacisnęłam zęby.

Gdy Eddie przestał się śmiać, przedstawiłam ich, skinęli sobie głowami.

– Co myślisz o moim stroju? – zwróciłam się do Toda. Zdecydowanie potrzebowałam wsparcia.

Znów spojrział na Lee, potem na mnie.

– Problemy w raju?

– Odpowiedz! – warknęłam.

– No dobra, dziewczyno, to się trzymaj. – Tod włączył tryb jurora i obejrzał mnie od stóp do głowy. – Śliczne gatki. Klapek, jak wiesz, nie lubię, ale te ujdą. Niezły stanik, i mówię to dlatego, że doskonale go widać. Moje motto brzmi: jeśli masz, co pokazywać, pokazuj. A przy twoich cyckach faktycznie jest co pokazywać. Widok tego stanika w połączeniu z bluzką może spowodować wypadek samochodowy.

Zajebiście.

Nie patrząc na Lee, obróciłam się na pięcie i ruszyłam na górę.

– Dobra, przebiorę się. Tylko dlatego, że nie chcę mieć ludzi na sumieniu.

Włożyłam dzinsy, taliowaną koszulę w kratkę w westernowym stylu, z perłowymi guzikami na przodzie i dwiema kieszonkami na piersi, zmieniłam

czerwone klapki na brązowe skórzane buty i zesłałam na dół.

Tod siedział już z chłopakami przy stole, pijąc kawę, Chowleena leżała obok niego na podłodze. Jak tylko mnie zobaczyła, zerwała się i podreptała za mną do kuchni; dałam jej ciasteczko na znak, że tworzymy jedną paczkę.

– My, dziewczyny, musimy trzymać się razem – mruknęłam i zaczęłam grzebać w szufladzie. Szukałam odjechanych okularów przeciwsłonecznych z grubymi złotymi oprawkami, à la Elvis. Będą świetnie pasować do koszuli.

Właśnie je znalazłam, gdy Lee wszedł do kuchni. Posłałam mu spojrzenie, które skruszyłoby skałę, i nałożyłam okulary na włosy.

– Na razie – rzuciłam, chcąc go ominąć.

Zaszedł mi drogę i poprowadził w kąt między lodówką a ekspresem, do miejsca, którego nie widać z jadalni.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o tej drugiej rzeczy. – Położył ręce na blacie po moich bokach.

Demonstracyjnie wsparłam dłonie na biodrach.

– I co to niby jest?

Objął mnie i pocałował.

Usiłując ochłonać i nie pokazać po sobie, jak jego pocałunki na mnie działają, zażądałam:

– Odsuń się.

– Jesteś zła – stwierdził.

– Jak cholera.

– Możemy porozmawiać o tym wieczorem.

– Nie możemy. Dzisiaj mam babski wieczór, jestem zajęta.

– Zajrzę do księgarni i wyskoczymy na lunch.

– Nie będzie żadnego lunchu, wspólnego jedzenia kolacji, wieczoru, żadnego dzisiaj ani żadnych nas, bo właśnie mamy przerwę. Nie rozmawiamy, nie widzimy się, nic nie robimy razem. Jak ochłone, to zobaczymy się jutro.

– Indy, możemy się nie widzieć w dzień, ale będziesz w moim łóżku dzisiaj wieczorem.

– Nie sądzę.

– Będę tu, jak wrócisz do domu.

– Nie wracam.

W jego oczach pojawiła się groźba, nachylił się do mnie. I tak stał bardzo blisko, mocno inwazyjnie.

– Kochanie, zapomniałaś, że częścią mojej pracy jest znajdowanie ludzi. Myślisz, że zdołasz się przede mną ukryć?

Nie myślałam, ale i tak zamierzałam spróbować.

– Widzimy się jutro – powtórzyłam, odpychając jego rękę.

W salonie pomachałam na pożegnanie Eddiemu i Todowi, którzy rozsądnie zachowali milczenie. I na tym wkurwie leciałam całą drogę do Fortnum.

Rozdział 22

Sympatyczny morderca z sąsiedztwa

Byłam już prawie w wejściu, gdy spostrzegłam wściekle zielone kartki, przyklepione, jak okiem sięgnąć, do każdego słupa linii telefonicznych i elektrycznych wzdłuż Broadwayu. Na nich jakieś zdjęcie i napisy pod spodem.

Pomyślałam, że komuś musi naprawdę zależeć na odzyskaniu zaginionego kota, więc podeszłam do jednej z nich i oniemiałam.

Na zdjęciu widniał Tex. Bez gogli noktowizyjnych (całe szczęście), za to z dziką szopą włosów, obłąkanym uśmiechem i wyglądem seryjnego mordercy z sąsiedztwa. To była czarno-biała kopia kolorowego zdjęcia, ziarnista i rozmazana, przez co jeszcze bardziej przerażająca.

Pod zdjęciem – napis:

Tex

Nizej:

Nowy gość od kawy

A na samym dole:

Fortnum

Niech to szlag.

Zdarłam ulotkę ze słupa i wpadłam do księgarni.

Było pięciu klientów, trzech stało w kolejce, dwóch czekało na obiór kawy na końcu lady. Tex i Jane działali przy ekspresie.

– Co to jest, do cholery? – krzyknęłam, wymachując jadownicę zieloną kartką.

Tex podniósł wzrok, potem wyjrzał przez okno, potem znów spojrzął na mnie i machnął w moją stronę kolbą z ekspresu. Ponieważ nie wytrząsnął fusów, pofrunęły, zataczając łuk; klienci odsunęli się, spadły na podłogę.

– Co ty robisz, kobieto? To najlepsze miejsce reklamowe, tuż przy księgarni!

Czemu to zerwałaś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie chciałam mówić, że wygląda jak seryjny morderca.

Ale, na litość boską, tak właśnie wygląda!

– Tex, wyglądasz tu jak seryjny morderca! – ostatecznie to wywrzeszczałam.

– No i co z tego?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Myślisz, że ludzie nie zapłacą za to, żeby seryjny morderca zrobił im kawę?
– wytknął.

Słuszna uwaga. W końcu to Ameryka. Ludzie stali w kolejce, żeby dotknąć swastyki na czole Charlesa Mansona.

Poszłam na zaplecze po mop, sprzątnęłam fusy i zastąpiłam Jane za ladą.

Tex kłął, uderzał, stukał i brzęczał przy każdym kubku kawy, jakby musiał siłą wydzierać napój ze sprzętu za siedem tysięcy dolców. Tłumaczyłam sobie, że ma tylko jedną sprawną rękę, ale i tak całą siłą woli musiałam się powstrzymać, żeby nie złapać się za głowę i nie zacząć wrzeszczeć.

– Co robiłaś... *dong!* wczoraj wieczorem? *brzdęk!* – zadudnił Tex.

– Bójka w barze... *chlast!* i użycie paralizatora... *hubudu!*, Lee dorwał pewnego gościa, który został namierzony, jak wracaliśmy do domu... *trzask!* – odparłam. – A ty?

– Zrobiłem plakaty, potem ja i koty poszliśmy spać... *bum!*

Poranek mijał raczej spokojnie, jeśli nie liczyć, że obie z Jane podskakiwałyśmy za każdym razem, gdy Tex maltretował ekspres (czyli często). Zastanawiałam się cały czas, dokąd pójść, żeby nie spotkać się z Lee dziś wieczorem. No, sorry: już samo mówienie swojej dziewczynie, co ma założyć, jest beznadziejne, mówienie tego przy kimś to już żenada.

Gdyby tak się zachował ktoś inny, już znalazłby się na wylocie. No, ale to był Lee: kocha mnie, chce (ba, nawet zamierza) żenić się ze mną, więc na razie jestem na niego wściekła, potem po prostu się obrażę.

Nie mogłam nocować u nikogo, kogo znam, bo on zna całe moje towarzystwo. Pozostawał hotel, ale to byłoby za proste: pewnie kazałby Brody'emu włamać się do systemu rejestracji w tutejszych hotelach i miałyby mnie w ciągu pół godziny.

Nie, muszę być sprytna. Rzecz w tym, że nie jestem aż taka sprytna.

O wpół do dwunastej przywłókł się Duke, mocno skacowany. Duke na kacu i Tex łomoczący maszyną do kawy nie tworzyli dobrego połączenia, więc kwadrans później Duke wybył walnąć sobie klina.

Poranny ruch zamarł, Tex poszedł przymocować plakat, który zerwałam. Patrzyłam, jak stoi pod słupem z takerem w rękę, i wpadłam na świetny pomysł. Wybiegłam do niego z księgarni.

– Słuchaj, Tex – zaczęłam.

– Co tam? – Przymocował ten nieszczęsny plakat tyłoma zszywkami, że teraz trzeba by go zeskrobywać ze słupa.

– Przenocowałbyś mnie dziś u siebie?

– Nie masz swojego domu?

– Nie mogę tam dzisiaj wrócić.

– A twój facet?

– Nie wchodzi w grę.

Zostawił plakat w spokoju, odwrócił się do mnie. Przyglądał mi się, wyraźnie coś rozkminiając, w końcu chyba podjął decyzję, bo wzruszył ramionami.

– Okay, będziesz spać na jednej kanapie z Mruczkiem, Maluchem i Florą.

– Dzięki!

Dobra, przyznaję: uwielbiałam spać z Lee. Był taki ciepły, wygodny i silny, że czułam się przytulnie zaopiekowana. Nie sądziłam, żeby Mruczek, Maluch i Flora zdołali zapewnić takie doznania, ale w końcu to jedna noc, więc dam radę.

Dochodziła piętnasta, Duke nadal nie wracał. Jane poszła robić to, co zwykle robi, gdy nie jest w księgarni (nie wiedziałam, co to, ale zawsze wyobrażałam sobie, jak wali w klawisze starej elektrycznej maszyny do pisania niczym Angela Lansbury[12] w *Napisała: Morderstwo.*); ja siedziałam za ladą książek i przeglądałam pismo, które ktoś zostawił; Tex ulokował się na kanapie, wyglądał dziko i groźnie.

– Nuda – oznajmił.

Podniosłam wzrok znad niezwyklej opowieści o dzielnym mężczyźnie,

walczącym z rzadkim rodzajem raka, a potem wróciłam do artykułu.

Co miałam Texowi powiedzieć? No, nuda.

– Zrób coś – zażądał.

Spojrzałam zaskoczona.

– Niby co?

– Nie wiem, coś. Czy nikt nie planuje cię dzisiaj porwać albo wziąć na zakładnika?

Chryste Panie.

– Wszyscy bezpośrednio znani mi kryminaliści są albo martwi, albo za kratkami – oznajmiłam.

– To słabo.

Super.

Drzwi otworzyły się i wszedł pan Kumar, za nim powłóczyła nogami pani Salim, martwa za życia.

– Przyszliśmy odsprzedać ci twoją książkę – zakomunikował pan Kumar.

Jeszcze lepiej. Radość ze sprzedaży nie trwała długo.

– To miło, ale nie odkupuję ich za tyle, za ile sprzedaję – wyjaśniłam.

Sklepikarz pokiwał głową.

– To jak dzierzawa.

Spojrzałam na niego. Można by tak określić.

Pani Salim powlokła się w głąb księgarni.

– Chce kupić inną – poinformował mnie Kumar.

Trochę lepiej.

– Wspaniale – uśmiechnęłam się.

– Hej, Kumar. Kawy? – zawołał Tex.

– Witaj, Tex! Nie, kawy nie. Napiłbym się herbaty.

– Nie ma herbaty – zadudnił Tex.

Odwróciłam głowę, patrząc na milion opakowań Celestial Seasonings na półkach.

– Mamy herbatę – sprostowałam, zwracając się do Texa.

– Dobra, w takim razie ja nie robię herbaty.

Westchnęłam i poszłam za ladę zrobić panu Kumarowi herbatę.

Właśnie podawałam mu kubek, gdy drzwi otworzyły się i weszły Ally z Kitty Sue.

– Co tam słyhać? – zawołała radośnie Ally. – Cześć, Tex, dzień dobry, panie Kumar.

– Chcesz kawy? – burknął Tex.

Ally i Kitty Sue cofnęły się.

– Zastępuje Rosiego, to geniuszem javy – pochwaliłam.

– Tak, chętnie się napiję – odparła Ally.

Sprytne.

Tex powlókł się za ladę, znów rozbrzmiały łaskoty i łomoty.

– Babski wieczór nadal aktualny? – spytała mnie Kitty Sue.

– Tak.

– Też bym się wybrał – wtrącił się Tex.

Spojrzałyśmy na niego.

– To *babski* wieczór, Tex.

– Co? Jak to? Są jakieś zasady?

– Owszem. Pierwsza brzmi: spotykają się tylko dziewczyny – wyjaśniłam usłużnie.

– Kobieto, jeśli myślisz, że przegapię kolejną bijatykę czy pojedynek, jesteś stuknięta. Idę z wami.

Kitty Sue zbladła.

Pomyślałam, że lepiej szybko zadziałać, zanim Tex doprowadzi ją do zawału.

– Zaproszę Toda i Steviego, dla równowagi – wymruczałam.

Otworzyły się drzwi i wszedł niski, drobny facet z ciemnymi, stylowo rozczochranymi włosami, w dobrze skrojonym garniturze. W ręku miał charakterystyczną niebieskawą torebkę od Tiffany'ego.

– Czy zastałem Indię Savage?

Serce mi stanęło.

To na pewno prezent od Lee. Powiedział, że nie bawi się w ckliwy romantyzm, ale to było, zanim kazał mi (i to przy Eddiem) się przebrać. A zatem

to prezent na przeprosiny, a prezent na przeprosiny w torebce od Tiffany'ego bije wszystkie inne przeprosinowe prezenty na głowę.

Mimo to dziwne... Nie chodziło o to, że Lee nigdy wcześniej nie dawał mi prezentów. W zeszłym roku na gwiazdkę kupił dla mnie, Ally i Kitty Sue cały dzień w Tall Grass Spa w Evergreen. Na trzydzieste urodziny zafundował mi czarny pas z matowymi srebrnymi nitami i dużą kwadratową klamrą. Zwykle dostawałam srebrną biżuterię z Cry Baby Ranch albo kartę podarunkową do sklepu z płytami.

Tiffany nie było w jego stylu, ale nie miałam nic przeciwko takiej niespodziance.

Zanim zdążyłam podejść do gońca, Tex już przy nim był i wyrwał mu torbę z rąk. Gość stał jak wmurowany, patrząc ze strachem.

– Co to jest? Bomba? – Tex nie bawił się w uprzejmości.

– Daj mi to. – Ruszyłam biegiem do niego.

Przytrzymał sobie torbę temblakiem i wyjął z niej małe niebieskie pudełko. Zębami rozwiązał białą satynową kokardkę, otworzył futerał i wytrząsnął zawartość.

Stałam obok niego jak wryta i gapiłam się na kolczyki: sztyfty z brylantami. Dużymi brylantami.

Rany, Lee musi się czuć wyjątkowo podle.

– Jest liścik – wyjaśnił chłopak od Tiffany'ego, ostrożnie biorąc od Texa torebkę. Wyjął i podał mi białą karteczkę.

Otworzyłam ją – widniało na niej jedno jedyne słowo.

Terry.

Poczułam, jak wywraca mi się żołądek.

– Odłóż to – poleciłam Texowi.

– Co? – Nie zrozumiał, gapiąc się na brylanty.

– Odłóż. To. – Nie ruszył się, więc krzyknęłam: – Odłóż to, rozumiesz?! Odłóż to! Odłóż!

– Jezu, kobieto, po co taki raban, już odkładam.

– Proszę zwrócić te kolczyki – poleciłam gońcowi od Tiffany'ego.

– Nie wolno mi. Mam absolutny zakaz przyjęcia ich z powrotem.

– Musi pan! – zapiszczałam krzykiem.

– Nie mogę.

Wyrwałam pudełko z rąk Texa i chciałam wcisnąć je Tiffany’emu. Podniósł ręce i się cofnął.

– Proszę je zabrać! – nalegałam z wrzaskiem, wyciągając przed siebie rękę.

– Nie mogę. Mam zakaz przyjęcia zwrotu – powtarzał.

– Niech pan je weźmie! – nie ustępowałam.

– Na litość boską, człowieku, weź je, bo dostanie szau – wtrącił się Tex.

Nie wziął, więc rzuciłam w niego pudełkiem. Odbiło się od jego piersi, wylądowało na podłodze. Wszyscy się na nie gapiliśmy, gdy zadzwoniła moja komórka.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Spojrzałam w dół. Zombie Salim. Trzymała mnie za rękę i patrzyła mi prosto w oczy. Jej palce ścisnęły moje ramię z zaskakującą siłą, a ja ze zdziwieniem poczułam przyływ spokoju.

Wtedy dopiero zrozumiałam, że wariuję. Wzięłam głęboki wdech, skinęłam głową pani Salim i podniosłam eleganckie opakowanie. Wyrwałam torebkę z ręki Tiffany’ego, włożyłam pudełeczko do środka i postawiłam na ladzie.

Do diabła z tym.

Oddam je na jakiś cel dobroczynny.

– Indy, dzwoni Lee. – Ally stanęła obok, podając mi telefon.

Jak mogłam zapomnieć. Księgarnia jest na podsłuchu i na podglądzie, sztab dowództwa na pewno poinformował Lee o ostatniej przesyłce.

Wzięłam komórkę od Ally i stuknęłam w czerwoną słuchawkę.

Spojrzała to na telefon, to na mnie.

– Czy właśnie zrzuciłaś Lee?

– Tak.

Przez chwilę jej wzrok biegał w tę i we w tę.

– Czy właśnie zrzuciłaś mojego brata? – spytała jeszcze raz. Tryb wściekłej suki stojącej w obronie swojej rodziny gotów do odpalenia.

– Ally... – odezwała się łagodnie Kitty Sue.

– Mamy przerwę – poinformowałam przyjaciółkę.

– Macie przerwę? Byliście ze sobą tydzień! – ryknęła.

– A jednak.

– Nie wierzę! – warknęła Ally, kładąc rękę na biodrze. Do wejścia w tryb wściekłej suki zostało kilka sekund.

– Ally – wtrąciła się znowu Kitty Sue. – To nie twoja sprawa.

– Nie moja sprawa?! Lee to mój brat, a to moja najlepsza kumpela, prawie siostra!

– Weź się odwal – powiedziałam.

– Odwal się? Ja mam się odwalić? Czekałam na to dwadzieścia dwa lata! – zawyła. – Nie możecie mieć przerwy, to żalosne! Hank nigdy się nie ożeni, bo nie ma wystarczająco doskonałej kobiety, ty jesteś idealna dla Lee i co, nie możecie się dogadać! Nigdy nie będę miała siostrzenicy noszącej moje imię!

– Jezu, może zrób sobie własne dzieci! – odwrzasnęłam.

– Nie, proszę, przynajmniej dopóki nie znajdziesz właściwego faceta – odezwała się Kitty Sue.

– Ej, nie chciałbym przerywać durnej sprzeczki, ale czy te brylanty mają tak po prostu leżeć na ladzie? – włączył się Tex.

– Co się dzieje? – spytał Duke, który właśnie wszedł.

Nie wiedziałam, co robić. Jeszcze nigdy moje życie nie było w takim proszku. Jak mam sobie poradzić? Potrzebowałam przestrzeni. Potrzebowałam czasu. Potrzebowałam rocka.

– Duke, zamkniesz księgarnię? – spytałam, skinął głową, a ja zwróciłam się po kolei do wszystkich, z wyjątkiem, rzecz jasna, Ally. – Kitty Sue, proszę cię, pomóż pani Salim wybrać książkę. Panie Kumar, herbata na koszt księgarni. Schowajcie kolczyki w bezpiecznym miejscu, a jeśli Lee albo któryś z jego chłopaków przyjedzie po nie, niech je zabiera. Tex, pożyczysz mi samochód?

Rzucił mi kluczyki.

– Brązowy Chevrolet el Camino, zaparkowany z tyłu.

Wyszłam i wsiadłam do el camino. A tam, wstrząśnięta, odkryłam ośmiościeżkowy magnetofon. I duże obite skórą pudło przy siedzeniu pasażera.

Odemknęłam wieko.

Trafiłam na żyłę złota. Przesunęłam ręką: Carlos Santana, The Eagles, Heart, War, Neil Young, George Thorogood, Thin Lizzy, The Allman Brothers Band, Molly Hatchet, BTO... Znalazłam się w rockowym niebie.

Wyjęłam z pudełka Free. Odpaliłam silnik, opuściłam szyby, podkręciłam potencjometr, włożyłam złote okulary i wyjechałam z uliczki na Bayard do Broadwayu. Przejechałam tuż obok Lee, który właśnie zamykał drzwi crossfire'a, zaparkowanego przed wejściem do księgarni.

Głośnik na pełny regulator, leciało *All right now*.

Ale czad.

Rozdział 23

Powiedz, że to nie tak, Tex

Tex i ja jechaliśmy do Twin Dragon na babski wieczór w chińskim stylu.

Całe popołudnie spędziłam w centrum handlowym Flat Iron Crossing.

Zaraz po rock and rollu, najbardziej kojąco wpływały na mnie wyprzedaże i precele z Auntie Anne. Obie te rzeczy zaaplikowałam sobie w dawkach terapeutycznych.

Ponieważ powrót do domu nie był bezpieczny (pewnie do tego czasu Vance okablował już cały dom), kupiłam strój na wieczór, łącznie z bielizną i kosmetykami.

Zaprosiłam do Twin Dragon Toda i Stewiego; zadzwonił Tex z informacją, że Kitty Sue go podwiozła i już jest u siebie.

Wzięłam prysznic u Texa, jeden z kotów non stop leżał na desce klozetowej, oglądając cały show. Włożyłam czerwone satynowe spodnie, brązową jedwabną kamizelkę z cekinami przy dekolcie i brązowe rzemykowe sandałki. Uznałam, że czerwień i brąz będą idealnie pasować do klimatu i wystroju Twin Dragons.

Tex prowadził, ja zmieniałam biegi.

– Co z tymi kolczykami? – spytał.

– Te kolczyki to zła wiadomość.

– Większość kobiet nie traktowałaby tak kolczyków z brylantami.

– Nie jestem jak większość kobiet.

– Nie da się ukryć.

Zatrzymaliśmy się na światłach.

– To wojna – wyjaśniłam. – Pamiętasz tego przerażającego gościa, który wygląda jak Dziadek Munster? Był w księgarni wczoraj rano. Wojna toczy się między nim a Lee, o mnie. Bukmacherzy przyjmują zakłady.

– Czyli ten straszny gość próbuje cię kupić brylantami – wydedukował.

– Tak, i sukienką za tysiąc siedemset dolarów z Saksa.

– A co dał ci Lee?

Policzyłam w myślach i powiedziałam:

– Sześć najbardziej zajebistych orgazmów, jakie przeżyłam w życiu.

– Nie musiałem tego wiedzieć.

Ruszyliśmy na światłach, wrzuciłam dwójkę.

– Kocham się w nim, odkąd skończyłam pięć lat – mówiłam dalej.

Tex skinął głową. Trójka.

– No to po zawodach.

Westchnęłam.

– Otóż to.

Zaparkowaliśmy i weszliśmy do restauracji. Przy okrągłym stole siedzieli już Marianne, Dolores, Tod, Stevie, Kitty Sue i Ally. Dwa miejsca były wolne, Tex zajął to obok Dolores, mnie przypadła miejscówka przy Ally.

– Już ci przeszło? – spytałam.

– A tobie? Przestałaś się wściekać na Lee?

No to miałyśmy jasność.

Odwróciłam się do Texa.

– Ty prowadzisz z powrotem czy ja?

– A co, chcesz się zaprawić?

– I to jak.

– Śmiało.

Zamówiłam korzenny rum z colą i poprosiłam kelnerkę, żeby potem przynosiła następne. Nie wiem, czy zrozumiała, skoro jej angielski ograniczał się do znajomości słów z menu, ale skinęła głową i się uśmiechnęła. Krzepiące.

Zamówiliśmy alkohol, półmisek z przekąskami i wszystko inne, zjedliśmy przekąski i ruszyliśmy z drugą kolejką drinków.

Gdy półmiski zniknęły i wjechała zupa, Tex spytał:

– I co dalej?

– W sensie?

– Co dalej dzisiaj wieczorem?

– To znaczy: po jedzeniu? Wracamy do domu.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Tex, to babski wieczór. Pijemy, objadamy się i paplamy o tym, że trzeba schudnąć. Mówimy, że faceci to bezużyteczne leniwe gnoje, a zwłaszcza były mąż Marianne, który faktycznie jest leniwym bezużytecznym gnojem i draniem przy okazji. Potem obgadujemy ludzi, udając, że się o nich troszczymy, i nie zostawiamy na nich suchej nitki. No i obejmujemy się na pożegnanie, i jedziemy do domu. Babski wieczór.

Gapił się na mnie, kelnerka postawiła przede mną supę i odeszła.

– Niech mnie szlag, jeśli to nie jest Indy Savage.

Włoski na rękach stanęły mi dęba, wszyscy przy stole odetchnęli głośno.

Odwróciłam się i spojrzałam w górę: nie wierzyłam własnym oczom i swojemu pieprzonemu szczęściu.

Za mną stała Cherry Blackwell.

Wysoka, szczupła laska. Zimne niebieskie oczy, długie platynowe włosy i najlepsze ciało w mieście, same cycki i dupa. Żywa Barbie.

Kiedyś bezapelacyjnie najładniejsza dziewczyna w szkole (dwie klasy wyżej). Miała dzianego tatę, jeździła na Hawaje i Karaiby w czasie przerwy wiosennej, a latem do takich egzotycznych miejsc jak Francja czy Włochy.

Chodziła z Lee przez pół roku w ostatniej klasie i to było najgorsze pół roku mojego życia; zabrał ją nawet na bal. Zerwał z nią, zanim skończyła szkołę, co uczciłam, wypijając na imprezie morze piwa; potem urwał mi się film na tylnym siedzeniu mustanga Lee, który mnie odwiózł do domu i zaniósł do łóżka. O tym ostatnim wiem od Ally, bo ja sama byłam nieprzytomna (a szkoda).

Potem znów się spiknęli, jakieś cztery lata temu. Wytrzymali trzy miesiące, z czego dwa ostatnie dni ich krótkiego związku upłynęły w mroku potencjalnej ciąży. Kolejny najgorszy okres w moim życiu.

Rzekoma ciąża okazała się próbą usidlenia swojego ukochanego, w czasie tamtych dwóch dni wszyscy omijali Lee, nie tylko ja. Gdy się zorientował, że laska ściemnia, skończył z nią definitywnie. Potem zniknęła z radaru, wypłynęła z rok temu.

Gadano, że Cherry ma romans z mężem Marianne. Takie informacje rozpuszczała sama Cherry, więc chyba było w nich ziarno prawdy. Ale już na pewno stały się tą kroplą, która przelała czarę goryczy w małżeństwie Marianne.

I jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wiedzieć o Cherry: to pierwszoligowa suka.

– Słyszałam, że jesteś z Lee – wypaliła na powitanie.

– Tak. – Miałam nadzieję, że ta rozmowa nie potrwa długo i nie będzie bardzo bolała.

Nie bawiła się w subtelności, waliła prosto z mostu.

– Daję wam tydzień.

Znieruchomiałam. Poczułam, że prawie wszyscy przy stole przeszli w tryb wkurwu.

– Już są ze sobą tydzień – zauważyła Ally.

Cherry spojrzała na nią, potem na mnie; zauważyłam, że z tyłu stoją jej barbiowe psiapsioly: Barbie Brunetka i Barbie Afroamerykanka.

– Noo, moje gratulacje – wycmokała z udawanym zaskoczeniem.

– Cherry, przyszliśmy tu miło spędzić czas we własnym gronie. – Próbowałam załatwić sprawę dyplomatycznie, naprawdę byłam bardzo daleka od jakiegokolwiek draki. Zależało mi, żeby mieć fajny wieczór z przyjaciółmi, wyluzować się, upić. Chciałam, żeby urwał mi się film, i byłam gotowa na jutrzejszego kaca giganta. Na razie wypić tylko jeden rum, a potrzebowałam przynajmniej sześcianu, żeby mierzyć się z Cherry.

Rozejrzała się po siedzących przy stole i jej wzrok zatrzymał się na twarzy Marianne, teraz czerwonej jak burak.

– O, cześć, ładnie wyglądasz – zamruczała.

Odsunęłam krzesło.

– Cherry... – zaczęłam ostrzegawczo.

Jej uwaga znów przeniosła się na mnie, oczy zaślniły lodem.

– Mała podpowiedź, Indy, tak między nami, dziewczynami. Radzę skorzystać, jeśli chcesz, żeby twoje bycie z Lee potrwało trochę dłużej niż tydzień. Lubi być obsłużony zwłaszcza rano. W łóżku jest jak zwierzę, ale jak mu załatwisz poranne obciążanko, odwdzięczy się i przeżyjesz trzęsienie ziemi.

Moje mięśnie stężały.

– Co ona gada? – zapytał Stevie.

– Nie wierzę, nie mogła tego powiedzieć przy mnie. – Kitty Sue była wstrząśnięta.

- Ja pierdziele! – To już Dolores.
- O mój bosze... – dodał Tod.
- Pieprzona suko! – odpaliła Ally.
- Taka prawda – dorzucił swoje Tex.

Zaczęłam wstawać z krzesła, z zamiarem wydrapania Cherry oczu, gdy odezwała się kobieta siedząca przy stoliku za nami.

- Przepraszam, ale my tutaj jemy – zwróciła się do Barbie.

Spojrzałam na kobietę. W wieku Kitty Sue, włosy ufarbowane na czarno.

- Siedź cicho, stara babo. Rozmawiam – zgasiła ją cycata lala.

Nie mówiłam? Sucz pierwszej klasy.

Kobieta spojrzała na swojego męża:

- Czy ona właśnie nazwała mnie starą babą?

Robiło się groźnie. Demon menopauzy został spuszczonej ze smyczy.

Popatrzyła na Cherry.

– Nie jestem stara. Mam pięćdziesiąt dwa lata, a pięćdziesiątka to nowa czterdziestka – poinformowała arogancką małolatę.

– Jak ci mówię, że jesteś stara, to jesteś – burknęła Cherry i odwróciła się do mnie. Już miała coś powiedzieć, gdy nagle w powietrzu przeleciał groszek i wylądował na jej platynowych falach à la Farrah Fawcett.

Oho.

Niedobrze.

Cherry zaczęła roztrząsać włosy, jakby obleciał ją rój morderczych pszczół. Pozbyła się groszku i odwróciła do kobiety.

- Rzuciłaś we mnie tym świństwem!

W odpowiedzi pięćdziesięciolatka wyjęła ziarenko ze smażonego ryżu i znów wycelowała w impertynencką pannę. Groszek odbił się od brody Cherry i spadł na podłogę.

- Trafione! – ocenił Tex.

– Przepraszam, czy mają państwo jakiś kłopot? – Wszyscy spojrzeliśmy na Lady Dragon, odpowiedzialną za obsługę gości. Była nieprawdopodobnie, nieludzko opanowana, prześliczna, szczupła, czarne włosy zawsze miała upięte w elegancki kok i plasowała się w ścisłej czołówce artystów eyelinera.

– Och, nie; to nic takiego – odparłam. Chciałam załagodzić sytuację i uratować ten wieczór, żebym mogła jednak się upić i zjeść kurczaka w sezamie.

– Nazwała mnie starą babą! – odparła dama przy stoliku, burząc mój plan.

Lady Dragon zwróciła się do Cherry:

– Tak pani powiedziała?

– Jezu, pewnie, że tak! To przecież stara baba, o co ta afera?

– To nie było grzeczne – oznajmiła Lady Dragon.

– Co więcej! Ludzie przy tym stoliku jedli spokojnie, a ona podeszła i zaczęła mówić... – kobieta zniżyła głos do szeptu: – O obciążaniu.

Lady Dragon odwróciła się do Cherry, mrużąc oczy.

– Przeszkadza pani moim gościom, wyrażając się w taki sposób.

I wtedy ni z tego, ni z owego miska z zupą z kluseczkami śmignęła w powietrze. Naczynie walnęło Cherry w głowę, zupa spłynęła po włosach i po ramieniu.

Wszyscy się odwrócili: Marianne stała, ciężko dysząc i zaciskając pięści.

– Spałaś z moim mężem! – wrzasnęła.

Dobry Boże.

Słyszając tę rewelację, „stara baba” cisnęła talerzem smażonego ryżu, rozsypując go naokoło. Cherry zaczęła przeraźliwie piszczeć, gdy kolejne miski z zupą poleciały w jej stronę; Tod i Stevie mieli dobre oko.

Wtedy Marianne wyszła z za stołu, rzuciła się na Barbie i obie zaczęły się tarzać po podłodze, wrzeszcząc i szarpiąc się za włosy. Ally i ja próbowałyśmy je rozdzielić, ale wtedy kobieta od ryżu skoczyła i wciągnęła nas w młyn. Chwilę później siłą rozpędu wpadłyśmy na kumpele Cherry, a te przewróciły się jak zbite kręgle.

Nie pamiętam, co działo się po tym, jak Lady Dragon krzyknęła: „Policja! Na pomoc!”, i wybiegła.

Jakimś cudem teraz ja walczyłam z Cherry w resztkach zupy i ryżu, kopiać, gryząc i ciągnąc za włosy, gdy nagle dwie ręce podniosły mnie z podłogi.

Odwróciłam się i zobaczyłam Tony’ego Petrina, mundurowego; znałam go, ale nie za dobrze. Widzieliśmy się na kilku imprezach i po pijaku spędziliśmy trochę godzin na szezlongach trawnikowych, próbując rozkminić drugie dno

w piosence *American Pie*.

Ciągnął mnie aż do wyjścia, potem na parking, tam odwrócił się i rozpiął kaburę.

– Odsuń się, wielkoludzie! – zawołał do Texa.

– Jestem z nią, robię za ochroniarza.

Tony spojrzał na mnie zdumiony.

– No coś jakby... – odparłam mętnie, ale nie do końca niezgodnie z prawdą.
– Aresztujesz mnie? Pokręcił głową.

– Nigdy w życiu. Twój ojciec i Malcolm dostaliby szau. A Lee Nightingale wyrwałby mi jaja. Cóż, wolę, żeby były tam, gdzie są. Wsiadajcie do samochodu i zjeżdżajcie.

Tex i ja nie czekaliśmy długo, biorąc pod uwagę komplikacje w moim obecnym życiu, takie puszczenie wolno było jak dar od bogów.

Podziękowałam Tony'emu, wsiedliśmy do el camino i wystartowaliśmy z piskiem opon. Tex skręcił do Sonic kilka przecznic dalej i się zatrzymał.

Rozejrzałam się. Uwielbiam Sonic, są jedynym znanym mi fast foodem, który serwuje ziemniaczki *tater tots*.

Ale Sonic jest sieciówką.

– Tex...

– Wiem, wiem, ale widziałem to na reklamie. Umieram z głodu, a tutaj dostaniemy żarcie do auta. Nie wpuszczą nas do środka, skoro masz na sobie zupę i ryż.

Niestety, tak właśnie wyglądałam.

– Przepraszam, teraz twój wóz będzie pachniał słodko-kwaśno. Zapłacę za czyszczenie.

Wzruszył ramionami.

– Nie problem.

Spytał mnie, co chcę zjeść, złożył zamówienie, a ja obdzwoniłam przyjaciół, upewniając się, że wszyscy żyją, nikt nie jest ranny i nie siedzi w areszcie. Gdy już wiedziałam, że cały świat ma się dobrze, zjadłam ziemniaczki z dziwnym pomarańczowym serem i czekoladowym słodem, Tex odpalił camino i pojechaliśmy do kociego rajku.

Wzięłam drugi tego dnia prysznic, z kotem (Rockym) obserwującym mnie

z toalety. Na zakupach zapomniałam o piżamie, więc Tex dał mi flanelową koszulę i dres, wszystko dużo za duże, ale lepsze niż nic. Wsunęłam uzupione i poryżowane ciuchy do reklamówki i związałam ją mocno.

Tex okazał się fajnym gospodarzem. Wyjął bimber, który palił jak diabli, ale odprężył, przyniósł okazałą torbę chrupek kukurydzianych i jeden taki duży baton czekoladowy z migdałami. Rozbiliśmy obóz przed telewizorem i oglądaliśmy wszystko jak leci, łącznie z reklamami, co w erze pilotów wydaje się niewiarygodne. Wielki telewizor Texa pochodził jednak z lat osiemdziesiątych i nie miał pilota, a nikomu z nas nie chciało się wstawać co dziesięć minut, żeby przełączyć.

W końcu dostałam kołdrę, poduszkę i prześcieradło i zostałam przedstawiona Mruczkowi (szary puchaty, który uwalił mi się na brzuchu), Maluchowi (drobny pręgowany w białych skarpetkach, moszczący się w nogach) i Florci (czarny wierzch, biały spód, lokum w zgięciu ręki). Potem Tex zgasił światło, a ja, jak zawsze, zasnęłam pięć sekund później.

Miałam przedziwny sen, który zaczął się od wybierania numeru na telefonie z tarczą, terkotania, którego nie słyszałam od lat.

W moim śnie Tex powiedział po cichu (tak, po cichu, stąd właśnie wiedziałam, że to sen).

– Nightingale Investigation? – Pauza. – Tak, mówi Tex MacMillan. Powiedz swojemu szefowi, że mam coś, co należy do niego.

Kliknięcie słuchawki odkładanej na widelkach.

Kolejny dowód, że to sen. Tex nigdy by mnie nie zdradził.

Nigdy.

A potem ktoś mnie podniósł i koty rozpierzchły się na wszystkie strony.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Lee. Trzymał mnie na rękach, ale patrzył na coś innego.

Odwróciłam głowę – Tex siedł do nas z reklamówką, moją torebką i zakupami.

– Nie zrobiłeś tego, Tex – szepnęłam.

– Niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce – odparł.

Spojrzałam w okno.

– Słońce zaszło parę godzin temu.

Tym samym cichym głosem z mojego jednak nie snu Tex odpowiedział:

– Wiesz, o czym mówię, złotko.

Zasapałam ze złością. Co mogłam powiedzieć. Nie lubię nie mieć odwrotu.

Lee nie odzywał się przez cały ten czas, potem ruszył do drzwi. Tex za nim.

– Potrafię chodzić, jakby co – poinformowałam Lee.

– Potrafisz też uciekać.

– Nie w spodniach, które są siedem rozmiarów za duże.

Nie skomentował. Postawił mnie dopiero przy samochodzie, wsadził do środka i zamknął drzwi; Tex włożył moje rzeczy do bagażnika.

Potem pomachał mi na pożegnanie i odjechaliśmy.

Zdrajca.

Nie odzywaliśmy się całą drogę. Gdy Lee zaciągnął ręczny w garażu, wysiadłam i poczłapałam boso do windy, podtrzymując spodnie w pasie.

Lee wziął reklamówkę z utyłanymi ciuchami, resztę kłopotów i poszedł za mną.

W windzie nadal milczeliśmy. Lee wpuścił mnie do mieszkania, poszłam prosto do łazienki, gdzie gosposia ułożyła moją bieliznę. Zdjęłam spodnie, wciągnęłam na tyłek majtki, zostawiłam na sobie flanelową koszulę i położyłam się na łóżku po mojej stronie. Wsunęłam rękę między materac a ramę łóżka i chwyciłam się jej jak ostatniej deski ratunku, nie mając zamiaru puścić. Żadnego przytulania.

Usłyszałam odgłos pralki. Lee chyba nie chciał sam babrać się z ubraniami w ryżowej zupie, więc odesłał je do pralki w trybie pilnym.

Nie zamierzałam czuć się zakłopotana.

Wszedł do pokoju, usłyszałam, jak się rozbiera, poczułam, że kładzie się na łóżku. Nie dotknął mnie ani nie przyciągnął do siebie, co robił zawsze. Leżałam w napięciu i czekałam. Pięć minut, dziesięć. Dopiero gdy już prawie zasypiałam, objął mnie w pasie i jednak przyciągnął do siebie.

Zesztywniałam.

Poczułam, że wtula twarz w moje włosy, usłyszałam, jak mówi:

– Jestem palantem. Nie powinienem przy Eddiem kazać ci się przebierać.
Przepraszam.

Cholera.

Jeśli ktoś cię przeprosza, i to tak wprost, nie możesz się na niego wściekać ani nawet obrażać. Pozamiatane.

Nie odzywałam się. Nie jestem suką, nie wiem, co w takich sytuacjach powiedzieć.

– Naprawdę nie lubię, jak z kimś flirtujesz – mówił dalej.

– Zorientowałam się.

Podniósł rękę, odgarnął mi włosy z ramienia i szyi, sunął dalej dłonią po mojej ręce, dotarł do palców i splótł je ze swoimi.

– Nie rozegraliśmy tego za dobrze, co?

– Nie za bardzo.

Westchnienie.

– Widziałam dzisiaj Cherry Blackwell – oznajmiłam.

Chwila ciszy i:

– Słyszałem.

– Świetnie wygląda.

Milczenie.

– Powiedziała, przy twojej mamie, że lubisz, jak ci się obciąga z rana.

Znowu cisza.

– Myli się – powiedział w końcu. – Lubię zawsze.

Tym razem ja się nie odezwałam, nie byłam pewna, czy podoba mi się jego odpowiedź. A potem zapytałam – nie, nie mogłam się powstrzymać, wciąż byłam zła: – Jest lepsza w łóżku ode mnie?

Kolejne westchnienie, ścisnął mi palce.

– Indy, nie zadawaj takich pytań.

O, kurwa.

Czyli lepsza.

Cherry Blackwell jest lepsza w łóżku ode mnie.

Gdyby było inaczej, po prostu by mi powiedział. Stawiał sprawy jasno, nigdy

nie kłamał, czasem tylko unikał prawdy.

– Dobra – warknęłam wkurwiona, obróciłam się i pchnęłam go tak, że znalazł się na plecach. Moje wargi dotknęły jego piersi i podążyły w dół, dopóki mnie nie podciągnął.

– Co robisz?

– Daję ci skalę porównawczą. Będziesz mógł nas ocenić, ja kontra Cherry, jak łyżwiarzy na olimpiadzie.

– Ciekawa dyscyplina – parsknął rozbawiony.

– Prawda? – odparłam, jeszcze bardziej nabuzowana. Myślał, że jest dowcipny? Wyrwałam mu się i znów posunęłam w dół.

Podciągnął mnie.

– Nie zbliżysz się do mnie ustami, dopóki jesteś zła – oznajmił.

Nadal robiłam swoje, a on nadal mnie powstrzymywał. Zaczęło to przypominać zapasy i wiadomo było, że Lee wygra. Nawet jeśli na razie rezygnował z przewagi, starał się być delikatny i nie sprawić mi bólu.

Szamotaliśmy się, okręcaliśmy, zaplątaliśmy w prześcieradło i w końcu spadliśmy na podłogę, ja na dole. Wprawdzie Lee trzymał mnie wpół i wylądował na jednej ręce, robiąc coś w rodzaju pompki ze mną na drugiej ręce, ale i tak grzmotnęłam tyłkiem, a jego biodra przygniotły moje.

Upadek wydusił ze mnie powietrze, co nie przeszkodziło mi walczyć dalej; obróciłam się na niego, potem on znalazł się na górze.

Do tej plątaniny rąk i nóg niespodziewanie dołączyły usta i języki; zapasy stawały się coraz ciekawsze.

Oboje dyszeliśmy ciężko, ja byłam już mocno napalona, gdy Lee ściągnął mi koszulę przez głowę, zdjął mi majtki i wszedł we mnie.

Od razu przestałam toczyć bój, splotłam nogi na jego udach, położyłam mu dłonie na plecach.

Poruszał się we mnie, ja kołysałam się razem z nim, nasze usta dotykały się, ale nie łączyły w pocałunku, oddech przyspieszał. Podniosłam głowę, żeby go pocałować, ale się odsunął, nadal wykonując pchnięcia we mnie. Jego usta wróciły do moich, znów spróbowałam go pocałować, a on znów zrobił unik.

– Lee... – Zamierzałam powiedzieć, że chcę go pocałować i żeby przestał się wygłupiać.

Pchnął mocniej i szepnął w moje usta:

– O to chodziło.

I wtedy to on mnie pocałował.

Gdy skończyliśmy, nadal miałam nogi na jego udach, jedną rękę trzymałam w jego włosach, drugą na tyłku. Wtulał twarz w moją szyję i wciąż był we mnie.

– Cherry to czwórka. Ty jesteś poza skalą – wymruczał.

Mogłabym pomyśleć, że tak tylko mówi, dla pocieszenia, ale nie, Lee nigdy nie owija w bawełnę.

– Nie powinnam pytać.

– Nie powinnaś.

Wyszedł ze mnie, posadził mnie na łóżku i usiadł naprzeciwko, przytulając mnie do siebie.

– Nie chciałam flirtować z Eddiem – wymruczałam w jego szyję. – To odruch.

Jedną ręką objął mnie mocniej, drugą bawił się moimi włosami.

– Spróbuję się bardziej postarać... żeby tego nie robić – dodałam.

– Będę wdzięczny.

– A ty postaraj się zrobić coś ze swoją zazdrością. Nie każdy facet chce mi zdjąć majtki.

– Mylisz się: każdy chce właśnie tego.

– Tex nie chce.

– Tex nie jest facetem. To szalony dziwak, który mógłby być twoim ojcem.

– Duke nie chce – wyliczałam dalej.

– Dolores obcięłaby mu fiuta, gdyby w ogóle spojrział na jakąś babkę. I on też mógłby być twoim ojcem.

– Hank – nie poddawałam się.

– To się nie liczy. Hank traktuje cię jak młodszą siostrę.

– Darius – obstawałam przy swoim.

– Darius nie pieprzy białych kobiet.

Zmieniłam taktykę.

Bardzo cichym szeptem (w nadziei, że w ogóle mnie nie usłyszysz), wyznałam:

– Wiesz, że dla mnie zawsze liczyłeś się tylko ty.

Usłyszał.

Znieruchomiał. Potem ścisnął moje włosy i odchylił mi głowę. Pocałował mnie długo i słodko, później wtulił moją twarz w swoją szyję.

Wzięłam głęboki wdech.

– To nie było takie trudne, prawda? – spytał delikatnie.

Było. Trudne jak diabli, przerażające i teraz się czułam bezbronna.

Nie odpowiedziałam. Wyczerpałam swój limit wynurzeń na tę noc.

Nie naciskał.

– Ally próbowała zwrócić kolczyki do Tiffany’ego – powiedział. – Odmówili. Nie zbliżam się do Wilcoxa z różnych powodów, więc na razie zostają u ciebie.

– W porządku. Postanowiłam je przeznaczyć na cele charytatywne.

– Dobry plan... Akurat siedziałem w pokoju monitoringu, gdy tamten facet je przyniósł. Myślałaś, że są ode mnie, prawda?

– Tak.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu daj znać. Kupię, cokolwiek zechcesz.

Wstrzymałam oddech.

– Serio?

– Nie umiem czytać w myślach, więc jeśli na czymś ci zależy, powiedz, to kupię.

O, jasne. Nie tak łatwo, kolego.

Nie musiałyby kombinować, zadawać podchwytliwych pytań, zdobywać się na wysiłek, mógłby po prostu spokojnie czekać na informację.

Zmieniłam temat, żeby się nie odpalić.

– Co Eddiego tak przypiliło dziś rano?

Położył się na plecach, przywarłam do niego, przytulając się policzkiem do ramienia.

– Darius ma kłopoty.

– Jakie?

– Takie, w które Eddie nie może wchodzić. Zwierzchnicy naciskają go z powodu Dariusa, nie podoba im się ta relacja i chcą wystawić Dariusa poza nawias.

– Eddie tego nie chce?

– Jest Meksykaninem, dla niego rodzina to rzecz święta, a mnie i Dariusa postrzega jako braci. To jeden z powodów, dla którego potrafiliśmy współpracować, obaj się w tobie kochając. Teraz Eddie usiłuje nie wpakować Dariusa w kłopoty.

Objęłam go ręką w pasie.

– Co się w ogóle stało z Dariusem?

– Gdy jego ojciec został zamordowany, ubezpieczenie pokryło koszty pogrzebu i niektóre rachunki. Spadły dochody, bardzo obniżył się poziom życia. Z dnia na dzień odpowiedzialność za dom i za trzy młodsze siostry spadła na jego matkę i na niego. Ciężko coś takiego udźwignąć, a on był młody. Dostał propozycję łatwych zarobków i ją przyjął. Nikt nigdy nie pomyślał, że wejdzie w takie gówno, ale po śmierci ojca był sfrustrowany i wkurzony. Szukał kłopotów i je znalazł.

– Może się z tego wycofać?

– Zawsze łatwiej wejść niż wyjść, ale tak, każdy może zrobić wszystko, jeśli tylko naprawdę tego chce.

– Potrzebuje pomocy?

Palce Lee, błędzące po moich plecach, zatrzymały się, objął mnie mocno, a drugą ręką podniósł mi brodę, żebym na niego spojrzała.

– Nie próbuj go ratować – powiedział stanowczo.

Zasapałam.

– To zabrzmiało jak rozkaz.

– Bracia nie lubią, jak kobiety wtrącają się w ich sprawy. Zwłaszcza białe kobiety. Dotyczy to również Dariusa. Chłopaka, którego pamiętasz ze szkoły, już nie ma. – Teraz jego głos brzmiał groźnie.

– Dobra, dobra – wycofałam się. – Nie musisz od razu tak się napinać.

Puścił moją brodę i znów się w niego wtuliłam.

– Jezu, zacznym rozumieć swoją matkę. Ja muszę się martwić tylko o ciebie, a już dostaję kręcka. Ona miała na głowie całą naszą czwórkę.

– Jesteś dużym, silnym, twardym facetem. Jakoś przeżyjesz – pocieszyłam go zgryźliwie.

Przeturlał się na mnie i przesunął ustami po moim policzku aż do ucha.

– A ty spraw, żeby było warto.

Czułam, że ja też dam radę.

Rozdział 24

Potrzebuję Metalliki

Siedzieliśmy na tekowych krzesłach na balkonie. Mieliśmy za sobą poranny seks, piłam kawę, trzymałam stopy na kolanach Lee, ubrana w jego podkoszulek i swoje seksowne różowe majtki. Wyłączyłam się i patrzyłam na góry. Lee miał na sobie szare dresowe spodnie, czytał gazetę rozłożoną na stole i też pił kawę, odruchowo gładząc moją stopę.

Kończyłam dopiero pierwszy kubek, więc, mimo porannej aktywności, moje procesy myślowe jeszcze nie zaskoczyły. Ale i tak zdołałam uświadomić sobie, że jest mi dobrze, a może nawet czuję się, a niech tam, szczęśliwa. Nawet bardzo szczęśliwa. Szczęśliwa pozaskalarnie.

Lee odłożył gazetę, rozparł się, wyciągnął przed siebie nogi i pociągnął łyk kawy. Chociaż nadal chłonełam góry, wiedziałam, że na mnie patrzy.

Odstawił kubek i zaczął masować mi stopę dwiema rękami. Nieziemsko miłe uczucie. Miał mocne i wprawne dłonie.

– Poprosiłem Dawn – zaczął – żeby załatwiła gości od przeprowadzki: spakują twoje rzeczy i razem z meblami przewiozą do przechowalni. Ogarnij dziś wszystko, co chcesz ze sobą zabrać, przyjadę wieczorem i cię z tym zabiorę.

Szczęście prysło, wszystkie moje komórki utonęły w panice. Oderwałam wzrok od gór i oniemiała wbiłam spojrzenie w Lee.

– Dzwoniłem wczoraj do biura nieruchomości, wynajmą twoje mieszkanie, znajdą odpowiedniego najemcę, zajmą się płatnościami. Damy ogłoszenie w przyszłym tygodniu.

W końcu mogłam przemówić.

– Wiem, że obiecałam wprowadzić się przed weekendem, ale... czy to się nie dzieje strasznie szybko?

Teraz masował mi drugą stopę.

– Dzieje się.

– To nie uważasz, że powinniśmy trochę zwolnić?

– Nie.

– Czemu?

Dobra, zabrzmiało to panikarsko, ale mam to gdzieś.

Nie odpowiedział, zestawiał moje nogi na podłogę, pochylił się, żeby pocałować mnie w czoło, potem ruszył do mieszkania.

Patrzyłam za nim.

Szedł pewnym, spokojnym krokiem. Spodnie mu wisały na biodrach, mogłam podziwiać, jak pięknie jest umięśniony. Gapiłam się, chociaż już zniknął, widok jego pleców wciąż stał mi przed oczami, zupełnie jak wtedy, gdy niechcący spojrzysz prosto w słońce i potem wciąż widzisz jasną kulę.

Wrócił.

Usiadł, podniósł mi nogi, znów położył sobie moje stopy na kolanach i rzucił małe różowe pudełko na stół.

Patrzyłam na nie wstrząśnięta.

Moje pigułki antykoncepcyjne.

Zapomniałam o nich, totalnie i absolutnie.

Ja pitolę.

Złapałam je i sprawdziłam: ostatnią brałam w poniedziałek. W całym tym szaleństwie zupełnie wypadłam z rytmu; przegapiłam dwie pigułki; za późno, żeby to nadrobić, a ja uprawiałam seks, mnóstwo seksu, całą masę seksu bez żadnego zabezpieczenia.

Odłożyłam opakowanie.

– Przysięgam, że nie zrobiłam tego specjalnie – zastrzegłam.

– Wiem – powiedział, znów masując mi stopę.

– Musimy przestać uprawiać seks, natychmiast!

Przerwał masaż.

– Wykluczone.

– Lee! A jeśli jestem w ciąży?

Uśmiechnął się szeroko.

– Będziemy mieli piękne dziecko.

Wyszarpnęłam stopę, zerwałam się i zaczęłam podskakiwać w miejscu.

– O rany, o rany... – powtarzałam.

Wstał i przyciągnął mnie do siebie.

– Wyluzuj – mruknął, chyba rozbawiony.

– To wcale nie jest śmieszne! – zawołałam. – Minął zaledwie tydzień! To zbyt nowe, zbyt dziwne, za szybko, za dużo. O rany, o rany... – zaczęłam znowu nawijać jak opętana.

To przełomowa chwila, moment zwrotny – potrzebuję Van Halen.

Nie, Van Halen mi nie pomoże, potrzebuję Metalliki!

Czułam jego ciało przy sobie, teraz śmiał się najzupełniej otwarcie.

– I co cię tak cieszy?

– Jesteś słodka. – Popatrzył na mnie cały uchachany. – I znów reagujesz przesadnie. To nie koniec świata. Jeszcze nawet nie wiesz, czy jesteś w ciąży.

– Czemu pokazałeś mi te pigułki?

– Bo jeśli jesteś w ciąży, nie ma co zwlekać i musimy razem zamieszkać. Jeśli nie jesteś, zabezpieczymy się inaczej, a i tak musimy razem zamieszkać.

– A dlaczego to ja mam się przeprowadzić do ciebie? Czemu nie ty do mnie?

– Możemy tak zrobić.

Uspokoiliam się i spojrzałam na niego.

– Jak to?

– Umieścimy w przechowalni moje graty i to ja zamieszkać u ciebie. Bez różnicy.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– A twój widok z balkonu?

Wzruszył ramionami.

– Mam tylko jedną łazienkę.

– Damy radę.

– I jest trawnik. Musiałbyś kosić trawę. Jak tam zamieszkać, Stevie na pewno przestanie dbać o moje podwórko.

– Twój trawnik ma wielkość znaczka pocztowego, nie widzę większego problemu.

– U mnie nie jest bezpiecznie. Nie mam nawet alarmu.

– Vance to ogarnie.

– A co z twoim centrum dowodzenia? Nie dysponuję pomieszczeniem, w którym mógłbyś trzymać swój tajny sprzęt detektywistyczny.

Roześmiał się.

– To kto ma się wprowadzić do kogo? Jak wolisz? Zdecyduj się wreszcie.

– Nie wiem – wyznałam, zresztą zgodnie z prawdą.

– To ogarnij temat, bo jedno z nas przeprowadza się dziś wieczorem. Dość tego kołowania.

– Nie potrafię tak na chybcika się zdecydować! Jestem w stresie, mogę być w ciąży... Jezu, muszę kupić witaminy!

Przytulił mnie, poczułam, jak jego ciało trzęsie się ze śmiechu. Osobiście nie uważałam tego za zabawne, raczej za cholernie przerażające.

Gdy już się opanował, powiedział:

– Zamieszkamy u ciebie. Masz blisko do księgarni, sąsiedzi są fajni. I lubię twoją sypialnię. Wynajmę to mieszkanie. – Jego słowa obniżyły trochę poziom mojej paniki. Spojrzał na mnie. – Zadowolona?

Skinęłam głową.

Patrzył tak łagodnie i ciepło, że cała zrobiłam się jak z waty. Oparłam się o niego.

Zabrzęczał domofon.

– Ja pierdołę – wycedził.

Puścił mnie i poszedł do drzwi.

– Dariusz tu idzie – oznajmił po powrocie.

Otwierałam już Eddiemu ubrana w koszulę Lee, nie zamierzałam kręcić się przy Dariusie tylko w majtkach i podkoszulce. Halo, mogę być w ciąży! Ciężarne kobiety nie latają przy gościach w samej bieliźnie.

Złapałam swój kubek, dolałam kawy, wpadłam do sypialni.

Zrobiłam szybki optymistyczny makijaż, dużo błyszczących cieni, gruba warstwa tuszu i róż. Wskoczyłam w dżinsy z czarnym paskiem, który dostałam od Lee, wciągnęłam biały podkoszulek z czarnym napisem *To ja zastrzeliłam J.R.*, do tego dobrałam czarne klapki.

Podeszłam do ekspresu, przelałam kawę do kubka turystycznego i wyszłam na balkon, gdzie siedzieli Darius i Lee.

Stałam w drzwiach.

– Cześć, Darius.

Patrzył, jak podchodzę, teraz skinął mi głową i prawie się uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

Odwrociłam się do Lee.

– Muszę wpaść do Fortnum.

– Weź crossfire'a. Ja pojedę motorem.

– Masz tutaj ducati?

– Mhm.

Noo?

Byłoby extra, gdyby podrzucił mnie motorem, ale błagać nie zamierzałam.

– Przejedziemy się dziś wieczorem – zaproponował, uśmiech czał się w kącikach oczu.

– Wyjdź z mojej głowy – odparłam zirytowana.

Odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Odprowadzisz mnie do drzwi? – poprosiłam.

Wstał, zaczęłam odwracać się do wyjścia, ale zerknęłam jeszcze na Dariusza.

– Urządzamy w niedzielę rodzinny grill u Ally. Na pewno wszystkim będzie miło, jak wpadniesz – zaproponowałam.

Lee opuścił głowę i pokręcił nią lekko, jakby chciał powiedzieć: „nie wierzę, że to robisz”.

– Dzięki, Indy, ale będę zajęty – odparł Darius.

– No, to wpadnij, jak skończysz.

Milczenie.

– Albo przyjdź wcześniej, zabierz mamę i siostry. Nie widziałam ich kupę czasu.

Lee objął mnie za ramiona, odwrócił i wyprowadził za prog. Obejrzałam się – zobaczyłam, że Darius się śmieje.

– Do zobaczenia! – zawołałam jeszcze.

Gdy przechodziliśmy przez kuchnię, Lee zgarnął z blatu kluczyki od crossfire'a i zatrzymał mnie przed drzwiami wyjściowymi.

– Co mówiłem o nieratowaniu Dariusza? – spytał.

– O co ci chodzi? Zaprosiłam go tylko na grilla.

– Jesteś stuknięta.

Położyłam ręką na biodrze.

– Słucham?

– Nie, nic z tego, nie dam się wciągnąć – prychnął. – Nie pokłócimy się dzisiaj, bez względu na to, jak bardzo będziesz cisnąć.

O, jasne, jakby to mnie zależało na kłótni.

Stałam na palcach i cmoknęłam go szybko, wyjmując mu kluczyki z dłoni.

– Co to było?

– Buziak na pożegnanie.

Zrobił dwa kroki w moją stronę, cofnęłam się i uderzyłam w ścianę. Położył mi ręce na tyłku, przycisnął do siebie i pocałował tak, że zabrakło mi tchu.

– To był buziak na pożegnanie.

Odetchnęłam głęboko.

Nie da się ukryć.

Gdy weszłam do księgarni, za ladą krzatali się już Ally i Tex. W kolejce po kawę stało sześć osób, trzy czekały na odbiór; na każdym fotelu i na każdej kanapie ktoś już grzał tyłek, pijąc parujący napój.

Z głośników dudniło *Girls, girls, girls* Mötley Crüe.

Spojrzałam na zegarek, za dziesięć ósma, mieliśmy otwarte od dwudziestu minut. Więc jednak ludzie byli gotowi płacić za to, żeby gość o wyglądzie mordercy parzył dla nich kawę.

Nieźle.

– Tyłek w troki i ładuj się za ladę, kobieto! – zagrzemiał Tex. – Sterczysz, jakby brakowało roboty i można było tak stać i się gapić?

Weszłam za ladę i spostrzegłam Annie, tamtą blondynkę, która wrzeszczała na mnie podczas pamiętnych „zamieszek”. Patrzyła na swój kubek z takim

nabożeństwem, z jakim ludzie patrzą na bilety z miejscami w pierwszym rzędzie na ulubiony spektakl. Podniosła na mnie wzrok.

– Skąd go wytrzasnęłaś? – spytała.

– Miałam szczęście – odparłam i wzięłam się do pracy.

Mieliśmy tyle zamówień, że przez kolejne godziny myślałam tylko o kawie, mleku, syropie i całej forsie, którą wrzucałam do kasy. Nigdy nie mieliśmy tylu klientów, nawet w czasach Rosiego. Zdarzał się spory ruch, ale nie było takiego szaleństwa.

Do dziesiątej trzydzieści trochę się uspokoiło. Przyszedł Duke i przejął ladę z książkami, która też miała swoich klientów. Sporo osób siedziało i czytało, delektując się kawą.

– Dalej się na siebie wkurzamy? – spytała Ally, gdy obsłużyliśmy już wszystkich.

– Ponieważ twój wkurw na mnie był ściśle powiązany z moim wkurwem na Lee, a ja i Lee nie mamy już przerwy... Odpowiedź brzmi: nie, już nie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To dobrze.

Tak to właśnie się dzieje między przyjaciółkami. Wściekasz się, a potem idziesz dalej.

Odwróciłam się do Texa.

– Ale ty jesteś zdrajcą i więcej się do ciebie nie odezwę – poinformowałam go naburmuszona.

– Dobiłaś w nocy do siódemki?

Wytrzeszczyłam na niego oczy: o co mu, do cholery, chodzi?

A potem mnie olśniło.

Liczba orgazmów.

Może faktycznie za dużo wczoraj gadałam.

Ponieważ owszem, dobiłam do siódemki w nocy i do ósemki dziś rano, nie odpowiedziałam.

Musiało się to odbić na mojej twarzy, bo wybuchnął śmiechem i zahuczał:

– W takim razie nie masz powodów, żeby się wściekać, i daj mi spokój.

– O czym on mówi? – wtrąciła się Ally.

Odwrociłam się do niej.

– O orgazmach. – Spojrzała osłupiała. – Nieważne. Wiesz, kiedy najlepiej zrobić test ciążowy?

Jej oczy teraz już prawie wyszły z orbit.

– Nie gadaj...

– Nawaliłam, nie brałam pigułek od dwóch dni.

– Nie gadaj! – zwołała głośniej i kilku klientów spojrzało w naszą stronę.

– Nie zrobiłam tego specjalnie.

– To wspaniale! – zawołała. – Dzwonię do mamy!

– Nie! – krzyknęłam. – Nie. Nie dzwoń do Kitty Sue ani do nikogo innego. Nie jest wspaniale. Nie chcę dziecka. Dobra, może chcę, ale nie teraz. Lee jeszcze nawet nie widział wszystkich moich majtek!

– No wiesz, młodsza nie będziesz – palnęła Ally.

Boże drogi.

– Odpowiedz mi na pytanie – zażądałam.

– Które?

– To o teście!

– Chyba najpierw musisz nie mieć okresu. Skoczę do Walgreen i coś kupię.

Pobiegła, na szczęście drogeria znajdowała się kilka przecznic dalej.

– Tex, zrobisz mi waniliową latte na chudym mleku?

– Jednak ze mną rozmawiasz?

– Po prostu zrób mi latte, proszę!

– Dobra, Jezu. Zrobię ci latte. Bezkofeinową, żebyś nie wybuchła.

– Jak zrobisz bezkofeinową, czuj się zwolniony.

– Kofeina może zaszkodzić dziecku.

I wtedy wrzasnęłam, z pełnej piersi i z głębi złości.

Klienci podskoczyli i spojrzeli na mnie wstrząśnięci.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami, przestałam krzyczeć. Do księgarni wszedł Eddie.

Nie wyglądał na zadowolonego.

Właściwie wyglądał na cholernie niezadowolonego.

Zdjął lustrzanki i spojrzał z niepokojem.

Frustracja na moje pokręcone, skopane życie zniknęła. Podbiegłam do niego.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Poczułam ucisk w żołądku. Nie chodziło mu o mój krzyk.

Patrzyłam na niego i zrozumiałam, że coś się komuś stało. Jestem córką gliny, więc ewentualność nagłego wypadku zawsze miałam z tyłu głowy. Teraz to mogło się przydarzyć wielu osobom z mojego kręgu: Lee, tacie, Malcolmowi, Hankowi czy kilkunastu innym policjantom, moim albo taty przyjaciołom.

Otworzyłam usta, żeby zapytać, i wtedy zobaczyłam ducati. Lee zaparkował przed księgarnią, zeskoczył i wszedł do środka.

Miał zaciśnięte usta, puste oczy, kamienną twarz.

Spojrzał na mnie, na Eddiego, potem znów na mnie.

– W porządku? – spytał.

– Powiedzcie wreszcie, co się stało! – krzyknęłam.

– Potrzebuje kawy – poinformował ich Tex, podając mi latte.

Lee podszedł bliżej, on i Eddie stali w odległości pół metra. Tex był za mną, Duke podszedł, wyczuwając, że coś się dzieje. Też stanął z tyłu.

Nadciągały złe wiadomości.

– Dziś rano eksplodował samochód Cherry Blackwell – wyjaśnił Lee.

Parzyłam na niego.

Co takiego?

– Jezuu... To ta lalka, z którą się wczoraj biłaś? – spytał mnie Tex.

Nie odpowiedziałam, rzuciłam się do Lee.

– Powiedz, że nie było jej w samochodzie.

– Nie było jej w samochodzie.

Odetchnęłam i napiłam się kawy. Nawet w takiej sytuacji nie mogłam nie zauważyć, że latte smakuje niebiańsko.

– Jak to się stało? – wymamrotałam trzęsącym się głosem.

– Dokładnie nie wiadomo – odpowiedział Eddie. – Wrak samochodu nadal jest zbyt gorący, żeby do niego podejść. Cherry była metr albo dwa od samochodu, poleciały na nią odłamki, została poparzona falą wybuchu. Leży

w centrum medycznym.

– Będzie żyła?

– Tego na razie nie wiem – odparł Eddie.

Dobry Boże... Nie lubię Cherry, a nawet jej nie znoszę, ale nigdy jej nie życzyłam, żeby oberwała odłamkami eksplodującego samochodu. Jedyna osoba, której mogłabym życzyć eksplozji auta, to bin Laden, ale wtedy wolałabym, żeby jednak w nim siedział.

Spojrzałam na ponurą twarz Lee i pomyślałam, że nawet jeśli źle się rozstali, to w końcu była jego dziewczyną i to dwa razy. Wsunęłam rękę w jego dłoń.

– A ty, jak się czujesz? – spytałam.

– Spoko. – Spojrzał na mnie dziwnie.

– Nie rozumie – wymruczał Eddie.

– Czego nie rozumiem?

I wtedy do mnie dotarło. Wczoraj wieczorem tarzałam się z Cherry w smażonym ryżu, a dziś omal nie wyleciała w powietrze.

Przeniosłam wzrok na Eddiego.

– Mam alibi! Podwójne! I nigdy nie tykałam żadnych materiałów wybuchowych!

To nie była do końca prawda. Kiedyś Ally i ja odpaliłyśmy kilkanaście petard przed domem Niny Evans po tym, jak rozpuściła obrzydliwą plotkę, że Ally wyskoczyła opryszczka.

No, ale petardy to nie bomba w samochodzie.

– Potwierdzam, spędziła większość wieczoru ze mną i kotami, przy chrupkach i samogonie. Miałem Indy na oku, aż przyszedłeś i ją zabrałeś – wtrącił się Tex, patrząc na Lee.

Eddie zagapił się z kolei na Texa, niepokój w jego oczach tylko zgęstniał – pewnie wyobraził sobie mnie, Texa, koty, chrupki i bimber.

– Dariusz coś wspominał, że jeden z jego chłopaków był w klubie ze striptizem ubiegłej nocy i słyszał, jak Gary od Coxy’ego mówił o waszej bójce – oznajmił Lee.

Niefajnie. W ostatnim tygodniu byłam chyba tematem numer jeden na częstotliwościach policji. Może miałam już własny kod, „Indy 666” albo coś w tym rodzaju.

Każdy mógł sobie słuchać policyjnych częstotliwości.

– No i co?

– Coxy wyłazi ze skóry, eliminując to, co może stanowić dla ciebie problem.

Puściłam dłoń Lee, cofnęłam się.

– Myślisz, że Wilcox planował zabić Cherry? Dla mnie?

– Za wcześnie na takie wnioski – wtrącił się Eddie. – Cherry nie ma zbyt wielu przyjaciół, ale żeby ją załatwić tylko za to, że jest suką, to trochę grubo.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę – mamrotałam pod nosem.

Kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, co myśleć i co robić.

– Chcecie kawy? – zwrócił się Tex do Eddiego i Lee.

– Pewnie, cappuccino na potrójnym espresso – zamówił Eddie.

– Tak, americano, bez mleka – dodał Lee.

Tex począł do ekspresu, a ja przeżywałam kryzys, w głębinach ogłupiałego mózgu szukając strefy wyparcia.

I wtedy odezwał się Duke, a jego chropawy głos brzmiał bardzo poważnie.

– Czy zamiast o pieprzonej kawie możemy pogadać o tym, jak takie dwa nedorobione sukinsyny jak wy zamierzają ochronić Indy przed tym pojebem?

Odwróciłam się, wyglądał na wkurwionego.

Duke przeszywał wzrokiem Lee.

– Czy to nie jest w chuj dobry moment, żeby przestać się z tym pierdolić i wziąć się za tego kutasa na poważnie?

Uuu, jechał po całości.

Duke zawsze ostro bluzgał, ale głównie wtedy, gdy wychodził z siebie i tracił cierpliwość.

Lee spojrział na niego.

– Pracujemy nad tym.

Duke podszedł bliżej.

– Nie widać.

Auć.

Wiedziałam, że Lee potrafi skopać komuś tyłek. Duke też nie daje sobie w kaszę dmuchać, może nie jest najmłodszy, ale umie o sobie zadbać i ma całe

lata praktyki.

Nie wiedziałam, jak Lee przyjmie to oskarżenie, i nie chciałam, żeby dwóch mężczyzn, których kocham, wzięło się za łby w mojej księgarni.

– Duke... – zaczęłam.

Spojrzał na mnie tak, że przysunęłam się bliżej Lee.

– Nie wiadomo, kiedy ten pojeb straci cierpliwość i w końcu zrobi ci krzywdę. Kule latają, samochody eksplodują, wszędzie trupy. To się musi wreszcie skończyć, do chuja pana. Teraz. – Duke dźgnął palcem w moim kierunku.

– Co racja to racja – wtrącił się niespodziewanie Eddie. – Indy musi być chroniona, masz dla niej kryjówkę?

– Mam – odparł Lee.

No, halo!

– Nie! Nie, nie, nie! – zawołałam bliska paniki. – Nie chcę siedzieć w kryjówce, nie mogę. Będę się czuć jak w pułapce!

Lee objął mnie.

– Nie na długo...

Wyrwałam się.

– Nie! Wykluczone, zacznę chodzić po ścianach. Przysięgam, że jak tylko mnie zamkniesz, ucieknę i wyjadę do Argentyny.

Albo mi nie uwierzyl, albo uznał, że nawet w Argentynie zdoła mnie znaleźć, bo wyglądał, jakby nie zamierzał ustąpić.

Cisnęłam dalej.

– Lee, oddaj mi paralizator, będę go cały czas nosić przy sobie. Przystaw do mnie człowieka. Zrób, co chcesz, tylko mnie nie zamykaj.

– Niestety, jeśli mamy zdjąć Coxy'ego, muszę mieć chłopaków do dyspozycji.

Coraz gorzej. To jak szlaban, tylko bez drzewa za oknem, po którym można by zejść, jak tata zaśnie. Ostatni szlaban dostałam dwanaście lat temu, zapomniałam już, jak strasznie tego nienawidzę, jak nie cierpię, gdy ktoś mnie zamyka, ogranicza mi wolność. Nie znoszę tego.

Ku mojemu zaskoczeniu, Eddie poddał się pierwszy.

– Możemy pilnować jej po kolei – zaproponował, patrząc w moje oczy łani, schwytej w światła reflektorów. – Pogadam z Hankiem, Williem i Carlem. Nie mam dziś służby, wezmę pierwszą wachtę.

Super. Z deszczu pod rynnę.

Lee odwrócił się do niego powoli.

– Nie do końca podoba mi się ten pomysł.

Eddie spojrzał na niego.

– Jakoś przeżyjesz.

Mierzyli się wzrokiem, opary testosteronu wisiały w powietrzu.

– Ożeż, do kurwy nędzy, Lee! Indy może być z tobą w ciąży, przecież nie skoczy w bok! – odezwał się Duke.

Szczęka mi opadła.

Eddie spojrzał mi w oczy, potem na mój brzuch, potem znów w oczy. Odwrócił się do Lee.

– Szybko poszło – zauważył.

– Nie jestem w ciąży – oznajmiłam, stosując w praktyce myślenie życzeniowe.

Wrócił Tex i podał im kawę.

– Dobra, chłopaki, do roboty – zaordynował.

Eddie podszedł do kanapy, usiadł wygodnie, położył rękę na oparciu i upił łyk cappuccino. Patrzył na mnie i uśmiechał się seksownie.

Świetnie.

Lee wziął mnie za szyję i przyciągnął do siebie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

Skinęłam głową, choć miałam dużo wątpliwości.

Pocałował mnie i wyszedł.

Wracająca z drogerii, Ally rzuciła „cześć” Lee, gdy wsiadał na motor, wparowała do księgarni i obwieściła:

– Powinnaś najpierw nie mieć okresu, ale i tak kupiłam ci kilka testów – pomachała opakowaniami.

Zerknęłam na Eddiego.

Uśmiechał się.

Rozdział 25

Długotrwała wytrzymałość

Opowiedziałam Ally o Cherry, wyjaśniłam, czemu znowu mam ochroniarza.

– Gdy ta lala próbowała złapać Lee na ciążę, wyobrażałam sobie, że przytrafia się jej mnóstwo rzeczy, ale nie coś takiego – odparła. Włączyła Black Crowes i podkręciła głośność.

Nie należała do ludzi, którzy lubią długie rozkminki. Wolała rocka.

Przyszli nowi klienci i mogliśmy oderwać myśli od wypadku.

Siedziałam za ladą książek, finalizując nadprogramową dostawę kawy. Jak tak dalej pójdzie, zapasy skończą nam się w środku tygodnia.

Zadzwoniła moja komórka. Tata.

– Cześć, tatku.

– Cześć, malutka.

Miał łagodny, przymilny głos. A mój ojciec nie jest facetem, który lubi szczebiotać.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiłam się.

– Dzwoniła Kitty Sue. Jeśli to będzie chłopiec, nazwij go Herbert po swoim dziadku. Obiecałem mu, że jeśli twojej matce i mnie urodzi się chłopiec, damy mu jego imię, ale los chciał inaczej, więc teraz obowiązek spoczywa na tobie.

Znieruchomiałam.

– Indy?...

Nie odzywałam się.

– No dobrze, to może daj mu Herbert na drugie.

– Nie jestem w ciąży! – krzyknęłam. Wszyscy spojrzeli na mnie.

– To czemu Kitty Sue zaprosiła mnie na baby shower? Zresztą, ja w to nie wchodzę, wyślę wam prezent...

– Nie jestem w ciąży – powtórzyłam dobitnie.

– Nie? – zdumiał się.

Maatko, jakie to krępujące.

– Zadzwoń do ciebie później.

Odłożyłam telefon i posłałam Ally mordercze spojrzenie.

– Dzwoniłaś do Kitty Sue.

– Nie dzwoniłam!

Duke skradał się do drzwi.

– Duke!

– Muszę zobaczyć się z jednym gościem, który...

– Stój i nie ruszaj się. Dzwoniłeś do Kitty Sue.

Odwrócił się do mnie.

– Nie.

Zmrużyłam oczy.

– Mówiłeś o tym Dolores?

Potarł czoło pod bandanką.

– No coś tam wspomniałem...

Boże, co za życie.

Spojrzałam w kierunku jednej z ukrytych kamer i powiedziałam prosto do sztabu głównego:

– Lee, twoja matka planuje baby shower! Zadzwoń do niej!

Złapałam torebkę, wrzuciłam do niej telefon, wypadłam zza lady i dźgnęłam palcem Eddiego.

– Ty, supermacho! Idziemy. – I ruszyłam do drzwi.

Biegłam w klapkach chodnikiem, aż Eddie dołączył do mnie, złapał za pasek spodni i zmusił do zatrzymania.

– Czekaj no, *chica*.

Objął mnie ręką za szyję i przycisnął do swojego boku. Zaczęłam iść bokiem jak krab, aż wreszcie zwolnił mocny chwyt i mogłam się poruszać normalnie. Nadal trzymał rękę na mojej szyi, szłam przyciśnięta do niego ramieniem i częścią ciała.

Miał na nosie lustrzanki, ale widziałam, że się rozgląda. Zrozumiałam, że idziemy w ten sposób, bo w takiej pozycji on jest bardziej wystawiony na cel.

Poczułam ciepło w żołądku. Poza tym ładnie pachniał; ciepło rozeszło się po całym ciele.

Zanim dotarliśmy do Walgreen, byłam już odurzona.

O tym właśnie mówiłam. Nie musiał prawić komplementów, nie musiał cię podrywać. Wystarczyło, że był sobą, już samo to stanowiło spory atut.

Weszliśmy do drogerii, Eddie zabrał rękę i zdjął okulary, a ja otrząsnęłam się z jego uroku.

Przeszłam szybko między regałami, skupiona na zadaniu, w ogóle nie zwracając uwagi na kosmetyki i świeczki.

W końcu znalazłam to, czego szukałam, zatrzymałam się i odwróciłam do Eddiego.

– Dobra, jeszcze tego nigdy nie robiłam. Jakie wybrać? Musimy znaleźć odpowiednio grube, mocne i trwałe. Powiedz, które kupić.

Eddie spojrzał na stojak, potem na mnie.

– Mam ci pomóc wybrać prezerwatywy dla Lee?

– Mocne i trwałe – dodałam.

Patrzył na mnie tak, jakby dokonywał rewaloryzacji swoich uczuć do mnie.

– Dobra. Spoko. Zacznijmy od rozmiaru. – Chciałam pomóc.

Pokręcił głową.

– Pytasz, jaki Lee ma rozmiar? *Es mi hermano*[\[13\]](#), ale nie jesteśmy tak blisko. Po drugie, prezerwatywy nie mają rozmiarów.

Nie wierzyłam. Na pewno ściemnia.

– Jak to, czyli jest jakiś uniwersalny?

Nie odpowiedział.

– To niemożliwe – wyrwało mi się. Nie żebym miała wachlarz doświadczeń, ale halo, nie może być jednego rozmiaru.

Wciąż nic nie mówił, ale jego oczy patrzyły groźnie.

– No dobra. To przejdźmy do następnej kategorii: wytrzymałość, trwałość, takie rzeczy.

Zostawił mnie przy regale i odszedł.

Zadzwoniła moja komórka. Odebrałam.

– Gdzie jesteś? – spytał Lee zamiast powitania. – Chłopaki powiedziały, że się wściekłaś z powodu baby shower i wyszłaś, a Eddie za tobą.

– Twoja matka planuje imprezę z okazji mojej ciąży.

– Gdzie jesteś?

– Musisz do niej zadzwonić.

– Gdzie jesteś?

– Lee!

– Zadzwonię. Gdzie jesteś, do ciężkiej cholery?

– W Walgreen z Eddiem. Nawet dobrze, że dzwonicz, bo Eddie nie chce mi pomóc. Jakich prezerwatyw używasz? Tylko błagam, żadnych kolorowych ani smakowych, żadnych takich. Chcę te, które słyną z wytrzymałości.

Cisza.

– Lee?

Usłyszałam, że zasłania ręką mikrofon w telefonie.

– Lee! – krzyknęłam.

– Czekaj. Dobrze rozumiem? – wrócił do rozmowy i byłam pewna, że się śmieje. – Zaciągnęłaś Eddiego do drogerii, żeby wybrać dla mnie kondomy?

– Rany, no tak! Nie jestem dziewczyną, która nosi przy sobie prezerwatywy, to sprawa facetów. Sam powiedziałeś, że będziemy się zabezpieczać inaczej.

– I mówiłaś Eddiemu o tej długotrwałej wytrzymałości?

Kurde.

– Dobra, zapomnij – burknęłam.

– Indy? – zawołał jeszcze.

– Czego? – warknęłam, serio wkurzona.

– Kocham cię. – Nadal słyszałam śmiech w jego głosie i było coś zajebistego w tym, że śmieje się i mówi „kocham cię” jednocześnie.

Rozłączył się, nie zdążyłam zareagować.

W końcu wzięłam różne, żeby sam sobie wybrał.

Eddie dołączył do mnie, gdy zbłądziłam do działu z błyszczkami, i odciągnął mnie. Złapałam jeszcze multiwitaminy (tak na wszelki wypadek)

i kilka batoników arbuzowych, zanim doprowadził mnie do lady.

Zapłaciłam za siedem opakowań prezerwatyw, witaminy, sześć batoników i nasza wyprawa dobiegła końca.

Po zamknięciu księgarni Eddie zawiózł mnie crossfire'em do domu, zaparkował na tyłach, na moim drugim miejscu parkingowym, przeznaczonym dla gości.

Prawie zabrakło mi powietrza na myśl, że teraz na tym miejscu będzie zawsze stał samochód Lee, ale udało mi się zdławić panikę.

Przeszliśmy przez tylne podwórko, Eddie wziął ode mnie klucze, otworzył drzwi.

Ledwie weszłam, a już wiedziałam, że coś jest nie tak.

– Ktoś tutaj jest – szepnęłam, stawiając torbę z zakupami na blacie w kuchni. Eddie się odwrócił.

– Daj spokój, to telewizor.

No dobra, może nie jestem urodzonym detektywem z wyostrzonym poczuciem zagrożenia.

– Stój tu, sprawdzę – polecił, wyciągnął zza paska broń i wszedł do jadalni.

Poszłam za nim.

Odwrócił się.

– Czego nie zrozumiałaś w „stój tu”?

– Nie zostawiaj mnie. Nie lubię, jak się mnie zostawia. Dobra, zgoda, porywają mnie i ścielą się trupy, jeśli nie zostaję tam, gdzie powinnam, ale jestem pewna, że byłoby jeszcze gorzej, gdybym została.

Eddie patrzył na mnie. Wyleczenie się z nieodwzajemnionego uczucia chyba nie potrwa długo.

Weszliśmy przez salon na górę, odgłos telewizora dobiegał z drugiej sypialni. Znalazłam się na piętrze i stanęłam jak wmurowana.

Eddie wszedł do pokoju i spytał:

– Co tam, *hombre*[14]?

Przez otwarte drzwi widziałam, że mój wysłużony odbiornik został

zastąpiony wielkim, płaskim telewizorem Lee. Obrazy stały oparte o ścianę.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam dwie walizy, jedna otwarta, jakby właśnie wybuchła; męskie ubrania, mówiąc ściślej: ubrania Lee, leżały na całej podłodze.

Zajrzałam do łazienki i zobaczyłam apteczkę na blacie toaletki.

Lee się wprowadził.

Weszłam do telewizyjnego. Na biurku nie stały już moje artykuły piśmiennicze, słodkie dziewczynskie pudełka, bibeloty, kolorowe bruliony, które kupowałam, ale ich nie używałam; nie leżały równo na półkach razem z zamkniętym laptopem, wszystko było gdzieś porzastawiane. Biurko zajmowały wielki płaski monitor, bezprzewodowa klawiatura, myszka i cała masa innego badziewia; wszędzie wiły się kable. Obok szafki z telewizorem stał sejf.

Lee leżał na plecach na mojej dużej, miękkiej, wygodnej czerwonej kanapie; śliczne poduszki, zwykle artystycznie poukładane, wsadził sobie pod głowę i ramiona, w rękę miał piwo, oglądał baseball.

Właśnie rozmawiał z Eddiem, gdy weszłam. Spojrzał na mnie.

– Cześć – powiedział.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa.

Wyszłam do swojej sypialni.

Siedziałam i patrzyłam na rozrzucone ubrania, przelotnie rejestrując, że Eddie już sobie poszedł.

Do sypialni zajrzał Lee.

– Cherry się wylize – oznajmił.

Milczałam. Pewnie, że się cieszyłam, jak cieszyłby się każdy normalny człowiek, że laska jeszcze trochę pożyje i kolejnym śmiertelnikom da odczuć ich znikomość, ale chwilowo byłam zbyt wstrząśnięta.

Podeszłam i otworzyłam szafę. Obiema rękami, nadludzkim wysiłkiem, przesunęłam wszystkie wieszaki z jednej strony na drugą. Wieszaki kliknęły cicho, ciuchy sprasowały się i jakoś udało się uzyskać z pół metra przestrzeni. Cofnęłam się i spojrzałam na pobożowisko na podłodze.

Zaczęło mi brakować powietrza.

Lee podszedł od tyłu, objął mnie i oparł brodę na moim ramieniu.

– Oddychaj głęboko – poradził.

Tak zrobiłam. Wdech, wydech, wdech, wydech.

– Lepiej? – zapytał.

– Nie.

Podszedł do odtwarzacza i przejrzał płyty. Usłyszałam *Dakotę* Stereophonics. Bardzo dobra piosenka. Poczułam się trochę lepiej.

Spojrzałam na Lee i zrobiłam głęboki oddech.

– Potrzebuję dwóch minut. Dam radę.

Zostawił mnie.

Po trzydziestu dwóch minutach było niewiele lepiej. Udało mi się zwolnić kolejne trzydzieści centymetrów, na piętrze leżała kupka rzeczy, których powinnam się pozbyć lata temu.

– Nadal brakuje miejsca! – krzyknęłam histerycznie.

Wszedł Lee.

– Mógłbyś pomóc – wytknęłam, opierając rękę na biodrze.

Podszedł do szafy, przerzucił kilka wieszaków i wyjął moją bluzkę ze skrzydłami motyla, wyszywaną srebrną nitką. Nosiłam ją jako Olivia Newton John z *Grease*. Może nie była to najlepsza kreacja, ale wywoływała dobre wspomnienia.

– Nawet nie próbuj – ostrzegłam.

Uśmiech w kącikach oczu; odwiesił bluzkę. Przesunął kolejne wieszaki i wyjął wyszywaną kamizelkę z dużym rozdarcie. Kiedyś piękna, ale nie dało się jej naprawić. Z nią również wiązały się fajne chwile.

– Zwariowałaś? Byłam w tym na koncercie Red Hotów! – zawołałam.

Odwiesił kamizelkę, zszedł do kuchni. Wrócił z dwiema butelkami piwa, jedną dał mnie i znowu wyszedł. Może nie była to wielka pomoc, ale zawsze jakaś.

Czterdzieści pięć minut później wspierałam się na wyżyny. Na podeście leżała góra ciuchów, jakieś buty, torebki, dodatki. Walizki Lee zostały rozpakowane, zasunięte i też wystawione na podest. Lee miał dla siebie dwie i pół szuflady i jedną trzecią szafy.

Leżałam na łóżku na brzuchu, słuchając, jak Kelly Jones zajebiście śpiewa piosenkę Roda Stewarta *Handbags and Gladrag*s, bardzo à propos.

Poczułam, że materac się ugina, Lee położył rękę na moich plecach.

– Zamówiłem pizzę, idę odebrać do Famous. Chcesz się przejść?

Pokręciłam głową, zniknął.

Wysłuchałam jeszcze *Have a Nice Day*, wyłączyłam odtwarzacz, poczłapałam do pokoju z telewizorem i padłam na kanapę. Kilka minut później wszedł Lee z pudełkiem pizzy i dwiema otwartymi butelkami piwa stojącymi na wierzchu.

– Błagam, powiedz, że to pepperoni z pieczarkami.

Uśmiechnął się.

– Do tego czarne oliwki.

Dzięki ci, Boże.

Jedliśmy. Oglądaliśmy baseball. Lee zniósł do wyrzucenia pudełko i puste butelki, wrócił z nowym piwem.

W sumie nie było tak źle.

Podniósł mnie z kanapy, położył się na plecach, a mnie obok siebie. Z policzkiem na jego piersi, oglądałam mecz Rockies.

No dobra, może to wcale nie było złe.

I z tą myślą momentalnie zasnęłam.

Potrząsnął mnie za ramię.

– Czas do łóżka, śliczna.

Przeturlałam się przez niego i wstałam z kanapy.

Rozebrałam się w drodze między pokojem telewizyjnym a sypialnią i wśliznęłam pod kołdrę w samych tylko różowych majtkach, zbyt zmęczona, żeby umyć zęby.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Lee kręci się po pokoju, ale nie brzmiało to tak, jakby miał się kłaść.

– Co robisz? – wymamrotałam.

– Muszę popracować.

Wiedziałam, że nie ma sensu pytać o szczegóły, zresztą nie chciałam

wiedzieć.

Zgasił światło, pochylił się i pocałował mnie w skroń.

– Bądź ostrożny – szepnęłam jeszcze.

– Zawsze jestem – odszepnął.

I już go nie było.

Obudziłam się, gdy się kładł.

Przysunęłam się do niego, przytulił mnie.

– Wszystko w porządku? – wymruczałam cicho, wtulona w jego pierś; nie wiem, jak mnie w ogóle usłyszał.

– Tak. Śpij.

Leżałam chwilę, bliska zaśnięcia, ale spytałam jeszcze po cichu:

– Tak właśnie będzie wyglądało moje życie?

Jego ciało, zrelaksowane, gdy mnie przytulał, tym razem się spięło.

– Tak – odparł, jak zawsze wprost.

Wciągnęłam powietrze przez nos i wypuściłam ustami.

– Obiecuj mi jedną rzecz – poprosiłam.

– Jaką?

– Że będziesz mnie budził po powrocie do domu.

Jeszcze spięty, teraz się rozluźnił.

– Dobra, może tak być.

– Dziękuję.

I zasnąłam.

Był wczesny ranek, stałam na podwórku przed domem w obciętych dżinsach i oliwkowej koszulce Lee z napisem *Army* na piersi. Trzymałam kubek z kawą w jednej ręce i węża ogrodowego w drugiej; strumień wody skierowałam na kwiaty.

Otworzyły się drzwi, usłyszałam Steviego:

– Podlej i nasze, dobrze?

Nadal w porannym otępieniu, uniosłam kubek, sygnalizując, że spoko, nie odwracając się i nie odpowiadając. Drzwi się zamknęły.

Lee wrócił z biegania, otworzył furtkę, wszedł na trawnik i stanął metr ode mnie.

Spojrzałam na niego. Miał na sobie te czarne spłowiałe dresy; biały podkoszulek z logo Night Stalkersów, który uważałam za swój, był mokry od potu i przyklejony do ciała. Buty do biegania wyglądały tak, jakby służyły do biegania, a nie szpanowania „halo, tu się biega”.

Był cały mokry, ale oddech miał równy, i gdybym nie była tak nieprzytomna, pewnie bym na niego wskoczyła.

– Cześć – odezwałam się możliwie rześko.

Spojrzał na mnie, potem na strumień wody, uśmiechnął się, znów spojrzał na mnie.

– Cześć.

– Podlewam kwiaty – wyjaśniłam.

Pokręcił głową.

– Kochanie, nie chcę ci psuć zabawy, ale właśnie podlewasz płot.

Spojrzałam na pistolet od węża i odkryłam, że trochę „przestrzeliłam”. Woda docierała do płotu i spływała po nim, nie dotykając roślin.

Coś podobnego.

– Chyba za mało kawy – burknęłam.

Podszedł i wziął ode mnie pistolet.

– Może nie powinnaś operować o poranku tak skomplikowaną machiną.

Nie widziałam nic skomplikowanego w pistolecie do węża, ale się nie kłóciłam.

– Podlej też u Steviego i Toda, dobra? – poprosiłam i weszłam do domu. Usiadłam na kanapie, położyłam stopy na pufie i gapiłam się w przestrzeń, póki nie opróżniłam kubka.

Dolałam sobie kawy, poszłam na górę, postawiłam kubek na blacie, rozebrałam się i weszłam pod prysznic.

Właśnie spłukiwałam szampon, gdy drzwi od kabiny przesunęły się i dołączył

do mnie Lee. Położył mi ręce na biodrach i zaczął przesuwać nimi po moim ciele; ciężko było się skupić na splukiwaniu włosów, ale dałam radę.

Gdy skończyłam, odsunął mnie i zajął moje miejsce pod strumieniem wody; wzięłam odżywkę i wmasowałam we włosy.

– Jakim cudem udaje ci się pracować całą noc, wstawać przed szóstą i jeszcze biegać? – spytałam.

– Lata praktyki.

Patrzyłam, jak po jego ciele spływa mydło, i straciłam chęć do rozmowy. Dałam spokój z odżywką; przesunęłam rękami po skórze Lee, teraz śliskiej od mydła. Badałam jego ciało, z góry lała się na nas woda, a ja zdecydowałam się na eksplorację wielozmysłową, z użyciem rąk i ust. Lee pozwalał na to przez chwilę, potem podniósł mnie i oparł o ścianę.

Spojrzałam w jego oczy i zobaczyłam, że obudziłam bestię.

Położył mi rękę na udzie, podniósł moją nogę i oparł o swoją talię.

– Przyniosłeś prezerwatywy na górę? – spytałam usta przy ustach.

– Skończę poza tobą.

– Nie! To nie działa, spytaj Andreę!

– Nie przejmuj się tak. Chcę, żebyś była w ciąży.

O, kurde.

– Co? – chyba krzyknęłam. – Ale... teraz?

– Nie musi być teraz, ale jeśli się zdarzy, nie będę miał nic przeciwko temu.

Przez chwilę czułam zawroty głowy. Położyłam dłonie na jego twarzy, zmusiłam go, żeby na mnie spojrzał.

– Zgodziłam się, żebyśmy byli razem, zgodziłam się na przeprowadzkę, chociaż jak dla mnie wszystko dzieje się o wiele za szybko. Na dziecko musisz mi dać więcej czasu. Jesteśmy razem zaledwie od tygodnia!

Pocałował mnie; poczułam, jak odpływam. Gdy podniósł głowę, odkryłam właśnie, że nie mam już nic przeciwko dziecku, ale on powiedział:

– Pójdę po prezerwatywy.

Owinął się ręcznikiem i wyszedł.

Leżeliśmy w sypialni, ja twarzą w górę, on twarzą w dół; obejmował mnie ręką w pasie.

Trochę się rozkręciliśmy z tymi siedmioma pudełkami kondomów w zasięgu ręki. Po ochrzczeniu prysznic odkryłam (takie moje szczęście), że Cherry miała rację: obciągnij Lee, a zrewanżuje się i przeżyjesz trzęsienie ziemi.

– Mam pomysł – oznajmiłam.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na mnie.

– Ostatnim razem, jak miałaś pomysł, zgarnęli nas z cmentarza w środku nocy. Ty i Ally wpadłyście do świeżo wykopanego grobu i narobiłyście takiego wrzasku, że sąsiedzi wezwali gliny.

Uśmiechnęłam się. Fajna noc, na krótko przed tym, jak zaczęłam unikać Lee. On, Eddie, Ally i ja siedzieliśmy sobie i piliśmy, gdy namówiłam ich, żebyśmy poszli o północy na cmentarz. Było śmiesznie. Może z wyjątkiem chwilowego pobytu w grobie.

– Ten pomysł jest lepszy.

Przewrócił oczami, w kącikach pojawiły się zmarszczki uśmiechu.

– Posłuchajmy.

– Co ty na to, żebym udawała, że Wilcox wygrał? Poszłabym z nim na kolację i... – Urwałam, bo przestał się uśmiechać, a jego oczy patrzyły twardo i groźnie.

– Nie ma mowy.

– Ale miałabym na sobie podsłuch, może udałoby się go upić, rozgadałby się...

– Nie ma mowy.

– To dobry plan! – oznajmiłam z pretensją.

– Zajebiecie dobry – zakpił.

Poderwałam się i jednym susem doskoczyłam do komody, wyjęłam kremowe majtki w żółte kwadraciki, włożyłam je, znalazłam pasujący stanik i cały czas perorowałam:

– Moglibyśmy chociaż spróbować. Miałabym paralizator w torebce, a ty wysłałbyś kogoś... aua!

Chwycił mnie wpół, pozbawiając tchu, i szarpnął mocno na siebie. Wylądowałam na łóżku, podskoczyłam kilka razy, a on znalazł się na mnie.

– Kochasz mnie? – spytał.

Patrzyłam na niego, wstrzymując oddech.

– Kochasz mnie? – spytał znów, niecierpliwie, na jego policzku zagrał mięsień.

Coś się tu dzieje. I to nie ma nic wspólnego z Wilcoxem czy chwilowymi zawirowaniami w moim życiu.

Cholera.

– Lee...

– Odpowiedz, Indy.

Szlag!

Gdy wciąż się wahałam, wybuchnął.

– Chryste! – A potem zerwał się, podszedł do komody i trzaskał szufladami, dopóki nie znalazł swojej.

– Lee...

– Pragnąłem cię całe życie. A teraz, kiedy wreszcie jesteśmy razem, sama pchasz się w łapy tego szaleńca. Już i tak jest niebezpieczny do tego stopnia, że nie możesz się ruszyć bez ochrony, a teraz jeszcze chcesz na niego polować, używając siebie jako przynęty.

– Lee...

Znalazł seksowne białe bokserki, założył je, wciągnął levisy. Usiadłam na łóżku.

– I cały problem w tym, że jesteś, kurwa, tak zdeterminowana, żeby chwycić życie za gardło, że spróbujesz działać na własną rękę. Jeśli chcę mieć pewność, że w to nie wejdiesz, mogę zrobić wyłącznie jedno: zamknąć cię w schronie, wtedy jednak prawdopodobnie cię stracę. – Włożył biały podkoszulek i mówił dalej: – Co powinienem zrobić? Utrzymać cię przy życiu i wkurwić tak, że odejdiesz, czy ryzykować, że zginiesz, co przy Coxym jest cholernie możliwe?

– Lee, jeśli przestaniesz truć i posłuchasz...

Odwrócił się, wyglądał niebezpiecznie.

– Nie truję – wycedził zimno. – Mówię cholernie poważnie.

Widziałam, że tak jest.

Znów trzaskał szufladami, więc wstałam z łóżka i krzyknęłam:

– Nightingale, posłuchaj mnie!

Odwrócił się, spojrział na mnie.

– Jeśli nie chcesz, żebym użyła siebie jako przynęty, nie zrobię tego!

– Jak mam ci zaufać?! – On też już wrzeszczał.

W tej chwili zrozumiałam, jak to jest, kiedy kłamiesz tak często, że potem nikt ci nie wierzy.

– Obiecuję!

– Jak mogę uwierzyć w twoje obietnice?

– Po prostu!

– Kochasz mnie? – zawołał.

– Tak! Oczywiście, że tak, ty dekle! Kocham cię, odkąd skończyłam pięć lat! – darłam się, niczego już nie ukrywając.

Błyskawicznie doskoczył do łóżka, podniósł mnie i rzucił na materac. Jednym ruchem ściągnął majtki, które przed chwilą włożyłam. Pochylił się nade mną i zaczął mnie całować, jedną ręką rozpinał rozporek.

Gdy skończył pocałunek, jego dłoń znalazła się między moimi nogami.

– Dprowadzasz mnie do szału – wysapał.

– Dzięki – chciałam warknąć, ale brakowało mi tchu; chyba wspominałam, że ma bardzo zwinne palce.

– Nie próbuj polować na Coxy’ego – zażądał i pocałował mnie znowu.

– Dobrze.

Sięgnął po prezerwatywę, rozdarł opakowanie zębami, drugą rękę wciąż miał zajęta.

– Lee...

Nadal walcząc z prezerwatywą, wymruczał:

– No?

– Nie zostawię cię, nawet jeśli będziesz zachowywał się jak palant.

Podniósł głowę i spojrział mi w oczy; jego wzrok, przed chwilą nieobecny, stał się ciepły i czekoladowy.

– Matko, Indy...

Pocałowałam go, wyciągnęłam rękę i wsunęłam go w siebie. Od razu zaczął

się we mnie ruszać.

Szepnęłam mu do ucha bardzo, bardzo cicho:

– Nigdzie się stąd nie ruszę. Jestem tutaj, gdzie zawsze chciałam być.

Jego usta znalazły się na moich.

– Najwyższy czas – szepnął.

Rozdział 26

Plask

Ally, Willie i ja siedzieliśmy przed lodziarnią Liks. Mimo trzydziestu stopni w cieniu i tak wyszliśmy na patio, bo to tradycja Liks. Nawet w grudniu przynajmniej rozważasz ucztę na patio.

Willie wpadł po mnie, dziś on mnie pilnował.

Lee pojechał do pracy, my z Williem ruszyliśmy do księgarni, potem ja i Ally zabrałyśmy go do centrum handlowego.

Teraz zafundowałyśmy mu lody: zdołał przetrwać akcję „Indy i Ally robią zakupy” w rozbudowanej wersji, ze wszystkimi butikami, przymierzalnymi i tak dalej.

Gdy prezentowałam mu kolejną parę lewisów, pytając: jak wyglądam, oznajmił, że osobiście dorwie i wykończy Terry’ego Wilcoxa bez niczyjej pomocy.

Hm.

Nie kupiłam tych dzinsów.

Czułam się dziwnie, ponieważ nie czułam się dziwnie po tym, jak powiedziałam Lee, że go kocham, a czułam, że powinnam się czuć dziwnie.

Co robisz, gdy dostajesz dokładnie to, czego chciałaś?

Idziesz na zakupy z przyjaciółką, a potem wbijasz na lody.

Z trudem nadążałam z pochłanianiem roztapiającej się podwójnej porcji z kawałkami gorzkiej czekolady, gdy usłyszałam:

– Ej, to przecież rockowe laski!

Podniosłam wzrok i zagapiłam się zszokowana na Kevstera i Rosiego, którzy szli w naszą stronę. Obaj trzymali w ręku rożki z podwójną porcją (w Liks nie bierzesz jednej porcji, kardynalna zasada) i wyglądali tak, jakby nic nie mąciło ich szczęścia.

Gdy podeszli, Willie wstał i podał Ally swoje lody.

Kevster cofnął się, widząc ochroniarską postawę Williego, i pokazał palcami literę V.

– Ej, ziom, przychodzimy w pokoju!

– W porządku, znamy ich, Willie – powiedziałam.

Odprężył się, ale tylko trochę.

– Przecież siedzieliście w areszcie? – rzuciłam na powitanie i wstałam.

– Wyszliśmy za poręczeniem – odparł Rosie, ślad lodów wokół ust (chyba bakaliowych) tworzył literę O.

– Kto ją wpłacił? – włączyła się Ally, też wstając.

– Nasza chrzestna wróżka? – zarechotał Kevster.

Spojrzałam na Ally, potem na niego.

– Nie wiecie, kto wpłacił kaucję?

– A powinniśmy? – Kevster wydawał się zmieszany, w każdym razie bardziej niż zwykle.

Wcale mi się to nie podobało.

– Jak to w ogóle możliwe? – zwróciła się Ally do Williego.

– Widzieliście dokumenty? – spytał czujnie mój ochroniarz, patrząc spod zmarszczonych brwi na tych dwóch grunge'owych jemiołów.

– Dokumenty? – To już przerosło zdolności umysłowe Kevstera.

Nie zdołaliśmy kontynuować tej prowadzącej donikąd konwersacji, bo czarne bmw z ciemnymi szybami zatrzymało się z piskiem na 13. Avenue. Nie parkowało, po prostu stanęło na jednym z trzech pasów.

– O, kurde – rzuciła Ally.

– Do samochodu – poleciał Willie, teraz już cały zwarty i gotowy.

Zanim zdążyliśmy się ruszyć, Gary Gnat i Głęb już szli w naszą stronę.

– Do samochodu! – powtórzył Willie.

Nie wiem czemu, ale staliśmy jak wmurowani.

– Hej tam! – przywitał Kevster zbirów; wyraźnie nie miał zielonego pojęcia, kim są i nie wyczuwał napięcia, które zelektryzowało powietrze.

Rosie zbladł, rozpuszczające się lody spływały po jego dłoni.

Gary Gnat i Głęb zignorowali nas, patrzyli na Williego.

Przesunął mnie za siebie.

– Wiecie, kim jestem? – zwrócił się do przybyłych.

Głęb skinął głową, Gary nie odpowiedział.

– W takim razie odejdźcie.

– Pan Wilcox chce z tobą rozmawiać – przemówił Gary. Nadal patrzył na Williego, ale zwracał się do Rosiego. Nie do mnie, do Rosiego. Gary miał zadanie. Ważne zadanie. Znacznie ważniejsze od polecenia wydanego przez policjanta.

– Hej, znam cię! Przyszedłeś wtedy po... – Cztery komórki Kevstera zderzyły się, rozpoznał przybyłych i zawołał: – O, kurwa! – Cisnął lodami w twarz Gnata i rzucił się do ucieczki.

– Co do...? – zaczął Gary, sztywniejąc; po jego brodzie i policzku spływały słynne lody o smaku sernika truskawkowego.

Plask!

Rosie również cisnął lodami w Gary'ego, trafiając w bok głowy, i pognał za swoim ziomem.

Plask!

Ally zaatakowała swoimi lodami Głęba, dostał w pierś. W tym momencie Willie złapał mnie i pociągnął za sobą.

Plask!

Ally rzuciła też lodami Williego, Gary oberwał w ramię.

Żeby nie być gorsza (choć to ogromne poświęcenie, lody z kawałkami gorzkiej czekolady to najlepsze z najlepszych), już w biegu, ciągnięta przez swojego bodyguarda, cisnęłam lodami w Głęba; dostał w brzuch.

Wskoczyliśmy do nissana, zbiry zaprzestały pogoni i pobiegły do bmw. Willie odpalił silnik, zanim zapięliśmy pasy, i ruszył z piskiem. Ally nie zdążyła porządnie usiąść i teraz rzucało nią na tylnym siedzeniu, wśród szeleszczących toreb z zakupami.

Zobaczyłam Rosiego i Kevstera pędzących chodnikiem.

– Stój! – krzyknęłam do Williego. – Zabierzmy ich!

– Nie, kurwa!

– Zatrzymaj się! – pisnęłam przeraźliwie, oglądając się na bmw za nami. – Wilcox nie może ich dorwać!

Willie, który zdążył przejechać obok tych dwóch miłośników ziola, depnął po heblach i wszyscy poleciliśmy do przodu. Żeby uniknąć zderzenia, bmw musiało nas ominąć. Kolejny dowód, że mężczyźni zrobią wszystko, żeby kobieta przestała się drzeć.

Ally otworzyła drzwi, wychyliła się i krzyknęła:

– Wskakujcie!

Rosie i Kevster dali nura do SUV-a, gniotąc torby z zakupami. Willie ruszył.

Nikt nic nie mówił. Słysząc było tylko ciężkie oddechy Rosiego i Kevstera.

W końcu odezwał się Willie:

– Lee będzie moim dłużnikiem.

Nie wiedziałam, czy mówi o zakupach w centrum handlowym, czy inwazji grunge’u w swoim pathfinderze.

Możliwe, że o jednym i drugim.

Gdybym wiedziała, że odwiedzę dziś biuro Lee, ubrałabym się staranniej.

Dawn znów szpanowała dizajnerskimi ciuchami.

Ja miałam obcięte dzinsy, niebieski T-shirt z białym napisem *USAFA*^[15] z przodu (wprawdzie człowiek, którego kocham, odszedł z wojska, ale jestem zwolennikiem równych szans) i niebieskie klapki. Po trzech orgazmach, kłótni z Lee, która skończyła się wyznaniem miłości, byłam fizycznie i psychicznie wypruta. Wymyślanie kreacji okazało się ponad moje siły, nie założyłam nawet paska.

Gdy całą bandą wbiliśmy do sterylnej recepcji, Dawn patrzyła na nas przerażona. Rosie nadal miał białą obwódkę wokół ust i zacieki z lodów na rękę, zbyt wstrząśnięty ostatnimi wydarzeniami, by zwracać uwagę na coś takiego. Nawet w swoich najlepszych czasach ci dwaj bogowie grunge’u nie przejmowali się zbyt higieną osobistą, a co dopiero teraz.

– Co tym razem? – powitała nas Dawn.

Zastanowiłam się przelotnie, czy Lee zna definicję słowa „serdeczny” i jak ma się ona do Dawn.

– Musimy pogadać z Lee – poinformował ją Willie.

Spojrzała na niego; jej wyraz twarzy się zmienił. Willie był przystojny, Dawn w potrzebie, więc stłumiła arogancję i uśmiechnęła się ciepło.

– Bardzo mi przykro, ale aktualnie ma spotkanie.

– To mu powiedz, że jesteśmy.

– Przykro mi, prosił, żeby...

– Powiedz mu, że jesteśmy – powtórzył dobitnie.

Laska spojrzała na niego wielkimi oczami, położyła ręce na oparciach fotelach (tak, żeby wyeksponować staranny manikiur), odepchnęła się, wyszła zza biurka i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sanktuarium.

– Jeszcze nigdy tutaj nie byłam – szepnęła Ally.

– Serio? – odszepnęłam, nie wiedząc, czemu ściszamy głos.

– Ale wypas... – stwierdziła z uznaniem.

A ja poczułam dziwną dumę, jakbym miała cokolwiek wspólnego z urządzaniem biura.

Uśmiechnęłam się do niej, a ona uśmiechnęła się do mnie.

– Czyli co, jesteśmy jakby w dupie? – spytał Kevster znienacka.

Ally spojrzała na niego.

– Jesteście jakby debilami.

– Coś ty, ziomalka! – Koleś był zszokowany tą obrazą.

– Weźcie się ogarnijcie, zanim ktoś was w końcu kropnie – ciągnęła Ally. – Ludzie obrywają, dostają paralizatorem, są porywani, samochody wylatują w powietrze... weźcie się, kurwa, obaj wreszcie obudźcie!

Cała prawda. Nie dało się wyrazić tego bardziej wprost.

Rosie i Kevster gapili się na Ally, ale czy coś do nich dotarło – to niejasna sprawa.

Willie, który gdzieś dzwonił, właśnie schował telefon.

– Sprawdziłem – odezwał się. – Podobno to Wilcox wpłacił kaucję za tych idiotów.

– Ale dlaczego miałyby to robić? – Nie rozumiał Rosie.

– Dlatego, że łatwiej mu będzie cię rozjechać, jak nie siedzisz w areszcie? – zasugerowała Ally.

No dobra, może jednak dało się wyrazić to bardziej wprost.

Drzwi otworzyły się, Dawn i Lee wyszli. Panienska wśliznęła się za biurko, wyglądała na skarconą.

Ha, ha.

Ktoś tu ma kłopoty.

Lee rozejrzył się, przesunął po mnie wzrokiem. Gdy stwierdził, że jestem w jednym kawałku, niepodziurawiona, nie krwawię i nic mi nie odstrzelono, przeniósł wzrok na Williego.

– Co się stało?

Willie opowiedział mu szybko.

Twarz Lee stężała.

– Ściągnij Mace'a – polecił asystentce, a ta od razu wzięła telefon. – Nie chodziło o Indy?

– Nawet na nią nie zerknęli – odparł Willie.

– Tylko wtedy, gdy rzuciła w nich lodami – wtrąciła Ally.

Lee popatrzył na mnie, najwyraźniej niezdecydowany, czy się śmiać czy wrzeszczeć.

– Chryste – sapnął w końcu.

Ucieszyłam się, że znalazł złoty środek.

– Dobra, przejmuję ich – powiedział.

Williemu chyba ulżyło. Lubił mnie, ale teraz miał ślady lodów na tylnej kanapie samochodu, trzy godziny w centrum handlowym za sobą, i to wcale nie ze swoją dziewczyną, u której by zapunktował. Zdaje się, że to wszystko znacznie przekroczyło jego obowiązki.

– Dzięki, Willie – odezwałam się.

– Uważaj na siebie – odparł i wyszedł.

Lee zwrócił się do Dawn:

– Zabierz chłopaków do schronu i włącz dvd. Dzwoń do Hanka, a gdy Mace przyjedzie, daj znać od razu. – Spojrzył na mnie i Ally. – Wy dwie, ze mną.

Nie lubię, gdy się tak rządzi, ale pomyślałam, że lepiej nie robić o to afery przy Dawn.

Ally i ja szłyśmy za Lee do drzwi sanktuarium. Chciałabym móc powiedzieć,

że nie jestem kobietą, która się zniża do takiego zachowania, ale nie mogę. Wykrzywiłam się do Dawn, jakbym chciała zagrać jej na nosie i powiedzieć „tralalala, Lee jest cały mój”, i zamachałam rękami. Załapała, o co mi chodzi, jej wzrok stał się zimny.

Już miałam wystawić język, gdy wpadłam na Lee; zatrzymał się, żeby otworzyć drzwi. Spojrzał na mnie – załapał, w czym rzecz. Pokręcił głową i nas wpuścił.

No dobra, może ja też jestem zaborcza i zazdrosna.

Zaprowadził nas do gabinetu.

W fotelu naprzeciwko miejsca Lee siedział przystojny ciemnowłosy mężczyzna, z telefonem BlackBerry w rękę. Miał na sobie elegancki drogi garnitur.

Gdy weszliśmy, podniósł na nas niebieskie oczy.

– Marcus, to India Savage i Ally Nightingale – oznajmił Lee i odwrócił się do nas. – To Marcus Sloan.

A więc to jest Marcus!

Wstał i ucisnął nam dłonie, widać było, że wie, kim jesteśmy, zanim jeszcze Lee nas przedstawił.

Nie wyglądał tak przerażająco jak Wilcox. Nie obcinał nas wzrokiem. Poważny człowiek zajmujący się biznesem dużego formatu, może nie do końca praworządny, za to bardzo profesjonalny i absolutnie rozsądny. Ale czułam, że potrafi być niebezpieczny.

Lee opowiedział Marcusowi o zajściu przed lodziarnią; to było krępujące, czułam się tak, jakby nauczyciele omawiali nasze szkolne wybryki. Ci dwaj z całą pewnością nie rzucaliby w innych lodami.

Marcus wysłuchał tej żalösnej historii, nie okazując emocji.

– Byłeś bardzo cierpliwy – podsumował.

– Ta cierpliwość właśnie się wyczerpała – odparł Lee.

Po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz. Coś się tu działo i nie chodziło o Rosiego, Kevstera ani lody.

– Nawet na mnie nie spojrzeli – wtrąciłam się. Może nie powinnam, ale chciałam zaznaczyć, że w dzisiejszym zdarzeniu ja nie odgrywałam żadnej roli.

Marcus jakby nie słyszał.

– Twój ruch? – zwrócił się do Lee.

– Czystka. Dziś wieczorem Coxy się kończy.

O, cholera.

Nie brzmi dobrze.

Marcus skinął mu głową, przeniósł wzrok na mnie i Ally.

– Miło było was poznać – rzekł uprzejmie i wyszedł już bez słowa.

Odwrociłam się do Lee.

– Ej, co jest?!

Usiadł na brzegu biurka, pochylił się, wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Oparłam się biodrem o biurko i spojrzałam na niego; Ally podeszła bliżej.

– Rosie i Kevin będą siedzieć w schronie, Hank się nimi zajmie. Mace ma zgarnąć chłopaków Wilcoxa, wszystkich. Chcę, żeby przed rozpoczęciem show Cox był bezbronny.

– Show?

Nie odpowiedział.

O, kurde.

– Lee...

– Mam tego, kurwa, dosyć. Dziś to się skończy – oznajmił.

– A co z mafią?

– Mafią? – odezwała się Ally.

– Tym się nie przejmuj – odparł Lee.

Położyłam ręce na biodrach.

– Ciężko mi będzie olać to, że możesz się wpakować w kłopoty z mafią.

– Kłopoty z mafią? – odezwała się znowu Ally.

– Powiedziałem: nie przejmuj się. – Lee nadal ignorował Ally, mówił do mnie.

– Czy teraz ja mam cię przykuć do łóżka?

Uśmiechnął się.

– Przykuć do łóżka? – nie odpuszczała Ally.

Ja już też nie zwracałam na nią uwagi.

– Mówię serio. Może powinniśmy po prostu pojechać do domku w Grand

Lake na jakiś czas, niech się to wszystko tutaj przewali.

No, na przykład na rok lub dwa.

– To się skończy dzisiaj. Jeśli pojawią się konsekwencje, poradzę sobie – odparł Lee. Otworzyłam usta, ale nie pozwolił mi nic powiedzieć: – To nie podlega dyskusji.

Zmrużyłam oczy i skrzyżowałam ręce na piersi. Przyjęłam pozę „to się jeszcze zobaczy, drogi panie”.

– Halo! Wciąż tu jestem! Nie zniknęłam! Czy ktoś ze mną pogada? – Ally zaczęła się wkurzać.

Zanim któreś z nas zareagowało, ktoś zastukał do drzwi i po chwili je otworzył. Do pokoju zajrzał mężczyzna, nadal z ręką na klamce.

Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że jest chłopakiem z tej ferajny.

Wysoki, wyższy nawet od Lee, czarne włosy, fantastyczne ciało i oczy w kolorze jadeitu. Chyba płynęła w nim azjatycka krew. Piękny. Więcej niż piękny. Artyści wszelkiej maści biliby się, żeby pozował im jako model.

Musiałam włożyć całą masę wysiłku, żeby stłumić odruch flirtu i po prostu uśmiechnąć się bez zalotnego przechylania głowy. Lee i tak miał już podły humor.

Mace przesunął wzrokiem po mnie, po Ally, spojrzał na Lee.

W jego oczach było coś takiego, co zaapelowało do mojego instynktu flirtowania; zapragnęłam wydobyć z niego jakąś reakcję, uśmiech, ruch brwiami, cokolwiek.

Stanowił spore wyzwanie.

– O, rany – szepnęła Ally.

Chyba czuła to samo.

– Mace, to Indy i moja siostra Ally – po raz kolejny zaprezentował nas Lee.

W tym momencie pożałowałam swojej myśli, że facet o imieniu Mace musi być machoidiotą. Jeśli ktoś mógł mieć tak na imię, to właśnie on.

Znów przesunął wzrokiem po mnie i Ally, potem wrócił do Lee.

– Zgarniaj chłopaków Coxy’ego, wszyscy mają się dziś znaleźć w areszcie. Nie interesuje mnie, jak to zrobisz; nie interesuje mnie, kogo musisz wciągnąć do pomocy. Po prostu zrób to – polecił Lee.

I wtedy Mace się uśmiechnął.

O, mój Boże.

Czyżbym jednak myliła się w kwestii macyzmu?

Bez słowa wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Lee wbił we mnie wzrok.

– Posiedzisz z chłopakami, zanim zabiorę cię do domu.

– Ja też mogę? – spytała Ally.

Skinął głową, wyglądała na uszczęśliwioną.

– O jakich chłopakach mówimy? – zapytałam. Luke leżał w szpitalu, reszta pewnie w terenie na zadaniach.

– Wybierz sobie: pokój monitoringu z Montym czy komputerowy z Brodym.

Hm.

Nietrudny wybór.

– Pokój monitoringu – zdecydowała Ally, wygłaszając moje myśli.

Uznałam, że lepiej jej powiedzieć, kim jest Monty, na wypadek gdyby powstały w jej głowie jakieś zamiary wobec niego.

– Monty ma żonę i piątkę dzieci.

Spojrzała na mnie.

– Nadal monitoring.

Skinęłam głową.

– Wybieramy pokój ochrony – poinformowałam Lee.

Poczułam czyjąś rękę na ramieniu, otworzyłam oczy i zobaczyłam, że stoi nade mną Vance.

Siedzieliśmy w pokoju monitoringu, a ja zasnęłam w fotelu.

Cóż, razem z Ally dokonałyśmy fatalnego wyboru.

Ten pokój, owszem, sprawiał fajne wrażenie, ale po kwadransie robiło się tu nudno jak diabli. Nie jestem fanem takich atrakcji, ale po trzydziestu minutach gapienia się w monitory, na których nic się nie dzieje, zaczęłam błagać w myślach, żeby ktoś wreszcie choć puknął jakąś nianię, tak dla urozmaicenia.

– Idziemy – oznajmił Vance.

Rozejrzałam się. Nie miałam pojęcia, która godzina, ale musiało zrobić się późno. Monty już wyszedł, zostałyśmy same. W tej chwili Ally wpatrywała się w Vance'a. I chociaż znamy się jak łyse konie, spostrzegłam, że patrzy na niego wzrokiem, którego jeszcze nigdy u niej nie widziałam.

Taka kombinacja „o, Boże, ten facet jest zabójczy!” z „o, Boże, co się tu, kurwa, dzieje?”.

Odwróciłam się do niego. Nie flirtował, nie uśmiechał się. Był cholernie poważny.

– Gdzie Lee? – spytałam.

– Pojechał – nie powiedział nic więcej, ja wolałam nie pytać.

Dźwignęłam się z fotela; Vance stał się czujny. Odwrócił się twarzą do zamkniętych drzwi, zasłaniając mnie. Sięgnął do broni na pasie.

Usłyszeliśmy głośne uderzenie o ścianę i stłumiony krzyk bólu.

Gapiałam się na drzwi z otwartymi ustami.

Ally obok mnie też znieruchomiała.

Vance nasłuchiwał.

Gdy zapanowała cisza, odprężył się i skinął nam głową.

Wyszedł z pomieszczenia, my za nim.

Na korytarzu panował półmrok. Lampka na biurku Dawn paliła się, górne światła były przygaszone. Całe biuro zalewał złowieszczy półmrok, w powietrzu unosiły się niepokojące wibracje.

W garażu wpadliśmy na Brody'ego.

– Hej! – zawołał, podchodząc do nas, cały szczęśliwy, wyraźnie odporny na niepokojącą aurę. – Wiecie co? Zadzwoił Monty, mam siedzieć w pokoju ochrony! – Podniósł reklamówkę z chrupkami i energetykami. – Całą noc!

– Zajebicie, Brody – powiedziała półgłosem Ally, wyraźnie wyczulona na złe wibracje.

– Zostaniecie ze mną? Będzie fajnie, zamówimy sobie pizzę!

– Nie – odparł stanowczo Vance.

Brody spojrzał na niego.

– Nie?

– Nie. Żadnej pizzy i żadnych spotkań towarzyskich. Biuro nie jest teraz

bezpieczne.

Brody zbladł.

Ally gwałtownie wciągnęła powietrze.

Ja zapomniałam o oddychaniu.

Co to, do ciężkiej cholery, znaczy?

Vance mówił dalej:

– Zamykasz pokój, jak tylko wejdiesz, obserwujesz ekrany, odbierasz telefony, nic więcej. Nie otwierasz drzwi, dopóki nie usłyszysz kodu.

Brody chyba lekko spanikował, ale się ogarnął.

– O kurka, znów kod. Jaki tym razem?

– Taki co zawsze.

Brody zrobił niepewną minę.

Vance wyglądał na wkurzonego.

– Trzy, dwa, dwa – przypomniał.

– Jasne. Dobra, w porządku. – Brody odszedł bez pożegnania, mamrocząc pod nosem kod.

Miałam nadzieję, że sobie poradzi i wszystko będzie dobrze... Wsiedliśmy do czarnego forda explorera.

Vance najpierw podrzucił Ally, spytał ją o adres; podała, cicha i wystraszona. Wysiadając, obiecała mi, że zadzwoni.

Odczekał, aż zamknie za sobą drzwi i zapali w środku światło, potem odwiózł mnie, nie pytając o adres.

Odprowadził mnie do drzwi, wyjął mi klucz z ręki i otworzył. Stałam w progu, a on sprawdzał dom. Potem wrócił do samochodu, przyniósł nieduży worek i postawił na stole w jadalni.

Po chwili wyjmował z niego różne przedmioty, anonsując każdy z nich:

– Pistolet, glock, naładowany. Dodatkowy magazynek. Taser. Paralizator.

Patrzyłam na to wszystko, potem spojrzałam na Vance'a.

– Lee mówił, że wiesz, jak tego używać – oznajmił.

Zrozumiałam, że w tym stwierdzeniu kryło się pytanie, więc odpowiedziałam skinieniem głowy.

– Po moim wyjściu pozamykaj wszystkie drzwi i okna. Nie otwieraj, dopóki nie zobaczysz Lee, Mace’a albo mnie. Nikogo nie wpuszczaj, nawet znajomego. Rozumiesz?

Przytaknęłam.

– Gdzie Lee? Co jest grane? – spytałam.

– Wkrótce będzie po wszystkim – powiedział tylko. Podeszedł do wyjścia, zatrzymał się i odwrócił do mnie. – Zasłoń okna.

– Zaczekaj! – Pobiełam za nim, złapałam go za rękę. – Co się dzieje?

Patrzył na mnie, jakby próbował przewidzieć, jak zareaguję na wiadomość, którą ma w zanadrzu. I uznał, że coś może jednak wyjawić.

– Lee wzmógł działania wojenne. Wilcox zrobił to samo.

– To znaczy?

Znów mi się przyjrzał.

A potem na jego twarzy rozlał się powolny, arogancki, niewiarygodnie seksowny, złowieszczy uśmiech.

– Że dziś w nocy będzie dobra zabawa.

I wyszedł.

A ja gapiłam się na drzwi. To wcale nie wyglądało na zabawę.

Rozdział 27

Gdzie jest Lee, do cholery?

Zamknęłam drzwi i okna, opuściłam żaluzje i postarałam się uspokoić oddech.

Zadzwoiła moja komórka.

Pobiegłam, myśląc, że dzwoni Lee, i rzuciłam się na nią jak kobieta na ciastko tuż po diecie.

Jednak to Ally.

– Co się dzieje? – spytała.

– Stan wojny po obu stronach – odpowiedziałam. Chciałam pogadać z Lee, zobaczyć go, usłyszeć, że ma się dobrze, od niego samego lub od kogokolwiek; mógłby to być nawet głos z nieba.

– I co to znaczy?

– A skąd mogę, kurwa, wiedzieć.

Nie chciałam wiedzieć. Zabrnęłam daleko w głąb fortecy wyparcia i posuwałam się coraz dalej.

– Chcesz, żebym przyszła? – zagadnęła Ally.

– Nic z tego, mogę otworzyć jedynie Lee, Mace’owi i Vance’owi.

– Kto tak powiedział?

– Vance.

– I od kiedy robisz to, co każe ci Vance?

– Od kiedy w moim prywatnym słowniku pojawiło się słowo „wojna”; od kiedy powiedziałam twojemu bratu, że go kocham; od kiedy on ze mną mieszka, a ja mogę być z nim w ciąży, a jeszcze nawet nie widziałam jego domku w Grand Lake; od kiedy jego biuro przestało być bezpieczne i...

– Dobra, dobra, załapałam – przerwała mi Ally. – Zadzwoń, jak się czegoś

dowiesz.

– Spoko.

Rozłączyłam się, poszłam do salonu i spojrzałam na arsenał na stole.

Cholera, cholera, cholera.

To wszystko moja wina.

No dobra, może nie wszystko. To głównie Rosie narozrabiał, ale jeśli coś pójdzie źle, będę się czuła winna. Bo to już nie zabawa. To nie taka przygoda jak wtedy, gdy wskakujesz do samochodu z dziesięcioma dolcami w kieszeni i połową baku i prujesz do Colorado Springs w nadziei, że dojedziesz do baru, że po drodze nie sprawdzą, ile masz lat, a na miejscu spotkasz przystojnego prawie pilota myśliwca z Air Force Academy (i mówię to z doświadczenia, bo skąd bym niby wzięła swoją koszulkę?). Nie, tu chodzi o broń, o kule, o Brody’ego w pokoju monitoringu i odgłosy bólu za ścianą.

Nie potrafię beczynnienie siedzieć. Lubię działać, tkwienie w miejscu i czekanie to nie mój styl.

A jednak postanowiłam zachować się jak córka gliniarza, co czasem się udawało: usiadłam na kanapie, podciągnęłam kolana pod brodę i czekałam.

No dobra, przyznaję, że to nie było najmądrzejsze.

Ale nie obwiniam się jakoś bardzo: w końcu nie co dzień samochody eksplodują przed moim domem. Dodajmy do tego, że byłam nakręcona sytuacją z Lee, z którym wreszcie się połączyłam, przespałam i zamieszkałam, nie mówiąc już o wojennych okolicznościach.

Poza tym Vance nie wspominał nic o nieotwieraniu drzwi, gdy przed domem wylatuje w powietrze samochód, wybuch wstrząsa całym budynkiem i robi tyle hałasu, że aż w uszach dzwoni.

Ale tak całkiem głupia nie jestem: najpierw wyjrzałam przez okno. Na środku ulicy płonęło auto, rozrzucone wybuchem szczątki leżały wszędzie, na jezdni, na chodniku i na podwórku (co zniszczyło godziny ogródkowych zabiegów Steviego). Ludzie biegali, rozlegały się krzyki – co byłby ze mnie za sąsiad, gdybym ukrywała się w domu, a na zewnątrz mógł leżeć ktoś poparzony, ranny, ogólnie: potrzebujący pomocy?

A jeszcze na dodatek, tym kimś mógł być Lee.

No i myślałam, że w tłumie będę bezpieczna.

Niestety.

Złapałam paralizator (broń pierwszego wyboru), otworzyłam jedne drzwi, potem te antywłamaniowe, wyrzuciłam szybko i wyszłam z domu.

Zdażyłam dojść do końca ganku, gdy mnie dorwali.

Porwanie numer trzy różniło się od obu poprzednich.

Leżałam na tylnym siedzeniu samochodu, nogi miałam związane w kostkach, ręce za plecami, a w ustach (a to nowość!) knebel.

Leżąc tam, miałam sporo czasu na analizę sytuacji i doszłam do wniosku, że wysadzenie samochodu nie było jakąś wyrafinowaną taktyką wyciągnięcia mnie z domu. Było raczej toporne.

I skoro dałam się na to złapać, jak to o mnie świadczy?

Jechaliśmy długo. Niewiele widziałam i nie próbowałam zobaczyć. Cherry omal nie zginęła w eksplozji dzień wcześniej, więc jak ktoś zadzwonił z wiadomością, że przed moim domem płonie samochód, cała policja Denver, Lee i jego chłopaki zlecają się jak muchy do ściierwa.

Uznałam, że przecież ktoś musiał widzieć, jak mnie niosą do samochodu, chyba nieprzytomną.

Uznałam, że teraz odsiecz jest tuż za nami.

Uznałam, że szybko mnie uratują.

Ha.

Człowiek uczy się całe życie. Szkoda, że w czasie takiej nauki zawsze dostaje po dupie.

Wydawało mi się, że jedziemy całą wieczność. W pewnym momencie samochód skręcił – zapewne opuścił autostradę. Najpierw były latarnie, potem zniknęły; usłyszałam chrzęst żwiru, jechaliśmy po nim przez kilka minut, w końcu stanęliśmy.

Ktoś wyciągnął mnie z tylnego siedzenia i przerzucił sobie na ramię

w chwycie strażackim. Prawie nic nie widziałam. Było późno, zapanowała ciemność, a tu, z dala od miasta, mrok był naprawdę gęsty. Chyba znajdowaliśmy się gdzieś w górach.

Szlag.

Zostałam wniesiona do domku, rzucona na kanapę i posadzona.

Zbir, który mnie przyniósł, wyszedł. Naprzeciwko mnie siedział sobie w fotelu Terry Wilcox.

To był bardzo ładny domek, jeden z tych luksusowych, które wynajmują Teksaszczyki z bogatszej klasy średniej, gdy mają ochotę zmienić klimat. Obok Wilcoxa stało dwóch typów, obaj nakoksowani jak Gary, Teddy czy Głęb; widziałam ich po raz pierwszy.

– Wyjmijcie jej knebel – polecił Wilcox.

Obaj mieli ciemne włosy; ten z trochę ciemniejszymi był wyższy i najwyraźniej bardziej wkręcony w anaboliki. Podszedł do mnie i wyjął mi knebel. Dopiero wtedy poczułam, że bolał mnie mięśnie twarzy, otworzyłam i zamknęłam usta, żeby je trochę rozruszać. I spojrzałam ze złością na Wilcoxa.

– To bolało.

– Przepraszam, Indio, środki zapobiegawcze. Ostrożności nigdy za wiele, prawda?

Czy to przytyk do mojej głupoty, że wyszłam z domu i wpadłam prosto w łapy jego bydlaków?

Zmrużyłam oczy.

Wiem, że zrobiłam głupio, nie musiał mi tego wypominać.

– Przepraszam? – zapytałam wrednie.

Puścił to mimo uszu.

– Nie martw się, to nie potrwa długo. Samolot wkrótce będzie gotowy.

O, matko.

Jak to: samolot?

– O czym ty mówisz?

– Wyjedziemy stąd razem, ty i ja. Zrobimy sobie długie wakacje.

Gapiałam się na niego oszołomiona.

To brzmiało bardzo niedobrze.

– Nie chcę jechać na żadne wakacje – poinformowałam, raczej niepotrzebnie.

– Będziesz się dobrze bawić.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Bawić?

– Zakupy, najlepsze restauracje. Dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz. Pojedziemy, dokąd tylko zechcesz; pokażę ci cały świat.

Rany, Lee miał rację. Gość jest stuknięty.

– Nie zrozumiałeś mnie. Powiedziałam, że nie chcę jechać z tobą na wakacje.

– Spędzimy wspólnie dużo czasu, poznasz mnie bliżej i na pewno polubisz.

Jak słowo daję – wariat.

– Zabijasz ludzi – zauważyłam.

– Robię tylko to, co muszę, by osiągnąć swoje cele.

Aha.

– Nie lubię morderców – poinformowałam. – Przerażają mnie. Ty też mnie przerażasz.

Może powinnam bardziej ważyć słowa, ale Wilcox miał chyba wybiórczy słuch i to akurat przegapił, bo w żaden sposób tego nie skomentował.

– Na razie musimy zejść ludziom z oczu. Przyjaciel użyczył mi ślicznego domku na plaży w Kostaryce.

Matko jedyna.

Gość opowiada o „ślicznym domku” kobiecie, którą właśnie porwał.

Serio – porządnie stuknięty klient.

– Jesteś przerażający i ohydny – rzuciłam z nadzieją, że to się przebije. – Nie chcę jechać na plażę w Kostaryce z gościem, który wygląda jak Dziadek Munster.

Mówił dalej, z uporem ignorując moje obraźliwe słowa:

– Będziesz się opalać każdego dnia, kupię ci tyle bikini, ile zapragniesz. Pojedziemy tam na pół roku, może trochę dłużej. A potem odwiedzimy Paryż.

– Nie wybieram się z tobą na żadne wakacje. Zostaję tutaj – oznajmiłam.

Uśmiechnął się obleśnie.

Jezu.

Dobra, do rzeczy.

– Posłuchaj – zaczęłam, zmieniając taktykę. Pochyliłam się, żeby zademonstrować swoją szczerłość. – Jestem naprawdę... – zawiesiłam się, szukając dobrego kłamstwa; nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to zdarzyło. W końcu użyłam pierwszego słowa, jakie mi przyszło do głowy, chociaż parzyło mnie w język: – ...naprawdę zaszczycona, że tak mnie lubisz i w ogóle, ale kocham Lee. Kochałam go, odkąd skończyłam pięć lat. Mieszkamy razem. Chcemy się pobrać, gdy już mnie poprosi o rękę. Mamy wszystko zaplanowane.

– Pomogę ci zapomnieć o Nightingale’u – oznajmił.

No dobra, przypadek beznadziejny. Nawet gdyby nie był takim popieprzonym, obrzydliwym, przerażającym zabójcą, to nie ma na Ziemi takiej kobiety, która zapomniałaby Liama Nightingale’a, zwłaszcza gdy widziała go nago.

Czemu Lee jeszcze nie dotarł? Powinien już tutaj wpaść i uratować mnie, do licha. Miałam za sobą parę porwań i wiedziałam, że to najwyższy czas na granat, gaz łzawiący albo na wejście Lee, który wbija wkurwiony, patrzy na ludzi morderczym wzrokiem i zmusza ich, żeby robili to, co każe.

– Chyba w czasie pierwszej części podróży powinnaś się zdrzemnąć. – Wilcox przerwał moje gorączkowe rozmyślenia.

Wtedy zrozumiałam swój błąd. Dałam się wciągnąć w gadkę z Wilcoxem i przegapiłam nakoksowanych zbirów. A teraz jeden z nich szedł do mnie z pełną strzykawką.

Gapiałam się na niego wystraszona. Czułam się jak w tych filmach, gdy usypiają bohaterkę, a potem ona budzi się na jedwabnych poduszkach w stroju hurysy i dowiaduje, że jest częścią haremu, zniełubioną przez resztę dziewczyn.

Nie chciałam być w haremie Wilcoxa, w ogóle nie chciałam mieć z nim nic do czynienia.

Moje myśli pędziły jak szalone i zrozumiałam, że mam tylko dwa wyjścia: pozwolić, żeby mi wstrzyknęli to świństwo i przespać tę część, w której mnie ratują (a jeśli nie?!), albo... Jeszcze nie wiedziałam, co „albo”, bo miałam związane ręce i nogi.

Lubiłam drzemki, ale tylko te, w które zapadałam sama, a nie wymuszone przez napakowanego gangstera.

Patrzyłam, jak kroczy w moją stronę, i zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam,

bo, do diabła ciężkiego, nie zamierzałam poddać się bez walki.

Zsunęłam się na podłogę, przeturlałam do niego i zbiłam go z nóg. Upadł i z jękiem rąbnął głową o twardą powierzchnię.

A ja odturlałam się, jednocześnie próbując uwolnić ręce.

Prawie mi się udało, może dlatego, że nie związali mnie mocno.

Gdy przewróciłam Zbira Numer Jeden, ruszył do mnie Zbir Numer Dwa. Obróciłam się na plecy, podniosłam nogi i zgodnie z zaleceniami Texa i Kevstera, wycelowałam w jaja.

Nie trafiłam, ale grzmotnęłam go w udo z taką siłą i furią, że zachwiał się i przyklęknął.

Nadal próbując uwolnić ręce, poderwałam się, naprężając mięśnie brzucha (każdy trener byłby ze mnie dumny) i już stałam na nogach. Całym ciężarem, ze związanymi rękami i nogami, zwałam się na Zbira i uderzyłam go głową w pierś. Upadliśmy. Turlając się i szamocząc, toczyliśmy walkę. On próbował mnie chwycić, ja wiałam się jak szalona.

Zaczynałam się już ostro wkurwiać.

Gdzie... do ciężkiej cholery... jest Lee?!

W końcu uwolniłam jedną rękę, strząsnęłam linę z drugiej i zaczęłam walić na oślep.

Nie potrwało to długo. Wprawdzie ja miałam wolne ręce, ale on okazał się o niebo silniejszy i spacyfikował mnie ponizająco szybko. Poderwał mnie i postawił na nogach, chociaż nadal się wyszarpywałam. Obrócił mnie tak, że stałam do niego tyłem, ręce miałam wykręcone za plecy.

– Zrób jej zastrzyk, szybko – rozkazał Wilcox.

Bydlak nawet nie wstał z fotela. Był absolutnie, wręcz złowrogo spokojny. Jakby nie miał najmniejszej wątpliwości, że wszystko i tak się uda.

Zbir Numer Jeden znów nadciągał ze strzykawką.

Tym razem poczułam już nie strach, ale mrozące krew w żyłach przerażenie. Bałam się tak strasznie, że omal nie posikałam się w majtki.

Ale zamiast tego wrzasnęłam.

Głośno, przejmująco, przeraźliwie, tak, że nawet mnie samą to wystraszyło.

A potem zaczęłam się rozpaczliwie wyrywać, z desperacką siłą.

Nic mi to nie dało.

Jadę na wakacje z Dziadkiem Munsterem.

Jak to się, kurwa, stało?

Nie przeżyłam nawet jednego dnia, w którym mogłabym się nacieszyć swoją miłością do Lee we wszystkich jej formach i przejawach.

Miałam śliczną nową koszulkę z *Lucky Brand Jeans* w torbie na tylnym siedzeniu pathfindera, ale już nigdy w życiu jej nie założę.

Nie odwiedzę domku w Grand Lake.

I już nigdy nie będę miała dzieci z Lee, i nie opowiem im na dobranoc, jak to ich rodzice są ze sobą od zawsze.

Nie, to niemożliwe.

W ostatecznej rozpaczy ryknęłam:

– Nie!!!

Ale nikt mnie nie słyszał – bo w tej samej chwili rozległ się strzał.

Zbir Numer Jeden krzyknął z bólu, strzykawka wypadła mu z ręki, zgiął się i runął jak długi.

Wtedy zobaczyłam, że stoi za nim Eddie z bronią w ręku.

Dzięki ci, Boże...

Wiem, to straszne dziękować Bogu, że kogoś postrzelono. Ale jeśli kara boska objawiła się pod postacią Eddiego Chavez'a i jego służbowego rewolweru, naprawdę, nie mam pretensji.

Zanim zdążyłam zareagować albo rozejrzeć się za Lee, usłyszałam za sobą znajomy głos.

– Puść ją.

To nie Lee.

Darius.

Zbir Numer Dwa uwolnił chwyt, odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Darius przystawia mu pistolet do skroni.

O, rany.

– Cofnij się – rozkazał Darius i razem ze Zbirem Numer Dwa zrobił dwa kroki w tył.

Eddie podszedł, mierząc do tego na podłodze, który tarzał się, przyciskając ręce do uda; krew spływała mu między palcami.

Patrzyłam na to wystraszona. Nie lubię widoku krwi, tu było jej całe mnóstwo.

– Odsuń się, Indy – polecił Eddie. Nie mogłam iść, więc odskoczyłam kawałek dalej, siadłam na podłodze, rozwiązałam linę na nogach, cały czas obserwując, co się dzieje.

Eddie celował teraz w Wilcoxa, który wreszcie wstał.

– Siadaj! – warknął.

Nie odrywając wzroku od napastnika, Wilcox powoli usiadł. Wydawał się zaskakująco spokojny, jakby miał w zanadrzu jakąś niespodziankę. Nie podobało mi się to. Tak samo jak to, że Lee nadal nie dotarł na miejsce akcji.

Wstałam, Eddie odpiął kajdanki z pasa i podał mi szybko.

– Skuj go!

Nie miałam najmniejszej ochoty zbliżyć się do Dziadka Munstera, ale uznałam, że to nie jest dobry moment na kłótnie. Jeszcze przed chwilą wrzeszczałam dziko, z myślą, że już po mnie; nie będę teraz stawiać się swojemu wybawcy.

Wzięłam kajdanki i podeszłam do fotela od tyłu.

– Pochyl się – poleciłam, zadrżał mi głos.

Tak naprawdę dygotałam cała, od stóp do głów. Nie chciałam tego przyznać, że ja, India Savage, rockowa laska, trzęsę portkami, ale tak było.

Wilcox pochylił się, skułam mu ręce i cofnęłam się trzy kroki.

Zbir Numer Dwa już klęczał, Darius stał nad nim, przystawiając mu pistolet do głowy.

Wszyscy patrzyli na Zbira Numer Jeden, który jęczał i krwawił.

– Co teraz? – spytałam w przestrzeń. Wiedziałam, że Zbir Numer Jeden jest złym człowiekiem, ale nie czułam się w porządku, że pozwalamy mu się wykrwawiać, w dodatku na dość ładnym dywanie.

– Wzywamy pogotowie – oznajmił Eddie, nie odrywając wzroku od wijącego się miłośnika sterydów.

– Nie – wtrącił się Darius.

Eddie spojrzał na niego.

– Darius...

– Żadnego pogotowia, Ed. Mam wiadomość od Mace’a. Gino posprząta.

I w tym momencie atmosfera w pokoju uległa zmianie.

W czasie mojej walki i późniejszej akcji odbicia jeńca wszystko przebiegało w miarę normalnie. W każdym razie: normalnie jak na porwanie i ratunek, na tyle, na ile zdołałam to ocenić. Ktoś znowu oberwał, ale, dobra wiadomość: tym razem dostał ten zły i nie było gazu łzawiącego. Nie malowałam się dziś, więc tusz by mi się nie rozmazał i nie spłynął na policzki, ale i tak użycie gazu łzawiącego byłoby słabe.

A teraz przestało być normalnie.

– Gino? – wyszeptał Wilcox.

Przesunęłam się, żeby zobaczyć jego twarz – patrzył na Dariusza.

Dariusz nie odpowiedział.

Uśmiechał się.

Role się zamieniły – teraz to on miał niespodziankę.

Wilcox zerwał się na równe nogi.

– Jak to: Gino posprząta? – krzyknął, a ja aż odskoczyłam. Miał ochrypliwy i tak przerażony głos, że prawie zrobiło mi się go żal.

Zbir Numer Jeden przestał się wić, leżał nieruchomo i gapił się na Dariusza. Numer Dwa spuścił głowę, patrzył w podłogę i wyglądał na pokonanego.

Cholera.

Co tu się stało?

Kto to Gino?

I gdzie, do cholery, jest Lee?

Eddie podniósł broń i wymierzył w Wilcoxa.

– Siadaj.

Dziadek Munster wahał się, a Eddie, jeszcze przed chwilą spokojny i opanowany, w mgnieniu oka stał się spięty i groźny.

– Posadź... dupę – powiedział powoli, wściekły, i poczułam, że nie chodzi już tylko o Wilcoxa.

Nawet szalony Terry przycupnął posłusznie. On sam też bał się jak cholera.

– Na miłość boską, czy ktoś mi wreszcie powie, gdzie jest Lee? – wykrztusiłam w końcu.

– Tutaj.

Spojrzałam szybko na drzwi za Dariusem. Stał w nich Lee.

Wysoki, wyprostowany, żadnej krwi, żadnych śladów eskalacji działań wojennych. Wyglądał super w białej koszulce z długimi rękawami, w dżinsach i butach motocyklowych, jakby właśnie zsiadł z ducati.

Chciałam do niego podbiec, rzucić mu się na szyję, zrobić mnóstwo hałasu: „o rany boskie, tak się cieszę, że z tobą wszystko dobrze, bo ze mną też”, ale jego język ciała mnie powstrzymał. To Lee twardej, objęcia i okrzyki nie są teraz mile widziane. Zachowałam dystans.

Spojrzał na mnie, po raz drugi tego dnia skanując mnie wzrokiem w poszukiwaniu obrażeń, choć tym razem drgał mu policzek.

– Co się stało? – zwrócił się do swojego kumpla.

Eddie podszedł, podał mu swój pistolet, Lee go wziął i wsunął za pasek dżinsów. Dotarło do mnie, że to nie była służbowa broń Eddiego, lecz pożyczona, a to znaczy, że nie pojawił się tu oficjalnie. Żadna kula, którą wpakował w kogoś z tej broni, nie zostanie wysledzona przez policję.

A niech mnie.

– Brody nie powiedział ci, jak to było?

Lee pokręcił głową.

– Powiedział mi tylko, gdzie cię znaleźć.

Darius i Eddie wymienili spojrzenia.

– Darius dostał cynk, że coś się kroi – zaczął Eddie – i pojechał obserwować dom Indy. Pierwsze, co zobaczył na miejscu, to że ją dopadli, gdy wyszła przed dom po tym, jak samochód wyleciał w powietrze. Wiadomo było, że ty jesteś zajęty, więc zadzwonił do mnie. Pojechałem do twojego biura, wziąłem broń, pogadałem z Brodym i kazałem mu dać ci znać. Darius czekał, aż przyjadę, i weszliśmy tu razem.

Poczułam, jak zalewa mnie ciepło.

Rany, nie wypłacę się im do końca życia za to, co dla mnie zrobili.

– Z nią wszystko w porządku? – Lee nadal nie zwracał się do mnie, chociaż stałam dwa metry od niego.

Hm.

Niedawne ciepło, że mam takich fajnych twardej za przyjaciół, którzy mnie

chronią, zniknęło. Nie wiedziałam, co myśleć o tym, że Lee się do mnie nie odzywa, prócz tego, że mi się to nie podoba.

Pomyślałam, że pogadam z nim o tym później, najlepiej po fajnym seksie.

– Związana, zakneblowana, trochę poobijana. Poza tym jest okay. Gdzie Gino? – Dariusz odpowiedział mu tak, jakby wiązali, porywali i kneblowali mnie co dzień; zresztą biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dwóch tygodni, nie było to tak znów dalekie od prawdy (może z wyjątkiem knebla).

– Przyjedzie za pięć minut – odparł Lee i jego wzrok spoczął na mnie. – Wsiadaj do samochodu.

To też mi się nie spodobało. Znowu się rządzi.

– Co się dzieje? – Czułam się coraz bardziej zdezorientowana.

Wilcox się poruszył. Lee przesunął spojrzenie na niego, nie odpowiedział mi na pytanie, zwrócił się do Dziadka Munstera.

– Jeśli czekasz na przybycie kawalerii, to musisz wiedzieć, że twoi chłopcy na zewnątrz zostali zneutralizowani – poinformował go Lee, a ja wstrzymałam oddech.

Więc taką niespodziankę miał w zanadrzu Wilcox.

I właśnie tam był Lee.

Przez jakąś sekundę zastanawiałam się, co oznaczała „neutralizacja”, potem uznałam, że nie chcę wiedzieć.

– Wyluzuj, Coxy – ciągnął Lee. – Gino zaraz tu będzie. Marcus trochę mu poopowiadał. Ale wiesz, skoro jesteście rodziną, pewnie da ci szansę się wytłumaczyć.

O, kurde.

Gino to krewny Wilcoxa. A imię Gino może nosić tylko szef mafii.

Co oznaczałoby, że teraz mafia się wszystkim zajmie.

Dobra, czyli czas spadać.

– Poczekam w samochodzie – oznajmiłam.

– Dobra myśl. – Lee spojrzał na mnie.

Szłam do drzwi, rozważając, co powiedzieć. Czułam, że potrzeba tu jakiejś kwestii finalnej. Tylko jakiej?

Zatrzymałam się w progu, spojrzałam na Dariusa.

– Do zobaczenia? – rzuciłam mu lekkim tonem.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy jestem normalna. Potem uśmiechnął się szeroko i bez słowa pokręcił głową.

– Idź do samochodu, Indy – polecił Lee.

Zignorowałam go i zwróciłam się do Eddiego.

– Na razie, Eddie.

Ten uśmiechnął się lekko i również pokręcił głową.

– Na razie, *chica*.

– Indy, idź do tego pieprzonego samochodu!

– Dobra, idę już, idę – burknęłam i wyszłam, mamrocząc pod nosem. – Ale się rządź.

Pojechaliśmy do domu jego autem.

Nie odzywał się.

Ja również.

Czułam ogromną ulgę. Istniało duże prawdopodobieństwo, że moje życie w końcu wróci na właściwe tory. Nigdy nie byłam fanką normalności, właściwie unikałam jej za wszelką cenę, ale teraz nie miałabym nic przeciwko spokojnej rutynie.

Chciałam spytać, czy naprawdę już po wszystkim, ale wyglądało na to, że Lee nie jest w nastroju do rozmowy. Biła od niego informacja „nie teraz”; uznałam, że wyjaśnienia mogą poczekać.

Zaparkował za moim, a właściwie za naszym domem. Nigdzie nie widziałam policyjnych świateł, nie słyszałam, żeby ktoś biegał i krzyczał, więc uznałam, że eksplozja samochodu przeszła do historii i życie na Bayard Avenue wróciło do normy.

Weszliśmy do środka, Lee zamknął drzwi, a ja zapaliłam w kuchni światło.

– Chcesz piwo? – Odwróciłam się do niego.

Rzucił kluczyki na blat i spojrzał na mnie.

– Co powiedziałaś? – wycedził cicho i groźnie.

Hm.

No, dobra.

– Spytałam, czy chcesz piwo.

– Czyli dobrze słyszałem.

Uznałam, że może jednak nie będę się odzywać.

Przez chwilę świdrował mnie wzrokiem, w końcu się odezwał:

– Wyszłaś z domu, w którym byłaś bezpieczna, i dałaś się porwać. Znowu.

Skrzywiłam się.

– Tak, bo...

– Moi ludzie byli zajęci. Miałaś w chuj szczęścia, że Darius przyjechał pilnować domu. Nie wiem, co by się stało, gdyby, kurwa, nie on.

– Wiem, że to nie było najmądrzejsze – przyznałam.

– Najmądrzejsze?

O, matko, no.

– Dobra, to było totalnie głupie – poddałam się. – Ale...

– Indy, na litość boską! – wybuchnął. Wyglądał tak, jakby miał wpaść w szal.

No więc zrobiłam jedyne, co mogłam.

Podbiegłam w trzech susach i wskoczyłam na niego. Złapałam go za szyję, nogami oplotłam biodra, pochyliłam głowę i pocałowałam go mocno.

Wzięłam Lee z zaskoczenia. Cofnął się o krok, przytrzymał mój tyłek rękami i sekundę bronił się przed jakąkolwiek czułością. A potem pocałował mnie, głęboko, namiętnie, z mnóstwem ulgi i czegoś jeszcze.

Czegoś, co smakowało jak obietnica.

To był najbardziej zajebisty pocałunek w moim życiu.

Rozdział 28

Ty cholerny zarozumialcu

Dwa dni po moim trzecim (i na szczęście ostatnim) porwaniu, wsunęłam się do łóżka, podciągnęłam kołdrę do brody i zapatrzyłam w sufit.

Kilka minut później wszedł Lee z dwoma kubkami kawy. Postawił jeden na szafce i stanął obok łóżka. Patrzył na mnie i pił kawę.

Ja nawet nie tknęłam swojej.

To było zapowiedzią historycznej chwili. Po raz pierwszy w życiu nie rzuciłam się na poranną kawę.

– No to tak: jednak nie jestem w ciąży – oznajmiłam w sufit. Nie wiedziałam, czy czuję się szczęśliwa czy smutna, że dostałam okres. Nie wiedziałam również, czy powinnam być szczęśliwa czy smutna z powodu tego, że nie wiem, czy jestem szczęśliwa czy smutna. To stało się tak poplątane, że w końcu w ogóle przestałam o tym myśleć.

Łóżko ugięło się, Lee usiadł obok mnie. Pochylił się i teraz widziałam tylko jego przystojną twarz, ciepłe oczy w kolorze czekolady, poczułam jego usta na swoich ustach.

Potem odsunął się odrobinę.

– Mamy czas.

Patrzyłam na niego.

Racja.

Mieliśmy dużo czasu.

Uśmiechnęłam się.

Podsumowując.

Po pierwsze: Stevie dostał szalu na widok podwórka z odłamkami samochodu

i nie odzywał się do mnie przez tydzień. Ale dużo latał, więc może nie zdążył się obrazić albo nie miał kiedy powiedzieć, że już mi wybaczył (w każdym razie tak wolałam myśleć).

Po drugie: kawa Texa stała się hitem. Wobec tłumu klientów musiałam szybko kogoś zatrudnić. Nazywała się Jet, co uznałam za odpałowo rockowe imię, ale sama Jet nie była ani rockowa, ani odpałowa. Cicha, słodka i ładna dziewczyna. Robiła okropne latte, a najlepsze w samej Jet było to, że – jak sądziłam ja i chyba wszyscy inni – miała w sobie jakiś sekret.

Po trzecie: dowiedziałam się od Hanka, że Kevstera raczej nie zamkną. Po raz pierwszy został skazany, więc pewnie dostanie tylko prace społeczne. Z Rosim sprawy wyglądały trochę gorzej, jemu wciąż groził wyrok. Ostatnio oznajmił zupełnie serio, że po wyjściu z pudła naprawdę przeniesie się do San Salvador. Wcale nie dramatyzował, po prostu miał dosyć parzenia kawy, palenia trawy i chciał się znaleźć z dala od Denver. To miasto nie robiło mu dobrze, nawet jeśli on też nie robił dobrze. Tak czy inaczej, będę za nim tęsknić.

Po czwarte: Terry Wilcox i jego zbiry zniknęli.

Puff! I zero śladu.

Lee opowiedział mi trochę, jak do tego doszło.

Otóż Marcus pojechał na spotkanie do Nowego Jorku, chciał wyjaśnić swoją, nazwijmy to, frustrację z powodu działań Wilcoxa. Nie chodziło tylko o brylanty, ale również o wpięprzanie się Coxy'ego w cudze akcje. Wujek Gino i tak miał już dość siostrzeńca, ciąglego sprzątanego po nim i nieustannego bólu głowy, Marcus nie musiał go długo namawiać do interwencji. Akcję przyspieszył fakt, że Lee zadzwonił do Gino i powiedział, że Wilcox nie tylko prześladuje jego dziewczynę, ale że ta dziewczyna jest córką gliny. Gino dostał permanentnej migreny. Nie chcąc, żeby policja Denver wkroczyła na scenę, postanowił rozwiązać kwestię krnąbrnego krewnego raz na zawsze. Czy to znaczyło, że Wilcox pojechał na swoje wymarzone długie wakacje, czy że stał się pokarmem dla ryb – nie wiedziałam.

Staralam się o tym nie myśleć. Nie znosiłam Wilcoxa, ale nie życzyłam mu śmierci.

Chętnie zobaczyłabym go w więzieniu.

Jak najdalej ode mnie.

Ale śmierć to za grubo, nawet dla kogoś tak przerażającego i ohydneho jak on.

Jeśli chodzi o zbirów: Gary'ego, Teddy'ego, Głaba, Numerów Jeden i Dwa, Lee powiedział, że nie będą dłużej problemem. Odnosiłam wrażenie, że to jakoś się łączy z Lee i jego armią twardzieli oraz, jak to ujął Vance, dobrą zabawą, ale o tym również nie chciałam myśleć.

I wreszcie: nikt nie dowiedział się, że to Eddie postrzelił człowieka w mojej obronie.

Eddie i Lee pokłócili się o to. Lee powiedział Dariusowi, że on i Marcus podjęli wspólne działania w sprawie Wilcoxa, a Eddie był poza grą. Mógł być gliniarzem indywidualistą, ale wciąż lubił działać w granicach prawa (jeśli to akurat mu pasowało); wycofanie się i pozwolenie, żeby wkroczyła mafia – tego nie mógł zaakceptować. Przy pewnej dozie nagiej wdzięczności w ramach zachęty Lee wyjawiał mi, że on i Eddie odbyli długą rozmowę z Dariusiem w charakterze rozjemcy, i doszli do porozumienia, ale wymagało to sporo wysiłku.

No i wszystko.

Tyle hałasu, tyle zamieszania, a potem jeden dzień – i koniec.

Minęło kilka tygodni i życie wróciło do normy. Lee wracał i spał ze mną każdej nocy – szczęśliwa normalność. Bardzo ją lubiłam.

Dobrze się z nim mieszkało. Robił mi rano kawę, nie wchodziliśmy sobie w drogę i dzwonił, jeśli planował wrócić później.

Oczywiście były również minusy.

Rzucał ręcznik do umywalki i uważał, że podłoga i szafa to jest to samo, ale w ogóle się tym nie przejmowałam.

Pomagał mi fakt, że każdej nocy (albo późnym rankiem, to zależy) facet, którego kocham od piątego roku życia, kładzie się do łóżka obok mnie.

Oraz to, że gosposia Judy sprzątała teraz moje mieszkanie.

Ally i ja leżałyśmy w słońcu u mnie na balkonie, z telefonami, minutnikiem i rumem z colą, gdy usłyszałyśmy:

– Juhuu!

Podniosłam się, spojrzałam przez poręcz w dół: Tod stał w odległym rogu swojego podwórka.

– Hej!

– Drag Queen, robota w sobotę wieczorem. Wchodzisz w to? – zawołał, osłaniając oczy przed słońcem. Chowleena siedziała przy jego nogach.

– Jasne!

– Stevie ma wtedy lot; Ally, pomożesz?

– Mhm – wymruczała głośno. Leżała na brzuchu z twarzą w szezlongu.

– O której? – dopytała jeszcze.

Tod odpowiedział po chwili podejrzaney ciszy:

– Dziewczyno, czy ty czasem o czymś nie zapomniałaś?

– O czym?

– Mieszkasz teraz z seksownym słodziakiem. Może się dowiedz, czy nie ma innych planów na sobotę?

Ally otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

Kurde.

Ale jestem słaba.

– Zadzwoń do Lee – poradził Tod. – A potem wpadnij i daj mi znać.

– Spoko! – zawołałam i wyciągnęłam rękę po komórkę. Słyszałam, jak pazurki Chowleeny drapią po cegłach, gdy razem z Todem wchodzili do domu.

Znalazłam numer Lee na pamięć.

– Ciągle żałuję, że jednak nie jesteś w ciąży – mruknęła Ally w szezlong.

– Jezu, dlaczego?

– Zawsze pragnęłam mieć siostrzenicę z moim imieniem.

– Nie chcę ci niszczyć marzeń, ale to chyba w ogóle genetycznie niemożliwe, żebym urodziła dziewczynkę. Obawiam się, że mój żeński chromosom nie będzie miał szans w tej walce.

– No to chłopcu dasz na imię Ally – próbowała.

– Dobry żart. Zniszczyliby go w szkole.

– Muhammad Ali na pewno nie miał takich problemów. To on niszczył innych – zauważyła.

– Muhammad Ali nazywa się tak naprawdę Cassius Clay. To zajebiste imię. Nikt nie zadzierałby z Cassiusem Clayem.

– A z Muhammadem Ali by zadzierał?

No, faktycznie.

Poddałam się i wcisnęłam przycisk; Lee odebrał od razu.

– Tak?

Za każdym razem, gdy mówił to jedno słowo, przeszywał mnie dreszcz. Zastanawiałam się, czy kiedyś to się zmieni, i miałam nadzieję, że nigdy.

– Cześć. Planujemy coś na sobotni wieczór?

– Myślałam, że zabiorę cię do Barolo Grill.

– Jupi! – zawołałam.

Czy naprawdę powiedziałam to głośno?

Zacisnęłam usta. W telefonie zapadła cisza.

– Lee?

– Śliczna, wiem, że nie lubisz, kiedy to mówię, ale jesteś niewiarygodnie słodka.

Znowu przeszył mnie dreszcz. Ale nigdy, nawet za milion lat nie przyznałabym się do tego Lee.

– Nieważne; słuchaj, Tod prosił, żeby mu pomóc przy pokazie.

– Jasne, dam znać Dawn, żeby zrobiła rezerwację na popołudnie.

Hi, hi.

Laska będzie rezerwować nam stół na kolację.

W pięknym, cudownym, romantycznym Barolo Grill.

Cieszyłam się z tego i miałam gdzieś, jak to o mnie świadczy.

– No to super. – W moim głosie chyba zabrzmiało szczęście. Hm, może dlatego, że właśnie czułam się szczęśliwa?

– To wszystko?

– Nie, to znaczy tak, to znaczy nie – odparłam niepewnie.

Cholera.

– To co tam?

Spękałam.

– Jednak nic. Na razie.

– Na razie.

Ale zanim się rozłączył, zebrałam się na odwagę i przetłumaczyłam sobie, że nawet rockowe laski mogą się zakochać.

I dorzuciłam:

– Kocham cię.

Chwila ciszy, potem:

– Ja też cię kocham.

To już nie był dreszcz, to ciepło w całym ciele.

Rozłączyłam się; a Ally natychmiast skomentowała:

– Jejku, normalnie mdło mi się robi od tych ckliwości.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Ej, powiedziałam „kocham cię”! To ma być ckliwość?

– Dla mnie tak.

Prawda.

– Lee odpowiedział, że też cię kocha? – Zerknęła na mnie.

– Tak.

– Dla niego to też jest ckiwe. Ckliwe do bólu.

Racja.

– Dziewczęta! – usłyszałam z domu głos Kitty Sue, co uwolniło mnie od dalszej rozmowy.

– Jesteśmy na balkonie! – odkrzyknęłam.

Otworzyła drzwi i wystawiła głowę.

– No to wejdźcie. Mam tylko chwilę, a chciałam wam coś pokazać.

I zniknęła.

Ally i ja spojrzaliśmy na siebie. Kitty Sue użyła swojego tonu „i bez dyskusji”, a z doświadczenia wiedziałyśmy, że lepiej wtedy posłuchać.

– Wiesz, o co chodzi? – zwróciłam się do Ally, zaskoczona przyjazdem jej matki.

Pokręciła głową.

Wstałyśmy, zawiązałyśmy sarongi na biodrach, wzięłyśmy telefony, drinki, minutniki i weszłyśmy do domu.

Kitty Sue stała w jadalni.

– Co pijesz? – spytała córkę, gdy ta zeszła ze schodów.

– Rum z colą.

Kitty Sue wyrwała jej szklanekę z ręki i dwoma łykami opróżniła zawartość.

Ally i ja gapiliśmy się na nią w osłupieniu, potem popatrzyliśmy po sobie.

– Co się stało? – spytałam, bo coś się musiało stać. Kitty Sue nie była abstynentką, ale piła bardzo mało, a już na pewno nie rum. Widziałam ją raz, jak pije, w czasie maratonu Scategory[16] w Wigilię. Nie umiała znaleźć słowa na „s” w kategorii jedzenie i to było tak strasznie słabe, że musiała napić się piwa w ramach kary.

Stare dobre czasy...

– Nie jestem w tym dobra – odezwała się Kitty Sue, przerywając moje wspomnienia.

– W czym? – ponagliła Ally.

– W byciu... nie wiem. Dziewczęta, siadajcie.

Znów wymieniliśmy spojrzenia, ale posłusznie usiadaliśmy.

Wtedy zauważyłam drewniane pudełko. Na wierzchu miało wymalowane serca i kwiaty, było pokryte brokatem i starymi naklejkami. Leżało na pufie między kanapą a fotelami.

– Co to takiego? – Odstawiłam drinka na podłogę obok siebie.

Kitty Sue zajęła miejsce na kanapie naprzeciwko nas i postawiła pustą szklanekę obok skrzyneczki.

– To Pudełko Najlepszych Przyjaciółek.

Zabrakło mi powietrza.

– Co? – wykrztusiła Ally.

– Moje i Katie. Trzymałyśmy tu najcenniejsze skarby.

Spojrzałam na pudełko.

Na pudełko mojej mamy.

O, mój Boże...

Poczułam łzy w oczach. Zaczęłam głęboko oddychać.

Kitty Sue wyglądała tak, jakby też potrzebowała powietrza.

Usłyszałam, jak Ally niemal sapie obok mnie.

Kitty Sue przechyliła się i otworzyła wieczko.

– Zobaczmy... – Zaczęła wyciągać z niego różne drobiazgi, biżuterię, bilety na koncerty i do kina.

Patrzyłam zafascynowana na te skarby.

W końcu wyjęła starą poźółkłą kopertę.

– Posłuchajcie... – Bez wahania otworzyła ją, wyciągnęła kartkę ze środka, rozłożyła i zaczęła czytać:

Ja, Katherine Maria Basore, i ja, Kathryn Susannah Milligan, uroczymy przysięgamy zostać najlepszymi przyjaciółkami po wsze czasy, żeby nie wiem co. Nawet jeśli Curt Zacharus zaprosi Kitty Sue na randkę, chociaż Katie go kocha i chce się z nim całować z języczkiem. Taka jest siła naszej przyjaźni. Weźmiemy ślub w podwójnej ceremonii i będziemy mieszkać obok siebie, w domach z białymi płotami. Będziemy miały dzieci, one będą się razem bawić i pewnego dnia wezmą ślub, wtedy zostaniemy rodziną już na zawsze. Koniec.

Nie oddychałam i czułam, że Ally obok mnie też przestała oddychać.

Kitty Sue odwróciła kartkę, żeby pokazać mi dziewczęce pismo z zawijasami. Na dole widniało kilka brunatnych śladów.

– Pisała Katie. Przypieczętowałyśmy to krwią – wyjaśniła. – Przekłużyłyśmy sobie palce pinezką, złączyłyśmy je w pakcie krwi, potem przycisnęłyśmy do kartki.

Powoli odwróciłam głowę do Ally.

Uśmiechała się.

– No dobrze – powiedziała szorstko Kitty Sue. – To załatwione. – Szybko włożyła kartkę do koperty i położyła na pufie. – Muszę iść, mam mnóstwo spraw. Zostawiam ci to pudełko.

– Kitty Sue... – zaczęłam, wstając.

– Mamo... – Ally zerwała się z miejsca.

Ale Kitty Sue już szła do wyjścia.

– Pamiętajcie o grillu u Hanka w tę sobotę.

Niech to szlag!

Lee i ja już nigdy nie pójdziemy do Barolo Grill.

Otrząsnęłam się z myśli o pysznym risocie z truflami i poszłam za przyjaciółką swojej mamy.

– Kitty Sue, poczekaj...

Zatrzymała się w drzwiach i odwróciła. W jej oczach błyszczały łzy i to mną wstrząsnęło. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała, jak płacze.

Serio.

Ally zastopowało obok mnie.

Panowała cisza.

– Czasem... – odezwała się Kitty Sue drżącym głosem – czasem się zapominam i biorę telefon, żeby do niej zadzwonić. Nawet teraz, po tylu latach... Jakby to było wczoraj...

Przełknęłam ślinę, Kitty Sue zaczęła mi się rozmazywać przez łzy, ale widziałam, że na mnie patrzy.

– Byłaby taka szczęśliwa – szepnęła już mocno niewyraźna Kitty Sue.

Zanim zdążyłyśmy coś powiedzieć, otworzyła drzwi i wyszła.

Patrzyłyśmy przez okno, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

– Myślisz, że powinna teraz prowadzić? – spytałam ochryple, odchrząknęłam.

– Później zadzwonimy do niej, sprawdzimy, czy wszystko dobrze. – Głos Ally również brzmiał słabo.

– Dobrze.

Jeszcze chwilę stałyśmy tak bez słowa, wpatrzone w dal.

Jak zwykle to Ally przerwała ciszę, zawsze pierwsza do tego, żeby przestać się wzruszać i pójść dalej.

– Muszę się napić. Mama wydoiła mojego drinka.

– W moim lód się rozpuścił.

– Zrobię ci nowego.

– Zadzwonię do Lee, zapomniałam o grillu. Znowu nici z Barolo.

– Słabo.

Wzięła szklanki i poszła do kuchni.

Spojrzałam na pudełko i pomyślałam, że zajmę się nim później. Jak już zostanę sama i nikt nie będzie mógł mnie nazwać mazgajem ani zobaczyć mojej brzydkiej, spuchniętej, czerwonej twarzy.

Leżałam w półmroku sypialni i starałam się zapaść w turbodrzemkę.

Usłyszałam, jak Lee (w każdym razie miałam nadzieję, że to on) wchodzi do domu. Było tak cicho, że nawet stamtąd dotarł do mnie brzęk kluczyków odkładanych na blat.

Musimy znów pogadać, żeby ich nie rzucał gdzie popadnie. Miałam śliczne haczyki w kształcie kocich ogonów przy drzwiach z tyłu. Kluczyki wieszano właśnie tam – na kocich ogonach. Mówiłam mu już, ale czy mnie słuchał? Jasne, że nie. Uśmiechnął się tylko, jakby znów chciał powiedzieć, że jestem słodka.

Słyszałam, jak wchodzi po schodach. Zasłoniłam twarz ręką.

Przejrzałam pudełko mamy i Kitty Sue tysiąc razy. Czytałam i czytałam ten list, dopóki nie zapamiętałam charakteru pisma mamy. Brałam te wszystkie pamiątki do rąk, obracałam, niektóre nawet wachałam.

Zryczałam się przy tym strasznie i nie było opcji, żeby Lee oglądał mnie po tej orgii płaczu.

– Indy? – spytał cicho; stanął przy łóżku.

Ani drgnęłam.

Poczułam, że siada obok mnie i zdejmuje buty; spadły kolejno na podłogę. Położył się i przytulił do moich pleców, obejmując mnie w pasie.

– Nie udawaj, że śpisz.

– Idź sobie. Łapię drzemkę – powiedziałam stłumionym głosem, nadal zasłaniając twarz.

– Płakałaś.

Co?

Skąd do cholery wie? Przecież nie zobaczył mojej twarzy!

– Nieprawda – skłamałam.

Westchnął.

– Mama powiedziała tacie o pudełku, a tata mnie.

Szlag.

Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam. Tata i Malcolm to przyjaciele, ja przyjaźnię się z Ally, Hank i Lee są ze sobą bardzo blisko, a Kitty Sue jest żoną Malcolma – przy takim układzie nic nigdy nie mogło pozostać tajemnicą w tym gronie.

Postanowiłam się nie odzywać.

Postanowił na to nie pozwolić.

Odwrócił mnie i teraz leżałam twarzą do niego.

Próbowałam się szarpać, stwierdziłam, że nie wygram, więc wtuliłam twarz w jego pierś.

– Spójrz na mnie, Indy.

– Nie – wymamrotałam w jego koszulkę.

– Spójrz na mnie.

– Powiedziałam: nie.

– Dlaczego?

– Bo spuchłam jak bania.

Jego ciało trzęsło się ze śmiechu.

– Wali mnie to. – W jego głosie dźwięczało rozbawienie.

Phi.

Jakby to było ważne, co on myśli. Ważne, co ja o tym myślę.

– A mnie nie – warknęłam.

– Spójrz na mnie – upierał się jak osioł.

– Nie płaczę z powodu pudełka. Jestem wkurzona, że znów nie pójdziemy do Barolo Grill, a jeszcze bardziej, że Dawn nie zrobi nam rezerwacji – ściemniłam znowu. No, przynajmniej częściowo.

– Oszukujesz.

– Nie.

Objął mnie i przyciągnął do siebie, trzymając mocno.

Czekałam.

Nic się nie stało.

Poczekaliśmy jeszcze chwilę.

Nic.

Czyli odpuścił.

Znowu poczułam ciepło, szczęście... rozluźniłam się.

– Dzwoniła Marianne – palnęłam bez związku z niczym, wciąż z twarzą w jego piersi. – Znalazła dom i za kilka miesięcy wyprowadza się od rodziców.

Jego palce sunęły po moich plecach w górę i w dół.

– Andrea zaprosiła nas na kolację w następny czwartek – mówiłam dalej.

– Jej dzieci też tam będą?

– No, pewnie tak.

– O Jezu – wymruczał.

Doskonale go rozumiałam. Pamiętałam jedną z kolacji w jej domu; wróciłam z galaretką we włosach (walka na galaretkę nie była moim pomysłem, zaczął ją najstarszy Andrei, ja się tylko broniłam).

– Powiedzieć jej, że przyjdziemy?

– Tak, ale może się zdarzyć, że wypadnie mi praca. Wkurzysz się, jeśli w ostatniej chwili pójdziesz sama?

Odchyliłam głowę i spojrzałam na niego groźnie.

– No, chyba żartujesz. Nie nawalisz z powodu fejkowego wezwania do pracy.

Spojrzał na mnie.

– To może nie być fejk.

– Będzie.

– Może nie być.

– To będzie fejk jak cholera.

Jego oczy uśmiechnęły się, pochylił głowę i mnie pocałował.

A ja zapomniałam o swojej zapuchniętej od płaczu twarzy i oddałam mu pocałunek.

A potem, gdy jego język wsunął się w moje usta, zapomniałam o kolacji u Andrei, jej piekielnych potomkach i fejku.

A potem o drzemce, gdy włożył mi ręce pod podkoszulek.

A potem już zupełnie o całym świecie. Lee wszedł we mnie i zaczął się poruszać.

– Lee... – szepnęłam.

Podniósł głowę, popatrzył na mnie czekoladowymi oczami i posłał swój zabójczy firmowy uśmiech.

Gdy musnął mnie wargami, poczułam ten uśmiech na ustach.

– Kochasz mnie – powiedział.

Uniósł moje biodra, wszedł głębiej i to było niemożliwie cudowne.
– Ty cholerny... – wykrztusiłam resztką tchu – cholerny zarozumialcu.

- [1] Fraternal Order of Police (F.O.P.) – rodzaj organizacji związkowej zrzeszającej funkcjonariuszy organów ścigania w Stanach Zjednoczonych [wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].
- [2] Fortnum&Mason – luksusowy dom towarowy, założony w XVIII w.; dostawca dóbr luksusowych, w tym dla brytyjskiej rodziny królewskiej.
- [3] The Munsters – amerykański serial z lat 60. XX wieku, przedstawiający potworną rodzinę Munsterów. Rolę wampirycznego Dziadka grał między innymi Al Lewis.
- [4] Richard „Kinky” Friedman (ur. 1944) – teksasński satyryk, piosenkarz w stylu country rocka i obrońca zwierząt.
- [5] Night Stalkers – najlepsi piloci śmigłowców, którzy wspierają amerykańskie siły specjalne. Logo przedstawia żółty księżyc i białego centaury ze skrzydłami, z czerwonym mieczem w dłoni, na granatowym tle.
- [6] *Burning Love* – amerykański serial komediowy, którego głównym wątkiem jest randkowanie.
- [7] Fat Tire – marka amerykańskiego piwa.
- [8] ATF [Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives] – Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych – amerykańska agencja federalna, zajmująca się przestępstwami i ich zapobieganiem, także przestrzeganiem regulacji i przepisów federalnych, w zakresie zawartym w jej nazwie.
- [9] Jane Calamity – pionierka Dzikiego Zachodu, określana mianem awanturniczki.
- [10] Tawny Kitaen (właśc. Julie Kitaen) – aktorka, modelka, osobowość telewizyjna, z burzą długich falujących włosów.
- [11] Bohaterki komiksu *Archie’s Girls Betty and Veronica*.
- [12] Urodzona w 1925 roku amerykańska aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna brytyjskiego pochodzenia.
- [13] *Es mi hermano* (hiszp.) – jest moim bratem.
- [14] *Hombre* (hiszp.) – tu: stary, człowieku.
- [15] United States Air Force Academy – uczelnia szkoląca przyszłych pilotów wojskowych.

[16] Kreatywna gra towarzyska.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz